

ZACISZNA WYSPA. GRUPA PRZYJACIÓŁ. POTWORNA PRZESZŁOŚĆ,
KTÓRA NIESPODZIEWANIE POWRACA.

ERIC BERG

RUINY
NA
WYBRZEŻU



ERIC BERG
RUINY
NA
WYBRZEŻU

Z języka niemieckiego przełożył
Łukasz Kuć



Spis treści

Dedykacja

Motto

Prolog

Wrzesień 2013 roku

Cztery miesiące wcześniej

Wrzesień 2013 roku

Cztery miesiące wcześniej

Wrzesień 2013 roku

Cztery miesiące wcześniej

Wrzesień 2013 roku

Cztery miesiące wcześniej

Wrzesień 2013 roku

Cztery miesiące wcześniej

Wrzesień 2013 roku

Cztery miesiące wcześniej

Wrzesień 2013 roku

Cztery miesiące wcześniej

Wrzesień 2013 roku

Cztery miesiące wcześniej

Wrzesień 2013 roku

Cztery miesiące wcześniej

Wrzesień 2013 roku

Październik 2013 roku

Pięć miesięcy wcześniej

Podziękowania

*Dla mojej rodziny z WunderBaru
na Gran Canarii
Ściskam Was*

*Wilki porywają owcę w ciemnościach nocy,
lecz ślad krwi wżera się w kamienie doliny
i zbrodnia ukazuje się ludzkim oczom,
gdy wschodzi słońce.*

KHALIL GIBRAN

Prolog

Wyszedł z domu pochłonięty myślami na temat przyszłości.

Był trzydziesty pierwszy sierpnia 1990 roku, owego osobliwego roku na granicy epok, kiedy to, co stare, jeszcze nie do końca odeszło w przeszłość, a nowe nie całkiem się jeszcze zadomowiło. Mieszkańcy wschodnich Niemiec byli bez reszty zaprzątnięci tym, co ma nadejść. On również, choć miał dopiero osiemnaście lat, musiał podjąć kilka ważnych decyzji.

Samotnie przechadzał się po łąkach rodzinnej wyspy na mekleburskim wybrzeżu. Uwielbiał mgłę, która jak każdego wieczoru rozpełzła się po ziemi. Uwielbiał też ową chwilę, kiedy promienie zachodzącego słońca niczym reflektor przebijają się między chmurami i padają na morze, rozświetlając fale, po czym czerwona tarcza znika, by w tym samym momencie ukazać się w innym miejscu i w innym odcieniu.

Na końcu drogi leżały osamotnione ruiny klasztoru – miejsce, które znał lepiej niż rodzinny dom. Wnętrze podupadłej budowli, którą on i jego przyjaciele od dziecka nazywali Pałacem, tworzyło istny labirynt. Jeden dziedziniec przechodził w następny (dawne izby nazywali dziedzińcami, jako że ruiny nie miały dachu), a kruszące się spiczaste okna, od pięciuset lat zżerane przez morski wiatr, z jednej strony wychodziły na morze, a z drugiej na łąki. Mała wioska, w której mieszkał, leżała kilometr stąd, przesłonięta młodymi drzewkami otaczającymi ruiny.

Z wyciągniętą przed siebie ręką, muskając czubkami palców mury, zagłębił się po omacku w półmrok. Zatrzymał się przy jednym z późnogotyckich okien i jego wzrok powędrował ponad porastającymi wydmy trawami – hen, na morze, które rozpościerało się przed nim nieporuszone niczym tafla płynnego ołowiu. Wtem zdało mu się, że słyszy kroki. Odwrócił się, zmarszczył czoło i zawołał półgłosem:

– Margrethe?

Nie miał pojęcia, dlaczego wykrzyknął właśnie jej imię. Wiedział przecież, że Margrethe już nigdy nie zamieni z nim ani słowa.

Po chwili uznał, że się przesłyszał. Wiatr i kruszące się mury czasem płatały figle. Kontury z wolna się rozmywały, ściany i łuki przeistaczały w zjawy. Aura tajemniczości od zawsze stanowiła nieodłączny element tego miejsca – tak jak mewy, które w ciągu dnia z krzykiem krążyły nad ruinami, jak koniczyna pokrywająca łąki, jak osty wczepiające się w popękane mury i jak przyjaciele, których spotkał na swej drodze dziesięć lat temu: Lea, Mike, Jacqueline, Margrethe, Harry, Pierre i Julian. Tak, to było cudowne dziesięć lat...

Nadciągnął wiatr i znów coś zaszeleściło, gdzieś niedaleko ukruszył się kawałeczek muru, znów o krok posuwając upadek tej starej budowli.

Przyszedł w to szczególne dla siebie miejsce, by się pożegnać z dzieciństwem i wszystkim, co je wypełniało. Z niezliczonymi godzinami spędzonymi w Pałacu w gronie przyjaciół, z rozmowami, zabawami, śmiechem, sporadycznymi kłótniami, papierosami, ogniskami, szczeniackimi marzeniami...

Jego dzieciństwo – tak jak dzieciństwo każdego człowieka na ziemi – odeszło po cichu i niepostrzeżeniu. Już od kilku lat widać było drobne oznaki przemijania, na które jednak nikt z ich paczki nie zwracał uwagi – choćby to, że niektórzy zaczęli praktyki w okolicznych zakładach albo podjęli regularną pracę. Mimo to wciąż pozostawali w kontakcie i regularnie spotykali się w piątkowe lub sobotnie wieczory w Pałacu. Ktoś przynosił kanapki lub czekoladę, ktoś inny piwo lub grzane wino, potem siadali, rozmawiali, palili. Czuli, że choćby niektórzy z nich mieli stąd odejść i wyjechać na Zachód – na studia albo by poznać świat bądź zdobyć popłatny zawód – to Pałac zawsze będzie ich spajał duchową więzią. Że żadne z nich nie zapomni tego miejsca i wszyscy od czasu do czasu będą tu wracać.

Jeszcze niedawno i on podzielał te romantyczne wyobrażenia. Aż do początku lata ich świat był niewinny, nieskalany, lecz teraz, u progu jesieni, legł w gruzach, tak jak te spowite w mroku ruiny.

– Lea? Lea, to ty?

Wciąż miał nadzieję, że przyjmie jego propozycję i wyjedzie z nim z Poel, że wspólnie wyruszą w podróż dokoła świata. Rozstanie z nią sprawiało mu najdotkliwszy ból. Ileż to razy wyobrażał sobie, że Lea czatuje na niego za rogiem, by zaskoczyć go radosnym: „Tak, pojedę!”. Ale to marzenie nigdy się nie spełniło.

Tymczasem mrok zgęstniał tak bardzo, że zupełnie nie widział już drogi. Z ciężkim westchnieniem wyjął z kieszeni dżinsów małą latarkę i skierował krąg światła na ścieżkę wiodącą do wsi. Po chwili wzdrygnął się i wydał z siebie ni to krzyk, ni to westchnienie.

Jego ciało przeszył lodowaty dreszcz, a sekundę później coś ciężkiego uderzyło go w głowę.

Wrzesień 2013 roku

Patrzyłam na ogromne zdjęcie. Wielka fotografia formatu A4 przedstawiała samochód, a właściwie kupę zgniecionej blachy. Auto wyglądało tak, jakby uderzył w nie jakiś potwór i wyrwał z niego trzewia. Błysk lampy aparatu odbił się w pokrytej siatką rys szybie, rzucając rozszczepioną łunę na mokry przydrożny rów, drzewo, fosforyzujące kombinezony ratowników i kilka gałęzi ze słabymi jeszcze wiosennymi listkami. I na zwłoki.

Wnętrze wraku na bałtyckiej wyspie Poel skrywało również moje ciało, lecz wiedziałam o tym tylko dlatego, że mi o tym powiedziano. W prawym dolnym rogu kartki widniała data i godzina wykonania zdjęcia: 21 maja 2013, 23:46.

W ciemnych, lśniących oczach mojej rozmówczynie kryło się nieme pytanie. Ina Bartholdy pracowała jako psycholog w schwerińskiej klinice, gdzie od czterech miesięcy sprawowała nade mną opiekę. Miała trzydzieści parę, może czterdzieści lat, więc byliśmy niemal rówieśniczkami. Lubiłam jej ciepły, emanujący spokojem głos i szczupłe, pozbawione biżuterii dłonie.

– Nic. – Pokręciłam głową.

W tym jednym słowie wyrażało się wszystko. Nie pamiętałam ani wypadku, ani ostatnich godzin przed nim. Z Poel wyjechałam dwadzieścia trzy lata temu i, o ile mi wiadomo, nigdy tam nie wróciłam, dlatego myśl, że wydobyto mnie ledwie żywą z rowu przy drodze przecinającej wyspę, była dla mnie czymś upiornym.

Wraz z autem, którym podróżowałam na fotelu pasażera, zniszczeniu uległy również moje wspomnienia. Oczywiście, wiele rzeczy pamiętałam – w tym te najważniejsze: kim jestem, czym się zajmuję – lecz wiedziałam, że moje życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem. Przeszłam mnóstwo operacji, w trakcie których lekarze, nie licząc kilku niewielkich blizn, zdołali przywrócić mi dawny wygląd,

lecz jeśli chodzi o pamięć, sprawy przedstawiały się dużo gorzej. Niczym w niedokończonej mozaice było w niej mnóstwo mniejszych lub większych luk, które mimo cierpliwych wysiłków mojej terapeutki zapełniały się z oporem i bardzo powoli. O ile w ogóle.

– Do tej pory nie pokazywałam pani tego zdjęcia, ponieważ jest ono wyjątkowo sugestywne, powiedziałabym wręcz... makabryczne.

To prawda. Najgorszy był widok martwego, zmasakrowanego nie do poznania ciała.

A mimo to fotografia nie wzbudzała we mnie żadnych osobistych emocji. Równie dobrze mogłabym oglądać zdjęcie z wypadku samochodowego w Chinach. Nie byłabym ani bardziej, ani mniej poruszona. Bardzo chciałabym odczuwać coś więcej niż tylko ten abstrakcyjny smutek z powodu tragicznego, ale na pozór odległego zdarzenia. Ponieważ nie pamiętałam wypadku, mogłabym przysiąc, że w nim nie uczestniczyłam. Fizyczne rany, które pokrywały moje ciało, były wprawdzie bolesnym przypomnieniem tego zdarzenia, lecz moja pamięć nie była w stanie wyjaśnić, skąd się wzięły.

– Wie pani, że to nasze ostatnie spotkanie. – Ina Bartholdy przerwała w końcu milczenie. Mroczna nuta w jej głosie zdradzała, że zaraz doda coś, co może mnie wprawić w niepokój.

Jej spojrzenie padło na cyfrowy projektor, jedyne urządzenie w tym skądinąd dość skąpo umeblowanym pokoju. Nie było tu zbyt wielu sprzętów, na których można by zawiesić oko: cztery identyczne fotele, długi stół, pozbawione ozdób kremowe ściany oraz lawendowa wykładzina dywanowa z weluru, gruba i doskonale tłumiąca kroki. Choć w pomieszczeniu nie było żadnego źródła, słychać było ciche pluskanie wody.

Terapeutka wydobyła z kieszeni niewielkiego pilota, lecz zanim go użyła, przez chwilę jeszcze się wahała.

– Czy podjęła już pani decyzję, Leo? Zdecydowała pani, dokąd się uda po wypisaniu z kliniki? Wraca pani do Argentyny?

Decyzja tylko na pozór wydawała się oczywista. Buenos Aires od niemal ćwierćwiecza było moim domem. Wprawdzie nie czekała tam na mnie rodzina, ale miałam spore grono znajomych oraz kilka przyjaciółek – z których wszelako żadna nie odwiedziła mnie po

wypadku. Na pewno ucieszyłyby się, gdybym wróciła, lecz ja w ich obecności chyba nie byłabym w stanie pozbyć się poczucia niesmaku. Bo chociaż wiedziały, jak bardzo cierpię, a pieniądze nie grały dla nich roli, żadna nie uznała, że warto wskoczyć do samolotu i przylecieć do Europy, by mnie odwiedzić.

Przypomniałam sobie słowa, które Ina wypowiedziała kilka tygodni temu.

– Jakiś czas temu sugerowała mi pani, żebym wróciła tam, gdzie spędziłam ostatnie dni przed wypadkiem. Mówiła pani, że to dość częsta metoda terapii osób cierpiących na amnezję.

Ina Bartholdy skinęła głową, lecz na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania – tak jakby lekkomyślnie zasugerowała chorej na serce pacjentce, by po wypisaniu z kliniki skoczyła na bungee. Zanim zdążyłam się odezwać, terapeutka włączyła pilotem projektor, który posłusznie piknął i rzucił na ścianę obraz, znany mi już z poprzednich sesji. Była to pokryta kolorowymi znaczkami fotografia mojego mózgu. Szare i czarne plamy oznaczały mniej lub bardziej uszkodzone obszary.

Ilekczo widziałam to zdjęcie, przeszywał mnie dreszcz. Widoczny na nim obraz – aktualizowany co dwa tygodnie – wywierał na mnie nieporównanie silniejsze wrażenie niż przekazywane mi suche informacje i z całą pewnością przemawiał do mnie bardziej niż zdjęcia z miejsca wypadku. Patrzyłam na czarne punkty przypominające rakowe przerzuty, podłużne cienie podobne do kanałów drążonych przez robaka, bezkształtne twory przywodzące na myśl obserwowane pod mikroskopem kultury bakterii, i nie mogłam się pozbyć wrażenia, że mój mózg wygląda na tych fotografiach tak, jakby toczyła go jakaś złośliwa, nieustannie postępująca choroba.

Lecz owo wrażenie wolno postępującego zniszczenia było absolutnie mylące, gdyż moje wspomnienia zostały wymazane nagle, w jednej sekundzie. Zapomnienie przyszło niespodziewanie, jak śmierć. Zresztą w pewnym sensie cztery miesiące temu naprawdę umarłam, gdyż od chwili wypadku czułam się tak, jakbym pewnych okresów swojego życia w ogóle nie przeżyła. Po co wróciłam na Poel? Co tam robiłam? Dlaczego w dniu przyjazdu na wyspę wsiadłam do

auta, które najwyraźniej nie należało do mnie? I jak to możliwe, że doszło do wypadku na suchej, niemal prostej jak drut drodze?

– W zależności od przyczyn wyróżniamy różne rodzaje amnezji – wyjaśniła Ina Bartholdy.

– Wiem, Ino. Słuchałam uważnie wszystkiego, co pani mówiła.

– Oczywiście – odrzekła terapeutka uspokajającym tonem, jakby na zapas chciała mnie podtrzymać na duchu, i zaraz dodała: – Do tej pory uważaliśmy... to znaczy moi koledzy lekarze i ja... otóż uważaliśmy dotąd, że w pani przypadku amnezja wynika z fizycznego uszkodzenia mózgu – podniosła rękę, uprzedzając ewentualny sprzeciw – i tak w istocie jest. Przypadkowość luk występujących w pani pamięci długotrwałej nie pozwala na inną diagnozę.

Przypadkowość, nieuporządkowanie, chaos...

Pamiętałam, że Carlos, mój były mąż, zdradzał mnie, w związku z czym ja jego również zdradziłam, z Ianem, Irlandczykiem. Tyle że nie pamiętałam twarzy Iana, chociaż od naszego trwającego bite dwa miesiące romansu upłynęło zaledwie pięć lat. Pamiętałam, że moja ulubiona fryzjerka w Buenos Aires nazywa się Angela Lopez, ale za nic nie potrafiłam sobie przypomnieć ani jej twarzy, ani ulicy, przy której znajduje się salon. Na szczęście w ciągu ostatnich czterech miesięcy odzyskałam niektóre wspomnienia. Przypomniałam sobie na przykład nazwiska sąsiadów, niektóre numery telefonów, w tym mój własny, oraz inne drobiazgi. Pamiętałam, że kilka tygodni przed wylotem do Europy rozpadł mi się sandałek. I jakie książki przeczytałam w ciągu swojego życia. Tego typu rzeczy.

– Terapia amnezji uwarunkowanej fizycznie jest zwykle łatwiejsza. Dlatego z każdym dniem odzyskuje pani kolejne wspomnienia i z biegiem czasu będzie sobie pani przypominać kolejne fakty. Śmiem twierdzić, że za kilka miesięcy w pani pamięci długotrwałej nie będzie właściwie żadnych luk. Tyle że... jest pewien okres, którego w dalszym ciągu kompletnie pani nie pamięta.

– Ma pani na myśli ostatnie godziny przed wypadkiem? Po przyjeździe na Poel?

– Owszem. Wciąż nie pamięta pani niczego z tamtego czasu. Sądzę, podobnie jak inni lekarze, że w odniesieniu do tego okresu

mamy do czynienia z amnezją uwarunkowaną psychicznie.

„Uwarunkowaną psychicznie” – słowa Iny rozbrzmiewały we mnie niczym echo. „Uwarunkowaną psychicznie”.

– Świadczy o tym chociażby fakt, że, jak pani twierdzi, zmienił się pani głos.

Skinęłam głową. Mój głos faktycznie stał się wyraźnie cichszy, bardziej stonowany, jakby łagodniejszy. Przypominał nieco dźwięk oboju...

– Przyczyny organiczne, fizjologiczne i bakteryjne wykluczyliśmy. W pani przypadku najwyraźniej mamy do czynienia ze zmianą na tle psychicznym. Tak się czasami zdarza w przypadku nieprzepracowanych przeżyć. Wszystko zatem wskazuje na to, że... – Ina Bartholdy urwała w pół zdania, westchnęła i przez kilka sekund milczała. – Coś się musiało wydarzyć – powiedziała w końcu z taką powagą, że aż przeszły mnie ciarki. – Na Poel, przed wypadkiem, musiało się pani przytrafić coś traumatycznego. Być może odkryła pani coś szokującego, coś, co wyparła pani z pamięci.

Terapeutka krzywo założyła ręce na piersi.

– Prawdę mówiąc... nie wiem, czy w tych okolicznościach powinnam była doradzać pani powrót na Poel. Obecnie jestem raczej skłonna prosić, by pani tego nie robiła.

Sama nie wiedziałam, czego bardziej powinnam się obawiać: tej częściowej amnezji, której padłam ofiarą, czy raczej wspomnień. Wróciłam do swojego pokoju, usiadłam na szpitalnym łóżku i zaczęłam się zastanawiać, co zapakować. Nie miałam jeszcze pojęcia, dokąd pojedę: do Argentyny, by odkreślić grubą kreską mroczny rozdział mojego życia, czy z powrotem na Poel? Był wtorek, trzeci września 2013 roku, mijało dokładnie sto dni od wypadku i po raz pierwszy od dawna musiałam podjąć decyzję.

Z namysłem brałam w dłoń kolejne przedmioty. Czy naprawdę będę potrzebować tego dziwnego szpitalnego dezodorantu? Czy dam radę zjeść ostatnie pięć pralinek z pudełka? Wyjątkowo długo się wahałam, patrząc na ogromny diagram nad łóżkiem. Kilka tygodni wcześniej przypięłam do ściany kilka zadrukowanych kartek z datami

i szczegółowym opisem, co, gdzie i kiedy robiłam. Kilka zdjęć z serii „Rosyjska tajga i tundra” przy roku 2012, rozwód z Carlosem w 2011, nowojorska wystawa *Peru wzdłuż i wszerz* z roku 2008... Poronienie w 2002, w 1997 wielki sukces mojego pierwszego albumu *Zagłada piękna*, w którym przedstawiłam rajskie zakątki świata tuż przed ich zniszczeniem przez człowieka.

Od tamtej pory zwiedziłam kawał świata. Odbyłam rejs po Żółtej Rzece, okrążyłam Fudzi-jamę i Etnę, podróżowałam śladami Cézanne’a i Gauguina, dokumentowałam wędrówkę gnu i spęd owiec w Nowej Zelandii. Wykonałam tysiące zdjęć.

Niestety diagram na ścianie nie odpowiadał na najważniejsze pytania. Tragiczne wydarzenie, które przed czterema miesiącami przecięło moje życie na pół, pozostawiło mi wprawdzie większą część pamięci długotrwałej, a co za tym idzie wiedzę na temat mojej przeszłości, za to kompletnie odebrało mi poczucie tożsamości. Chociaż do tej pory zdołałam sobie przypomnieć ponad dziewięćdziesiąt procent swojego dotychczasowego życia, nie potrafiłam się utożsamić z kobietą, która je przeżyła. Co czułam po rozwodzie? Dlaczego nigdy nie uczestniczyłam w wyborach? Czy lubię smak lukrecji? Czterdzieści jeden lat na dwóch metrach papieru, na który patrzyłam jak na biografię bliskiej mi osoby. Miałam wrażenie, że co prawda uczestniczyłam w tym życiu, ale go nie przeżyłam.

Pierwszy raz poczułam to przed trzema miesiącami, kiedy odwiedzili mnie w klinice funkcjonariusze wismarskiej policji, by zadać kilka pytań na temat wypadku. Było to bardzo dziwne spotkanie, które nie usatysfakcjonowało żadnej ze stron. Nie mogłam pomóc policjantom, gdyż kompletnie nie pamiętałam ani wypadku, ani powodu mojej wizyty na Poel, ani nawet tego, że tam w ogóle pojechałam. Oni z kolei nie potrafili mi wyjaśnić, jak doszło do tragicznego wypadku.

We krwi mojej siostry, która prowadziła auto, nie stwierdzono obecności alkoholu, nic też nie wskazywało na udział osób trzecich. Zwłaszcza ten ostatni fakt sprawił, że policja szybko straciła zainteresowanie moją osobą i w ogóle śledztwem. W końcu sprawca

wypadku zginął na miejscu.

Śledczy spędzili u mnie niespełna godzinę, ale to wystarczyło, by wzbudzić we mnie coś, co od tamtej pory stale mi towarzyszyło: poczucie obcości względem samej siebie. Odpowiadając na pytania policjantów, miałam wrażenie, jakbym mówiła o kimś innym, o człowieku, którego co prawda dobrze znałam, ale którego myśli i uczucia były mi kompletnie nieznane. Tym kimś była Lea Hernández, z domu Mahler, kobieta, którą musiałam na nowo poznać.

Kartka po kartce, rok po roku zdejmowałam ze ściany zawieszony nad szpitalnym łóżkiem zapis mojego życia i pospiesznie upychałam go w foliowej koszulce. Na roku 1990 zatrzymałam się nieco dłużej. To był szczególny rok. W marcu wkroczyłam w dorosłość, w kwietniu rozstałam się z Julianem, moją młodzieńczą miłością, w maju moi rodzice zginęli w wypadku, we wrześniu zaręczyłam się z Carlosem i pojechałam za nim do Argentyny, gdzie w grudniu wyszłam za niego za mąż. W pośpiechu porzuciłam całe dzieciństwo i młodość – rodzinną wyspę, przyjaciół, niekochaną siostrę, pierwszą miłość...

Wcisnęłam koszulkę z kartkami do torebki, a gdy zatrzymałam wzrok na swoich dłoniach, po raz pierwszy dotarło do mnie, że są mi tak samo obce jak moja przeszłość. W ciągu czterech miesięcy spędzonych w klinice byłam skupiona na swoim poranionym ciele: połamanych kościach, zmiądzonych organach, rozdartej powłoce brzusznej, bliznach na głowie. Moje nogi umieszczono w szynach, trzy razy operowano mi kręgosłup. Trzy tygodnie spędziłam na wyciągu. Krzyki, które dobywały się wtedy z moich ust, wciąż rozbrzmiewały echem w mej głowie – tak głośno, że czasem potrafiły mnie zbudzić ze snu. Lecz ich przyczyną tylko w połowie było poranione ciało; druga połowa wiązała się z maleńką, ledwie sześciotygodniową istotką, która umarła we mnie w chwili wypadku.

Dowiedziałam się o niej dopiero w szpitalu, kiedy już jej nie było. W 2002 roku poroniłam i od tej pory gorąco pragnęłam mieć dziecko, a kiedy się pojawiło, niemal natychmiast znikło – zanim jeszcze zdążyłam je w sobie poczuć. Ina Bartholdy długo ze mną rozmawiała o tym małym człowieczku, który jak duch wkroczył w moje życie i zaraz z niego zniknął, owej bezcielesnej, bezimiennej istocie, której

nie było mi dane wziąć w ramiona. Chirurdzy plastyczni niczym wytrawni rzeźbiarze przywrócili mi dawną twarz, przemieniając bezkształtną bryłę w ludzkie oblicze, które z radością rozpoznałam w lustrze, lecz moja dusza miała mniej szczęścia. Pozostała zraniona, zniekształcona, obca.

Opadłam na poduszkę i bezmyślnie patrzyłam na sufit. Czy tak właśnie zaczyna się depresja, przed którą tyle razy mnie przestrzegano? Czułam się zagubiona jak paczka, która nie ma pojęcia, kto ją nadał, gdzie się znajduje, dokąd zmierza i kto na nią czeka. Utraciłam wszelkie oparcie, nic już nie było dla mnie pewne – poczynając od tego, że nie potrafiłam powiedzieć, czy lubię lukrecję, a kończąc na tym, że nie miałam żadnych marzeń ani planów na przyszłość. Straciłam nawet swój dawny głos. Jedyne, co posiadałam w całej rozciągłości, była terażniejszość. Terażniejszość, którą pod wpływem paniki spędzałam w łóżku, sparaliżowana i otepiała.

Rozległo się pukanie i do pokoju weszła młoda pielęgniarka.

– Wszystko w porządku, pani Hernández? – spytała z uśmiechem na sympatycznej, piegowatej twarzy.

– Nie nazywam się już Hernández, tylko Mahler – powiedziałam i powoli usiadłam, jakbym chciała się upewnić, że jestem jeszcze w stanie dźwignąć się z łóżka.

– Naprawdę? Od kiedy?

– Od dzisiaj. Mahler to moje panięńskie nazwisko.

– Szkoda. Hernández brzmi bardzo intrygująco. Kojarzy się z egzotycznymi krajami.

Uśmiechnęłam się krzywo. Dla mnie to nazwisko było symbolem kłamstwa, zdrady, obcości, rozwodu, ale nie chciałam pozbawiać sympatycznej dziewczyny marzeń.

– Wygląda pani na nieco przygnębioną – powiedziała z troską pielęgniarka.

– Jeśli po uderzeniu w drzewo z prędkością stu kilometrów na godzinę, po czternastu operacjach i tysiącu godzin psychoterapii wyglądam na „nieco” przygnębioną, to chyba nie jest najgorzej, prawda? – odparłam, figlarnie mrugając okiem.

Pielęgniarka uśmiechnęła się. Ja również.

– Lubi pani praliny? – spytałam i nie czekając na odpowiedź, położyłam obok pudełka dwadzieścia euro: – To do oddziałowej skarbonki, na kawę. Zastanawiam się, co zrobić z tymi wszystkimi książkami, które przeczytałam przez ostatnie cztery miesiące. Pani również lubi czytać, prawda? Proszę, może znajdzie pani coś ciekawego. Mam spory wybór, od tych najnowszych szkockich czytań po chińskiego noblistę.

– Jest pani bardzo miła.

– To raczej pani i jej koleżanki byłyście miłe dla mnie.

Zamknęłam walizkę, sięgnęłam po torebkę, podałam blondwłosemu aniołowi w białym fartuchu dłoń i pożegnałam się, życząc jej wszystkiego dobrego. Wszystko to uczyniłam z dużą dozą pewności i zmierzając ku drzwiom, miałam niemal wrażenie, że czuję wiatr w skrzydłach.

Jednak już na szpitalnym parkingu zeszło ze mnie powietrze i zaliczyłam twarde lądowanie. Przesiedziałam pół godziny w aucie, które poprzedniego dnia wynajęłam w Schwerinie. Nie miałam pojęcia, co robić! Nie, nie zapomniałam, jak się prowadzi samochód, zapomniałam, jak się żyje.

Jeszcze raz przeanalizowałam wszystkie możliwości. W Buenos Aires czekał na mnie apartament, kilka przyjaciółek i praca. Może powinnam porozmawiać z ojcem mojego zmarłego dziecka? Choć z drugiej strony... Nasz związek przetrwał zaledwie kilka tygodni.

W końcu dotknęłam ekranu na desce rozdzielczej.

– Wpisz cel podróży – odezwał się kobiecy głos.

Wpisałam: Poel.

– Sprecyzuj.

Sprecyzowałam: Brandenhusen.

– Po pięćdziesięciu metrach skręć w lewo.

Przejechałam pięćdziesiąt metrów i włączyłam kierunkowskaz, lecz nie skręciłam. Zatrzymałam się.

– Skręć w lewo.

Uszłam z życiem z poważnego wypadku, lecz moja siostra miała mniej szczęścia. Zginęła na miejscu, na moich oczach. Mój zagadkowy powrót skończył się katastrofą. Czy ponowna próba nie skończy się

aby tak samo?

– Skręć w lewo.

Rozpaczliwie szukałam światełka w tunelu. Jakiejś wskazówki, odpowiedzi, a ostatecznie: prawdy. To przecież szlachetny cel, czyż nie? Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że za prawdę trzeba czasem zapłacić wysoką cenę.

Wielu ludzi żyłoby, gdybym tamtego wrześnieowego dnia skręciła w prawo.

– Skręć w lewo.

Pierwszy raz od dwudziestu trzech lat znów wjechałam na drogę prowadzącą ze stałego lądu na Poel. Cztery miesiące wcześniej prawdopodobnie jechałam tą samą drogą, choć teraz czułam, że to była jakaś inna, obca kobieta. Na pewno nie ja. Rozpaczliwie próbowałam znaleźć w pamięci okruchy wspomnień. Wyłączyłam nawigację i radio, opuściłam boczne szyby, by wsłuchać się w szum wiatru i morza, uważnie przyglądałam się pierwszym mijanym domom.

Wspomnienie majowej wizyty nie powróciło – ani tego dnia, ani w kolejnych dniach, tygodniach, miesiącach. Zresztą nawet dziś widzę przed sobą tylko pojedyncze obrazy, jakby czarno-białe fotografie, utrwalone w jednej chwili sceny, których sens pojmuję się dopiero wtedy, gdy zna się całą historię.

Chociaż rodzinne strony wydawały mi się zupełnie obce, napawałam się ich widokiem. Bezkresne łąki, niekończący się horyzont, żadnych punktów zaczepienia – żadnych pagórków, lasów. Nawet ludzie dostosowali się do miejsca – tylko z rzadka pojawiała się wieża kościoła, rozrzucone tu i ówdzie domy i zagrody, krowy i traktory na łąkach, a między nimi pola rzepaku. Brzeg morza w wielu miejscach porastała trzcina. Płaska wyspa unosiła się na wodzie jak placek, tak jakby Stwórca użył do jej uformowania kuchennego wałka.

Mój volkswagen mijał welony mgieł ciągnących się ospale po wyspie. Prosta jak sznur droga zawiodła mnie najpierw do Kirchdorfu, a potem do Einhusen, gdzie asfalt staje się tak wąski, że z trudem mijają się na nim dwa samochody. Dalej mój szlak prowadził do Weitendorfu i w końcu do Brandenhusen, maleńkiej wioski, której

mieszkańcy znają nawzajem nie tylko swoje imiona, lecz również daty urodzin, a nawet numery buta. W końcu droga zamieniła się w asfaltową aleję otoczoną szeregiem drzew i żywopłotów. Na końcu leżała osada jeszcze mniejsza od i tak już maleńkiego Brandenhusen. Kaltenhusen, bo tak nazywało się owo osiedle, było jakby kolonią kolonii. Na mapie sama kropka, bez nazwy, całe sześć domów. Koniec drogi. I koniec świata.

Sto metrów od osady zatrzymałam się, zgasiłam silnik i wysiadłam.

Miałam wrażenie, jakby czas stanął w miejscu. Te same pola, te same słone mokradła, te same rybitwy na niebie, czajki na żywopłotach, te same domy. I ta sama cisza.

Uwielbiałam to miejsce! Jako nastolatka, dziewczyna, młoda kobieta. Odnalazłam stare uczucia, choć spowijał je woal dwudziestu trzech lat nieobecności. Rzadka dwudziestotrzyletnia mgła kryjąca niepewne wspomnienie szczęścia. I słabe, dalekie echo bólu, gdy przypomniałam sobie powód, dla którego zdecydowałam się uciec z Poel. Miałam czterdzieści jeden lat i spędziłam więcej czasu z dala od Kaltenhusen niż w rodzinnym domu.

Dlaczego cztery miesiące temu przyjechałam na Poel? Pamiętałam jedynie, że wcześniej pracowałam w Normandii nad jakimś cyklem fotograficznym. W maju kwitły jabłonie, z których owoców wytwarza się słynny cydr i jeszcze słynniejszy calvados. Byłam w pobliżu kredowych skał Étretat. Ten obraz wciąż stał mi przed oczami: błękit morza, biel skał, pośród nich kąpielisko... i nagle *Morning Has Broken* Cata Stevensa, melodia, która od lat służyła mi za dzwonek komórki. W tym momencie urywa się nić wspomnienia, której końca do tej pory nie udało mi się odnaleźć.

Podczas wypadku wraz z moją pamięcią krótkotrwałą uległa zniszczeniu również moja komórka, co nie tylko uniemożliwiło mi wyśledzenie osoby, która wtedy do mnie dzwoniła, ale też stawiało mnie przed całkiem praktycznym problemem. Sabina, moja starsza o sześć lat siostra, mieszkała w Berlinie i najwyraźniej również przyjechała na Poel dopiero w maju. W przeciwieństwie do mnie Sabina zawsze darzyła naszą rodzinną wyspę zapiekłą nienawiścią.

Nigdy się dobrze nie rozumialiśmy i trudno mi sobie wyobrazić, żeby powodem naszego przyjazdu na wyspę było zwykłe rodzinne spotkanie. Wiem, że na Poel spędziłam cały dzień – to akurat udało mi się bez trudu sprawdzić. Gdzie jednak się zatrzymałam? Do kogo dzwoniłam? Nie miałam żadnych danych, żadnego punktu zaczepienia.

Sięgnęłam po swój nowy smartfon, żeby poszukać w Internecie telefonów kilkorga znajomych mieszkańców Kaltenhusen, ale okazało się, że to wcale nie takie łatwe. Najpierw wpisałam Morgenroth, nazwisko Juliana, ponieważ z nim miałam najlepszy kontakt. Zresztą nie tylko dlatego. Julian był moją pierwszą miłością i chociaż nasz związek nie przetrwał roku, i skończył się dość smutno, to właśnie z nim najbardziej chciałabym się zobaczyć. Niestety: zero wyników. Podobnie w przypadku Petersenów, Harry’ego i Margrethe. Nic. Mike Nickel – to samo. Z początku myślałam, że wszyscy znajomi wyprowadzili się z wyspy. Dopiero później dowiedziałam się, że Margrethe i jej brat nie mają telefonu stacjonarnego, tylko komórki, a numer Mike’a jest zastrzeżony. Nazwisko Morgenroth istotnie zniknęło z Poel, a stary Balthus, ojciec Jacqueline, w ogóle nie miał telefonu.

Nie mam pojęcia, dlaczego Pierre’a zaczęłam szukać dopiero na końcu. Jasne, ktoś musiał być ostatni, ale czułam, że to nie jest przypadek. Może wyszło tak dlatego, że spośród wszystkich członków naszej paczki to właśnie z nim utrzymywałam najluźniejsze kontakty. Pierre zawsze był bardzo cichy, biernie szedł za innymi i nigdy nie przejmował inicjatywy.

Szybko znalazłam jego telefon. Prawdę mówiąc, wpis widniejący w wykazie numerów wprowadził mnie w niemałe zdumienie: „Dr n. med. Pierre Feldt, lekarz ogólny, pediatra”. W życiu nie przypuszczałabym, że Pierre skończy studia. W dawnych czasach Margrethe zwykła go pogardliwie nazywać „ślicznym Pierre’em”, bo wszystkim wokół się wydawało, że jedyną cechą, która wyróżnia go z tłumu, jest nieprzeciętna uroda. Nie wyobrażałam sobie Pierre’a w lekarskim kitlu. Mimo to uspokajała mnie myśl, że udało mi się odnaleźć chociaż jednego ze starych przyjaciół. Miałam nadzieję, że Pierre odpowie na dręczące mnie pytania i wątpliwości.

Zadzwoiłam do gabinetu i zapytałam asystentkę, kiedy doktor Feldt kończy pracę.

– Czy dobrze zrozumiałam? Nazywa się pani Mahler? Lea Mahler? Pan doktor z radością się z panią spotka. Tak, na pewno. Zatem do zobaczenia.

Fakt, że kogoś może ucieszyć mój widok, napełnił mnie wręcz dziecięcą euforią. Zanim jeszcze spotkałam się z Pierre'em, wiedziałam, że się go emocjonalnie uczepię. Potrzebowałam kogoś, na kim mogłabym się oprzeć, kto wziąłby mnie pod rękę i poprowadził przez spowity w kompletnej ciemności labirynt wspomnień. Kto oszczędziłby mi przykrego zderzenia ze ścianą, kto wskazałby mi pola minowe, które z pewnością na mnie czyhały. Zresztą nie tylko ja miałam pytania. Wiedziałam, że również inni będą mieć wiele pytań do mnie – pytań, na które nie umiałam odpowiedzieć. Kto, jeśli nie lekarz, potrafiłby mnie skuteczniej ochronić przez wygórowanymi oczekiwaniami, a może nawet potencjalnymi wyrzutami i oskarżeniami?

Kto wie, gdyby nie Pierre, być może pojechałabym wtedy na najbliższe lotnisko i wsiadłabym do pierwszego samolotu do Buenos Aires.



Wdali szumiało morze. Harry siedział w oknie zrujnowanego klasztoru z plecami opartymi wygodnie o mur i nogami na gzymsie, patrząc beczynn timer na obłoki sunące pospiesznie nad skąpanymi w słońcu polami. Od czasu do czasu powoli, jakby w zwolnionym tempie, zbliżał dłoń do ust i zaciągał się papierosem. Wystarczało mu pięć pociągnięć, by wypalić tytoń do samego filtra, za to każde z nich było tak łapczywe, jakby to miała być ostatnia dawka nikotyny w jego życiu. Potem skrupulatnie gasił niedopałek, chował go do małego pudełeczka, które nosił w kieszeni kurtki, i znów sięgał do paczki. I tak przez godzinę, czasem dłużej. Nigdy nie patrzył na zegarek. Tutaj, w Pałacu, czas nie miał znaczenia. Nigdy. W dzieciństwie Harry wracał ze szkoły, odrabiał lekcje i zaraz ruszał

rowerem w kierunku ruin, by z niecierpliwością czekać na przyjaciół. Bywało, że to tu pisał zadania domowe.

Teraz jednak to się zmieniło. Dziś Harry byłby zawiedziony, gdyby ktoś zmałował spokój panujący w ruinach. Spokój, w którym szukał wewnętrznego ukojenia. Na szczęście takie sytuacje prawie się nie zdarzały. Po pierwsze o tej budowli nie wspominały przewodniki turystyczne, a po drugie leżała ona z dala od głównej drogi i prowadziła do niej jedynie wyboista polna ścieżka. Kilka razy zdarzyło się, że na którymś z dziedzińców koczowała jakaś grupka młodzieży, paląc trawkę i pokrywając ściany kiepskimi graffiti. Harry zawsze uprzątał ślady ich obecności. Tak długo traktował malunki ługiem, aż zostawały po nich jedynie blade cienie, tak jakby zostały wchłonięte przez kilkusetletnie mury.

Nagle Harry poczuł niepokój. Wciąż nie ruszając się z miejsca, napiął mięśnie, a jego oczy uważnie przeczeswały utkany z mgieł welon okrywający łąki, ową rozmytą mieszankę szarości i zieleni powoli zlewającą się z mrokiem.

Nic. Tylko czarne wrony krążyły nad polami, a nieco dalej biali padlinożercy: mewy. Mimo to czuł, że ktoś zbliża się ścieżką.

W końcu z mgły wyłoniła się postać, mężczyzna. Miał na sobie jasny trenz, ręce wcisnął w kieszenie płaszcza. Choć był jeszcze dosyć daleko, Harry natychmiast go poznał. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu, dłonie zrobiły się wilgotne. Papieros wyślizgnął mu się spomiędzy palców i spadł na ziemię.

Harry zsunął się z gzymsu. Nie było to świadome działanie, tak się po prostu stało. W jego głowie mimowolnie przesuwał się ciąg obrazów. Wiedział, co się za chwilę wydarzy, i wiedział, że to nieuniknione. Nie był reżyserem tego filmu, a jedynie aktorem. Powoli podszedł do stojącego opodal starego forda i usiadł za kierownicą. Warkot silnika przypominał terkotanie traktora, kilka razy wydawało się, że za chwilę zgaśnie, lecz za każdym razem odzyskiwał wigor.

Nie odrywając oczu od mężczyzny, Harry położył prawą dłoń na dźwigni zmiany biegów i wcisnął sprzęgło. Mike był niespełna pięćdziesiąt metrów od niego. Harry mógł już rozpoznać rysy twarzy, małe, świdrujące oczy i usta ułożone w mimowolnym uśmiechu. Mike

szedł pewnie i władczo, krokiem znamionującym człowieka sukcesu.

Harry nadepnął prawą nogą na pedał gazu. Ford zawył, naprężył się, ale nie ruszył z miejsca. Od tej chwili film wyświetlany w głowie Harry'ego zaczynał się rozmijać z rzeczywistością. Poirytowany opuścił wzrok. Nie zwolnił ręcznego hamulca. Jego ręka drżała, kiedy chwycił dźwignię i ją opuścił. Kropla potu spłynęła mu między brwiami na nos. Harry wydał z siebie głębokie westchnienie i w tym samym momencie ponownie nacisnął gaz. Tym razem wóz wystrzelił jak z procy i popędził prosto na Mike'a. Harry zamknął oczy.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Z przodu rozległo się uderzenie, potem coś szurnęło po dachu i w końcu nastąpiło głucho łupnięcie, tym razem z tyłu.

Harry z całej siły wcisnął hamulec. Silnik zaterkotał, zakrztusił się.

Musiała upłynąć minuta, nim Harry zdołał się ocknąć i wyjąć kluczyki. A potem następna, nim drżącą dłonią zapalił papierosa.

Z tej samej zielonoszarej mgły, z której wychynął Mike, wyłoniło się dwóch nastolatków. Szli obok siebie, pchając rowery. Byli mniej więcej tego samego wzrostu, przy czym jeden miał włosy czarne, drugi zaś kasztanowe. Obaj nosili dzinsy, sportowe buty i bluzy. Mogli mieć jakieś osiemnaście, dwadzieścia lat.

Harry wysiadł. Żaden z chłopaków nawet na niego nie spojrzął. Zajęci rozmową minęli go obojętnie, jakby był powietrzem. Jeszcze chwila i zobaczą leżącego na drodze potrąconego mężczyznę. Lecz na drodze nie było ciała. Nie było zwłok, nikt nie jęczał z bólu. Była tylko pusta droga. Po lewej i po prawej stronie puste łąki, niemal bezkresne. Widać było jedynie wyraźny odcisk opon i ostry ślad hamowania.

Harry patrzył, jak chłopcy stawiają rowery przed wejściem do ruin i znikają w Pałacu. Dopiero wtedy ruszył ich śladem. Wkrótce ich odnalazł. Stali oparci o mur. W mroku można by odnieść wrażenie, jakby zlali się w jedno ze ścianą, jakby stanowili prastary ornament, rozmyty jak usuwane przez Harry'ego graffiti. Jeden z nich miał jego twarz, drugi – twarz Mike'a.

Była wiosna 1990 roku, wspólnie snuli plany na przyszłość.

Harry wydał z siebie potworny krzyk i puścił się biegiem do auta.



„Wygląda jak ukrzyżowany Jezus” – pomyślał Pierre, siedząc w swym gabinecie naprzeciwko mniej więcej równego mu wiekiem mężczyzny: cienkie, sięgające do ramion włosy, strapione oblicze, sześciodniowa rudoblond broda... Ilekroć spotykał się z Harrym, jego myśli mimowolnie krążyły wokół męczenników, greckich tragedii i śmierci. A potem zawsze przypominał sobie o strzykawce i maleńkiej ampułce przezroczystej cieczy, którą od lat trzymał na podorędziu w jednej z szuflad.

– Mo-ogę z-zapalić?

Pierre otworzył okno i do środka napłynęło chłodne powietrze. Zwykle nie pozwalał nikomu palić w gabinecie, ale Harry wyglądał naprawdę kiepsko – co skądinąd w przychodni lekarskiej wcale nie jest takie znów oczywiste. Harry opowiedział właśnie o tym, co mu się przed godziną przytrafiło w ruinach klasztoru, i wyglądał teraz jak ktoś, kto dopiero co opuścił ósmy krąg piekła. Chociaż nie – on wcale go nie opuścił. Zstąpił do ulepionej własnoręcznie otchłani i wciąż w niej tkwił. Jąkanie, na które cierpiał od urodzenia, dawało się we znaki bardziej niż zwykle.

– Uspokój się – powiedział Pierre. – Nie potrąciłeś Mike’a. Dzwonił do mnie pół godziny temu i...

– Po-o co?

– Wybacz, ale to sprawa między lekarzem a pacjentem.

– Mam na-adzieję, że ma-a dzumę.

– A ja mam nadzieję, że nie, w przeciwnym wypadku za trzy dni wszyscy zachorujemy. Powiedziałem to tylko po to, żebyś nie myślał, że...

– Da-aj spo-okój, prze-ecież nie jestem głu-upi. Wi-iem, że t-to była z-zjawą – wyjąkał Harry.

Pierre nie odpowiedział.

Jego zdaniem agresja Harry’ego była zupełnie niegroźna. Harry był niczym dmuchany gumowy potwór. Za parę minut zejdzie z niego powietrze i oklapnie. W gruncie rzeczy był sympatycznym gościem, tyle że od dwudziestu lat bez przerwy miał zły humor. Mieszkańcy

wyspy do dawna nazywali go „Don Kichotem de La Poel”. Od dwudziestu lat – a raczej siedmiu tysięcy dni – toczył morderczą walkę z Mikiem. Głównie z nim. Próbował uniemożliwić Mike’owi budowę zakładu przetwórstwa rybnego i chłodni, udaremnić forsowaną przez dawnego przyjaciela rozbudowę przystani, zmniejszenie wydatków na ochronę środowiska, rozbudowę centrum logistycznego... W każdej z tych spraw Harry szukał sojuszników – a to ekologów, a to rolników, a to znów właścicieli hoteli i pensjonatów. Kilka lat temu zwierzył się Pierre’owi, że nie ma dnia, żeby nie myślał o swym największym wrogu, który kiedyś był jego najlepszym kumplem.

Wszystkie bitwy przegrał. Wszystkie, bez wyjątku, i drogo za te porażki zapłacił. I dosłownie, bo niezliczone procesy pochłonęły bająnskie sumy, i w przenośni, bo z tego powodu rozpadły się również dwa małżeństwa Harry’ego. Ponieważ w młodości zaciągnął kilka sporych pożyczek, które wraz z odsetkami będzie musiał zapewne spłacać do końca swych dni, był chronicznym bankrutem. Również w pracy nie wiodło mu się najlepiej. Siedem czy osiem razy zmieniał zawód. Najpierw był rybakim, jak ojciec, który zginął na morzu, gdy Harry był jeszcze w kołysce, potem pracował jako ogrodnik, jako mechanik naprawiał traktory, dorabiał jako stajenny, magazynier, robotnik leśny. Ostatnio zatrudnił się w wismarskiej gazecie z ogłoszeniami, gdzie zajmował się najrozmaitszymi sprawami – od drobnych napraw w siedzibie redakcji, aż po pisanie krótkich artykułików z życia regionu, co w zasadzie pokrywało się z zakresem obowiązków całego trzyosobowego zespołu. Poza tym od dłuższego czasu pełnił na Poel obowiązki grabarza.

– Nie p-powiedziałem ci je-eszcze wszy-yst-kiego – kontynuował Harry. – Ki-iedy go-o potra-ciłem, minęło mnie dwóch chło-opaków. P-p-p-poszli do P-pa-łacu. To-o byliśmy my, M-mike i ja, k-kiedy mi-ieliśmy p-po dzi-dzi-i-ewięt-naście lat. T-tamtego dnia p-przekonał mnie, że je-eszcze przed zje-ednoczeniem możemy sprze-edawać zachodnie u-ubezpieczenia. Byliśmy w Pa-a-łacu i...

– Wtedy powiedział ci, że na rybach nie da się zrobić majątku – wszedł przyjacielowi w słowo Pierre. – I że mur nie po to upadł, żebyśmy mogli kupić, czego dusza zapagnie, a w praktyce nie mieli na

nic pieniędzy. Dlatego wspomniał o ubezpieczeniach, trzydniowych kursach strategii inwestycyjnych i technikach sprzedaży...

– Skąd...

– Ja też tam byłem.

– Na-aprawdę? Ni-ie pamiętam. Sło-owo daję. Ale t-to całkiem mo-ożliwe.

W młodości Pierre przywykł do tego, że ludzie rzadko zauważają jego obecność. Na czele ich paczki stał potężnie zbudowany Mike, Pierre zaś zajmował ostatnie miejsce w hierarchii, za dziewczynami i wiecznie zamyślonym Julianem. Drugi w hierarchii był Harry – tylko dlatego, że był najlepszym kumplem Mike’a. Potem były Margrethe i Lea, ponieważ Mike wobec pierwszej czuł respekt, drugą zaś strasznie kochał. Czarująca Jacqueline i Julian, który umiał grać na gitarze, stali w przedostatnim szeregu. W tamtych czasach Pierre nie mógł się pochwalić niczym szczególnym. Zwykle nie otwierał nawet ust, a fakt, iż dorośli zachwycali się jego wyjątkową urodą, sprawiał, że dodatkowo tracił w oczach Mike’a – a tym samym w oczach Harry’ego. Harry bowiem we wszystkim naśladował Mike’a. Kiedy Mike ignorował Pierre’a, również Harry nie zwracał na niego uwagi, a kiedy Mike się z nim drażnił, Harry stał obok, chichocząc.

Teraz, przeszło dwadzieścia lat później, Pierre nie czerpał bynajmniej satysfakcji z tego, że Harry, który w dzieciństwie i młodości nie chciał się uniezależnić od swego najlepszego kumpla, dziś nie jest w stanie uwolnić się od zaprzysięgłego wroga.

– Tak dalej być nie może – odezwał się w końcu, przedzierzgnąwszy się na powrót w lekarza, i sięgnął po urzędowy formularz. – Wyślę cię na specjalne leczenie.

– O-oszalałeś?! – wykrzyknął Harry.

Pierre się uśmiechnął. I to mówi ktoś, kto właśnie potracił ducha!

– Potrzebujesz pilnie pomocy psychoterapeuty. Przyda ci się też trochę dystansu.

– Wy-ykluczone, ża-a-ża-adnych ps-sychiatrów.

– Posłuchaj, Harry! Masz urojenia. Wyobrażasz sobie, że zabijasz ludzi, i to nie po raz pierwszy. Ile razy mówiłem ci, żebyś omijał ruiny z daleka...?

- Pa-pa-pa-pa-pałac – poprawił Harry.
- ...a ty wciąż tam jeździsz, niemal codziennie.
- Co-odziennie – znowu skorygował go Harry.
- Natręctwo jest poważną chorobą.
- Moja dusza zna-ajduje tam u-ukojenie – odparł Harry, popadając w poetyckie tony, a jego oczy zalśniły od łez.

Kiedy Harry był w takim stanie, Pierre'owi miękło serce. Czuł się tak, jakby miał komuś powiedzieć, że musi się pożegnać z najbliższą istotą – człowiekiem lub ukochanym psem – ponieważ jej obecność bardzo mu szkodzi. Fantazje, w których Mike padał ofiarą Harry'ego, stawały się coraz częstsze. Pierre uważał, że zafiksowanie Harry'ego na ruinach klasztoru wzmagало ten proces, a być może stanowiło nawet jego przyczynę. Niestety, w oczach jego pacjenta taka myśl była nieomal herezją.

– A t-ty ni-ie masz mie-ejsca, gdzie mo-ożesz by-by-być sam? Pra-awdziwego domu, gdzie mo-ożesz ma-arzyć i...

– Mnie nie zdarza się marzyć o tym, że kogoś zabijam.

Wyraz twarzy Harry'ego zmienił się. W jego dopiero co łagodnych oczach pojawił się złośliwy błysk.

– Wie-em, wiem. Ty marzysz ty-ylko o-o tym, żeby prze-elecieć ko-olejną p-panienkę, a twój dom jest tam, gdzie... gdzie... gdzie tw-wój wacek.

– Dobra, dość tego. Na dzisiaj wystarczy.

Twarz Harry'ego znów się zmieniła, tym razem przybierając błagalny wyraz. Te wahania nastrojów i mordercze fantazje martwiły Pierre'a. Pacjent nie chciał go słuchać, ale ponieważ takie fantazje wedle prawa nie były przestępstwem i nie szkodziły nikomu oprócz Harry'ego, Pierre miał związane ręce. Obowiązywała go tajemnica lekarska i jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to dalej próbować przekonać Harry'ego.

– Ni-ie wyrzucaj mnie. – W głosie Harry'ego zabrzmiała błagalna nuta. – O-oprócz ciebie ni-ie mam nikogo, z kim mó-ógłbym po-ogadać. O-odkąd...

– Odkąd co?

– Ni-ieważne.

– Odkąd Sabina...

– Nieważne!

– Myślałem, że chcesz porozmawiać.

Usta Harry'ego zacisnęły się w kreskę.

– Ale ni-ie o tym.

– Jak chcesz – westchnął Pierre. – Ale w ten sposób niczego nie osiągniemy. W swojej fantazji rozszarpałeś właśnie Mike'a na strzępy. Psychozy nie leczy się rozsądnymi argumentami, w przeciwnym wypadku moglibyśmy w jeden dzień zamknąć wszystkie kliniki psychiatryczne.

– Mo-ądrala! – Harry poderwał się tak gwałtownie, że aż wywrócił krzesło. – Ni-ie jesteś lepszy ni-iż inni, ni-ic nie ro-ozumiesz. Masz gdzieś P-p-pałac, wy-yspę. Mike buduje fa-abryki, ma-agazyny, parkingi dla cie-ężarówek... Te-en nienasycony chci-iwiec po-owoli niszczy na-aszą wyspę. Zdra-adził wszystko, co ki-iedys było dla nas świę-święte. A teraz stary Ba-althus... on na-aprawdę chce zbu-urzyć P-pałac i wybudować tam do-om wcza-wczasowy. Mówisz, że po-owinieniem na-abrać dystansu, ale tak na-naprawdę chcesz, żebym skapitulował. Jakie to dla ciebie t-typowe, P-pierre. Je-esteś tchórzem, zwy-ykłą o-ofermą. Za-awsze taki b-byłeś...

W ostatnich latach Pierre wiele razy wysłuchiwał podobnych wynurzeń. Wydawało mu się czymś idiotycznym, że po przeszło dwudziestu latach wciąż można żywić tak zapiekłą nienawiść i toczyć śmiertelny bój.

Harry zacisnął pięści, lecz Pierre pozostał niewzruszony. Spokojnie wypisał receptę.

– To środek uspokajający, mam nadzieję, że ci pomoże. Weźmiesz go albo nie, decyzja należy do ciebie.

– Ni-ie mam pi-ienędzy na leki – odparł Harry półgłosem, opuszczając pięści i wycierając o spodnie wilgotne dłonie.

Pierre wstał, podszedł do przeszklonej szafki, wyjął z niej pudełeczko i podał je Harry'emu.

– Trzy razy dziennie po jednej tabletkę, do posiłku. Niestety, nie pomagają na urojenia.

Kiedy Harry był już w połowie drogi do drzwi, Pierre, uzupełniając

w komputerze kartotekę pacjenta, rzucił mimochodem:

– Byłbym zapomniiał, dzwoniła Lea. Doszła do siebie i jutro wraca na wyspę.

Harry zamarł z klamką w dłoni. Minęła sekunda, trzy, pięć, dziesięć...

– Dlaczego mi o-o tym mó-ówisz?

Pierre podniósł oczy.

– Po prostu, pomyślałem, że lepiej cię przygotować.



Mike nieprzypadkowo umówił wizytę u Pierre'a akurat na ten dzień, w którym jego informator w schwerińskiej klinice uniwersyteckiej zawiadomił go o wypisie Lei. Rzadko i niechętnie zachodził do gabinetu Pierre'a, głównie dlatego, że nie cierpiał, by ktoś, kim w młodości pomiatał, miał teraz nad nim przewagę, choćby na płaszczyźnie medycznej. Fakt, że Pierre mógł znać jakieś intymne szczegóły na temat Mike'a i jego ciała, stanowił dla tego ostatniego okoliczność na tyle odstręczającą, że demonstracyjnie ignorował rady i napomnienia lekarza.

Kiedy badanie dobiegło końca, Mike, przybierając na pozór obojętny ton, spytał:

– No i? Grozi mi zawał?

– Jak każdemu, kto ma serce.

– Czyli mnie, jak rozumiem, nie grozi?

– Możesz się ubrać, skończyliśmy.

Zapinając guziki koszuli, Mike bacznie obserwował Pierre'a, który tymczasem z uwagą studiował EKG. W rzeczywistości Mike'a kompletnie nie interesowały wyniki badania i nie miał wątpliwości, że Pierre jest tego świadom. Mimo to obaj zachowywali się tak, jakby główną przyczyną dzisiejszego spotkania był stan zdrowia Mike'a.

W sumie nie było w tym nic dziwnego. Przez tyle lat znajomości – członkowie ich paczki znali się właściwie od urodzenia – przyzwyczaili się do tego, że żaden z nich nigdy nie mówi niczego wprost. Kiedy ludzie znają się tak jak oni, kiedy mieszkają po

sąsiedzku i tyle o sobie nawzajem wiedzą, istnieją tylko dwa sposoby, by sobie poradzić z nieznośnym brakiem intymności: absolutna szczerłość lub maskarada. Z biegiem czasu górę wziął ten drugi model kontaktów i od tamtej pory żaden z nich go nie kwestionował. Z każdym rokiem ich osobliwa relacja manifestowała się z coraz to większą siłą, utrzymując ich przyjaźń – mimo pewnego pierwiastka rywalizacji – we względnej równowadze.

A teraz Lea mogła tę równowagę zachwiać.

– Dzwoniła do ciebie? – spytał Mike wciąż obojętnym tonem. Nie miał wątpliwości, że Pierre wie, o kim mowa.

– To było do przewidzenia.

– Być może. Nie sądziłem jednak, że postanowi wrócić. Nie zachęcałeś jej chyba? Przecież uzgodniliśmy, że...

Pierre niedbale rzucił elektrokardiogram na biurko i spojrzał Mike'owi prosto w oczy.

– Przez te cztery miesiące nie odwiedziłem jej ani razu, chociaż nie było dnia, żebym o tym nie myślał – powiedział, z trudem hamując gniew. – Nie dzwoniłem do niej, nie wysłałem kartki ani kwiatów... Nie mam nic wspólnego z tym, że postanowiła wrócić na wyspę, ale powiem ci coś: cieszę się, że podjęła taką decyzję.

Mike się skrzywił.

– Ohoho, nasz mały Pierre okropnie się zdenerwował... Żeby jeszcze miał jakiś powód. Przecież zadałem tylko niewinne pytanie.

Pierre wziął głęboki oddech.

– Odpowiedź brzmi: nie.

– No widzisz, i po co te piski?

Nagle zdenerwowanie Pierre'a, który zazwyczaj nie podnosił głosu, a już na pewno nie na Mike'a, potwierdzało najgorsze obawy: Lea nie zdążyła jeszcze przyjechać na wyspę, a już siała zamęt. Chociaż Mike bardzo ją lubił, wolałby, żeby wróciła do Argentyny. Niestety, w tej sprawie nie miał nic do gadania.

– Z tego, co słyszałem, Lea wciąż cierpi na amnezję – rzucił mimochodem. – Nie patrz tak, nigdy nie miałem trudności ze zdobywaniem interesujących mnie informacji. Pielęgniarkom tak kiepsko płacą...

Mike patrzył, jak Pierre z irytacją przesuwa leżące na biurku przedmioty, lecz nastrój rozmówcy był mu serdecznie obojętny. Miał inne zmartwienia. Gdyby Lea nie odzyskała pamięci, sprawy byłyby dużo prostsze. W przeciwnym wypadku...

Kiedy Mike wstał, by wpuścić koszulę w spodnie, Pierre spostrzegł, że przyjaciel lekko się chwieje.

– Ile whisky już dziś wypiełeś?

– Nie mam pojęcia. Trzy, może cztery.

– Szklanki czy litry?

– Jesteś lekarzem czy kelnerem?

– Raczej złym prorokiem. Pewnego dnia będziesz musiał zapłacić rachunek. I nie ja go wystawię.

– A kto?

– Twoje łwie serce.

Mike zaśmiał się i ruszył ku drzwiom gabinetu.

– Lubię sarkazm, Pierre. Słabi ludzie sięgają po niego, bo pozwala im poczuć się pewniej.



Gabinet lekarski Pierre'a mieścił się w Kirchdorfie – największej, bo liczącej dwa tysiące dwustu mieszkańców osadzie Poel – i wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażamy sobie wiejską przychodnię: wąski korytarz, ciasna poczekalnia, sześć krzeseł, troje emerytów, dwie reprodukcje *Niebieskich koni* Franza Marca i zapracowana asystentka, która konspiracyjnym szeptem obiecała mi, że „przemyci” mnie poza kolejką, co też istotnie uczyniła.

– Lea! Nareszcie.

Gdy tylko przekroczyłam próg gabinetu, Pierre wstał zza biurka, wyszedł mi naprzeciw i serdecznie mnie uściskał. W pierwszej chwili odruchowo odwzajemniłam uścisk, ale chyba spojrzałam na niego skonsternowana, bo szybko rzucił:

– Przepraszam, rozmawiałem telefonicznie z zaprzyjaźnionym lekarzem z kliniki rehabilitacyjnej i wiem, że wciąż nie odzyskałaś pamięci, ale kiedy cię zobaczyłem, zupełnie o tym zapomniałem.

Naprawdę nie pamiętasz swojej pierwszej wizyty na wyspie? Nic a nic?

Bezradnie spojrzałam mu w oczy.

– Rozumiem – odrzekł Pierre. – To znaczy, że w zasadzie jestem dla ciebie obcym człowiekiem. Ostatni raz widzieliśmy się w dziewięćdziesiątym roku. I teraz nagle rzucam ci się na szyję...

Od razu poczułam do niego sympatię. Zapewne również dlatego, że był szalenie przystojny. Gęste czarne włosy z przedziałkiem, ciemne oczy, sylwetka sportowca. Miał ujmujący uśmiech i promieniował młodością. Jedynym śladem dawnej nieśmiałości były dłonie wciśnięte w kieszenie spodni, gdy mnie zaczął przeproszać za nazbyt wylewne powitanie.

– Wyglądasz wspaniale – powiedział.

– Och, dziękuję – odrzekłam, niepewnie spoglądając na swoje ubranie. Rano zdecydowałam się na ciuchy w sportowym stylu, jakbym się wybierała na fotograficzne safari. Czułam, że taki styl pasuje do Poel. Jedyny dysonans stanowiły zbyt eleganckie buty.

Pierre się uśmiechnął.

– Miałem na myśli twoją twarz. Chirurdzy odwalili kawał dobrej roboty. Prawie nie widać blizn. Byłoby szkoda, gdybyś nagle przestała wyglądać jak Audrey Hepburn.

– Ja? Audrey Hepburn?

– Zawsze uważałem, że jesteś do niej podobna. Ten sam uśmiech, umiejętność natychmiastowego przejścia od radości do smutku, liryczne usposobienie, gesty... Wcielenie Holly Golightly.

– Mój Boże, nigdy mi tego nie powiedziałeś.

Pierre znów wcisnął dłonie w kieszenie spodni. Postanowiłam przyjść mu z pomocą, prawdę mówiąc nie do końca bezinteresownie.

– Zamierzam zostać tu kilka dni. Moja terapeutka uważa, że to dobry pomysł – skłamałam.

Pierre skinął z namysłem głową.

– Pokój gościnny jest do twojej dyspozycji.

– Nie to miałam na myśli. Ja...

– Żadnych wymówek. Byłoby mi naprawdę miło...

– No cóż... Dziękuję. O której kończysz? – rzuciłam nagle.

Okazało się, że nieprędko. Pierre zaproponował, byśmy spotkali się za dwie godziny u Petersenów.

– Margrethe wciąż mieszka w Kaltenhusen? – spytałam zdziwiona.

– Wszyscy tutaj mieszkamy – odparł Pierre, po czym dodał: – No, prawie wszyscy.

– Nie wiem, czy ucieszą się na mój widok.

Z uwagą wsłuchiwałam się w głos Pierre’a i wpatrywałam w brwi, kąciaki ust i zmarszczki na czole, ale nie spostrzegłam niczego, co wzbudziłoby we mnie nieufność.

– Ależ oczywiście. Skąd ta wątpliwość?

Spacerowym tempem pojechałam do Kaltenhusen, którego nieliczne zabudowania zajmowały powierzchnię ponad kilometra kwadratowego, jako że poszczególne gospodarstwa były od siebie oddzielone rozległymi łąkami. Ze zdziwieniem zauważyłam, że trzy z sześciu domów zostały niedawno odnowione, z czego jeden przeszedł gruntowną modernizację i rozbudowę. Pozostałe trzy domostwa, których szarobure tynki pochodziły jeszcze z czasów NRD, mocno podupadły. Przed jednym z nich zatrzymałam się i wysiadłam. Dom należał do *mojej* rodziny.

Budynek, w którym się wychowałam, najlepsze dni miał dawno za sobą. Elewacja się łuszczyła, okna trzymały się na słowo honoru, rynna odstawała od ściany, ogród był kompletnie zapuszczony, a płot zarosnięty wyką... Wśród cierni i zielska wałała się pordzewiała skrzynka na listy, na której wypisano moje nazwisko.

Wiedziałam, że Sabina już kilkanaście lat temu zleciła pośrednikowi sprzedaż nieruchomości, ale do tej pory nic się w tej sprawie nie ruszyło. Większość ludzi łaknących spokoju i ciszy szuka ich tylko przez trzy tygodnie w roku, a ktoś, kto chciałby kupić ten dom, musiałby tu pracować i mieszkać na stałe. Kaltenhusen było niczym wysepka na wyspie, łupinka na zielonym oceanie łąk. Ktoś, kto nie umiałby się dogadać z sąsiadami...

Wzdrygnęłam się. Za szeroką bramą sąsiedniego gospodarstwa odezwała się krajzega. Ostry, nieprzyjemny dźwięk przypominał ludzki krzyk.

Zabrałam z samochodu torebkę i ruszyłam w stronę położonego opodal domu Petersenów. Byłam w niewiele lepszym stanie niż nasz.

Nacisnęłam dzwonek, a kiedy umilkł, zza brązowych, nadpróchniałych nieco drewnianych drzwi odezwał się opryskliwy głos.

– Czego pani chce? Niczego nie kupię, a już na pewno nie od pani.

Niski głos Margrethe wywołał we mnie lawinę wspomnień. Już w dzieciństwie brzmiał ponuro i trochę męsko. W pierwszej chwili chciałam się przedstawić, lecz nagle naszła mnie ochota na splątanie jej małego psikusa. W ostatnich miesiącach niewiele miałam okazji do żartów, nie pamiętałam nawet, kiedy ostatni raz się śmiałam.

– Przecież nawet mnie pani nie zna – odrzekłam cicho. Byłam pewna, że Margrethe nie rozpozna mojego głosu, a zza zamkniętej bramy nie mogła mnie zobaczyć.

– Nie muszę. Słyszałam stukanie obcasów. Tacy ludzie jak pani dawno już tutaj nie zagląдают. Pewnie chce mi pani wcisnąć miejscówkę w niebie. Albo odkurzacz. Dla takich jak pani to w sumie to samo. A może obieca mi pani wieczną młodość albo zaoferuje najnowsze odkrycia kosmetologii? Pewnie pustosząc tropiki, pani firma natrafiła na jakiś cudowny kwiat i teraz dodajecie go do swoich bezwstydnie drogich kremów.

– A gdyby nawet?

– Proszę pani! Niech sobie pani zapamięta raz na zawsze: ja kupuję kremy w dyskoncie, perfumy uważam za mieszankę wielorybiego gówna i szcurzych sików, a kiedy sześć lat temu użyłam kredki do oka, znajomi pytali mnie, czy paliłam opium. Teraz już pani rozumie, co sędzę o kosmetykach. Śmieje się pani? Cieszę się, że zdołałam pani poprawić humor. Szczęśliwej drogi.

– Jak na kogoś, kto ma wycieraczkę z napisem „Welcome”, jest pani niezbyt gościnna – powiedziałam, z trudem tłumiąc śmiech. Dawno się tak nie ubawiłam.

– Dość tego – odparła Margrethe i otworzyła drzwi.

Naprzeciw mnie, wycierając w ścierkę zniszczone dłonie, stała kobieta w średnim wieku. Miała niemal kredową cerę, krótkie, farbowane na brązoworudy kolor włosy i zielone oczy. Jej krępa

sylwetka i lekko poirytowany głos były niczym tabliczka z ostrzeżeniem: „Wchodzisz na własne ryzyko”.

Margrethe stała jak wryta.

– Lea? – wymamrotała, wpatrując się we mnie, jakby zobaczyła upiora.

Usiadłyśmy w kuchni. Kiedyś nasza paczka przesiadywała tu niemal codziennie. Zjadaliśmy się wielkimi kawałkami pieczonego przez Edith Petersen ciasta, popijając je rozpuszczalnym kakao, a matka Margrethe patrzyła na nas z anielskim uśmiechem. Nagle poczułam, że moim największym marzeniem jest pyszna babka z kakao.

Z każdego kąta wyzierały wspomnienia. Staroświecka forma do pieczenia z kutego żelaza, używana przez Edith Petersen od niepamiętnych czasów, wciąż stała na swoim zwykłym miejscu, na kredensie. Obok stała kuchnia gazowa z lat sześćdziesiątych, a na ścianie wisiała reprodukcja kiczowatego obrazu przedstawiającego kuter rybacki na tle zachodzącego słońca. Niewiele się tu zmieniło. Stare deski zniknęły, przykryte brzydką wykładziną z PCW, lecz wciąż wydawały spod niej te same jęśliwe głosy. Monumentalna lodówka z zachodu była chyba pierwszym zakupem, jaki Petersenowie poczynili po zjednoczeniu, ale najwyraźniej od tamtej pory jej nie wymieniono. Z biegiem lat poszarzała i dziś wyglądała identycznie jak jej staromodna poprzedniczka z NRD.

Margrethe postawiła na stole dwa kubki z kawą – ohydną rozpuszczalną lurą, którą wypiałam nieomal duszkiem. Przez okienko nad zlewozmywakiem wpadało do środka niewiele światła, pogłębiając i tak smętny nastrój naszego spotkania. Poprosiłam Margrethe, by potraktowała mój żart z dystansem, ale równie dobrze mogłabym prosić umarłego, by wstał z grobu. Jej kąciki ust nawet nie drgnęły, na twarzy nie pojawił się cień uśmiechu.

– Nie sądziłam, że wrócisz – powiedziała w końcu. – Pierre wspomniał kiedyś, że w wypadku straciłaś pamięć, ale widzę, że nie zapomniałaś o znajomych z prowincji. Cóż, jeśli tylko tak ucierpiałaś w wypadku, to miałaś cholerne szczęście. Naprawdę.

– Prawdę mówiąc, nie wyglądało to tak różowo. Zostało mi kilka blizn.

– A twój głos? Brzmi inaczej niż kiedyś.

– Zmiana fizjologiczna – skłamałam.

– Ten bardziej do ciebie pasuje, tamten był zbyt wysoki. Kiedy się odzywałaś, miało się wrażenie, że czytasz poezję, tyle że piskliwy głosik nie pasował do słów. Mówiłaś jak Pippi Langstrumpf. Słyszałam, że pstrykasz zdjęcia.

– Słucham?

– Podobno zajmujesz się fotografią.

– Tak. Wspominałam ci o tym w maju?

– Wtedy niewiele rozmawialiśmy – odparła Margrethe, a ja nie byłam pewna, czy w jej głosie słychać nutę rozgoryczenia, czy raczej zawodu. A może tylko sobie wmawiałam, że w jej słowach kryje się jakiś podtekst? – Poza tym spędziłaś tu ledwie jedno popołudnie i wieczór.

– Tak, podobno... Niestety, jak wiesz, nic nie pamiętam.

– W takim razie mogę ci opowiedzieć to i owo. Na przykład o sobie. Zresztą niewiele jest do opowiadania. – Margrethe wzruszyła ramionami. – Niestety nie mam dzieci – rzuciła, jakby ten fakt najtrafniej opisywał jej życie. – Za to Harry ma dwojkę... Dwoje dzieci i dwie były żony. Przez alimenty ledwie wiąże koniec z końcem. Mój braciszek jak zwykle dał ciała. Od kilku lat znów mieszka z nami.

– Z nami?

– Mama jest na górze. Sześć czy siedem lat temu miała wylew, od tej pory nie wstaje z łóżka.

– Przykro mi. Zawsze była okazem zdrowia. – Nie powiedziałam tego tylko przez grzeczność. Przed laty Edith Petersen była dla mnie kimś więcej niż tylko matką bliskich przyjaciół. Była raczej jak ulubiona ciocia.

– Od dawna choruje, właściwie odkąd ją wysłali na wcześniejszą emeryturę. Od tej pory bez przerwy coś ją dopada: a to rak, a to wrzody żołądka, a to reumatyzm...

Margrethe umilkła. Jej spojrzenie padło na pusty kubek, który ścisnęłam w dłoniach. Próbowałam znaleźć jakiś temat, który

pozwoiliły nam kontynuować rozmowę. Na próżno. Dwadzieścia trzy lata streściły się w pięciu czy sześciu zdaniach. Tak jakby zamknęła się w nich cała przeszłość i ponura terażniejszość. Senny, rozpadający się dom, kuchnia w szarym świetle wieczoru, czterdziestoletnie rodzeństwo mieszkające z obłożnie chorą matką, lura, która nie zasługiwała na miano kawy. Spokój i cisza, zakłócone jedynie tykaniem kuchennego zegara.

Nie przychodziły mi do głowy żadne słowa pocieszenia, toteż nawet nie próbowałam dodać Margrethe otuchy.

– Powiedz, Margrethe, nie wiesz przypadkiem, po co Sabina i ja przyjechałyśmy w maju na Poel? Nie wydaje mi się, żebyśmy się umówiły na rodzinne wspominki.

– Oj nie! – potwierdziła Margrethe ze śmiechem. – Żyłyście zawsze jak pies z kotem.

– No właśnie.

Sabina i ja przez dwadzieścia trzy lata nie utrzymywałyśmy żadnych kontaktów, nie licząc kartek bożonarodzeniowych, które do siebie wysyłałyśmy – ona regularnie, a ja od czasu do czasu. Poza tym wymieniałyśmy się adresami, to wszystko. Nie odwiedzałyśmy się, nie pisałyśmy maili, przez wszystkie te lata tylko raz rozmawiałyśmy telefonicznie – dwadzieścia lat po moim wyjeździe do Argentyny Sabina zadzwoniła spytać, czy zgadzam się na rezygnację z dzierżawy grobu naszych rodziców. Ponieważ nie miałam obiekcji, rozmowa nie trwała długo.

– Sabina była policjantką – wyjaśniła Margrethe. – Podczas jednej z akcji przestępcy przestrelili jej prawe kolano. Od tamtej pory utykała, więc przeniesiono ją do obyczajówki. Po co tu przyjechała? Nie wiem, zdaje się, że miała się spotkać z pośrednikiem w sprawie sprzedaży domu.

Po śmierci Sabiny wstydziałam się trochę, że właściwie nic o niej nie wiem, że nie mam pojęcia, czym się zajmowała, że była ranna. Na kartkach bożonarodzeniowych nie pisze się takich rzeczy. Margrethe wiedziała o mojej siostrze dużo więcej niż ja.

– Jak długo tu była?

Margrethe zawahała się. Raczej nie dlatego, że potrzebowała czasu

do namysłu. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

– Dwa dni, jeśli dobrze pamiętam.

Zdziwiłam się, że Sabina potrzebowała aż dwóch dni na omówienie kilku formalności z pośrednikiem, nie miałam jednak powodu, by wątpić w słowa Margrethe.

– Lubiałam ją. Była bezpośrednia, szczerą, nie miała much w nosie – powiedziała Margrethe. – Zatrzymała się u nas, w starej suszarni. Dobrze się dogadywałyśmy. Twoja siostra była równą kumpelą.

„Co za niespodziewany zwrot” – pomyślałam. Kiedyś to ja byłam super kumpelą, a Sabiny nie lubił nikt z naszej paczki. Los chciał, że między rokiem siedemdziesiątym pierwszym a siedemdziesiątym trzecim w Kaltenhusen urodziło się po kolei kilkoro dzieci, podczas gdy Sabina, urodzona w sześćdziesiątym szóstym, była sama jak palec. Dwunastolatka nie lubiła się bawić z siedmiolatkami i vice versa. Moja siostra zawsze patrzyła na nas z góry, nazywając nas pogardliwie „dzieciakami”, a przy tym była chyba odrobinę zazdrosna. Wszystkie jej przyjaciółki mieszkały wtedy w Kirchdorfie albo jeszcze dalej i nieczęsto mogła się z nimi spotykać. Tymczasem ja i pozostała szóstka „dzieciaków” z Kaltenhusen tworzyliśmy zżyłą paczkę. Spędzaliśmy razem każdą wolną minutę, najpierw na placu zabaw, a potem w Pałacu.

Margrethe wstała i napełniła czajnik wodą. W jej głowie krążyły chyba podobne myśli, bo w końcu, jakby chcąc je przepędzić, rzuciła:

– À propos, na miejscu klasztoru ma powstać ośrodek wczasowy.

– Słucham?

– Ruiny zostaną zburzone.

– Masz na myśli nasz Pałac?

Margrethe nasypała do kubków ohydnej kawy i zalała ją wrzątkiem.

– Już dawno nie nazywam tak tej kupy kamieni.

– Kiedyś Pałac był dla nas centrum świata – odparłam z lekkim wyrzutem.

– Kiedyś centrum świata był dla nas Bruce Springsteen. A dziś może mnie cmoknąć.

– Ale nasze wspomnienia...

– Wspomnienia nie dadzą mi pieniędzy na prąd, Leo. A pensjonat owszem, jeśli załapię się do sprzątaniam.

Byłam zdruzgotana. Ruiny klasztoru były dla naszej siódemki drugim domem. Ulubionym placem zabaw, naszym własnym królestwem, zaczarowanym ogrodem, który oczyściliśmy z chwastów i urządziliśmy własnymi rękami. Obmyślaliśmy tam psoty, snuliśmy plany, dzieliliśmy radości i smutki. Pałac był sanktuarium naszej przyjaźni.

– Chwileczkę! – zaoponowałam wzburzona. – Przecież ta działka od kilkudziesięciu lat należy do mojej rodziny. Co prawda ziemia leżała odłogiem, ale w NRD nie było żadnych możliwości, więc kto...

– Stary Balthus położył na niej łapę.

Sama nie wiem, co w tych słowach było bardziej szokujące: to, że ktoś położył łapę na mojej działce, czy...

– Stary Balthus? Ojciec Jacqueline? To on jeszcze żyje?

– A jakże! Ma osiemdziesiąt trzy lata.

– Osiemdziesiąt trzy? Już wtedy wyglądał na tyle. Dzisiaj musi mieć ze sto lat. Co on ma wspólnego z moją działką?

– Twierdzi, że należy do niego. Dlatego ją zajął.

– Zajął?! – Parsknęłam śmiechem. – Tak po prostu? Przecież to niezgodne z prawem.

Cała sytuacja wydawała mi się wręcz groteskowa. Jakim prawem stojący nad grobem starzec nagle zgłasza roszczenia do mojej ziemi? Zresztą na wyspie były przecież lepsze miejsca na budowę ośrodka wczasowego.

Może Sabina właśnie dlatego spędziła na Poel aż dwa dni? Może zadzwoniła do mnie, bo potrzebowała mojej pomocy? Właśnie miałam o to zapytać Margrethe, gdy za kuchennym oknem zauważyłam Pierre'a. Postanowiłam zapytać jego.

Nie miałam pojęcia, co sądzić o Margrethe. Z jednej strony mówiła, co jej ślina na język przyniesie, z drugiej jednak miałam wrażenie, że w tej pozornej otwartości kryje się niechęć. A może tylko tak sobie wmawiałam? Moja amnezja coraz bardziej przypominała emocjonalną ślepotę. Tego rodzaju upośledzenie wyostrzało inne zmysły i czyniło mnie nadwrażliwą. Przyłapałam się na tym, że we

wszystkim szukam podtekstów, a przecież wiadomo, że kto szuka, ten znajdzie.

Wspólnie z Margrethe i Pierre'em poszłam na piętro do Edith. Weszłam do jej pokoju z bojaźnią, niczym do zakrystii kościoła. Izba sprawiała wrażenie dość zaniedbanej. Obicia mebli były mocno powycierane, a podwójne łóżko, które kiedyś służyło za łożo małżeńskie, trzeszczało i jęczało przy każdym poruszeniu. Poduszka i kołdra były obleczone na biało, a chorą od stóp po biodra okrywał dodatkowo czerwony włóczkowy pled. Wyglądał tak, jakby Edith sama go zrobiła na drutach, spędzając w łóżku beczynne godziny. Wyobraziłam sobie, jak każdego dnia bez końca wpatruje się w wyciętą z kalendarza i oprawioną w ramki reprodukcję *Słoneczników* van Gogha, zawieszoną na pokrytej tysiącami fiołków tapecie. Pod reprodukcją stał telewizor, tak stary, że chyba pamiętał czasy Waltera Ulbrichta.

Wystrój pokoju pochodził z innej epoki i gdyby obok łóżka nie piętrzyła się sarta kolorowych czasopism ze współczesnymi księżniczkami w szykownych wieczorowych kreacjach, mógłby posłużyć jako sceneria filmu z lat pięćdziesiątych.

Spod kołdry wystawała mała, wychudzona główka oraz cienkie ramiona i szczupłe dłonie. Edith Petersen była właśnie zajęta wycinaniem zdjęć z kolorowych czasopism i wklejaniem ich do albumu. Szwedzcy Bernadotte'owie, brytyjscy Windsorowie, hiszpańscy Burbonowie, duńscy Glücksburgowie – wszyscy zjawili się, by pospołu przydać pokojowi królewskiego blasku. W kwadratowym okienku widać było skrawek nieba, a słońce rzucało tu i ówdzie na podłogę kwadratowe plamy.

Gdy weszliśmy, staruszka podniosła oczy.

– Lea? – odezwała się kruchym jak porcelana głosem i skinąwszy Pierre'owi głową, wyciągnęła do mnie chudą dłoń. – Mała Lea?

– Dzień dobry, pani Petersen. Miło panią widzieć.

Jej dłoń była jak zmięta chusteczka do nosa, biała i pozbawiona życia. Nie odwzajemniła uścisku. Edith w niczym nie przypominała dziarskiej wdowy, którą pamiętałam sprzed lat. Przed oczami stanęła

mi dzielna matka, która samotnie wychowała dwójkę dzieci, pracownica państwowej spółdzielni rolnej, gospodyni domowa zbierająca owoce, gotująca przetwory, pomagająca dzieciom w lekcjach, pieląca warzywnik... Zawsze miała jakieś zajęcie. Nigdy nie słyszałam z jej ust słowa skargi. Dla nas, dzieci z sąsiedztwa, zawsze miała dobre słowo i kawałeczek ciasta, ale wiedziałam, że potrafi być uparta, a doprowadzona do ostateczności nie zapomina języka w gębie. Często wyklócała się ze starym Balthusem, miejscowym funkcjonariuszem partii.

Pierre rozpoczął rutynowe badanie. Edith z godnością przyjmowała wszelkie jego zabiegi.

– Zasłużyłaś na słowo przygany – powiedziała staruszka, zwracając się do mnie w trakcie kontroli ciśnienia. – Wyjechałaś bez pożegnania. Gdzie ty właściwie zniknęłaś?

– Wyjechałam do Argentyny.

– Ach tak... Żartujesz sobie ze starej kobiety. Dlaczego mnie nie odwiedziłaś, kiedy przyjechałaś do wsi parę miesięcy temu?

Stałam z otwartymi ustami. Kiedy człowiek niczego nie pamięta, nie jest też w stanie wymyślić żadnej wymówki. Dlaczego w maju nie odwiedziłam Edith Petersen? W dzieciństwie bardzo ją lubiłam, a jej szorstka serdeczność w połączeniu z niezmordowaną pracowitością zawsze budziły mój podziw. Czasem żałowałam, że nie jest moją prawdziwą cicią.

Margrethe jednym ruchem otworzyła okno, by wpuścić świeże powietrze.

– Podczas wypadku Lea straciła pamięć i niczego nie pamięta. Po prostu nie miała czasu cię odwiedzić. Nie zamęczaj jej pytaniami.

Edith wyglądała tak, jakby Margrethe próbowała jej wyjaśnić teorię względności.

– Ach... – zawahała się, po czym dodała: – Jeśli chodzi o Argentyńczyków, to wiem tylko, że hodują bydło i nie mają króla. Powinnaś była się pożegnać, Leo.

– Ma pani rację, pani Petersen. Ale to był dla mnie trudny czas.

– Co ty mówisz? Trudny czas?

Margrethe uklepała poduszkę matki niczym ciasto na pizzę.

– Nie pamiętasz, mamó? W lecie dziewięćdziesiątego roku rodzice Lei zginęli w wypadku.

Edith zaczęła skubać dolną wargę. Ze wszystkich sił próbowała sobie przypomnieć wydarzenia sprzed lat – bez powodzenia.

– Tyle tu było wypadków, że wszystko już mi się myli.

Margrethe rzuciła matce, a potem mnie znaczące spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Nie tobie jednej”.

– Tak czy siak – zawołała energicznie Edith – Argentyńczycy powinni mieć króla. Albo jeszcze lepiej: królową. Królowe są lepsze od królów.

– Przekażę im, kiedy wrócę – odrzekłam, na co Pierre, Edith i ja wybuchnęliśmy śmiechem. Czułam głęboką więź z tą kruchą kobietą, której pamięć była równie dziurawa jak moja. W jednej chwili poczułam się w tym staromodnym, podniszczonym pokoju jak w domu.

Tego rodzaju wrażenie zwykle pojawia się w tych miejscach, które wywołują w nas jakieś miłe wspomnienia. W moim przypadku był to placek z kruszonką, smak mdłego kakao, którym częstowała nas Edith, i równie bezbarwny Pierre, który dziś nie miał w sobie nic z dawnego nudziarza. Nawet energiczna Margrethe, której musiałam raz po raz schodzić z drogi, gdy zbierała pocięte przez Edith skrawki gazet, przywoływała wspomnienia beztroskiego dzieciństwa i wspólnych zabaw w gronie przyjaciół. Najszczęśliwszy okres mojego życia.

Nagle poczułam coś na plecach. Nie dotyk, lecz jakby smugę, cień, a może głos dochodzący z bardzo daleka lub przeciwnie – z głębi duszy. Tak czy inaczej, odwróciłam się i moje spojrzenie padło na wiszące na ścianie samotne zdjęcie.

Natychmiast je rozpoznałam. W końcu to ja je zrobiłam dziesiątego listopada 1989 roku. Dzień wcześniej upadł mur berliński. Mike, Pierre, Harry, Margrethe, Jacqueline, Julian i ja spotkaliśmy się w naszym Pałacu, w ruinach klasztoru. Było późne popołudnie, padał deszcz. Upiliśmy się – szczęściem i tanim szampanem – i postanowiłam utrwalić tę chwilę. Ponieważ aparat nie miał samowyzwalacza, trzymałam go w wyciągniętych rękach nad naszymi głowami. Nasza paczka skupiła się ciasno pod obiektywem. Siedem

śmiejących się twarzy, policzek przy policzku. Jedno z moich pierwszych i najpiękniejszych zdjęć, kwintesencja radości życia.

Pamiętałam ten dzień, jakby to było wczoraj. Zaraz po tym, jak pstryknęłam tę fotografię, Julian zaproponował, żebyśmy po kolei wykrzyczeli w niebo nasze najskrytsze życzenia.

Pierwsza zrobiła to Margrethe. Zawsze była najbardziej wyrywna. Pozostali skryli się pod kamiennym występem, a ona wyszła na środek, nie zważając zupełnie na padający wielkimi, ciężkimi kroplami deszcz. Krótkie, mokre włosy na czole Margrethe miały w sobie coś bezkompromisowego, nieomal groźbę. Stała niczym pień drzewa i wykrzykiwała słowa wprost w ulewę. Wszyscy myśleli, że Margrethe zażyczy sobie wielkiego gospodarstwa, którym mogłaby zarządzać wedle własnego zamysłu, albo że zechce zostać kapitanem okrętu. A ona krzyknęła: „Chcę wolności! Chcę wejść na piramidy w Gizie i na górę Uluru. Przejechać dżipem przez wielkie stado bawołów, przemierzyć Wielki Kanion, spłynąć łodzią Rodanem do Morza Śródziemnego i puścić na Gangesie papierową łódkę ze świecą. Zobaczyć Machu Picchu, Łuk Triumfalny w Orange, Akropol w Atenach i Bazylikę Świętego Piotra. I pociągnąć figurę Dawida za fiutka”.

W tym miejscu wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Wszyscy oprócz Margrethe. Jej życzenia brzmiały raczej jak groźba, wypowiedzenie wojny. Taką miała naturę. Ta dziewczyna jeździła rowerem przez Kirchdorf, jakby siedziała za kierownicą czołgu. Nie bała się wdrapać na świerk, by uratować kota, którego tak naprawdę wcale nie lubiła, a mając jedenaście lat, rzuciła się na chwasty porastające ruiny, kiedy my wciąż się wahaliśmy, czy to aby nie zbyt wielkie wyzwanie.

Krótką wymianę zdań między matką a córką wyrwała mnie z zamyślenia.

- Jestem głodna, Margrethe.
- Przecież godzinę temu jadłaś.
- Nazywasz tę lurowatą kartoflaną jedzeniem? Chciałabym jajecznicę na boczku.

Po niedawnej krzątaninie okrągła twarz Margrethe wciąż była

czerwona. Stała przy łóżku i stanowczo wsparła dłonie na biodrach.

– Nie ma mowy. Po jajecznicę wymiotujesz.

– I co z tego? Twoimi kartoflami też wymiotuję, a skoro i tak rzygam, to co za różnica czym? Poproszę soczystą, złocistą jajecznicę. Doktorze Pierre, proszę zaordynować.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Sposób, w jaki Edith zwróciła się do Pierre'a, świadczył o tym, że ten wciąż pozostał dla niej tym samym chłopcem co kiedyś, nawet jeśli dziś okazywała mu szacunek należny lekarzowi. Starsza pani była dumna, że brzdąc, którego kiedyś rozpieszczała domowym ciastem, skończył studia. Kto wie, może nawet dostrzegła między tymi faktami pewną zależność.

– Mam gdzieś, co powie Pierre – stwierdziła stanowczo Margrethe.

– Zresztą nie mam czasu. Muszę wyjść, a Harry jeszcze nie wrócił.

– Nie powinnaś go tak nazywać. Na imię ma Harald, na cześć króla Norwegii, i...

– I zawsze się spóźnia. Mamo, naprawdę nie mam teraz czasu sterczeć przy garach. Muszę iść do pracy.

Zrozumiałam, że w tym pokoju każdego dnia na nowo rozstrzyga się los nie tylko starej Edith, lecz również Margrethe. Matka i córka były z sobą nierozzerwalnie związane, przy czym doszło tu do swoistej zamiany ról: ponieważ Edith nie była w stanie w żaden sposób przeprowadzić swej woli, musiała o wszystko prosić, podczas gdy Margrethe zajmowała dominującą pozycję, której – o ile ją znałam – nie wahała się wykorzystywać; jednak w rzeczywistości to matka była strażniczką, a córka niewolnicą w tym domowym więzieniu. Margrethe nie mogła wyjść z domu bez pozwolenia Edith. To był triumf absolutnej słabości nad niepokornym pragnieniem wolności.

– Mogę cię zostawić na dwie godziny? – powiedziała w końcu Margrethe błagalnym tonem. – Dasz sobie radę?

– Jeśli nie macie nic przeciw temu, mogę zostać, dopóki Harry... Harald nie wróci – zaoferowałam się bez namysłu.

Pierre również zadeklarował, że może chwilę posiedzieć z Edith. Margrethe spojrzała na nas z wdzięcznością i kilka sekund później wyszła z pokoju.

Kiedy po chwili Edith poprosiła mnie, bym przyniosła jej świeżą

koszulę nocną i pomogła się przebrać, Pierre pożegnał się i zszedł do kuchni. Zostałam sama na samą z matką Margrethe.

– Może być ta w kwiaty? – spytałam. – Dobrze. W takim razie proszę unieść ramiona, najpierw zdejmujemy starą koszulę.

Jednak Edith, zamiast podnieść ręce, chwyciła mnie zniemacka za dłoń. Byłam zdumiona siłą, z jaką to uczyniła, i spojrzałam na nią zmieszana.

– Uciekaj, Leo – powiedziała staruszka cichym, lecz energicznym głosem. – Wyjedź z Poel, póki nie jest za późno.

– Słucham? Co pani...

Edith nachyliła się ku mnie, objęła mnie ramionami i rozpaczliwie ścisnęła.

– Dla twojego dobra, Leo. Uwierz mi, musisz wyjechać, jeszcze dziś, najlepiej zaraz. Nie rozumiesz? Dostałaś drugą szansę. Tu chodzi o twoje życie, Leo. O twoje życie!

Byłam tak przerażona, że wyrwałam się z objęć staruszki. Również dlatego, że Edith boleśnie wpiła palce w moją skórę. Kwiecista koszula zsunęła się na podłogę.

– Co pani chce przez to powiedzieć? Moje życie jest w niebezpieczeństwie?

– Wyjedź stąd, jak najdalej. Wracaj do Argentyny! I już nigdy tu nie przyjeżdżaj! Rusz się! No już, natychmiast! Żegnaj, mała Leo. Żegnaj!

Zapytałam raz jeszcze panią Petersen, co ma na myśli, lecz ona potrząsnęła tylko gwałtownie głową i zaczęła nerwowo gestykulować.

– Uciekaj! – To wszystko, co zdołała powiedzieć. Powtarzała to w kółko, a ponieważ nie miałam pojęcia, co robić, wyszłam w końcu z pokoju.

Bezradna i stropiona zeszłam schodami do kuchni. Pierre krzątał się, jakby to był jego drugi dom. Chrupiąc słone krakersy, nalał sobie herbaty.

– Napijesz się ze mną? – spytał. – Wolisz herbatę, prawda?

– Owszem. Jeśli masz dobrą czarną herbatę, chętnie wypiję filiżankę. W Argentynie pija się wyłącznie napar z liści mate.

– Brzmi całkiem zdrowo. Na szczęście zdeponowałem u Petersenów paczkę wschodniofryzyjskiej mieszanki. Mam co pić, kiedy odwiedzam Edith. Źle się czujesz? Jesteś jakby zgaszona.

Spojrzałam na Pierre'a. Czy powinnam mu powiedzieć o tym, co usłyszałam z ust Edith? Zawahałam się. Z jakiegoś powodu staruszka postanowiła zatrzymać mnie pod byle pozorem i zaczęła, aż Pierre wyjdzie.

– Powiedz, czy oprócz dolegliwości fizycznych pani Petersen... Czy coś jej... dolega?

– Chodzi ci o to, czy nie ma problemów z głową? Cóż... – Pierre westchnął. – Jean Paul napisał, że wspomnienia są jedynym rajem, z którego człowieka nie można wypędzić. Tyle że za jego czasów nie słyszano o czymś takim jak demencja. Pani Petersen coraz częściej zdarzają się zaniki pamięci. Dlaczego pytasz?

Fakt, że Pierre ni z tego, ni z owego potrafi zacytować klasyka, trochę mi zaimponował.

– Tak tylko, bez powodu – skłamałam. – Zapomniała, że mieszkam w Argentynie. I że moi rodzice zginęli w wypadku.

– Tak, to jedna z tych luk. Edith ma fazy, kiedy wszystko doskonale pamięta, i nagle w jednej chwili zaczyna pleść bez ładu i składu. Nie zapominaj, że Harry i Margrethe urodzili się bardzo późno. Edith ma już osiemdziesiąt pięć lat. Moi rodzice ledwie przekroczyli siedemdziesiątkę. Kiedy przeprowadzili się na Gran Canary, zamieszkałam w ich starym domu. Wybierz sobie filiżankę, są w szafce.

Ponieważ nie miałam pojęcia, co sądzić o nagłym wzburzeniu Edith ani czy powinnam brać jej słowa poważnie, postanowiłam zapomnieć o incydencie w pokoju staruszki. Jednak całe to wydarzenie mocno mną wstrząsnęło i nagle poczułam, że moja amnezja stanowi nie tylko ciężkie brzemię, ale też może skrywać w sobie niebezpieczeństwo. A co, jeśli nasz wypadek wcale nie był wypadkiem? Tylko kto mógłby mieć motyw, żeby...?

– Leo! – Głos Pierre'a oderwał mnie od ponurych rozważań.

– Tak? – Wzdrygnęłam się lekko.

– Poproszę filiżankę. Wpatrujesz się w tę szafę, jakbyś w niej

zobaczyła skrzata.

– Przepraszam.

Wyjęłam trzy filizanki. Takie, jakie przywozi się na pamiątkę z odwiedzanych miast. Na pierwszej namalowano Rynek w Wismarze, na drugiej ratusz w Rostoku, na trzeciej Bramę Brandenburską w Berlinie. Innych nie było.

– Dokąd poszła Margrethe? – spytałam w końcu.

– Do Mike’a.

– Myślałam, że do pracy.

– Margrethe u niego sprząta.

Czekając z Pierre’em na Harry’ego, wmawiałam sobie, że moje przygnębienie wynika nie tylko z przerażającego i tajemniczego ostrzeżenia, ale także ze stanu zdrowia Edith. Również widok Margrethe nappełnił mnie smutkiem. Miałam cudowne dzieciństwo i kiedy było mi źle, uciekałam we wspomnienia i przeszłość. A teraz przeszłość zderzyła się z terażniejszością i wszystko się rozsypało.

Nie odważyłam się spytać Pierre’a o pozostałych członków naszej paczki. Do tej pory nie zadałam żadnego z pytań, które tak ciężko zalegały na moim sercu i które przywiodły mnie z powrotem do Kaltenhusen. W klinice wydawały się odległe i abstrakcyjne, tu zaś napawały mnie lękiem. Kto i po co do mnie zadzwonił, kiedy byłam w Normandii? Jakie powody skłoniły mnie do rzucenia pracy i nagłego powrotu na Poel? Jak przebiegło moje spotkanie z Sabiną?

Czułam, jakbym patrzyła na swoje życie z boku. Miałam wrażenie, że jest nas dwie: jedna Lea szukała prawdy, spotkania z przeszłością, chciała zrozumieć, druga zaś włożyła wilgotną ze strachu dłoń do kieszeni spodni, zacisnęła ją na kluczykach do samochodu i powiedziała sobie: „Wystarczy wstać i wyjść”. Wystarczyło dwadzieścia sekund, by wyjść z tego domu, dwadzieścia minut, by opuścić Poel, i dwadzieścia godzin, by znaleźć się poza granicami Niemiec.

I znowu, tak jak rankiem w klinice, najchętniej opadłabym wyczerpana na łóżko i przez godzinę patrzyła w sufit. Mimo to przewyciężyłam pokusę i starałam się słuchać Pierre’a, który sprawiał

wrażenie, jakby w ogóle nie zauważył mojego stanu. Opowiadał mi o swej pracy, rodzicach, życiu i troskach wiejskiego lekarza. Zrećnie unikał wszystkiego, co miałyby choćby najmniejszy związek ze mną, naszą paczką, Sabiną czy tamtymi dwoma majowymi dniami na Poel. W ciągu pół godziny zdołał mnie uspokoić, a nawet nieco poprawić mi humor. Po pierwsze dlatego, że odniosłam wrażenie, iż los przynajmniej z nim dobrze się obszedł, a po drugie dlatego, że Pierre był szalenie miły. No i miał piękne oczy. Jak zauroczona wpatrywałam się w jego czarne tęczówki. Mogłabym go słuchać do rana i nie poczułabym się znużona.

W końcu skrzypnęły drzwi. Harry przyszedł wreszcie, by sprawdzić, co z matką. W kuchni zastał Pierre'a i mnie. Wstałam. Harry, przypominający skrzyżowanie hipisa z kłoszardem, patrzył na mnie przez kilka sekund, po czym bez słowa poszedł na górę.

– Nie bierz tego do siebie – powiedział Pierre.

– Pokłóciliśmy się, kiedy byłam tu w maju?

– Nie, skądże. To po prostu trudny gość, zamknięty w sobie i gburowaty. A odkąd klasztorowi grozi rozbiórka...

– A właśnie, słyszałam o tym od Margrethe. Co ten stary Balthus sobie właściwie myśli?

– Ten grubianin? Przecież go znasz. Zresztą... najlepiej spytaj Jacqueline. Co prawda nie jest w najlepszych stosunkach z ojcem, ale jeśli nie chcesz rozmawiać ze starym, najlepiej zwrócić się do niej.

– Skoro tak twierdzisz... Gdzie ją znaję?

– W domu Mike'a. Jest jego drugą żoną.

Cztery miesiące wcześniej

„Naleśnik z syropem z marzanki” – tak Sabina nazywała w dzieciństwie rodzinną wyspę. Wielki zielony kleks otoczony piaskowym kręgiem. Człowiek wędruje przez tę zieloną równinę i ma wrażenie, że stoi w miejscu. Idzie na spacer i po kilku kilometrach przeciera oczy, zastanawiając się, czy aby nie kręci się w kółko. Sabinie wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że właściwie nic się tu nie zmieniło. Nie zastanawiała się, czy to aby nie złudny osąd. Chciała jak najszybciej wyjechać z wyspy, więc po co sobie łamać głowę czymś, co za pół godziny raz na zawsze odkreśli grubą kreską?

Zamiast morskiej bryzy i szumu wiatru jako akustyczne tło swej podróży do Kaltenhusen wybrała Deep Purple. Cudowne majowe słońce wisiało jeszcze wysoko na niebie, lecz morze już poszarzało, spowite ciężką mgłą sunącą ku brzegom wyspy. Kiedy Sabina zatrzymała się przed rodzinnym domem, kłęby mgły zdążyły już opaść na złożoną z sześciu gospodarstw osadę.

Przyjechała kwadrans przed czasem. W pierwszym momencie pomyślała, żeby poczekać na pośrednika w aucie, lecz po chwili wysiadła. Zmaltretowane trzygodziną podróżą plecy domagały się ruchu. Zresztą beczynność nie leżała w naturze Sabiny.

Zapaliła papierosa i głęboko zaciągnęła się dymem, tłocząc w żyły pierwszą dawkę nikotyny. Powiodła spojrzeniem po opuszczonej wiosce i zatrzymała wzrok na spowitym we mgle rodzinnym domu. Dopiero wtedy wypuściła z płuc dym.

– Cholera – mruknęła.

Przekleństwo nie miało związku z domem, chociaż zasługiwałyby na niezłą wiązanekę. Chodziło raczej o całokształt wrażeń: zarys dachu, bocianie gniazdo na kominie, zapach nadmorskiej mgły, wiatr wiejący w plecy, krzyk mew. Wszystkie te doznania skumulowały się w ułamku sekundy. Jej zmysły natychmiast zareagowały, przywołując

tysiące dawno zapomnianych obrazów. Zbyt wiele, by mogła je od siebie odrzucić.

W ciągu ostatnich dwudziestu trzech lat Sabina zdołała sobie wmówić, że na zawsze uwolniła się od wspomnienia tej zabitej dechami dziury i tego domu. Czasami własne dzieciństwo wydawało jej się tak odległe, jakby było jedynie wymyśloną przez nią historią. Gdy ktoś ją pytał, gdzie się wychowała, marszczyła czoło, jakby musiała się zastanowić, po czym odpowiadała: „Nad Bałtykiem”. Zdumiewające, jak niewiele trzeba, żeby mur wzniesiony przez trwający od kilku dziesięcioleci mechanizm wyparcia rozsypał się niczym domek z kart. Tu każdy szczegół nierozłącznie wiązał się z jakimś wspomnieniem. Przypominała sobie cienkie głosiki, powiedzonka, śmiechy, wypowiedziane lub usłyszane docinki, szczyptę miłości, odrobinę gniewu, przelotny czuły dotyk przepelniający nadzieją i przeczący ruch głową, który tę nadzieję odbierał.

– Cholera.

Z papierosem w kąciku ust odsłoniła zarośniętą chwastami, przymocowaną do płotu skrzynkę na listy. Na tabliczce widniał wyraźny napis: „Charlotte Mahler, Johannes Mahler, Sabina Mahler, Lea Mahler”. Sabina jednym ruchem zerwała oksydowaną blaszkę i cisnęła ją między tarninę i zielsko porastające zdziczały ogród.

Odwróciła się i przeszła kilka kroków po spękany asfalcie. Szybko otarła dłonią łzy napływające do oczu, tak jakby niewypłakane nie liczyły się do rachunku. Pierwsze od czterech lat, od dnia, w którym kula zgruchotała jej kolano.

Ptasie trele umilkły, być może pod wpływem gęstniejącej mgły. Sabinę ogarnął niepokój – jak zawsze, kiedy otaczała ją cisza. Tak jakby się obawiała, że w tej ciszy w każdej chwili może odezwać się nieproszony głos, który wydobędzie z głębi jej duszy przykre wspomnienia.

Wróciła do samochodu i włączyła odtwarzacz CD. Przypadkowo natrafiła na Alan Parsons Project – muzykę z okresu, kiedy jej dusza dawno już wyrwała się z Poel, lecz ciało wciąż czekało na moment, kiedy w końcu opuści wyspę fizycznie. Alan Parsons Project pasował

do Poel jak emo do kursu szydełkowania.

W ciągu pięciu minut Sabina pięć razy zerknęła na zegarek. Pośrednik się spóźniał.

Niechętnie przystała na to spotkanie. Uważała, że nie ma potrzeby kontaktować się osobiście z potencjalnym kupcem, pierwszym od wielu lat. Lecz tamten się uparł, podobno chciał się dowiedzieć czegoś na temat historii domu. Sabina zaproponowała, że może udzielić stosownych informacji telefonicznie, lecz jej oferta spotkała się z kolei ze sprzeciwem pośrednika, który obstawał przy tym, by sprzedający i kupujący spotkali się osobiście. Wobec uporczywości pośrednika i perspektywy przecięcia ostatniej nici łączącej ją ze znienawidzonym dzieciństwem Sabina uległa namowom. A ponieważ i tak musiała odebrać całą górę nadgodzin, chcąc nie chcąc wsiadła do auta i wyruszyła z Berlina w kierunku Poel.

Kiedy pośrednik dotarł wreszcie na miejsce, Sabina ze zdumieniem zmierzyła wzrokiem przywiezionego przezeń potencjalnego kupca. Młody mężczyzna, najwyżej dwudziesto-, może dwudziestojednoletni, w niczym nie przypominał klientów, którzy szukali na wsi podupadłych nieruchomości za sześćdziesiąt tysięcy euro. Dwadzieścia cztery lata po upadku muru młodzi Meklemburczycy wciąż opuszczali rodzinne strony i rozjeżdżali się po innych landach, a średnia wieku tutejszych mieszkańców z roku na rok rosła. Sabina pomyślała, że być może ma do czynienia ze współczesnym pionierem, lecz w gruncie rzeczy było jej obojętne, kto zdejmie z jej barków uciążliwe brzemie przeszłości.

Lekko otyły pośrednik przedstawił się Sabinie, po czym dokonał prezentacji:

– Pani pozwoli: pan Schleicher.

– Torben – poprawił go potencjalny kupiec i z lekkim zakłopotaniem wyciągnął do Sabiny spoconą dłoń.

Sabina pomyślała, że wygląda jak młodzieniec, który prosi rodziców ukochanej o jej rękę, lecz sam nie wierzy, że jego oświadczenia zostaną przyjęte.

– Pan Schleicher chciałby założyć rodzinę, a gdzież można znaleźć piękniejszy dom niż na tej cudownej wyspie – obwieścił triumfalnie

pośrednik z szerokim uśmiechem, podkreślając słowa przesadnym gestem. – Wspaniałe miejsce. Dom nie wymaga wcale tak wiele pracy. Substancja zachowała się w nienaruszonym stanie, nieprawdaż, pani Mahler?

„Substancja? Cóż, substancja zachowuje się również u ludzi, u których stwierdzono śmierć mózgu” – pomyślała Sabina, lecz nie podzieliła się tym spostrzeżeniem, bo chociaż nie była zachwycona peanami wygłaszanymi przez pośrednika, to jednak wskazywanie wad obiektu, który ma się nadzieję sprzedać, nie wydało jej się roztropne.

– Chce pan poznać historię domu? – spytała w końcu młodzieńca.

– Tak, chociaż właściwie... właściwie... – jąkał się chłopak. – Czy moglibyśmy pomówić w cztery oczy?

Pośrednik gwałtownie zaprotestował.

– Wykluczone! Już ja znam te metody. Chce pan oszczędzić na mojej prowizji i dogadać się z panią Mahler za moimi plecami!

– Ależ skąd! Przysięgam, że nie mam takiego zamiaru – zapewnił Torben. – Prawdę mówiąc, wcale nie chcę kupić tego domu. To był jedynie pretekst.

Pośrednik dostał niemal białej gorączki, a i Sabina przez chwilę była gotowa wziąć jego stronę. Kilkugodzinna podróż, zmarnowany dzień, powrót w zniechęcone rodzinne strony – i to wszystko na próżno. O co tu, do diabła, chodzi?

Widząc, że niedoszły klient najwyraźniej chce zrezygnować z jego usług, pośrednik obrzucił go wiązką najobrzydliwszych wyzwisk. W końcu Sabina postanowiła wkroczyć i poskromiła go groźnym gestem oraz piorunującym spojrzeniem. Była wyjątkowo postawną kobietą, a jej muskularne ciało świadczyło o tym, że z zapalem uprawia rozmaite dyscypliny sportowe (z tego właśnie powodu – oraz ze względu na krótkie blond włosy – zyskała sobie wśród znajomych przydomek „Brigitte Nielsen”). Tak czy siak, pośrednik stracił rezon, zaklął raz jeszcze pod nosem, wsiadł do samochodu i odjechał.

– Może zechce mi pan wyjaśnić, co to wszystko ma znaczyć? – Sabina zwróciła się w końcu w stronę Torbena. Gniewnie wyprostowała głowę i zbliżyła się do niego. Stali naprzeciw siebie w samym środku Kaltenhusen spowici tumanem mgły. – Słucham!

– Dziękuję! – odrzekł grzecznie młody mężczyzna. – Dziękuję, że dała mi pani możliwość...

– Dobrze już, dosyć! Do rzeczy!

– Okej. No więc... Pracuję w Wismarze jako pielęgniarz w Domu Seniora „Kotwiczowisko”. Jednym z moich podopiecznych jest pan Morgenroth, Hans Morgenroth. Czy mówi coś pani to nazwisko?

Sabina wydobyła je z czeluści pamięci, tak jak wydobywa się stare wrotki schowane w piwnicy za stertą rupieci. Wysoki, chudy mężczyzna, który znienacka stanął jej przed oczami, wydawał się bezradny i flegmatyczny, a przy tym uprzedzająco grzeczny i sympatyczny. Przez dwadzieścia cztery lata, które Sabina spędziła na Poel, nie zamieniła z nim ani słowa – nie licząc, rzecz jasna, zwyczajowych „dzień dobry”, „do widzenia”, „dziękuję”. Niczego od niego nie chciała – i vice versa. Trudno uwierzyć, że mógłby o nią wypytywać.

– Właściwie się nie znamy – odparła.

– Pan Morgenroth często wraca do przeszłości. Dwa imiona, które najczęściej przy tej okazji wspomina, to Julian i Lea.

– Jego syn i moja siostra... Kiedyś, dawno temu, przez krótki czas byli parą.

– Pan Morgenroth często pyta o Leę. „Muszę z nią porozmawiać” powtarza. „Proszę cię, chłopcze, muszę porozmawiać z Leą”. Ta prośba bardzo mnie poruszyła, rozumie pani. Być może to ostatnie życzenie samotnego wdowca. Dlatego jakiś czas temu wybrałem się do Kaltenhusen i znalazłem skrzynkę pocztową przed pani domem, a na niej tabliczkę z numerem do pośrednika...

– ...i tak trafił pan na mój ślad.

– Pośrednicy z zasady nie podają danych kontaktowych zleciodawców. Oczywiście mogłem próbować mu wyjaśnić, o co mi chodzi, ale ryzyko, że odmówi, było zbyt wielkie.

Sabina musiała przyznać Torbenowi rację. Pośrednik, któremu zleciła sprzedaż domu, był jak skrzyżowanie Ebenezera Scrooge’a z Dagobertem Duckiem w ciele Danny’ego DeVito. Czowała, że powoli mija jej złość. Młody pielęgniarz miał dobre intencje i poświęcił swój prywatny czas, by pomóc podopiecznemu.

– Bardzo sprytnie! Tylko że ja nie jestem Lea. Moja siostra mieszka w Buenos Aires, przed laty wyszła za mąż za Argentyńczyka. Nazywa się teraz Hernández. Nie sądzę, żeby zdecydowała się na czternastogodzinny lot tylko po to, by spotkać się z ojcem swej młodzieńczej miłości. Może gdyby poprosił ją Julian...

– Syn pana Morgenrotha zaginął przed wielu laty. O ile mi wiadomo, pan Morgenroth nigdy nie zgodził się na uznanie go za zmarłego.

Wieść o zaginięciu Juliana mocno zasmuciła Sabinę. Co prawda nie znała zbyt dobrze chłopaka Lei, ale nie dało się go nie lubić. Julian dla każdego znalazł życzliwe słowo, świetnie grał na gitarze i ładnie śpiewał.

– W takim razie czarno to widzę – westchnęła. – Ale mogę zadzwonić do siostry i...

Torben był wyraźnie przybity.

– Z panem Morgenrothem jest coraz gorzej. Czy mogłaby pani... czy...? Pani jest siostrą Lei. Gdyby były panie do siebie podobne...

Sabina parsknęła śmiechem.

– Gdyby pan wiedział... Nie jesteśmy do siebie podobne ani z wyglądu, ani z charakteru. Proszę mi wierzyć, pański podopieczny natychmiast przejrzałby podstęp.

Pielęgniarsz mimo wszystko nie dawał za wygraną.

– Nie mam pojęcia, co pan Morgenroth chce powiedzieć Lei. Może pani mogłaby przekazać to siostrze? W sumie... co mamy do stracenia?

Ostatni argument przekonał Sabinę. „No cóż – pomyślała – co mamy do stracenia?” W drodze powrotnej i tak musiała mijać Wismar, a godzina w jedną czy w drugą stronę naprawdę nie miała większego znaczenia. Poza tym byłoby niegodziwością, gdyby przynajmniej nie spróbowała spełnić ostatniego życzenia starego człowieka.

Ku zaskoczeniu Sabiny dom seniora w pobliżu Starego Portu w Wismarze okazał się prawdziwą perłą architektury. „Kotwiczowisko”, bo tak się nazywał, ulokowano w dawnym hanzeatycko-barokowym kantorze, któremu po zjednoczeniu Niemiec

przywrócono dawny blask. Trzypiętrowy gmach na planie kwadratu mieścił czterdzieści mieszkań. W środku znajdował się zaciszny, ozdobiony zielenią i hiacyntami dziedziniec z czymś w rodzaju krużganka. Placówka najwyraźniej nie narzekała na braki kadrowe, gdyż w zachowaniu personelu nie widać było oznak pośpiechu, zaaferowania czy zniecierpliwienia. W porównaniu z ciasnym domkiem w Kaltenhusen, tutejsze mieszkanie w starym budownictwie oraz całodobowa opieka pracowników „Kotwicowiska” zapewniały Hansowi Morgenrothowi doprawdy komfortowe warunki życia.

Tyle że staruszek nie mógł się już nimi specjalnie cieszyć. Znużony i nieco niedbale odziany siedział na wózku, który Torben wypchnął z budynku. Sabina natychmiast go rozpoznała. Hans Morgenroth wciąż miał te same delikatne, niemal szlachetne rysy twarzy. Jednak mimo swetra i marynarki, w które był ubrany, oraz okrywającego jego kolana grubego pledu nie sposób było nie zauważyć, że staruszek jest jeszcze chudszy niż kiedyś. Łysą głowę pokrywały starcze plamy, a dłonie, choć spoczywały na kolanach, okropnie drżały.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Torben, zerkając na zegar. Obie wskazówki stały na godzinie dwunastej. – Pan Morgenroth przykłada ogromną wagę do tego, by przed wyjściem starannie się ogolić.

– Nie ma sprawy. – Sabina schyliła się nad pachnącym wodą kolońską starcem. – Dzień dobry, panie Morgenroth. Wie pan, kim jestem?

Staruszek spojrzał na nią badawczo i potrząsnął głową.

– Sabina Mahler – powiedziała, wyciągając do niego dłoń. Mężczyzna z wahaniem ją uścisnął.

– Sabine? – wymamrotał niewyraźnie.

Niesamowite! Sabina nie pamiętała już, że pan Morgenroth zawsze przekręcał jej imię. Teraz sobie przypomniała, lecz – inaczej niż kiedyś – nie poczuła irytacji. Przeciwnie, z jakiegoś jej samej nieznanego powodu ogromnie się ucieszyła, że ją w ogóle pamięta.

– Tak, ta sama. Proszę powiedzieć, nadal zajmuje się pan pogodą?
– Pan Morgenroth był kiedyś meteorologiem i prowadził na wybrzeżu

stację pogodową, gdzieś w okolicach Rerik.

Pytanie Sabiny wyraźnie ucieszyło staruszkę.

– Na parapecie – powiedział z niespodziewanym ożywieniem, wskazując na Torbena.

– Prowadzimy stację pogodową na parapecie mieszkania – wyjaśnił pielęgniarz. – Jestem asystentem pana Morgenrotha.

Pan Morgenroth natychmiast skorygował, że to on jest asystentem, a Torben szefem, na co wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Lody zostały przełamane.

Pielęgniarz pchnął wózek. Najpierw ruszyli w stronę portu, a potem spacerowali po centrum, wzdłuż kanałów. Pan Morgenroth z upodobaniem przyglądał się ptakom, Sabina zaś kupiła bułkę, którą sprawiedliwie obdzieliła mewy, kaczki, łabędzie i wróble. Niebo wciąż było zachmurzone, a powietrze wilgotne i mgliste, lecz mimo to usiedli w kawiarnianym ogródku i zamówili lemoniadę, jakby był rozkosznie ciepły majowy dzień.

Pan Morgenroth niezdarnie sącył napój przez słomkę, raz po raz spoglądając na Sabinę. Z każdą chwilą robił się coraz bardziej zmęczony. Wprost nie do wiary. Niektórzy siedemdziesięciolatkowie wręcz kipią energią, a w nim życie jakby całkiem wygasło i tylko od czasu do czasu błyskała jakaś iskierka.

– Gdzie jest Lea? – spytał po chwili.

Sabina wyjaśniła, dlaczego przyjechała w zastępstwie siostry.

– Jeśli chciałby pan coś przekazać Lei, służę pomocą. Jestem pewna, że panu odpowie.

„A jeśli nie – pomyślała – to sama wymyślę parę miłych słów”.

Staruszek potrząsnął głową.

– Miałem nadzieję, że przed śmiercią jeszcze się z nią zobaczę. Wie pani, bardzo ją lubiłem. Chciałem... chciałem z nią porozmawiać o Julianie, byli taką dobraną parą. Liczyłem, że mi pomoże... pomoże... Muszę poznać prawdę, zanim...

Z oczu staruszkę popłynęły łzy. Sabina spuściła wzrok, czekając, aż pan Morgenroth opanuje wzruszenie.

Na szczęście Torben postanowił przyjść w sukurs swemu podopiecznemu.

– Pan Morgenroth ma raka płuc. Terapia będzie bolesna, a rokowania nie są pomyślne. Za pięć, sześć miesięcy... – urwał, lecz Sabina zrozumiała, co chciał powiedzieć.

– Rozumie pani? – jęknął boleśnie Hans Morgenroth. – Chcę umrzeć, wiedząc, co się stało z moim chłopcem.

Sabina przez chwilę biła się z myślami.

– Rozmawiał pan z policją?

I tym razem odpowiedzi udzielił Torben.

– Policja nas zwyczajnie spławiła. Mówią, że to stara sprawa, śledztwo dawno zostało umorzone.

– To moja wina – powiedział pan Morgenroth. – Zbyt długo zwlekałem, nie wywierałem presji. Lisbeth, moja żona, zawsze powtarzała, że Julian nie żyje. Mówiła, że matka to czuje. No i z powodu gitary. Twierdziła, że został zamordowany. Da pani wiarę? I z powodu swojego ulubionego dania...

Sabina nie do końca nadażała za wywodem staruszka, lecz nie przerywała.

– Ale ja – pan Morgenroth mówił coraz szybciej – ja zawsze krzychałem, że nie chcę tego słuchać. Byłem przekonany, że Julian postanowił zrealizować swoje marzenie i wędruje po świecie. I że pewnego dnia wróci. A teraz jest już za późno. Policja nie chce mi pomóc, a na prywatnego detektywa mnie nie stać. Nie mam żadnych oszczędności. Właściwie nic mi już nie zostało. Och, Lisbeth, miałaś rację, to ja byłem głupcem...

Sabina doskonale rozumiała stojącego nad grobem staruszka, który przed śmiercią pragnął poznać odpowiedź na dręczące go pytanie i zaznać wreszcie spokoju. Do niedawna pan Morgenroth miał nadzieję, że Julian wróci, a teraz uczeplił się myśli, że jego zaginiony syn został zamordowany. Może łatwiej było mu zaakceptować to, że Julian nie żyje, niż pogodzić się z faktem, że marnotrawny syn na zawsze porzucił ojca i matkę.

– Dlaczego pana żona sądziła, że Julian został zamordowany? Wspomnił pan o gitarze...

– Julian zostawił gitarę. – Staruszek podniósł na Sabinę zaczerwienione oczy. – Lisbeth była przekonana, że nasz syn z własnej

woli nie zostawiłby instrumentu.

Z jednej strony wyjaśnienie brzmiało sensownie. Sabina tysiąc razy słyszała Juliana, gdy ćwiczył przy otwartym oknie swojego pokoju, a wiatr niósł jego śpiew po całym Kaltenhusen. Chłopak raczej dałby sobie obciąć rękę, niżby zostawił gitarę. Poza tym mógłby ją bez trudu sprzedać, gdyby podczas wędrowki zabrakło mu nagle pieniędzy. Z drugiej jednak strony była to tylko drobna poszlaka, która w żadnym wypadku nie uzasadniała wszczęcia śledztwa w sprawie zabójstwa. Można sobie wyobrazić tysiąc powodów, dla których ktoś, kto nagle opuszcza rodzinny dom, nie zabiera z sobą gitary.

To samo dotyczyło drugiej z przedstawionych przez Hansa Morgenrotha poszlak, tego mianowicie, że matka Juliana w dniu, kiedy zniknął, przygotowała na kolację jego ulubione danie: labskaus z ziemniakami. Z jednej strony Julian jadał to danie setki razy i rezygnacja z niego nie byłaby wielkim wyrzeczeniem, z drugiej jednak – takie zachowanie byłoby trochę bezduszne. Odejść akurat tego wieczoru, gdy matka zadała sobie tyle trudu, by przygotować ulubiony posiłek syna? Nie, taka bezduszność nie byłaby w stylu Juliana.

– Dlatego pomyślałem – kontynuował staruszek – że może ty mogłabyś porozmawiać z policją. Jesteś policjantką, prawda? Pamiętam, że właśnie dlatego wyjechałaś z Kaltenhusen. Chciałaś wstąpić do szkoły policyjnej.

– A ja – wtrącił Torben – dowiedziałem się od pośrednika, że rzeczywiście pracuje pani w policji.

– Chwileczkę – powiedziała Sabina. – Myślałam, że pan Morgenroth chciał się spotkać z Leą, a ja mam przyjechać jako zastępstwo.

Torben uśmiechnął się krzywo. Znów dał się przyłapać na kłamstwie.

– No... nie do końca. W Kaltenhusen nie powiedziałem pani prawdy, bo chciałem, żeby najpierw porozmawiała pani z panem Morgenrothem. Nie chciałem, żeby wyciągnęła pani pochopne wnioski.

A zatem Torben dopuścił się dwóch oszustw! Najpierw podstępem

zwabił Sabinę na Poel, a potem tutaj, na spotkanie ze swym podopiecznym. Mimo to Sabina nie miała mu tego za złe.

– Okej, rozumiem. Ale od tej pory gramy w otwarte karty – powiedziała, po czym zwróciła się do pana Morgenrotha: – Chce pan, żebym porozmawiała z miejscową policją. W porządku, pogadam z nimi. Ale dlaczego chciał się pan spotkać z Leą? Nawet gdyby moja siostra zdecydowała się tutaj przyjechać, w co szczerze wątpię, niewiele by nam pomogła.

Hans Morgenroth z wdzięcznością wyciągnął do Sabiny drżącą dłoń, którą ona wzruszona uściśniła, po czym wyczerpany zamknął oczy i odpowiedział zmęczonym głosem:

– Nie licząc Lisbeth i mnie, to właśnie Lea była dla Juliana najbliższą osobą. Lubiło go wielu ludzi, ale kochało tylko troje: Lisbeth, Lea i ja. Chciałbym z nią powspominać dawne czasy...

Sabina nie odpowiedziała na prośbę staruszka, lecz kiedy tylko wrócili do „Kotwicowiska”, wzięła Torbena na stronę.

– Obiecuję, że jak tylko załatwię tu wszystkie sprawy i wyjadę z Poel, zadzwonię do Lei. Ale do tej chwili...

– Nie chce się pani spotkać z siostrą? Nie dogadujecie się?

– Można tak powiedzieć. Od dwudziestu lat praktycznie nie utrzymujemy kontaktu. I chciałabym, żeby tak zostało.

– Dlaczego? Może okaże się, że jest między wami chemia?

– Podejrzewam, że jedyny związek chemiczny, jaki może nas łączyć, to nitrogliceryna – odparła z cierpkim uśmiechem.

– Mimo to uważam, że powinna pani zaryzykować.

– A ja uważam, że w przyszłości powinien się pan skupić na swoich obowiązkach. Postąpił pan słusznie i bez pana udziału sprawa nie ruszyłaby z miejsca, lecz od tej pory proszę się w to nie mieszać. Zadzwonię, jak tylko czegoś się dowiem.

– Tak jest, panno Marple. Mam grzecznie milczeć i wykonywać swoje obowiązki.

– Nie umiałabym tego lepiej ująć.

Wdrodze do samochodu Sabina poczuła coś, czego dawno nie doświadczyła: mrowienie i towarzyszące mu pragnienie

rozwikłania tej sprawy. Właśnie z tego powodu wstąpiła przed laty do policji. Walka ze zorganizowaną przestępczością była jej żywiołem. Zakonspirowane struktury, hermetyczne grupy, mafiosi, gangi motocyklowe, bandy neonazistów. A potem, podczas jednej z nocnych akcji przeciwko przemytnikom broni, padł strzał, który zmienił jej życie.

Ilekczo myślała o tamtej nocy, dotykała bezwiednie prawego kolana. Miesiącami lekarze przeprowadzali kolejne operacje, wstawiali metalowe płytki, szyny i sondy, które za jakiś czas wymieniali na nowe. Mimo codziennej gimnastyki i rehabilitacji wciąż utykała, co nie tylko podkopywało jej morale policjantki i zapalanej sportsmenki, ale również odbierało poczucie kobiecej pewności. Kuśtykanie nie było sexy. Ta myśl towarzyszyła jej każdego dnia. Za każdym razem, kiedy rozpadał się jej – skądinąd krótki – związek, kiedy flirt nie przeradzał się w bliższą znajomość, kiedy stare więzi przyjaźni powoli się rozluźniały lub przypadkowe spotkanie z dawnymi przyjaciółmi nie przynosiło z sobą ożywienia dawnej relacji – wówczas prędzej czy później pojawiało się pytanie, czy to niepowodzenie może mieć jakiś związek z jej lekką niepełnosprawnością. I chociaż za każdym razem odpowiadała „nie”, to zawsze czaił się cień niepewności.

Bezpośrednią i naturalną konsekwencją odniesionej rany było przeniesienie do obyczajówki. W tym stanie Sabina nie nadawała się do błyskawicznych akcji w terenie. Spędziła pięć lat, przekopując się przez akta, ukryta za stosami formularzy i ekranem laptopa. Albo szukając rosyjskich bądź albańskich tłumaczy. Oczywiście jej praca była potrzebna, tyle że nie było w niej krztyny napięcia, przeciwnie – była potwornie nudna. Przed wypadkiem i przeniesieniem Sabina nigdy sobie tego do końca nie uświadamiała, ale tak naprawdę nie została policjantką po to, by służyć współobywatelom. Chodziło jej raczej o to, by stoczyć osobisty bój, swoisty pojedynek z wszelkiej maści łajdakami.

Kiedyś, na początku swej pracy w policji, powtarzała: „Nie jestem okiem sprawiedliwości, tylko jej nosem”. Bo wyczuwała przestępstwo, zanim je zobaczyła. Jednak w wydziale, w którym obecnie pracowała, a zwłaszcza na nowym stanowisku, jej węch był bezużyteczny.

Przestępczość obyczajowa dwudziestego pierwszego wieku dokonywała się w świetle dnia. Stręczycielstwo i handel ludźmi stały się wręcz działem gospodarki, a dawni alfonsi zostali spedytorami, świadczącymi usługi transportowe na stałych trasach znad Morza Czarnego do Niemiec.

I oto nagle, z dala od tych nudnych zajęć, na wybrzeżu Bałtyku, wyczuła w powietrzu znajomy zapach. Szalenie ulotny, oparty na rojeniach chorego starca, ale jednak. Zapach przestępstwa. Morderstwa sprzed dwudziestu trzech lat, dokonanego na młodym chłopcu, którego osobiście znała.

Wrzesień 2013 roku

Przez wszystkie lata spędzone poza Poel zdążyłam całkowicie zapomnieć, że dziewięćdziesiąt procent każdego widoku na wyspie stanowi niebo. Na dole pas łąk, stawy z epoki polodowcowej, trzciny, a za nimi pasek morza. Cała reszta była szara albo błękitna, w zależności od aury. Krajobraz i życie zdaje się w takich okolicach zamierać, jak na obrazie. Stagnacja ustępowała miejsca życiu tylko wtedy, gdy wiatr pędził nad Poel strzępy obłoków lub piętrzyły się nad nią podobne do gęstych oparów chmury. W takich chwilach wyspa nabierała jakiegoś niespokojnego, wręcz przerażającego wyrazu i człowiek czuł się wydany na pastwę wrogich żywiołów.

Dzień mojego przyjazdu do Kaltenhusen był jednak bezwietrzny i lekko pochmurny, a po południu wyspę spowiło zielonkawoniebieskie światło, które znałam wyłącznie stąd (a raczej: które właśnie na nowo odkryłam). Nigdzie poza Poel nie widziałam czegoś podobnego.

Widok z tarasu Mike'a i Jacqueline zapierał dech w piersiach. O ile ktoś lubi przestrzeń i stonowane, rozmyte kolory. Podziwiałam dziwaczne kształty obłoków na lazurowym wrześnieowym niebie. Zdawało mi się, że się w nim dosłownie zanurzam. Pierwszy raz od śmierci rodziców czułam, że Poel jest moim domem.

Wzdrygnęłam się. Krajzega, która przeraziła mnie, gdy tylko tu przyjechałam, znów odezwała się gdzieś niedaleko. Zgrzytliwy dźwięk sprawiał, że czułam się roztrzęsiona – w przeciwieństwie do Jacqueline, która spokojnie siedziała obok mnie na tarasie.

– To mój ojciec – wyjaśniła, nalewając herbatę. – Mimo swoich lat nie usiedzi na miejscu. Ludzie z jego pokolenia po prostu nie potrafią siedzieć beczynnie. My jesteśmy zupełnie inni, nieprawdaż, kochana Leo?

Dłoń Jacqueline wsunęła się w moje palce, szukając porozumienia. Jako dziewczynki często chodziłyśmy, trzymając się za ręce. Coś, na

co Margrethe patrzyła z nieskrywaną wyższością i lekceważeniem, dla nas było oznaką przyjaźni, duchowego pokrewieństwa, a nawet miłości. Czasem zdarzało nam się wymieniać niewinne pocałunki. Jednak z biegiem lat nasza przyjaźń coraz mniej opierała się na wspólnych zainteresowaniach, a coraz bardziej na przyzwyczajeniu. Książki, które czytałam, dla Jacqueline były zbyt męczące, podobnie jak moje zamięłowanie do długich wędrówek po wyspie i jazdy konnej. Ona sama nie miała żadnego hobby. Owszem, lubiła pływać, ale tylko dlatego – jak mi kiedyś wyznała – że mogła się wtedy pokazać w swoim ślicznym stroju kąpielowym. Z czasem stała się bierną obserwatorką moich zajęć, a kiedy związałam się z Julianem, nasze drogi rozeszły się ostatecznie. Sprawy, z których jej się wtedy zwierzałam, były jej tak obce, jakbym opowiadała o locie w kosmos.

Teraz jednak chciałam odnowić naszą zamierzchnią więź. Na szczęście Jacqueline chyba podzielała moje pragnienie. Oprowadziła mnie po swoim domu, jakbym była potencjalnym kupcem, przy okazji bez przerwy o czymś opowiadając. W swoim życiu zdążyłam się już przekonać, że najwięcej mówią ci, którzy albo niewiele mają innym do powiedzenia, albo wykonują specyficzne zawody. Na przykład pisarze. Tę drugą możliwość mogłam w przypadku Jacqueline wykluczyć. Moja dawna przyjaciółka bez reszty spełniała się w szlachetnym powołaniu zamożnej, bezdzietnej damy.

Kiedy tak bacznie ją obserwowałam, słuchając jej paplaniny, nagle poczułam, jakby uderzył mnie grom z jasnego nieba: ujrzałam jaskrawe światło, a potem obraz, coś na kształt fotografii, czarno-biały i niepokojący. Mroczny przebłysk przedarł się z otchłani mej niepamięci i po kilku sekundach znikł. Na tym obrazie ujrzałam Jacqueline: patrzyła na mnie wielkimi, pełnymi rozpaczyci oczami, po jej policzkach płynęły łzy, a ja ścisnęłam ją obiema dłońmi za ramiona, jakbym ją chciała podtrzymać.

– Zimno ci? – Jacqueline spostrzegła, że mam gęsią skórkę. – Wrześniowe popołudnia są dosyć chłodne. Może się przeniesiemy do living roomu? Chodź, zaparzę ci gorącej herbaty.

Wciąż oszołomiona, podążyłam za nią i przeszłam przez tarasowe drzwi w ogromnej przeszklonej ścianie. Living room wyglądał tak,

jakby wyszedł spod ręki najmodniejszego projektanta wnętrz. Stanowił zupełne przeciwieństwo mrocznego i ciasnego domu Margrethe. Kanciaste czarne meble na tle jaskrawych współczesnych obrazów (niektóre dorównywały wielkością bramce do szczypiorniaka), na suficie lampy kierunkowe, pod stopami marmurowa posadzka. Wolnostojący kominek miał zapewniać przytulność. Dom Mike'a i jego drugiej żony kiedyś należał do rybaka Heinza Nickela, z tym że nowi właściciele niemal trzykrotnie go powiększyli i całkowicie zmienili wystrój.

– Zuong tseng – powiedziała enigmatycznie Jacqueline.

Domyśliłam się, że to nazwisko najpopularniejszego w ostatniej dekadzie architekta wnętrz. Styl salonu kompletnie nie odpowiadał moim upodobaniom, toteż starałam się znaleźć słowa, które brzmiałyby jak wyraz uznania, a zarazem nie byłyby kłamstwem. W końcu wydusiłam z siebie:

– Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

Uśmiech na twarzy Jacqueline zgasł.

– Mówiłam o zielonej herbacie. To zuong tseng. Smakuje ci?

– Och, jest... pyszna – Tym razem skłamałam. Napar smakował jak świeżo skoszona trawa.

Jacqueline wskazała mi miejsce na popielatej skórzanej sofie, a następnie wygładziła spódnicę swego lawendowego kostiumu i również usiadła.

Zmieniła się nie do poznania. Ładna wiejska dziewczyna z długim warkoczem przeistoczyła się w wychudzoną czterdziestolatkę z upodobaniem do czarnych pereł i tonujących kremów na dzień. Jej ciężkie perfumy przyprawiały mnie o ból głowy.

– Cieszę się, że cię widzę całą i zdrową – powiedziała. – Miałaś mnóstwo szczęścia... Chociaż „szczęście” to chyba nie jest najlepsze słowo. Przepraszam, że o tym mówię, nie wiem, czy... – zaczęła się jąkać. – Twój mózg wciąż... to znaczy... twoja pamięć... Pierre wszystko nam... Wiem, co cię spotkało.

– Tak, wciąż nie odzyskałam pamięci, jeśli o to chodzi.

Jacqueline zaśmiała się nerwowo.

– Domyśliłam się, bo nie pamiętasz, że rozmawialiśmy w maju.

– Rozmawialiśmy?

– Prawdę mówiąc, trochę dziwnie się czuję, opowiadając ci drugi raz to samo. Ale mniejsza o to. Najważniejsze, że stanęłaś na nogi. I wróciłaś.

– Sama nie mogę w to wszystko do końca uwierzyć – powiedziałam szczerze. – Dziwnie jest zobaczyć stary rodzinny dom, wyspę, wioskę i was wszystkich. Niesamowite, że ty i Mike jesteście małżeństwem... Od piaskownicy do wielkiej miłości, brzmi jak historia z jakiegoś romansu. Naprawdę cieszę się waszym szczęściem.

Jacqueline poruszyła głową, jakby chciała strząsnąć z czoła niesforny kosmyk, lecz jej średniej długości blond włosy zostały chyba utrwalone całą puszką lakieru i nawet huragan nie byłby w stanie zburzyć fryzury. Pomyślałam, że prędzej dałoby się jej oderwać głowę od ciała niż poruszyć choć jeden włos.

– To nie było tak romantyczne – odrzekła trzeźwo Jacqueline i jakby dla podkreślenia swych słów zrobiła poważną minę. – Pobraliśmy się dopiero dziesięć lat temu. Pierwsze małżeństwo Mike’a to była katastrofa. Ach... no tak... A ja... ja wcześniej robiłam karierę. Nie wiem, czy pamiętasz, ale aktorstwo od zawsze było moim największym marzeniem.

– Pamiętam. Zawsze chciałaś pojechać do Babelsbergu.

Jacqueline znów zrobiła zaskoczoną minę, jak przy rozmowie o zuong tseng.

– Do Babelsbergu? Mój Boże, skądże! Chciałam grać w amerykańskich filmach.

Mogłabym przysiąc, że wtedy, w Pałacu, kiedy wykrzykiwaliśmy w niebo nasze marzenia, Jacqueline chciała być drugą Angelicą Domröse. W moich uszach dźwięczały też nazwiska Katrin Sass i Katji Paryli.

– Tak, spełniłam swoje marzenie. Na marginesie: w przeciwieństwie do co poniektórych tu we wsi. Pojechałam do Hollywood.

Powstrzymałam się od komentarza. To, że Jacqueline próbowała zrobić karierę, wydawało mi się czymś wielce chwalebny, lecz chełpliwość, z jaką o tym opowiadała, wcale mi się nie podobała.

W duchu pomyślałam złośliwie, że pewnie padła ofiarą jednego z potworów Rolanda Emmericha albo Woody Allen kazał jej przemknąć w tle w centrum handlowym. A może z powodu niemieckiego akcentu obsadzono ją w roli nazistowskiej sekretarki? Kiedy przekroczyła trzydziestkę i wciąż nie doczekała się odkrycia na miarę Julii Roberts, wzorem całej rzeszy swych poprzedniczek wsiadła w samolot i wróciła w rodzinne strony.

Najwyraźniej udało jej się zaliczyć miękkie lądowanie.

– Mike jest przedsiębiorcą, największym pracodawcą na wyspie – wyjaśniła. – Jego zakład przetwórstwa rybnego wciąż się rozwija. Gdyby nie on, byłoby tu tylko paru plażowiczów, szukających ciszy wędrowców i wędkarzy. A mimo to nie doczekał się należnego uznania. Przeciwnie, Harry toczy z nim regularną wojnę. Zazdrość przeżarła go do cna. Bez przerwy wymyśla jakieś błahostki i ciąga Mike’a po sądach...

– Harry i Mike toczą z sobą wojnę? Kiedyś byli najlepszymi kumplami!

– Byli! A teraz z całego serca się nienawidzą. Przy czym Mike, moim skromnym zdaniem, nie jest niczemu winien.

To jednak nie był koniec złych wieści.

– Biedna Margrethe! – Jacqueline westchnęła z przesadą. – Taki brat to prawdziwa kula u nogi. A i tak przecież nie miała lekko. Oczywiście pomagamy jej, jak możemy. Mike zatrudnił ją do sprzątnięcia w fabryce. Ma nienormowany czas pracy, żeby mogła się opiekować chorą matką. Sprząta też u nas w domu.

– Tak, słyszałam.

Jacqueline spostrzegła chyba sceptycyzm malujący się na mej twarzy.

– Przyznaję, to dziwne uczucie, kiedy twoją łazienkę szoruje ktoś, z kim w dzieciństwie grało się w gumę.

– Domyślam się – potwierdziłam skwapliwie.

– Z drugiej strony – dodała Jacqueline niewzruszenie – każde euro to dla niej nieoceniona pomoc, a tutaj nie tak łatwo o pracę. Nie oszukujmy się, stara dobra Margrethe wciąż ma w sobie wdzięk okrętowej armaty, a jeśli wziąć pod uwagę, że jej brat uprzykrza nam

życie... Kiedy brakuje mu już pomysłów, nasyła na nas meklemburski wydział ochrony krajobrazu.

Jacqueline wskazała cienkim upierścienionym palcem na rozciągający się za monumentalnym oknem ogród, gdzie na angielskim trawniku szeleściły krwistoczerwone liście klonu japońskiego. Spostrzegłam średniego pudła, a chwilę potem dwunasto-, może trzynastoletniego chłopca rzucającego psu piłeczkę tenisową.

– Twój? – spytałam, ucieszona widokiem dziecka.

– Cudo, prawda? Prawdziwy skarb. Zdobyła już kilka nagród, w kategorii fryzura, gracia...

Zacisnęłam powieki i westchnęłam.

– Pytałam o chłopca.

– Ach... Skądże, uchowaj Boże! To syn Mike'a, z pierwszego małżeństwa. Nosi okropne imię Jeremi i jest niewiarygodnie krnąbrny. Na szczęście mieszka z matką w Rostoku i tylko od czasu do czasu przyjeżdża w odwiedziny do ojca. Przez cały dzień zje tylko chipsy, krusząc po całym domu. Gdzie nie staniesz, słyszysz pod stopami chrzęst okruszków.

Jacqueline podeszła do drzwi tarasowych i energicznie je otworzyła.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś zostawił Chanel w spokoju? Psujesz jej charakter.

Skorzystałam z okazji i kiedy Jacqueline zajęła się ratowaniem charakteru swojej pudlicy, wzięłam kilka głębokich wdechów. To wszystko było niemal nie do zniesienia: zmanierowanie Jacqueline, jej sposób bycia, living room, pudlica o imieniu Chanel z fryzurą Jimiego Hendrixa... Nie potrafiłam pozbyć się myśli, że już nigdy nie będziemy z Jacqueline prawdziwymi przyjaciółkami.

Kiedy wróciła, powiedziałam:

– Jeśli chodzi o działkę...

Jacqueline uciszyła mnie gestem. Byłam już gotowa pomyśleć, że powiedziałam coś nie tak, lecz ona spostrzegła tylko na posadzce źdźbło trawy i grudkę ziemi, które najwyraźniej wniosłam do domu. Zebrała je przez chusteczkę i wyniosła w wyprostowanej przed siebie ręce, jakby znalazła w swoim salonie rozkładające się truchło królika.

Kiedy umyła ręce – jakżeby inaczej! – i w końcu usiadła przede mną, wróciłam do tematu.

– Jeśli chodzi o działkę, to sprawa jest w sumie jasna. Ziemia, na której stoją ruiny, do czterdziestego dziewiątego roku była własnością mojej rodziny. Potem została znacjonalizowana. W związku z tym po zjednoczeniu musiała zostać zwrócona rodzinie Mahlerów.

– Nie do końca. Zgodnie z aktem własności z roku tysiąc dziewięćset szóstego działka z ruinami klasztoru pierwotnie należała do pierwszych osadników w Kaltenhusen, czyli do rodziny Balthusów...

– Masz rację – wtrąciłam. – Ale moja rodzina jeszcze przed wojną odkupiła ją od twoich dziadków. Przynajmniej tak zawsze twierdzili moi rodzice. Moi dziadkowie chcieli tam hodować owce, ale nic z tego nie wyszło, ponieważ wybuchła wojna.

– Mój ojciec twierdzi, że nie ma żadnych dokumentów poświadczających tę transakcję, więc dopóki nie przedstawiś stosownych dowodów... Jeśli chodzi o wydział ksiąg wieczystych, to sprawa jest jasna. Ponieważ w czasie wojny wszystkie dokumenty spłonęły, w trakcie procesu wydział nie opowie się po żadnej ze stron.

– W trakcie procesu?! – wykrzyknęłam. – Chyba nie mówisz poważnie?!

Jacqueline uniosła dłonie, jakby chciała pokazać, że w tej sprawie ma czyste ręce.

– *Ja* nie mam z tym nic wspólnego. Odkąd wyjechałam do Ameryki, moje relacje z ojcem układają się fatalnie. Gdyby to ode mnie zależało, najchętniej bym go ubezwłasnowolniła. Niestety nasze prawo w takich sprawach jest wyjątkowo rygorystyczne. Ten stary wariat gotów jest włożyć cały swój majątek w ten kompleks wypoczynkowy, którego otwarcia zapewne nawet nie doczeka. A ja nic na to nie mogę poradzić. Pewnie któregoś dnia odziedziczę po nim niedokończoną budowę i morze długów.

Przed moimi oczami stanął Rupert Balthus. Mąż rodem ze Starego Testamentu: z białą patriarszą brodą, twardy i bezkompromisowy. Przed upadkiem muru był jedynym prawdziwym komunistą w całym Kaltenhusen. Jacqueline tak bardzo podziwiała ojca, że aż do jesieni

1989 roku – a miała wtedy już osiemnaście lat – na jego życzenie nosiła okropny kołchozowy warkocz, taki jak dziewczęta z sowieckich filmów propagandowych sławiących życie na wsi. Dobrze, że chociaż nie wkładała na głowę chustki.

Uwielbienie Jacqueline dla ojca stopniowo zanikło w 1990 roku, wraz z rozwiązaniem Socjalistycznej Partii Jedności. Wkrótce potem spakowała walizki i uciekła od wschodnioniemieckich miraży, by zanurzyć się w miraże kalifornijskie. Niespełna ćwierć wieku później była żoną fabrykanta, jej pies wabił się Chanel, a jej wierny partyjnej linii ojciec skupował ziemię niczym wielki kapitalista.

Tak, los miewa czasami poczucie humoru.

Przyłapałam się na tym, że potajemnie marzę, by w końcu zjawił się Mike. Byłam ciekawa nie tyle jego samego, ile tego, jak ten niegdyś nieokrzesany typ dogaduje się ze swoją zmanierowaną żoną.

Nie doczekałam się jednak gospodarza i wkrótce pożegnałam się z Jacqueline. Teraz czekały mnie dwa szczególne spotkania – z najpiękniejszym i najgorszym okresem mojego życia, gorszym od golgoty, którą przeżyłam w ostatnich miesiącach.

Z trudem otworzyłam pordzewiałą furtkę prowadzącą do mojego rodzinnego domu. Wyki i inne rośliny, głównie chwasty, rozsiewały w ogrodzie swoje duszące zapachy. Utorowałam sobie drogę wśród nich i dotarłam do drzwi. Tu jednak się zawahałam. Szukając w torebce kluczy, znów przypadkiem natrafiłam na kluczyki do samochodu. „Daj sobie z tym spokój, Leo” – pomyślałam. Jednak zamierzchnia przeszłość przyciągała mnie z siłą, której nie potrafiłam się oprzeć.

Byłam trochę zaskoczona, że klucz pasuje do zamka. Z biegiem lat dom rodzinny stał się dla mnie czymś abstrakcyjnym, ale klucz, który od blisko ćwierć wieku leżał w szufladzie mojego biurka, a teraz obrócił się w zamku, przywrócił mu realność.

Dopiero później uświadomiłam sobie, że wcale nie użyłam własnego klucza, który wciąż leżał w moim argentyńskim mieszkaniu, tylko klucza Sabiny, który odebrałam w klinice wraz z jej rzeczami osobistymi.

Powoli weszłam do domu. Zanurzyłam się w atmosferze dawnej beztroski, dziecięcego szczęścia, a zarazem dramatu dzieciństwa przerwane niespodziewaną tragedią. Dom był kompletnie pusty, jakby wypatroszony. Znikły dywany, linoleum, tapety, firanki, meble. Została tylko skorupa. Pod koniec 1990 roku, kiedy byłam już w Argentynie, Sabina pozbyła się wszystkich sprzętów. Zostawiła tylko kilka osobistych drobiazgów, które wyniosła na strych.

Pierwsze kroki skierowałam do bawialni, która kiedyś wyglądała jak tysiące salonów pomiędzy Poel a Görlitz, potem do małej kuchni i w końcu zatrzymałam się u podnóża stromych schodów prowadzących na piętro. Przypomniałam sobie tupot dziecięcych stópek biegających na górę i z powrotem oraz głosy rodziców wołających moją siostrę i mnie na obiad. I gumową piłeczkę, ulubioną zabawkę mojego kota. Dziecięce zabawy, zapach maminych knedli ze śliwkami, radio mojego ojca, które słychać było w każdym zakątku domu, radosne śmiechy.

Przypomniałam też sobie nieustanne utarczki z Sabina. O co się kłóciłyśmy? O wszystko. Ja lubiłam Boba Dylana i Juliette Gréco, zaczytywałam się wierszami Rilkego, uwielbiałam bieganie boso i wycieczki po wyspie, lubiłam romantyczne stroje, rysowałam, a potem fotografowałam krajobrazy. Domeną Sabiny był bunt. Buntowała się przeciw wszystkiemu: przeciw Dylanowi i knedlom, literaturze i dziewczęcym sukienkom, a najbardziej przeciwko mnie. Owszem, byłyśmy siostrami, lecz kim staje się siostra, której się nie kocha? Wrogiem we własnym domu.

Sabina była jedynym cierniem w moim poza tym idealnym dzieciństwie. Miałam rodziców, kota, przyjaciół, Pałac. I Juliana. A potem przyszedł rok 1990 i nagle zostałyśmy same.

Julian postanowił samotnie okrążyć ziemię. Kiedy powiedział mi, że chce na to poświęcić cały rok, rozstałam się z nim w gniewie. Miesiąc później moi rodzice, jadąc swoim trabantem, mieli wypadek na autostradzie między Hamburgiem a Hanowerem. Wiadomość o ich śmierci przekazała nam funkcjonariuszka wschodniemieckiej drogówki. Była bardzo miła. „Wasi rodzice nie żyją” – powiedziała. „Bardzo mi przykro. Ich samochód prawdopodobnie uderzył

w barierkę, a potem dachował. Nie znamy jeszcze okoliczności wypadku. Jeśli chcecie, mogę z wami zostać. Napijcie się kawy?” Potem rzeczywiście zaparzyła kawę i przez godzinę siedziałyśmy we trzy przy stole. W końcu wyszła.

Po wypadku dosłownie zamknęłyśmy się w domu. W kolejnych dniach i tygodniach sąsiedzi przychodzili, by złożyć nam kondolencje, ale my udawałyśmy, że nas nie ma. Stawali przed drzwiami, okrążali dom, zaglądali przez okna, pukali w szyby. Zabarykadowałyśmy się z Sabiną na piętrze. Było mi wszystko jedno. Nie szukałam pocieszenia. Bo jaki jest sens szukać czegoś, co nie istnieje?

Żywiłyśmy się tym, co znalazłyśmy w puszkach: groszkiem, czerwoną kapustą, kukurydzą, klopsikami, pieczarkami, kiszonymi ogórkami i wszystkim, co się nawinęło pod rękę. Jadłyśmy to na śniadanie, obiad, kolację. Sabina zajęła się organizacją pogrzebu. Tego dnia po raz pierwszy i jedyne wyszłam z domu. Na cmentarzu po raz ostatni widziałam Juliana, ale pamiętam go tylko przez mgłę, rozmytego za zasłoną łez. Zaproponował mi, bym wyruszyła z nim w podróż dokoła świata, ale byłam zbyt dumna, by przyjąć zaproszenie, za którym, jak sądziłam, nie kryła się miłość, a jedynie współczucie. Targana burzą uczuć odprawiłam go szorstko, a nawet wręcz arogancko.

W ciągu tych długich tygodni nie zamieniłyśmy z Sabiną ani słowa. Niczym wrogie sobie ranne zwierzęta zagrzebałyśmy się w swoich jamach. A potem umarł mój stary kot. Nawet nie zauważyłam, że zachorował. Znienawidziłam cały świat, a najbardziej siebie.

To właściwie wszystko, co pamiętam z tamtego czasu. Z perspektywy lat aż trudno uwierzyć, że ten straszny okres trwał całe lato. Miałam wrażenie, jakbym przeżyła te miesiące w alkoholowym ciągu, a kiedy odzyskałam świadomość, mój dziecięcy świat znikł bez śladu. Julian jakby się zapadł pod ziemię, Jacqueline pokłóciła się z ojcem i również opuściła Kaltenhusen, Mike i Harry zajęli się biznesem i byli bez przerwy w drodze, a Margrethe wyjechała do Berlina do szkoły... Został jedynie Pierre, ale on się właściwie nie liczył.

– Leo! – usłyszałam dobiegający od drzwi frontowych głos Pierre’a.

– Tutaj, na górze. – Kontynuując obchód, zawędrowałam na piętro, do swojego starego pokoju.

– Przypadkiem zobaczyłem, jak wchodzisz do domu, i pomyślałem, że sprawdzę, co słyhać.

Kiedy Pierre wdrapał się na szczyt schodów, rzuciłam mu kokieteryjne spojrzenie, które mnie samą wprowadziło w niemałe zdziwienie. Przypomniałam sobie cichego, nieśmiałego chłopca, który z biegiem lat przeistoczył się w troskliwego, wrażliwego mężczyznę, i pomyślałam nagle, że jego dawna powściągliwość być może wcale nie wynikała z braku fantazji, flegmatycznego usposobienia czy obojętności. Może w jego naturze leżało wycofanie i potrzeba dopasowania się do otoczenia? Może wolał obserwować rzeczywistość niż na nią wpływać, słuchać aniżeli ogłaszać światu swoje opinie?

Otrząsnęłam się z zamyślenia i rzekłam:

– Wtedy, w tamtych strasznych tygodniach po wypadku, próbowałeś się ze mną zobaczyć, prawda?

– Tak. – Pierre swoim zwyczajem schował dłonie w kieszeniach spodni.

– Pamiętam to wszystko jak przez mgłę.

– Rozumiem.

Nuta lekarskiej rzeczowości i rutyny, która kryła się w głosie Pierre’a, mocno mnie zabolęła.

A potem stało się coś wręcz cudownego. Przeszłość przestała być nagle statycznym obrazem, zamieniając się w emocję. Słabą, stłumioną, ale emocję. Poczulałam cichy, daleki ból. Ból, który był lepszy od otępienia.

– Wtedy, w lecie dziewięćdziesiątego roku – odezwałam się, ubierając emocje w słowa – wszystko, co wiązało się z wyspą, wydawało mi się zupełnie obce: ogród, dom, wioska. No i wy, nasza paczka. Dlatego się od wszystkiego odciąłam. To nie była żałoba. Przeciwnie, to była próba ucieczki od smutku. Nie mogliście mi pomóc, nikt z was. Obeszłam cały dom i zebrałam wszystkie zdjęcia, poczynając od tych, na których jestem noworodkiem, przez ślubne

fotografie rodziców, stare portrety dziadków i pradziadków, aż po zdjęcia z wakacji na Węgrzech, fotografie klasowe i zdjęcia, które zrobiłam w Pałacu. Wszystko wrzuciłam do umywalki i podpaliłam. Razem z nimi spłonęło moje dzieciństwo.

Zajrzałam do zlewozmywaka, gdzie pod centymetrową warstwą popiołu wciąż widać było kilka czarnych kawałków papieru. Pamiątka z tamtych ponurych dni. Ze smutkiem skonstatowałam, że mój obecny stan niewiele się różni od tamtego sprzed lat.

– Myśle... – zaczął Pierre. – Myśle, że wtedy wszyscy to doskonale rozumieliśmy. Ale kiedy nagle wyjechałaś, we wrześniu, z tamtym Argentyńczykiem, to był dla nas prawdziwy cios.

– Poznałam Carlosa pod koniec sierpnia. Sabina zaciągnęła mnie w sprawach spadkowych do adwokata, do Wismaru. Siedzieliśmy w poczekalni. Tam się poznaliśmy. Carlos prowadził galerię i odwiedził jednego z tamtejszych artystów, z którym chciał podpisać kontrakt na wystawę w Buenos Aires. Zdziwił się, kiedy mu powiedziałam, ile mam lat. Wiesz, że w tamtym czasie wyglądałam na dwa, trzy lata więcej, niż miałam. Do tego ta melancholia, która zawsze sprawia, że twarz poważnieje. Tak czy siak, Carlos powiedział, że wyglądam jak jedna z kobiet na obrazach Vermeera, a potem zaczął opowiadać o roli światła w malarstwie, o kolorach, perspektywach i liniach. Był szarmancki, a kobiety lubią, kiedy ktoś je porównuje do dzieła sztuki. W jakiś sposób udało mu się przewyciężyć mój letarg. Mówił łamaną niemczyzną, jego matka była Niemką. Był siedemnaście lat starszy ode mnie i w niczym nie przypominał żadnej ze znanych mi osób. Spotkaliśmy się kilka razy, poszliśmy do łóżka. Zawarliśmy milczącą umowę: on miał mnie zabrać jak najdalej stąd, a ja miałam mu dać poczucie, że jest dziesięć lat młodszy. Szybko doszliśmy do porozumienia.

Stałam w swoim starym domu, a w mojej głowie powtarzała się ta cała historia – tak jak wtedy, gdy próbujemy sobie przypomnieć dziwny sen.

Pierre wlepił wzrok w czubki swych butów.

– Nawet się nie pożegnałaś...

– Naprawdę?

– Na pewno nie ze mną.

– Widzisz, naprawdę niczego nie pamiętam. I to wcale nie ma związku z amnezją. Myślę, że byłam trochę jak Lolita. Nawet nie spostrzegłam, kogo i co tracę. W tym wieku człowiek jest święcie przekonany, że jest dojrzały i sam wie najlepiej, czego chce w życiu. A tak naprawdę wiedzą to tylko nieliczni. Zwykle brakuje nam perspektywy. Myślę, że takim wyjątkiem był Julian.

Nagle poczułam, że to imię kołacze mi się w głowie od samego początku, od chwili, w której zaczęłam mówić, odkąd weszłam do domu, odkąd wjechałam na drogę i most łączący Poel ze stałym lądem. Ale dopiero teraz wypowiedziałam je na głos. Nigdy nie kochałam Carlosa. Ani jego, ani pozostałych kochanków. Kochałam za to Juliana. I oto w końcu jego imię niespodziewanie zagościło na moich wargach. Od początku o nim myślałam i Pierre chyba to czuł.

– Robi się ciemno, a w domu nie ma światła – powiedział. – Idziemy?

Próbował zmienić temat, jakby pod żadnym pozorem nie chciał rozmawiać o Julianie, jakby wręcz bał się tego imienia.

Do domu Pierre'a było kilka kroków, więc nie opłacało się wsiadać do auta. Szybko zabrałam z samochodu kilka drobiazgów, Pierre wyciągnął moją walizkę i poszliśmy pieszo. Kiedy mijaliśmy niezamieszkały dom Morgenrothów, równie zaniedbany jak nasz, zwolniłam i w końcu się zatrzymałam. Pierre poszedł dalej.

Czy powinnam go spytać o Juliana? W sumie – dlaczego nie? Miałam się powstrzymać tylko dlatego, że Pierre najwyraźniej nie chciał o nim rozmawiać? Opowiedział mi o sobie, wyrobiłam sobie zdanie o Margrethe, poznałam nieco Harry'ego, dowiedziałam się paru rzeczy o Mike'u... Byłoby zatem czymś najnaturalniejszym pod słońcem, że... Jednak fakt, że musiałam sobie to tłumaczyć, stanowił najlepszy dowód na to, że jest inaczej. W dodatku Pierre szedł przed siebie, jakby w ogóle nie zauważył, że przystanąłam.

– Co się właściwie stało z Morgenrothami?! – zawołałam w końcu.

Było już po ósmej i stalowogranatowa ciemność zajęła miejsce „zielonej godziny”, jak od niepamiętnych czasów nazywałam

zmierzch. Nadciągająca noc niemal całkowicie połknęła Pierre'a. Słyszając mój głos, na moment przystanął, potem powoli zawrócił i znów przybrał ludzką postać.

– Pani Morgenroth dawno umarła, a jej mąż podupadł na zdrowiu. Mieszka w jakimś ośrodku, nie pamiętam dokładnie gdzie. Nigdy się nie pogodzili ze zniknięciem Juliana.

Poczułam ścisk w gardle.

– Ze zniknięciem?

– No... tak – odrzekł Pierre ochryłym głosem. – Julian jakby się zapadł pod ziemię. Zabrał paszport i parę osobistych rzeczy.

– Nie wierzę – odparłam gwałtownie. – Nigdy nie zachowałyby się tak nieodpowiedzialnie. Nie zrobiłby tego swoim rodzicom.

Pierre potrzebował chwili, by się przestawić na mój ostry ton.

– Nie wiem, może masz rację. O ile mi wiadomo, policja brała pod uwagę samobójstwo, a nawet morderstwo, ale nie znaleziono żadnych dowodów. A oficjalna wersja wcale nie wydaje mi się pozbawiona logiki. W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie uważałem, żeby Julian był jakoś szczególnie dojrzały i rozsądny. Dla mnie to był niepoprawny marzyciel. Sympatyczny, ale marzyciel.

– To, że ktoś jest twórczy, nie znaczy zaraz, że jest oderwanym od życia fantastą – odpowiedziałam z lekką przyganą i nagle poczułam, że bronię Juliana tak, jak się broni ulubionej postaci z czytanej przed laty powieści. Tak mniej więcej go pamiętałam. Julian nie był człowiekiem z krwi i kości, tylko czystym wspomnieniem.

– Nie wiem, może masz rację. Tak czy inaczej, dla Morgenrothów to była katastrofa. Po tym ciosie już nigdy się nie podnieśli.

– Nie próbowali go szukać?! – wykrzyknęłam wzburzona.

– Niby gdzie? – odparł Pierre. – Może ruszył w Himalaje, tropami Yeti, albo ratować ostatnie nosorożce w Zimbabwie? A może uderza dziś w dzwon w buddyjskim klasztorze na końcu świata albo hoduje rajskie ptaki nad Amazonką?

– Nie można dać jakichś ogłoszeń?

– „The Times”, „Le Monde”, „Washington Post”, gazety we Włoszech, w Indiach, Japonii... Morgenrothowie wydali na nie wszystkie oszczędności.

– Nadal uważam – odrzekłam z uporem – że takie milczenie nie jest w stylu Juliana.

– Doprawdy? – powiedział Pierre, po czym dodał lodowatym tonem: – Abstrahując od nagłego zniknięcia, jak nazwałabyś człowieka, który zostawia swoją dziewczynę, bo chce wyruszyć w podróż dokoła świata?

Tak, Pierre bez wątpienia użył trafnego argumentu, ale wolałabym, żeby zachował tę uwagę dla siebie. Tym bardziej, że to ja zerwałam z Julianem, stwierdziwszy, że przedkłada nade mnie swoje marzenia.

– Mieszkam tam. – Pierre wskazał w ciemność.

Po raz pierwszy usłyszałam w jego głosie jakby poirytowanie, a nawet gniew. Pytanie tylko, kto był powodem tego nagłego wzburzenia: Julian czy ja?



Plaża w pobliżu Kaltenhusen była zasłana martwymi ciałami. Harry widział to, czego inni spacerowicze nie dostrzegali, obojętnie mijając wysuszone przez słońce strzępy wodorostów, potrzaskane muszle, rozgniecione, niemal nie do poznania meduzy, martwe chrząszcze leżące na plecach, szkielety ryb, rozgwiadę, pusty pancerz, batalion drapieżnych mrówek na truchle jakiegoś gryzonia. Przywykł do tego, że wszędzie widzi śmierć, że natyka się na nią na każdym kroku, nawet w rajskiej scenerii zachodzącego nad Poel słońca.

Życie to umieranie. Każdego dnia, po trochu. To nieubłagane prawo dotyczy każdego, lecz nie każdy potrafi je dostrzec. Harry to wie. Czasami ma wrażenie, że przyszedł na ten świat z głęboką świadomością skończoności. Jednak prawdziwym źródłem tej fatalistycznej postawy była przedwczesna śmierć ojca. Pierwsze wspomnienia Harry'ego wiążą się z tą właśnie plażą: prawa dłoń matki ściska rękę Margrethe, lewa – jego. Harry podnosi oczy, patrzy na dobrotliwą, porytą zmarszczkami twarz, odkrywa na niej ślady codziennych trosk i trwałą, niezłomny opór wobec dopustów losu. Czarny, ciasno upięty szpilkami kok był niczym rycerskie wyzwanie, manifest niezłomnego oporu. Potem ujrzał dawnych przyjaciół:

Mike'a, Leę, Juliana, Jacqueline i Pierre'a. Pod okiem jego matki budowali zamki z piasku i zaraz je burzyli, z chichotem uciekali przed falami, pryskali się wodą, kłócili i znowu jednali.

Harry często tutaj przychodził, aby wspominać dawne czasy, jakby na nowo je odnajdywać. Chociaż – czy aby na pewno? Nie, to nie on szukał przeszłości – to raczej ona ściagała jego. Nie dawała spokoju, kazała mu iść na plażę, do Pałacu. Przeszłość wciąż ofiarowywała mu najpiękniejsze chwile, a zarazem sprawiała, że tracił grunt pod nogami.

Przyjaźń. To słowo powoli zamieniło się w kłamstwo. Nienawidził go. Mike był królem łgarzy, najgorszym ze zdrajców. Lecz nie był odosobniony. Wszyscy z ich dawnej paczki byli zdrajcami. Zdradzili ich przyjaźń – czy to dlatego, że zwyczajnie odeszli, czy dlatego, że się jej wyparli i brutalnie ją podeptali.

Ilekczo „to” go dopadało i nienawiść chwytala go w swoje szpony, czul, jak niebieskawa, zimna mgla spowija jego serce, zamieniajac je w lod. Tak jak teraz. Od lat cierpiat z powodu tego rodzaju napadow. Czul, jak kipi w nim agresja, lecz dotad zawsze potrafil nad nia panowac. Jednak w ostatnim czasie przychodziło mu to z coraz większym trudem. Do tej pory nikomu o tym nie mówil, nawet Pierre'owi, któremu zwierzał się ze wszystkich swoich mrocznych myśli i uczuć. Ukrywał przed lekarzem przede wszystkim to, że ociekające przemocą fantazje objęły ostatnio wszystkich członków ich dawnej paczki. Wszystkich ich – łącznie ze swoją siostrą Margrethe – najchętniej by ukatrupił, powiesił, zatłukł na śmierć...

Zapadający zmierzch pozwolił mu zakraść się niepostrzeżenie pod dom Mike'a. Wyjątkowo szkaradna budowla, na wpół chłopska chata, na wpół bungalow, rozbudowany o takie dziwactwa jak basen, ogród zimowy, salon z kominkiem czy ogród na dachu. Oficjalnie Harry nigdy nie był tu po rozbudowie, ale Margrethe opisała mu wszystko ze szczegółami, oczywiście po to tylko, żeby mu utrzyć nosa. Chciała mu pokazać, ile to Mike osiągnął. Startowali z tego samego miejsca, a teraz jeden był milionerem, drugi zaś musiał się imać najrozmaitszych dorywczych prac.

Alarm był wyłączony – jak zawsze, kiedy ktoś był w domu. Mike i Jacqueline jak w każdy piątkowy wieczór wyszli do restauracji, ale

został Jeremi, syn Mike'a z pierwszego małżeństwa.

Harry obserwował chłopca przez okno salonu. Jeremi siedział przed telewizorem, opychał się chipsami i chrupkami, popijał je colą i wybuchał piskliwym, nieprzyjemnym śmiechem, ilekroć na ekranie ktoś zrobił złośliwy kawał. Harry szukał podobieństw między chłopcem a Mikiem, gdy ten był w jego wieku. Harry pamiętał wszystko, jakby to było wczoraj, każdą fazę ich przyjaźni, rysy twarzy Mike'a, fryzury, które nosił, każdego siniaka, każdego guza. Prawdopodobnie znał dzieciństwo Mike'a lepiej niż on sam.

Jeremi był inny, dużo szczuplejszy, bardziej ruchliwy. Na wuefie kapitanowie drużyn z pewnością wybierali go jako jednego z pierwszych. Włosy miał jaśniejsze i dłuższe niż Mike. Podobnie jak większość jego urodzonych na przełomie tysiącleci rówieśników, nosił rozmaite ozdoby: bransoletki z tworzywa sztucznego i skóry, kolorowe koraliki na szyi.

Harry uchylił tylne drzwi domu. Jakiś czas temu potajemnie zabrał klucz, który Mike wręczył Margrethe, i dorobił duplikat. Do tej pory już kilkanaście razy zakradał się do domu swojego wroga. Co tu robił? Właściwie nic szczególnego. Oglądał sprzęty, czasem zabierał jeden czy drugi drobiazg. Tak, drobiazg, na przykład parę skarpet, elegancki długopis czy okulary, których Mike używał do czytania. Ogarniało go wtedy poczucie triumfu: oto grzebie w rzeczach Mike'a i zabiera, co mu się podoba. Skradzione przedmioty przechowywał w swoim pokoju i od czasu do czasu wyciągał je ze skrytki, by ponapawać się ich dotykiem albo zapachem.

Najbardziej lubił zaglądać do sypialni Mike'a. Małżonkowie spali oddzielnie. Czasami Harry przysiadł na kilka chwil na brzegu łóżka i sięgał po kolorowy magazyn, który Mike poprzedniego wieczoru odłożył na nocny stolik. Po takiej wizycie czuł się dużo lepiej, gdyż miał wrażenie, że odzyskał odrobinę swego dzieciństwa.

Jednak tym razem Harry poszedł do kuchni. Była dużo jaśniejsza niż kiedyś i nowocześnie wyposażona, ale samo pomieszczenie nie zostało specjalnie przebudowane.

Ostrożnie otworzył lodówkę, szukając produktów, które można by jednoznacznie przyporządkować Mike'owi. W końcu znalazł paczkę

grubo mielonej kiełbasy. Jacqueline dotykała czegoś takiego jedynie czubkami palców, podczas gdy Mike od zawsze uwielbiał kanapki z taką wędliną. Harry włożył do ust jeden plasterek, a resztę schował do kieszeni kurtki. Również Margrethe czasami podprowadzała coś z piwniczki Mike'a – butelkę wina lub kilka konserw, tyle że w przeciwieństwie do Harry'ego robiła to z czysto praktycznych powodów i wróciwszy do domu, chwaliła się swoim łupem, jakby położyła dorodnego jelenia.

Harry usłyszał kroki Jeremiego w ostatniej chwili. Było za późno, by uciec z kuchni, dlatego ukrył się za drzwiami do piwnicy i przez szparę obserwował, jak chłopiec przesypuje do misy kolejną paczkę chrupiek. Nagle Jeremi zamarł.

Harry wstrzymał oddech. Czyżby chłopiec zauważył w kuchni coś niepokojącego? Poczłł przeciąg albo nieznaną zapach?

Jeremi zachowywał się bardzo dziwnie. Wziął w dłoń chrupkę z orzeszków ziemnych i wpatrywał się w nią z taką intensywnością, jakby to był jakiś fascynujący obiekt badawczy. Obrócił ją w palcach, położył na blat kuchenny, rozbił pięścią, zebrał okruchy i wrzucił je do moździerza, w którym stał wszystko na drobny proszek.

Harry nie rozumiał, co to wszystko ma znaczyć – dopóki Jeremi nie wyjął z lodówki puszki z herbatą. Harry'emu zaparło dech w piersiach, tym razem nie ze strachu, lecz ze zdumienia. Nie do wiary, co też temu chłopcu chodzi po głowie!

Wystarczyła jedna chrupka, by zabić Jacqueline! Z biegiem lat Harry niemal zapomniał, że żona Mike'a cierpi na rozmaite alergie, przy czym najbardziej jest uczulona na orzeszki ziemne. W dzieciństwie kilka razy przeżyła ciężki atak, tak zwany szok anafilaktyczny, z których jeden omal nie zakończył się śmiercią.

Jak bardzo Jeremi musiał nienawidzić macochy, żeby wymyślić tak perfidny plan!

A jednak chłopiec nie miał odwagi zrobić ostatniego kroku. Zawahał się w ostatniej chwili, kiedy miał już wsypać proszek do puszki z herbatą. Odstawił moździerz i puszkę na swoje miejsce i z misą w rękach wrócił do salonu.

Do tej pory Harry nie zwracał uwagi na syna Mike'a, teraz jednak

poczuł z nim osobliwą więź. Połączyła ich nienawiść – i niezdolność do przekucia jej w czyn. Może pewnego dnia...

Margrethe naskoczyła na Harry'go, ledwie ten zdążył przekroczyć próg rodzinnego domu.

– Gdzie byłeś? Miałeś pilnować mamy! Czy ty w ogóle myślisz, ile ja mam na głowie? Nie możesz zostać z nią nawet przez jedną godzinę? To naprawdę tak wiele? Jesteś kompletnie beзуżyteczny.

Harry zatkał uszy i uciekł na piętro, do swojego pokoju, lecz długo w nim nie zabawiał. Cichaczem zakradł się do matczynego łóżka. Edith już spała. Jej oddech wydawał się tak słaby, jakby lada chwila miała się zapaść w sobie i umrzeć. Ale tak było od lat.

Harry wiedział, że pewnego dnia, Bóg jeden wie kiedy, matka przestanie oddychać, ale do tego czasu pozostanie niewzruszoną skałą pośrodku jego życiowej ścieżki, głazem, którego nie sposób ominąć. Właściwie to nawet zabawne. Oto leży wychudzona i krucha, z przetoką brzuszną, cuchnąca, staruteńka i słaba, obraz nędzy i rozpacz, a mimo to wciąż włada jego życiem. Od pierwszego dnia chciał zdobyć jej uznanie, lecz nigdy mu się to nie udało. Była jego ideałem, a zarazem największym upiorem.

Urodziła się w 1928 roku. Przeżyła wojnę, dwie dyktatury i kapitalizm, pogrzebała męża, odprawiła wszystkich starających się o rękę młodej wdowy, samotnie wychowała dwoje dzieci, trzymała dom w ryzach, na przekór partyjnym funkcjonariuszom, bez skargi znosząc wszelkie szykany. Jej energiczna natura i wszystko, czego w życiu dokonała, budziły w Harrym respekt graniczący ze strachem. Nie umiał się przeciwstawić matce. I nie mógł się przed nią niczym wykazać. Niczym oprócz kolejnych porażek, rozwodów i długów. Mimo to stawiał jej zacięty, acz z góry skazany na klęskę opór.

Ileż to razy zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby nie matka, gdyby nie rozpaczliwe starania o jej uznanie. Jednak myśl o świecie i życiu bez niej nigdy nie była tak kusząca jak tej chwili. Z pewnością miało to związek z ostatnimi przeżyciami. Wciąż był pod ich wrażeniem. Śmierć towarzyszyła mu od rana aż do wieczora. Najpierw w pracy, gdy przyszło mu pogrzebać kobietę w wieku Edith,

a potem, gdy około południa śmiertelnie potrącił Mike'a, choć już wiedział, że to tylko fantazja. Dowiedział się tego od Pierre'a, tego żalostnego tchórza, który wciąż korzył się przed Mikiem. Harry miał ochotę go udusić, gdy wyciągnął skierowanie i zasugerował leczenie w szpitalu. A potem plaża, na której nie mógł zliczyć martwych ciał, i w końcu kuchnia Mike'a, gdzie przyglądał się, jak młody chłopiec planuje zabicie macochy.

Harry'ego rozsadzał gniew na tych wszystkich, którzy się nad nim litowali lub nim gardzili. I czuł obrzydzenie do siebie samego, bo znów nic mu się nie udało. Poniósł kolejną klęskę, czy to jako zabójca, czy – przeciwnie – jako ktoś, kto próbuje oprzeć się pokusie zabicia człowieka.

To matka, nikt inny, od samego początku kształtowała go takim, jakim dziś jest. Gdy był dzieckiem, o nic go nie prosiła, wszystko robiła sama: rąbała drewno, peła chwasty, szorowała podłogi, sprzątała nawet w jego pokoju... Zawsze sama wspinała się na drabinę i prosiła Margrethe, nie jego, by ją przytrzymać. Jego nigdy o nic nie poprosiła, a jeśli już, to zawsze dorzuciła kilka słów napomnienia. „Przynies z piekarni kilka bułek, tylko nie daj się oszukać”. Później, już po upadku muru, poradziła mu: „Trzymaj się Mike'a, kiedy do czegoś dojdzie, ty też skorzystasz”.

Matka była jego największym przekleństwem. A najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że ją kochał. Wszystko byłoby dużo prostsze, gdyby umiał ją znienawidzić. Albo o niej zapomnieć.

Poduszka, która nagle znalazła się w jego rękach, była śnieżnobiała i pachniała świeżością. Czy to będzie ostatni zapach, jaki jego matka poczuje przed śmiercią? Czy taka pachnąca śmierć nie byłaby czymś cudownym? Centymetr po centymetrze zbliżał poduszkę ku wąskim ustom, aż w końcu poczuł na dłoniach oddech, łagodny i ciepły. Resztką życia, jedwabną nić, na której zawisała dusza.

Gdy przycisnął poduszkę do twarzy matki, jego oczy wypełniły się łzami. Szlochał tym gwałtowniej, im gwałtowniej ona broniła się swoimi cienkimi jak patyk rękoma. Lecz jego rozpacz wzięła górę nad jej wysiłkami.

Przycisnął mocniej. I mocniej. I mocniej.

Przed oczami stanęła mu kobieta z kokiem, na plaży. Gospodyni domowa piekąca ciasto, zakasująca rękawy nad stertą brudnych talerzy. Matka, która zawsze kochała swojego syna, lecz nigdy go nie szanowała, matka, która szanowała swą córkę i nigdy jej nie kochała. Chociaż jej opór został złamany, a oddech ustał, ręce wciąż się broniły. W łagodnej poświacie księżycy jej wysiłki nie budziły grozy. Raczej politowanie. Kiedy podniósł poduszkę, na twarzy zmarłej malował się spokój.

Miała dobrą śmierć. Ta myśl napełniła go ogromną pociechą. Może jednak Kościół ma rację, twierdząc, że ci, którzy na ziemi cierpią, trafią kiedyś do nieba?

Zamknął oczy i przez minutę wsłuchiwał się w cudowną ciszę, której nie zakłócał już słaby oddech.

– Harry?

Wzdrygnął się przestraszony i spojrzał ku wezgowiu łóżka. Matka patrzyła na niego zmęczonymi oczami.

– Dlaczego tak stoisz? Gdzieś ty się znowu podziewał? – wymamrotała, jakby nie był dorosłym mężczyzną, tylko dziesięcioletkiem. – Zresztą nieważne. Wracaj do łóżka. Chcę spać.

Poduszka, którą przed chwilą przyciskał do twarzy matki, zniknęła. Śmierć znów kazała na siebie czekać.

Harry opuścił sypialnię Edith, wyszedł z domu i zanurzył się w noc. Ruszył w kierunku Pałacu. Pałacu Życzeń. Liczył, że tam znajdzie siłę, by przekuć swe wizje w czyn.



W środę, nazajutrz po moim przyjeździe, poranne niebo nad Poel miało kolor rozmytego błękitu zmieszanego z odcieniami pomarańcza, beżu oraz zieleni. W Argentynie nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Z pierwszego piętra, z pokoju gościnnego Pierre'a, rozpościerał się widok na spowite we mgle łąki, pola i morze, które zdawały się zlewać w jedną całość. Granice były w dosłownym tego słowa znaczeniu płynne, zwłaszcza w delikatnym, łagodzącym kontrasty świetle wschodzącego słońca. Poczułam na twarzy

orzeźwiająca bryzę, a im dłużej wsłuchiwałam się w ciszę, tym wyraźniej słyszałam szum morza. Subtelny zapach drewna wypełniał pokój. Masywne meble – wiejska szafa i łóżko, w którym wyspałam się chyba za wszystkie czasy – idealnie pasowały do nowoczesnych bladozielonych foteli. Tapeta z trzciniowym motywem nadawała wnętrzu aurę wyjątkowego spokoju. Musiało upłynąć kilka minut, nim spostrzegłam, że to dawny pokój dziecienny Pierre’a.

Nasza paczka była tu zaledwie cztery, może pięć razy. Za to u mnie spotykaliśmy się co najmniej raz w tygodniu, ku utrapieniu Sabiny, która bez przerwy skarżyła się na nasze głośne rozmowy i śmiechy. Równie często spędzaliśmy popołudnia u Mike’a, u Morgenrothów i Petersenów. Tylko ojciec Jacqueline nie chciał nas widzieć w swym domu. Co prawda stary Balthus uważał dzieci za konieczne dla trwania socjalistycznego państwa oraz ludzkości (w tej właśnie kolejności), ale nas niespecjalnie lubił i niechętnie widział w swoim robotniczo-chłopskim domu. W przeciwieństwie do niego rodzice Pierre’a byli arcysympatycznymi ludźmi, a jego pokój w niczym nie ustępował naszemu, lecz mimo to Mike z jakiegoś powodu zawsze wyznaczał spotkanie gdzie indziej. A Mike był szefem.

Moje spojrzenie padło na niewielką półkę, na której stał nieco zaczytany przewodnik po bałtyckim wybrzeżu. Jeden z rozdziałów poświęcono Poel. Przeglądając go, dowiadywałam się rzeczy, o których dawno już zapomniałam albo o których nie miałam pojęcia. Mierzącą trzydzieści sześć kilometrów kwadratowych wyspę, siódmą co do wielkości w Niemczech, zamieszkiwało równo dwa i pół tysiąca osób, co dawało gęstość zaludnienia na poziomie sześćdziesięciu dziewięciu osób na kilometr kwadratowy. Czy było w Niemczech jakieś miejsce o równie niskim zaludnieniu? Większość z piętnastu wiosek liczyła poniżej stu mieszkańców. Czytałam o małych portach, plażach, szlakach turystycznych, pomnikach, rajach dla wędkarzy, klubach żeglarskich i małych stadninach – i wszystko to wydawało mi się zupełnie obce.

Poczułam, jak wzbierają we mnie niepewność, wyobcowanie i zagubienie. Czy ja naprawdę tu kiedyś mieszkałam? Krajobraz za oknem mówił mi: „tak”. Światło, szum wiatru i morza również.

A mimo to czułam się wydana na pastwę obcych ludzi na obcym mi terytorium.

Przypomniałam sobie o amnezji. I tak jak choleryka w ciągu kilku sekund ogarnia gniew, tak mnie równie niespodziewanie zdjął strach. Gdzieś w głębi mej niepamięci kryły się odpowiedzi, do których nie potrafiłam się nijak dokopać. Jakby amputowano mi część duszy. Ból fantomowy doprowadzał mnie do rozpacz, gdyż zrozumiałam, że na moją dolegliwość nie ma lekarstwa.

Miałam ochotę walić głową o ścianę, po to tylko, by poczuć ból i w ten sposób zagłuszyć inne, nieporównanie większe cierpienie. Właśnie przycisnęłam dłonie do skroni, gdy usłyszałam dzwonek roweru i zaraz potem podobny do cmokania odgłos opon na łące przed domem.

Natychmiast zbudziły się we mnie wspomnienia z dzieciństwa. Przed oczami stanęły mi tysiące poranków, kiedy listonosz, drobnutki pan Melchior, przywoził na swoim rowerze pocztę.

Podeszłam do okna, ale przed domem nikogo nie było. Chwilę później ktoś zapukał do drzwi mojego pokoju.

– Chwileczkę!

Miałam na sobie jedynie spodenki i rozciągnięty podkoszulek. Szybko zanurkowałam pod kołdrę, moja głowa opadła na puchową poduszkę, a włosy utworzyły wokół niej czarny wieniec.

– Proszę.

Do środka wszedł Pierre. Przed sobą niósł tacę, obdarzając mnie sponad niej promiennym uśmiechem.

– *Buenos días, señora Mahler.* Meklemburskie śniadanie dla pani: z sałatką śledziową, krabami i majonezem, do tego ogórki z koperkiem i... – urwał i zatrzymał się w pół kroku. – Łaa!

– Co takiego?

– Myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. Nie sądziłem, że kobieta po przebudzeniu może wyglądać tak olśniewająco.

Uznałam, że jest albo urodzonym łgarzem, albo nosi różowe soczewki kontaktowe, lecz mimo to udało mu się w ciągu kilku sekund poprawić mi nastrój. Atak paniki ustąpił tak szybko, jak się pojawił.

– Prawdę mówiąc, jeszcze przed chwilą nie było mi za wesoło –

przyznałam. – Ale teraz... Minęły wieki od dnia, kiedy ostatni raz słyszałam dzwonek roweru. To listonosz?

– Nie, to ja. Zadzwoń, wracając z piekarni. Pomyślałem, że sprawię ci tym przyjemność. Czasem wystarczy jeden dźwięk, by zbudzić tysiące wspomnień.

Uśmiechnęłam się.

– Jesteś kochany.

– Skoro tak twierdzisz – odparł i usiadł obok mnie na krawędzi łóżka, mniej więcej na wysokości moich piersi. Miał na sobie szorty, które odsłaniały opalone, porośnięte ciemnymi włosami nogi, i koszulę z rękawami celowo podwiniętymi tak wysoko, bym mogła podziwiać jego muskularne ramiona.

– Co się z nim stało? – spytałam.

Przez chwilę miałam wrażenie, że tym pytaniem zmaciałam radość Pierre'a, lecz wkrótce uśmiech wrócił na jego usta.

– Och, masz na myśli pana Melchiora? Po zjednoczeniu kierownictwo Deutsche Post, aby podnieść rzekomo zbyt niską wydajność pracy, wyposażyło go w służbowy samochód i zwiększyło mu rewir. Ale on uparcie odmawiał korzystania z auta. Wolał pracować trzy godziny dłużej. W końcu któregoś dnia załamał się pod nim rower. Pan Melchior mocno się potłukł i wkrótce został wysłany na wcześniejszą emeryturę. Opiekowałam się nim i po latach, na łożu śmierci, przyznał mi się w sekrecie, że potajemnie pogrzebał swój rower na łące obok cmentarza. Dopilnowałam, żeby spoczął jak najbliżej swego nieodłącznego towarzysza, tyle że, ma się rozumieć, po drugiej stronie cmentarnego muru.

Uznałam, że to piękna, choć smutna historia.

– Lubiałam go.

– Wszyscy go lubiliśmy. Zawsze nas częstował zachodnimi cukierkami. Bóg jeden wie, skąd je miał. Był na tym świecie samiuteńki jak palec.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Za bajkę na dzień dobry?

Uśmiechnęłam się.

– Też. Myślę, że ofiarowałeś panu Melchiorowi coś pięknego.

W imieniu nas wszystkich.

– Do tej pory nikt mi za to nie dziękował.

Nasze spojrzenia spotkały się i moje oczy w jednej chwili wypełniły się łzami. Łzami szczęścia, bo pierwszy raz od kilku miesięcy nie obudziłam się w szpitalnym łóżku, bo ktoś obok mnie siedział, bo za oknem krzyczały mewy, bo w mój nos wdzierał się aromat świeżych bułeczek i kawy. W pokoju unosił się zapach rajskiego ogrodu. Ulotny, nieuchwytny... Ale były to też łzy smutku, bo nie miałam pewności, czy jestem na właściwym miejscu i czy nie powinnam być gdzie indziej, choć sama nie miałam pojęcia gdzie.

– Hej, co się dzieje? – Pierre szybko spostrzegł mój smętny nastrój.

– Wiesz, czuję się... – szlochałam. – Jak samotna skorupka dryfująca nocą na morzu. Unoszę się, opadam i dalej płynę, sama nie wiem dokąd. Nie wiem, kiedy skończy się noc i...

Spojrzenie Pierre'a sprawiło, że poczułam się, jakbym deklamowała jeden z wierszy Rilkego, toteż szybko wyjęłam z torebki diagram, na którym przedstawiłam swoje dotychczasowe życie, i wcisnęłam go Pierre'owi do ręki.

– Weź to. To moje życie, w każdym razie większa jego część. Kiedy się to czyta, można by pomyśleć, że wszystko pamiętam. Ale tak naprawdę najważniejsze rzeczy zapomniałam.

Pierre milczał przez chwilę, po czym spytał:

– Na przykład?

Szukałam słów, którymi mogłabym opisać swój stan, ale nie było to łatwe. Doświadczylam tego, czego zwykle doświadczają ludzie wzburzeni emocjonalnie: im precyzyjniej próbowałam się wyrazić, w tym większe popadałam zakłopotanie.

– Na przykład lukrecja – odparłam.

– Słucham?

– Lukrecja. Albo badminton... Pampasy...

– Nie rozumiem...

– Pamiętam, że kiedyś jadłam lukrecjowe cukierki, ale nie potrafię sobie przypomnieć, czy mi smakowały. Albo badminton: lubię go czy mnie nudzi? Dlaczego zdecydowałam się zrobić cykl „Argentyńskie Pampasy”? Dlaczego cieszę się tak, a nie inaczej? Na zdjęciach

z ostatniego roku mam inną fryzurę, ale teraz przestała mi się podobać.

– Okej, myślę, że cię...

– Szminka w mojej torebce...

– Co z nią?

– ...albo ubrania w mojej walizce. Prawdę mówiąc, w ogóle mi się nie podobają, wyglądają trochę... ekscentrycznie. Na moich drzwiach w Buenos Aires wisi srebrna tabliczka. Trochę pretensjonalne, nie sądzisz?

– No cóż, musiałbym ją zobaczyć...

– Co się ze mną stało, Pierre? W ogóle nie znam tej dawnej Lei Mahler...

Ponieważ zaczęłam gwałtownie gestykulować, Pierre na wszelki wypadek odstawił tacę ze śniadaniem na bok. Kiedy odwrócił się w moją stronę, rzuciłam mu się na szyję.

– Proszę, pomóż mi, Pierre! – zawołałam i wczepiłam się w niego równie rozpaczliwie, jak dzień wcześniej Edith Petersen we mnie. – Powiedz, po co przyjechałam w maju na Poel? Kto do mnie dzwonił? Ty? A potem ten samochód, wypadek, Sabina... Jak do tego wszystkiego doszło...? Dlaczego...?

Pierre trzymał mnie mocno, mocniej niż mężczyźni, których do tej pory napotkałam na swojej drodze. Prawym ramieniem obejmował moje plecy, a lewą dłonią gładził po włosach.

– Dobrze, już dobrze – szeptał mi w ucho. Jego policzek zamarł na chwilę przy moim policzku. – Powiem ci wszystko, co wiem – obiecał. – Pewnie cię rozczaruję, bo nie jest tego za wiele.

Mimo to liczyłam, że opowieść Pierre'a będzie dla mnie prawdziwym objawieniem. Niczym zbłąkany wędrowiec rozpaczliwie potrzebowałam choćby strzępów informacji, które naprowadziłyby mnie na właściwą drogę. Na jakąkolwiek drogę.

– Mów – poprosiłam.

Pierre milczał przez kilka chwil, po czym rzekł:

– To twoja siostra wymyśliła, by cię ściągnąć na Poel.

Oswobodziłam się z jego objęć. Zdumienie malujące się na mojej twarzy chyba stropiło Pierre'a, lecz w mojej głowie kłębiło się zbyt wiele myśli, bym mogła zinterpretować jego reakcję.

Oczywiście, brałam pod uwagę i taką możliwość, że powodem mojej podróży była Sabina. To nie mógł być przypadek, że obie w tym samym czasie znalazłyśmy się w Kaltenhusen. Mimo to wydało mi się dziwne, że mogłam na jedno jej słowo zwinąć manatki i czym prędzej przyjechać z Normandii, aby się z nią zobaczyć.

– To miało związek z ruinami klasztoru – uprzedził moje pytanie Pierre. – Z jakimś starym dokumentem, jakąś umową sprzedaży, która miała dowodzić, że Balthus nie ma prawa do tej działki.

Wyjaśnienie Pierre'a brzmiało całkiem logicznie. Z Pałacem wiązały się moje najpiękniejsze wspomnienia i gdybym mogła udaremnić jego zburzenie, nie wahałabym się ani chwili.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wczoraj, kiedy rozmawialiśmy o planach starego Balthusa? – spytałam.

– Nie gniewaj się, proszę, ale wyglądałaś na roztrzęsioną, dlatego uznałem, że lepiej nie zaczynać od rozmowy o Sabinie i waszej ostatniej wizycie.

Z naszą wizytą wiązało się przede wszystkim jedno wydarzenie: wypadek i śmierć mojej siostry. Pierre miał rację, że postanowił działać ostrożnie i nie zdradzać od razu wszystkiego, co wie.

– W porządku, rozumiem. Ale od tej pory masz nie owijać w bawełnę, jasne? – poprosiłam w nagłym przypływie odwagi. – Czyli Sabina zadzwoniła do mnie i spytała, czy nie mam w swoich dokumentach tamtej umowy, tak? No więc nie mam. Co dalej?

Pierre wzruszył ramionami.

– Przyjechałaś na Poel, żeby jej pomóc.

– Aha. W jaki sposób?

– Wiem tylko tyle, że poszłyście do waszego domu, na strych. Byłem za bardzo podekscytowany twoim przyjazdem, żeby interesować się szczegółami – odrzekł, a ja wzięłam jego słowa za dobrą monetę.

Jeśli w maju przywitał mnie choćby w połowie tak entuzjastycznie jak wczoraj, musiałam zauważyć jego zainteresowanie moją osobą. Jak na to zareagowałam? Nie odważyłam się zapytać go o to wprost.

– Jak długo tu byłam?

– Kilka godzin, może osiem. Wieczorem urządziliśmy grilla, jak za

dawnych czasów. Zebrała się cała paczka.

Przez chwilę milczałam. Pytania w mojej głowie niebezpiecznie zbliżały się ku przepaści. Chciałam zapytać o śmierć Sabiny. O wypadek, w którym zginęła i który położył kres mojemu dotychczasowemu życiu. Umknęłam przed spojrzeniem Pierre'a. Znów odezwała się krajzega. Zamknęłam oczy. Otoczyła mnie zieleń.

– Tamtego wieczoru... – zaczęłam, ale nie byłam w stanie dokończyć zdania.

Pierre nalał herbaty i podał mi filiżankę.

– Tamtego wieczoru – powiedział łagodnie – Jacqueline miała ciężki atak. Nie wiem, czy pamiętasz, ale od dziecka ma alergię na orzeszki ziemne.

– Nie pamiętałam...

– Jacqueline doznała szoku anafilaktycznego i musieliśmy jak najszybciej zawieźć ją do szpitala. Położyliśmy ją z Mikiem na tylnym siedzeniu i ruszyliśmy. Ty i Sabina miałyście jechać za nami...

Pierre urwał w pół słowa – na próżno. W głębi duszy niczym huk nocnego przyboju wciąż rozbrzmiewało we mnie echo wypadku: powracające raz po raz tępe uderzenie, ogłuszający trzask. Tego ranka z głuchym hukiem mieszał się rozdzierający dźwięk krajzegi, którą stary Balthus włączył, nie zważając na wczesną porę.

Poprosiłam Pierre'a, by zamknął okno, i kojąca cisza, która zapadła w pokoju, wzmogła łączącą nas atmosferę intymnej bliskości. Dwadzieścia cztery godziny temu Pierre był jeszcze dalekim, zamazanym wspomnieniem, a teraz stał przy moim łóżku... w swoim domu.

Po chwili podjął przerwana opowieść:

– Byliśmy daleko z przodu, w pierwszej chwili nie zauważyliśmy wypadku. Dopiero następnego ranka dowiedzieliśmy się, co się stało.

– Prawdę mówiąc, to trochę dziwne, że za wami pojechałam.

– W dzieciństwie łączyły cię z Jacqueline wyjątkowo bliskie relacje.

Zrozumiałam aluzję. Jacqueline i ja byłyśmy jedynymi dziewczynami w paczce. Oczywiście była jeszcze Margrethe, ale ona się nie liczyła, bo nie zachowywała się jak dziewczyna.

W przeciwieństwie do Pierre'a nie powiedziałabym jednak, że łączyły mnie z Jacqueline „wyjątkowo bliskie relacje”. Raczej po prostu „wyjątkowe”. Dzieliliśmy się dziewczynskimi tajemnicami, więc Jacqueline najlepiej z całej paczki знаła sekrety mojego rocznego związku z Julianem. Zawsze z wypiekami na twarzy słuchała nowin o mnie i o nim.

– A Sabina? Dlaczego pojechała z nami?

– Cóż, była policjantką, a policjant jest zawsze na służbie, jak lekarz.

– Tak, jak lekarz – powtórzyłam z bladym uśmiechem. Pierre odsłonił przede mną kilka kamyków mozaiki, które pozwoliły mi jakoś uzupełnić obraz tamtych wydarzeń i zmniejszyły ciężar zalegający na moim sercu. Solidny łyk herbaty sprawił, że trochę się odprężyłam.

– A co z tobą? – spytałam.

– O co pytasz?

– Masz kogoś?

– Nie.

– No właśnie. Dlatego pytam: co z tobą? Przystojny, sympatyczny, samotny lekarz... Proszę cię, Pierre, jesteśmy dorośli. Oboje wiemy, że są tylko dwie możliwości: albo jesteś gejem, albo kobieciarzem.

Pierre podał mi tacę i uśmiechnął się z takim zakłopotaniem, że z miejsca zakochałam się w tym uśmiechu.

– Nie jestem gejem – odparł.

– Tak myślałam.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? W łazience obok są świeże ręczniki. Muszę zadzwonić w kilka miejsc. Kiedy będziesz gotowa, zejdź na dół.

– W porządku.

Zaakceptowałam jego unik, tym bardziej że w tym wypadku zapewne żadna odpowiedź nie oddałaby prawdy. Kiedy Pierre ruszył w kierunku drzwi, zawołałam:

– Ach, jeszcze jedno...

– Tak?

– Jesteś cudowny – rzuciłam, znowu go zawstydzając. Nie wiedział, gdzie podziąć oczy i co odpowiedzieć. Najwyraźniej nie był

przyzwyczajony do komplementów.

– Na razie.

Kiedy to mówił, w jego czarnych oczach malowała się ogromna tkliwość, a ja poczułam się w tym momencie niewypowiedzianie szczęśliwa i uskrzydłona. Pierre przyjął mnie z otwartymi ramionami, zadał sobie mnóstwo trudu, poświęcił mi czas i pozwolił mi trochę pewniej stanąć na nogach. Wiedziałam więcej niż dotąd, choć moja majowa wizyta na Poel wciąż stanowiła dla mnie zagadkę. Najwyraźniej jej przyczyny i przebieg były dużo mniej spektakularne, niż się obawiałam. Spór o działkę, szok anafilaktyczny, nieszczęśliwy splot zdarzeń i okoliczności. Źródłem traumy, którą starałam się wyprzeć, musiało być trudne spotkanie z Sabiną, nasza kumulująca się od czterdziestu lat wrogość, która wyładowała się tamtego feralnego dnia. Tak, to miało sens. A to by znaczyło, że przestroga wypowiedziana potajemnie przez Edith Petersen była jedynie rojeniem chorej i nie do końca świadomej tego, co mówi, staruszki.

Spontanicznie postanowiłam, że odwiedzę ją raz jeszcze i postaram się na minutkę zostać z nią sam na sam. Byłam pewna, że nie powtórzy swojego ostrzeżenia.

Miałam ochotę zadzwonić do Schwerinu i powiedzieć Inie Bartholdy, że podjęłam właściwą decyzję, lecz nie zrobiłam tego, prawdopodobnie z obawy, że terapeutka powiedziała by coś, co zniweczyłoby mój nastrój i zniweczyło nadzieje.

Po śniadaniu i szybkim prysznicu postanowiłam zrealizować swój plan i odwiedzić Petersenów. Pierre ucieszył się, kiedy mu o tym powiedziałam, ponieważ Edith – jak twierdził – oprócz dzieci ma w Kirchdorfie tylko dwoje bliskich osób: pastora i starą przyjaciółkę, którzy od czasu do czasu ją odwiedzają, by pogawędzić.

Margrethe otworzyła drzwi, wymamrotała coś na powitanie, usiadła z powrotem przy kuchennym stole, od którego przed chwilą ją oderwałam, i zagłębiwszy się na powrót w lekturze kolorowego pisma, spytała, nie odwracając głowy:

– Co u ciebie? Wszystko w porządku?

– Na razie tak. Wczoraj zajrzałam do domu rodziców...

– Do swojego domu – poprawiła mnie Margrethe. – Teraz należy do ciebie. Zjesz coś? – Jej dłoń zatoczyła krąg nad stołem, na którym leżał pokrojony chleb, a obok margaryna, paczka gotowanej szynki, serek topiony i kawa rozpuszczalna.

– Dziękuję, jadłam śniadanie u Pierre’a. Chciałam odwiedzić twoją matkę.

Margrethe ugryzła kanapkę z szynką.

– Pewnie jeszcze śpi.

Przez minutę słychać było jedynie tykanie zegara na ścianie.

– Wczoraj byłam u Mike’a i Jacqueline – przerwałam w końcu milczenie. – To znaczy... Mike’a nie było w domu. Nie mogę się oswoić z myślą, że się pobrali. Oni są... byli... zupełnie różnymi ludźmi. Kiedy jest się młodym, takie różnice nie mają większego znaczenia, zwłaszcza wśród przyjaciół. Ludzi łączy instynkt.

– I przypadek – dodała Margrethe.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli? – spytałam, siadając przy stole.

Margrethe przerzuciła kolejną kartkę.

– Nic takiego.

– Daj spokój, mów!

Margrethe przez chwilę się wahała, czy powinna ze mną o tym rozmawiać, lecz w końcu się przemogła.

– Kiedy w takiej dziurze jak nasza jest siedmioro dzieci w tym samym wieku, muszą się trzymać razem. Tak to już jest.

Zabrzmiało to tak, jakby Margrethe przyjaźniła się z nami wbrew sobie.

– Przecież do tej pory utrzymujecie z sobą kontakty – zauważyłam.

– Bo wciąż mieszkamy w tej samej dziurze.

– To znaczy, że nie jesteście już przyjaciółmi?

Margrethe zamknęła czasopismo tak gwałtownie, że byłam przekonana, iż za chwilę spotka mnie bura. I rzeczywiście, Margrethe zareagowała gniewem, tyle że skierowała go pod innym adresem.

– Naprawdę myślisz, że można się przyjaźnić z kimś takim jak Jacqueline? Ta kobieta nigdy nie skalala się pracą. Nie ma nawet żadnego zawodu. Gdyby miała dzieci i gdybym ja nie sprzątała jej

domu, miałyby jakieś zajęcie. Jako gospodyni domowa i matka. Ale ona nie kiwnie palcem. Trochę gotuje, jeśli to można tak nazwać. Kiedy ma obrać cebulę, gapi się na nią tak, jakby miała szlachtować świnie.

Parsknęłam śmiechem, co najwyraźniej ośmieliło Margrethe, gdyż kontynuowała swoją tyradę.

– Ma w Wismarze przyjaciółkę, *panią rejentową* – Margrethe przybrała ton, jakim rejentowe zwykły mówić o osobach niższego pochodzenia. – Wpada tu dwa razy w tygodniu popołudniami, by pogawędzić z Jacqueline przy tej cholernej herbatce ping-pong, którą obie tak ubóstwiają. Od czasu do czasu wychodzą razem do restauracji. Na tym schodzi jej całe życie. A jak ze mną rozmawia! „Musisz zadbać o swoją figurę, Margrethe” – powtarza. „Musisz się zdrowo odżywiać. Powinnaś sobie kupić porządny krem do twarzy. I pić herbatę ping-pong, kosztuje jedynie dwadzieścia pięć pięćdziesiąt za sto gramów”. Łatwo jej mówić. Co pół roku jeździ na cztery tygodnie do hotelu i spa w Baden-Baden, a co dwa lata do chirurga plastycznego w Austrii. Jest tak zakonserwowana, że będzie się rozkładać dłużej niż poliester.

Znów parsknęłam, tym razem chyba za głośno, bo Margrethe spojrzała na mnie groźnie i przeszła do mniej wesołej części swojej oskarżycielskiej mowy.

– Muszę się opiekować mamą. Muszę ją myć, gotować jej, karmić ją. Do tego jeszcze dom i brat nieudacznik. Pół godziny przy śniadaniu to dla mnie jedyna chwila wytchnienia, aż do wieczora. Pracuję na dwa etaty, a mimo to i tak nie starcza mi do pierwszego. Kiedy jakiś sprzęt się popsuje, muszę odkładać kilka miesięcy na nowy. Myślisz, że madame Jacqueline spytała choć raz, jak sobie radzę? Albo że dorzuciła coś ekstra? Żeby chociaż odwiedziła mamę. Ale nie, skąd...

Z tyrady Margrethe wynikało jednoznacznie, że nie ma o Jacqueline najlepszej opinii. Za to o Mike’u nie pisnęła słówka. A to przecież dzięki niemu Jacqueline mogła prowadzić takie życie.

Aby nieco uspokoić Margrethe, zmieniłam temat.

– A co z Pierre’em?

– Z Pierre’em? W porządku – odparła tak obojętnie, jakby mówiła o tym, co widziała w telewizji śniadaniowej, albo o nowej chińskiej

zupce. – Wszystko w najlepszym porządku – dodała, po czym sięgnęła po czasopismo i zagłębiła się znowu w lekturze.

Było to specjalne wydanie „Geo” poświęcone Malezji, pełne kolorowych obrazów. Siedziałam w ciasnej i dusznej kuchni i patrzyłam na złote pagody, rajskie ptaki i odziane w przepiękne stroje kobiety.

Na twarzy Margrethe nie został nawet ślad po niedawnym wybuchu. Płomienie szybko przygasły, dymy się rozwiały, wrócił nastrój przygnębienia i rezygnacji. Jakby nic się nie wydarzyło. Zegar na ścianie monotonnie tykał, gdzieś w rurach zaszumiła woda, Margrethe przerzuciła kolejną kartkę.

Pomyślałam, że Jacqueline i Margrethe wcale się od siebie nie różnią. Oczywiście, gdybym to powiedziała głośno, obie z oburzeniem by zaprzeczyły, w ten sposób tylko potwierdzając słuszność moich podejrzeń. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie łączy ich nic oprócz wspólnego dzieciństwa. Margrethe z mozołem odhaczała kolejne dni naznaczone znojem i pracą i nie miała chwili, by pomyśleć o jutrze czy przyszłym miesiącu. Liczyło się tylko dziś, dwadzieścia cztery godziny. Z kolei Jacqueline miała mnóstwo czasu i prawdopodobnie z tego powodu ciągle wybiegała myślami w przyszłość: do następnego przyjęcia, spotkania z przyjaciółką, wtorkowej sauny, czwartkowej dostawy designerskiej lampy, czerwcowego urlopu, sierpniowej operacji w klinice estetycznej.

A mimo to obie wydawały mi się żałośnie puste. Obie schowały słowo „szansa” – oraz „możliwość” – na dnie szuflady, w której były już „miłość”, „uniesienie”, „zmiana”, „plan”, „fantazja”, „nadzieja”... Ciężka praca i wielkie pieniądze, kolorowe magazyny i rasowe pudle miały ten sam cel: zapełnić pustkę.

Ktoś mógłby mi zarzucić, że wydaję pochopne sądy. Rozmawiałam z Jacqueline zaledwie kilka czy kilkanaście minut, a z Margrethe niewiele dłużej. Jednak w swojej pracy nauczyłam się, jak jednym przelotnym spojrzeniem uchwycić ludzką duszę. Co prawda fotografuję przeważnie krajobrazy, ale mam na swym koncie również cykle poświęcone wielkim miastom i kilku regionom świata. A żeby uchwycić ducha miejsca, należy poznać ludzi, którzy je zamieszkują,

zrozumieć ich uczucia, życiową postawę i filozofię. Potem trzeba już tylko zaczekać na moment, w którym wyrazi się to wszystko, co definiuje tych ludzi: ich nadzieje i lęki, ich radość i rezygnację. Nie ma jednak żadnej reguły, nic nie zapowiada tego momentu. Czasem sposób, w jaki kobieta w średnim wieku krząta się po swym zapuszczonym domu i jak pochyla się nad fotografią złotej malajskiej świątyni, mówi więcej niż tysiąc słów.

Po chwili zjawił się Harry. Kiedy mnie ujrzał i stanął w progu, byłam przekonana, że zrobi to samo co poprzedniego dnia: obróci się na pięcie i wyjdzie. Nie wyglądał całkiem normalnie.

A jednak wymieniliśmy zdawkowe „cześć”, po czym Harry uściskał dłoń, którą do niego wyciągnęłam. Nie uznał natomiast za stosowne zaszczycić mnie choćby przelotnym spojrzeniem.

Brat Margrethe usiadł przy stole i pochylił się nad pustym talerzem, tak że sianowate rudoblond włosy zasłoniły mu twarz. Wyglądał jak ktoś, kto poprzedniego wieczoru mocno zabalował: ze spuszczoną głową posmarował sobie chleb i w milczeniu nasypał do kubka kawy rozpuszczalnej. Nie odezwał się ani słowem.

Zastanawiałam się, czy ta apatia to jego zwyczajny stan, czy też reakcja na widok niespodziewanego gościa przy stole. A może chodziło o mnie? Wiedziałam, że cztery miesiące wcześniej musiałam się spotkać z Harrym i Margrethe i że z pewnością nie było im łatwo zachowywać się tak, jakby nie widzieli mnie od ćwierć wieku. Mimo to żałowałam, że nie próbują wyjść mi naprzeciw.

Pomiędzy dwoma łykami kawy Margrethe spytała brata:

– Zaglądałeś do mamy?

– Nie – burknął Harry.

– Dlaczego?

– Za-apomniałem.

Margrethe rzuciła nadgryzioną bułkę na talerz.

– Jak można o czymś takim zapomnieć? Mijałeś drzwi jej pokoju.
– Zabłąkany okruch wyfrunął z ust Margrethe. Myślałam, że zaraz się rozpłaczę, szybko sobie jednak uświadomiłam, jak absurdalna to była myśl. Przecież nigdy nie widziałam Margrethe płaczącej! Była ulepiona z tej samej gliny co moja siostra.

Margrethe oparła pięści na stole i ciężko dźwignęła się z miejsca.

– Zjrzę do niej.

– Zo-ostaw ją teraz w spo-okoju – wyjąkał Harry.

– Tak? A jeśli czegoś potrzebuje?

– Ni-iby czego? Ki-ibelek ma na-a sobie, a jej sto-olick nocny za-
amieniłaś w spi-spi-izarnię.

– Dla ciebie wszystko jest takie proste. Jedyne, co cię obchodzi, to
te cholerne ruiny.

– To nie są ruiny – odparł Harry w takim uniesieniu, jakby własną
piersią zasłonił ukochany skarb.

Czułam się niezręcznie w samym centrum rodzinnej kłótni.
W gruncie rzeczy i Margrethe, i Harry byli mi zupełnie obcy, a z całą
pewnością nie zaliczałam się do ich powierników. Miałam ochotę
wyjść z kuchni.

– Masz wyjątkowy stosunek do Pałacu, prawda? – spytałam
Harry’ego, nie tyle z ciekawości, ile po to, by skierować dyskusję na
inne tory.

Margrethe parsknęła szyderczym śmiechem.

– Stosunek? To dobre słowo! Gdyby mógł z nim współżyć, nie
wahałby się nawet chwili. Jakie to typowe dla mojego braciszka: obrać
sobie ruinę za obiekt pożądania. Chociaż kiedy sobie myślę o jego
dwóch byłych... Nie wyglądały dużo lepiej i koniec końców
kosztowały go równie drogo.

Harry milczał, toteż nie doczekałam się odpowiedzi na moje
pytanie – przynajmniej z jego strony.

– Moim zdaniem to dobrze, kiedy się w coś angażujemy –
powiedziałam przymilnie, by mimo wszystko nawiązać z nim jakiś
dialog. Drażniło mnie to, że w ogóle nie chce ze mną rozmawiać.
Chciałam mieć dobry kontakt ze wszystkimi członkami naszej paczki,
nie tylko z Pierre’em, ale też z Harrym i Margrethe. Pragnęłam
poczucia przynależności, zgody i – owszem – przyjaźni. Tego
wszystkiego, na czym można się oprzeć. Czułam ogromną tęsknotę za
ciepłem i bliskością drugiego człowieka.

Jednak nie udało mi się zbliżyć do Harry’ego nawet o krok.
Zamiast niego odezwała się Margrethe, która znów zwróciła się

przeciw bratu.

– Angażujemy! Lepiej by się zaangażował w to, żeby nasz dach nie przeciekał. Każdego dnia spada kolejna dachówka. Ale nie, lepiej pleć chwasty wokół osiemsetletnich ruin.

– Pięćsetletnich – poprawił ją Harry.

– Gównu mnie to obchodzi! O jedenastej ktoś musi wpuścić fizjoterapeutkę, to mnie obchodzi. I tym kimś będziesz ty, bo ja o wpół do jedenastej muszę być w przetwórni. A teraz idę do mamy.

Zostaliśmy z Harrym sami. Cisza, która zapadła przy kuchennym stole, na pozór niczym się nie różniła od tej sprzed kilku minut, kiedy siedziałyśmy tu z Margrethe. A jednak teraz miała w sobie coś przytłaczającego. Czułam, że mur otaczający Harry'ego to nie tylko typowa dla niego szorstkość, ale też osobista antypatia względem mnie.

– Jak zapewne wiesz, kompletnie nie pamiętam tego, co wydarzyło się w maju – podjęłam jeszcze jedną próbę nawiązania rozmowy. – Jeśli zdarzyło się coś, co nas poróżniło, musisz mi o tym powiedzieć. Będziemy mogli sobie wszystko wyjaśnić.

Harry niewzruszony dalej siorbał swoją kawę. Kompletnie mnie ignorował. Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogę powiedzieć lub zrobić, i zacięte milczenie Harry'ego powoli zaczynało mi działać na nerwy. Jeśli miał do mnie jakiś żal, to dlaczego nie próbował w tej sprawie niczego zrobić? Moja złość mieszała się z bezradnością i jakimś trudnym do zdefiniowania poczuciem winy. Kobieta, którą kiedyś byłam, a która dziś była dla mnie kimś kompletnie obcym i nieznanym, musiała zrobić coś, czego nie powinna była robić. A teraz ja miałam ponieść tego konsekwencje. I słusznie, byłam na to gotowa. Tyle że Harry, niestety, odtrącił wyciągniętą ku niemu błagalnie dłoń.

– Jak chcesz. Nie mogę cię zmusić, żebyś ze mną rozmawiał. Wyciągnęłam do ciebie rękę, więcej nie mogę zrobić.

„Nic tu po mnie” – pomyślałam. „Wychodzę”. Było to niegrzeczne wobec Margrethe, ale uznałam, że nie zniosę dłużej panującej w tym domu atmosfery. Ani przygnębienia jego mieszkańców, więziennego półmroku i zatruwającej powietrze tłumionej agresji.

Kiedy jednak stałam już w progu kuchni, usłyszałam za plecami

głos Harry'ego.

– Dla-aczego ni-ie zostawisz nas po-o prostu w spo-okoju? Ni-ie jesteś już jedną z-z nas. Je-eśli ni-ie chcesz zgi-inąć, wra-acaj, skąd przy-przy-yjechałaś.

Odwróciłam się i dosłownie nadziałam się na jego spojrzenie. Wpatrywał się we mnie wyzywająco. Stałam niczym rażona gromem. Do tej pory nikt nie życzył mi śmierci, przynajmniej o niczym takim mi nie wiadomo, i oto pojawia się ktoś, kto mówi mi coś tak okrutnego! Dlaczego chciał, żebym zniknęła, nawet za cenę śmierci?

Bez słowa opuściłam dom Petersenów. Wzdrygnęłam się, otwierając furtkę w ogrodzie. Miałam wrażenie, jakby błysk flesza rozdarł mrok niepamięci i nagle oczami wyobraźni zobaczyłam Harry'ego. Siedział na trawniku, tuż obok miejsca, gdzie stałam. Miał splecione nogi i głowę ukrytą między kolanami. Niczym zapłakane, skrzyżowane dziecko. Po chwili wizja znikła. Zastanawiałam się, z jakiego okresu pochodzi to nieoczekiwane wspomnienie: z maja czy sprzed lat. Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie, bo widziałam tylko zarys postaci.

Kiedy w końcu doszłam do siebie i odwróciłam głowę, za jednym z okien spostrzegłam Harry'ego. Odchylił firankę i obserwował mnie podejrzliwie.

Cztery miesiące wcześniej

Siedząc przed drzwiami gabinetu szefa policji kryminalnej w Wismarze, Sabina miała dość czasu, by pomyśleć o młodym człowieku, z powodu którego znalazła się w tym miejscu. Takie wspominki nie były jej domeną, lecz Julian był dla niej kimś szczególnym, ponieważ ofiarował jej kiedyś prezent, jakiego nigdy nie zapomniała.

Na dwudzieste czwarte urodziny Sabiny osiemnastoletni przyjaciel jej siostry napisał i zaśpiewał dla niej piosenkę – w obecności rodziców i Lei. Nie była to, uchowaj Boże, piosenka miłosna, tylko coś zupełnie niewinnego, trochę poetyckiego. Jednak liczył się gest, tym bardziej że Sabina dostawała od rodziców wyłącznie praktyczne prezenty: swetry, wiatrówki, parasole, a raz nawet wełniany koc, jakby była rozbitkiem szukającym schronienia w domu Mahlerów.

W przypadku jej małej siostrzyczki rodzice spełniali każde, nawet niewypowiedziane przez nią życzenie: najpierw lekcje fortepianu w Wismarze, chociaż każde zawiezenie jej tam było prawdziwą eskapadą, a po kilku miesiącach Lea straciła serce do ćwiczeń, potem wakacje w Bułgarii, tylko dlatego, że Lea koniecznie chciała tam pojechać. Rodzice wygrzebali ostatnie oszczędności, tymczasem księżniczka uznała, że Bułgaria to brzydki kraj. W końcu kupili jej drzewko pomarańczowe, które koniecznie chciała mieć w swoim pokoju. Poruszyli niebo i ziemię, by je zdobyć, a Lea pozwoliła, by pół roku później uschło.

W pewnym momencie Sabina odkryła, że jej siostra czerpie inspirację z powieści i wierszy. Wszystkie pomysły – lekcje fortepianu, Bułgaria i drzewko pomarańczowe – bez wyjątku pojawiały się w czytanych przez nią książkach. Sabina powiedziała o tym rodzicom, lecz ci uznali, że to rozczulające. Za to kiedy wiatrówka Sabiny ucierpiała podczas szarpaniny ze złośliwym kolegą z klasy, obcięli jej

kieszonkowe.

Nikt nigdy nie wpadł na to, by podarować jej coś nie tylko dla ciała, ale również dla duszy. Nikt oprócz Juliana. W tamtych czasach Julian był jedyną osobą, która wejrzała w jej duszę i dostrzegła, że ona również ma pragnienia i tęsknoty. I że można ją zranić. Piosenka, którą dla niej napisał, opowiadała o kwiatku, rozchylającym swe płatki tylko wtedy, gdy nikt nie patrzy. Sabina dawno zapomniała jej tytuł i tekst, ale sam gest pozostał głęboko w jej sercu.

Doskonale też pamiętała, co Lea powiedziała, gdy Julian skończył śpiewać: „Śpiewać piosenkę o mojej siostrze to jak adorować kaktusa”.

– Wiedźma – syknęła Sabina na wspomnienie tej złośliwości.

Sekretarka zdziwiona podniosła wzrok.

– Jeszcze chwilę – powiedziała zmieszana. – Nadkomisarz Ammann za chwilę panią przyjmie.

Miroslav Ammann z Fährdorfu przez rok był narzeczoną Sabiny – aż do jej szóstych urodzin. Poznali się w przedszkolu, gdzie połączyła ich miłość do piasku i plastikowej łopatką. To wystarczyło, by stali się parą. Potem, gdy byli nastolatkami, dawna sympatia zaczęła gasnąć. Sabina długo nie potrafiła sobie wytłumaczyć rosnącej niechęci do Mirosława – aż w końcu zrozumiała to na jakiejś imprezie sportowej. Sposób, w jaki Mirosław podlizywał się partyjnym dygnitarzom, miał w sobie coś upokarzającego, wręcz obleśnego. To nie był zwykły konformizm, tylko bezwstydną lizusostwo. Nic dziwnego, że wkrótce awansowano go na kolejny szczebelek w hierarchii FDJ.

Pewnego dnia powiedziała mu prosto w oczy, co o nim sądzi. A ponieważ dla lizusów i obłudników nie ma nic gorszego niż skonfrontowanie ich z prawdą, sympatia, jaką Mirosław darzył Sabine, przemieniła się w jawną wrogość. Jeszcze przed upadkiem muru Mirosław wstąpił do Policji Ludowej i aż do 1990 roku wraz z dwoma dużo starszymi towarzyszami służył na obskurnym posterunku na Poel. Teraz jednak był grubą szyczą w wismarskiej policji.

Kiedy Sabina weszła do gabinetu, na twarzy gospodarza odmalowało się najpierw zaskoczenie, że wybrała ten sam zawód co

on, a potem satysfakcja, że on jest nadkomisarzem, podczas gdy ona ledwie „zwyczajnym” komisarzem. Zupełnie jakby od ćwierć wieku ścigał się z nią i teraz, minąwszy linię mety, pomachał do niej szyderczo.

– Usiądź, proszę – powiedział z szerokim uśmiechem. – Napijesz się kawy?

Z miejsca przeszedł na „ty”, co ułatwiało rozmowę. Sabina nienawidziła sytuacji, gdy ludzie, nie wiedząc, jak się zwracać do swego rozmówcy, używają jakichś wymyślnych konstrukcji. Niestety, na nic więcej ze strony Mirosłava nie mogła liczyć.

– Chętnie. Poproszę czarną.

– Oczywiście, już się robi. – Przesadnie usłużny ton był przeciwieństwem grzeczności. Mirosław wstał, by osobiście przynieść kawę, i podał ją, gnąc się w służalczym ukłonie niczym kelner.

– Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? Zawsze z ogromną radością witamy kolegów z sąsiednich landów.

– Właśnie widzę.

Mirosław przystanął obok krzesła Sabiny i łypał na nią z góry zmrużonymi oczkami. Przez lata bardzo się zmienił fizycznie. Przy posturze rozmiar pięćdziesiąt osiem nosił sweter w rozmiarze pięćdziesiąt dwa, a na nim marynarkę sześćdziesiąt dwa. Jego oddech pachniał frytkami i odświeżaczem do ust podszytym nutą alkoholu.

– Sądząc po nazwisku, nie wyszłaś za mąż – powiedział. – A może namówiłaś męża, by przyjął twoje nazwisko?

– To pierwsze.

– Dzieci?

– Nie.

– Ja mam czworo. Same dziewczynki, wyobrażasz sobie? Najstarsza jest mniej więcej w tym wieku co my, kiedy mnie rzuciłaś.

Sabina miała ochotę zaprotestować, mówiąc, że rzucić można kogoś, z kim było się w związku, pamiętając jednak, że nie krytykuje się fatalnego krawata bankiera, u którego zabiegamy o kredyt, ugryzła się w język. Jeśli Mirosław potrzebuje tych drobnych satysfakcji, to je dostanie. Przynajmniej na razie.

– Wiesz, człowiek był młody i głupi – odrzekła.

Miroslav był najwyraźniej zadowolony z tej odpowiedzi. Uznał chyba, że mówiąc to, Sabina przyznała się do błędu.

Połączony w swej próżności, opadł na fotel tak ciężko, jakby stoczył przed chwilą śmiertelny bój, i rzekł:

– No dobrze. Czemu zawdzięczam tę przyjemność... pardon: zaszczyt, że po tylu latach raczyłaś mnie odwiedzić?

– Chodzi o sprawę Juliana Morgenrotha.

– Morgenroth, Morgenroth... nie przypominam sobie.

Ammann sprawiał wrażenie, jakby miał kłopoty nie tylko z pamięcią. Podniósł swą ciężką prawą dłoń i palcem wskazującym ślamazarnie wstukał na klawiaturze nazwisko Juliana.

– To stara sprawa – odezwał się w końcu. – Nawet bardzo. Aż dziw, że w ogóle jest w komputerowym archiwum. No więc...? O co chodzi?

– Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej: jakie były okoliczności zniknięcia Juliana, pod jakim kątem prowadzono śledztwo, czy kogoś przesłuchano.

Palec Ammanna zawisł nad klawiaturą niczym miecz Damoklesa.

– Najpierw mi powiedz, z jakiego powodu berlińska policja interesuje się tą sprawą. I dlaczego nie załatwisz tego drogą służbową?

Sabina domyśliła się, że „droga służbowa” odgrywa w życiu Miroslava Ammanna taką samą rolę, jak kodeks savoir-vivre’u w pracy konsjerża hotelu Waldorf Astoria.

– Prawdę mówiąc, nie przyjechałam jako komisarz berlińskiej policji, tylko prywatnie.

Miecz Damoklesa drgnął i zatrzymał się nad klawiszem „escape”.

– Przykro mi, ale tutaj tak nie działamy – powiedział Ammann. – Inaczej każdy mógłby tu wejść i zajrzeć do akt. Dokąd byśmy doszli tą drogą?

– Sam powiedziałaś, że to stara sprawa i oficjalnie nie znaleziono dowodów przestępstwa. Przecież nie próbuję się mieszać do trwającego śledztwa.

Ammann ponownie otworzył stronę, by sprawdzić słowa Sabiny. I rzeczywiście, stwierdził, że „sprawa Juliana Morgenrotha” tak naprawdę nie jest „sprawą”. Przyjęto jedynie zgłoszenie o zaginięciu –

jedno z wielu w okresie poprzedzającym zburzenie muru i tuż po nim. Tak jakby tamtej nocy ktoś otworzył ogromną wolierę i następnego ranka stado młodych ptaków postanowiło posmakować bezgranicznej wolności. Większość starych zaś, jeśli w ogóle opuściła swą klatkę, to wkrótce wróciła.

– Myślisz, że coś mu się stało? – westchnął Ammann. Był wyraźnie znudzony. – Tutaj stoi jak byk, że nic nie wskazuje na przestępstwo.

Sabina uznała, że nie musi przypominać nadkomisarzowi, że to, co zapisano w aktach, niekoniecznie musi się pokrywać z rzeczywistością. Ileż to razy okazywało się, że raporty zostały podkoloryzowane, czasem mimowolnie, a czasem celowo. Chociaż policja kryminalna, ogólnie rzecz biorąc, pracowała profesjonalnie, to śledczy nigdy nie byli całkiem wolni od osobistych uprzedzeń i stereotypów, a w każdym wydziale panowała hierarchia spraw. Brak czasu i personelu oraz chroniczne zmęczenie dopełniały dzieła.

Abstrahując od tych zwykłych problemów, sytuacja we wschodnich Niemczech w lecie 1990 roku daleka była od normalności. Był to okres „przejściowy”. NRD chyliła się ku upadkowi, a wraz z nią wiele instytucji państwowych, które działały trochę na zasadzie rozpadu. Policja Ludowa nie była wyjątkiem. Większość urzędników i funkcjonariuszy myślami była już w przyszłości. Wielu zastanawiało się, co ich czeka: przymusowe przeniesienie, degradacja czy może wydalenie ze służby. Gdziekolwiek panował prawdziwy chaos. Łączność między poszczególnymi jednostkami została zerwana, sprawy były zawieszane bądź odkładane *ad acta* albo ginęły gdzieś między wydziałem A a komendą B. Czasy politycznego przełomu zawsze były wymarzoną okazyją dla potencjalnych przestępców.

– Chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej. – Sabina postanowiła działać dyplomatycznie. – Gdybym mogła poznać kilka szczegółów...

Ammann westchnął. Zejście z drogi służbowej kosztowało go chyba tyle samo wysiłku, co miłośnika gorących kąpielii wejście pod lodowaty prysznic.

– Dobra, niech stracę. Wiadomo, że zaginiony marzył o podróży dokoła świata. Tuż przed zaginięciem rozpadł się jego związek. Razem

z nim zniknęły jego dowód osobisty, kilka ubrań i plecak. Nie sądzisz, że to klasyczny przypadek ucieczki z domu?

Sabina kiwnęła głową. Próba zaprzeczenia w oczach Ammanna równałaby się zdradzie stanu. Na pierwszy rzut oka wszystkie okoliczności pasowały do obrazu kochającego wolność nastolatka, którego nęci daleki świat.

– Dziwię się tylko, że Julian nie zostawił listu pożegnalnego.

– Tak, to dość bezduszne z jego strony. Jednak zdarza się częściej, niż ci się zdaje.

– Nie uważasz, że ważniejsze od tego, co Julian z sobą zabrał, jest to, co zostawił? Co z jego gitarą? Miał ją z sobą w dniu, kiedy zniknął?

Ammann przewinął raport.

– Na ten temat nic nie wiadomo.

– Ojciec Juliana twierdzi, że gitara była jego największym skarbem. A ja to mogę potwierdzić.

Ta uwaga zrobiła na nadkomisarzu pewne wrażenie, więc aby wykazać, jak sumiennie Policja Ludowa z Poel zbadała tę sprawę, przedstawił kolejne dowody. I tak oto, na przykład, wzięto pod uwagę hipotezę wypadku lub samobójstwa.

Okazało się, że wieczorem w dniu zaginięcia Juliana na przystani w pobliżu Kaltenhusen jedna z małych łodzi wiosłowych zerwała się z cumy. Dwa dni później morze wyrzuciło ją na ląd na przeciwległym brzegu zatoki Heidebucht. Incydent wydawał się o tyle zagadkowy, że panowała piękna pogoda, ale trudno go było powiązać z Julianem. Był koniec lata 1990 roku i chłopak mógł bez problemu pojechać autobusem do Wismaru, a stamtąd dostać się do zachodnich Niemiec, gdzie cały świat stałby przed nim otworem. Hipotezę wypadku podważał też fakt, iż według raportu morze było tej nocy wyjątkowo spokojne. Z kolei samobójstwo było jeszcze mniej prawdopodobne. Bo czy potencjalny samobójca, chcąc się rzucić do morza, zabierałby z sobą dowód osobisty i ubrania?

Jeżeli między zniknięciem Juliana a łódką był jakiś związek, to prawdopodobna wydawała się tylko jedna możliwość. Wykluczwszy wypadek i samobójstwo, należało przyjąć, że Julian – żywy bądź martwy – znalazł się na łodzi w towarzystwie swego zabójcy.

– Wielkomięscy gliniarze we wszystkim wietrzą przestępstwo. – Ammann nie taił szyderstwa. – Wiesz równie dobrze jak ja, że większość topielców prędzej czy później ląduje na brzegu.

– Po pierwsze, jak sam zauważyłeś, większość, ale nie wszyscy – odparła Sabina. – A po drugie: nawet jeśli między zniknięciem Juliana a łodzią nie ma związku, to jeszcze nie znaczy, że nie został zamordowany.

– Masz rację. – Nadkomisarz znów postanowił z niej zakpić. – Po drodze mógł go zaszlachtować zazdrosny turecki derwisz, któremu odbił ukochaną. Albo trafił na talerz jako przekąska ludożerców z Fidzi.

Sabina zignorowała drwiny Ammanna.

– Naprawdę nie brano pod uwagę hipotezy przestępstwa? Przeszukano w ogóle okolicę?

– W tym przypadku „okolica” rozciąga się na całą wyspę. Niby kto miał ją przeszukać? Ja i moi dwaj koledzy myślący już tylko o bliskiej emeryturze? Mieliśmy we trzech przetrząsnąć wszystkie łąki?

– Skoro zadajesz to pytanie tak prowokacyjnym tonem, to odpowiem ci równie prowokacyjnie: tak!

Palec Damoklesa znów drgnął i tym razem wylądował na „escape”, ale Sabinie było już wszystko jedno. Wszystko wskazywało na to, że wyciągnęła z tak zwanych „akt” maksimum informacji. Oprócz tego, czego już się dowiedziała, nie było w nich nic ciekawego. Znała to z własnego doświadczenia, tak samo było w Berlinie. Zaraz po zjednoczeniu ktoś przystawił na teczce odpowiednią pieczętkę i sprawa na dwadzieścia trzy lata zniknęła w archiwum. Nie zmieniła tego nawet cyfrowa rewolucja, która przeniosła raport z kartonowego pudła na dysk komputera.

Trzy minuty później Sabina, spławiona w końcu przez swego przedszkolnego absztyfikanta, stała przed budynkiem policji i rozmyślała nad dalszym sposobem postępowania.

Drugi raz tego dnia przejechała mostem przerzuconym nad cieśniną Breitling, oddzielającą Poel od stałego lądu. Rozmowa z Miroslavem Ammannem utwierdziła ją w postanowieniu, by nie

odpuszczać tej sprawy. Do dreszczyku emocji związanego z tym, że znów może prowadzić śledztwo w terenie, doszła chęć pokazania zarozumiałemu nadkomisarzowi, gdzie jego miejsce. O ile doskonale rozumiała problemy związane z brakami osobowymi i szczególną sytuacją w lecie 1990 roku, o tyle nie miała za grosz wyrozumiałości dla zadufania w sobie i niekompetencji. Błędy i zaniedbania zdarzają się od zarania dziejów i będą się zdarzać nadal. Sama popełniła mnóstwo błędów, nawet odniesioną ranę musiała, chcąc nie chcąc, złożyć na karb własnej niecierpliwości i lekkomyślności. Jeśli ktoś ponosił winę za to, co się jej przytrafiło, to tylko ona. Ale w jej oczach nie liczba błędów była miarą oceny charakteru człowieka, tylko sposób, w jaki do nich podchodził. Ćwierć wieku temu powołane do tego instytucje działały powierzchownie i niedbale, a młody człowiek, który zniknął i do tej pory się nie odnalazł, zasługiwał na coś więcej niż tylko bezduszne wrzucenie jego sprawy do kartonu z aktami.

Sabina bez przerwy wracała myślami do Juliana i skomponowanej przez niego piosenki. Tak bardzo chciałaby się mylić! Lecz jeśli Julianowi naprawdę przytrafiło się coś złego, postanowiła przynajmniej naprawić błędy i zaniechania, których policja dopuściła się w 1990 roku, tak pamiętnym dla niej samej i jej młodszej siostry. Nawet jeśli miałyby nic nie wskórać, to chciała przynajmniej stanąć przed panem Morgenrothem i z czystym sumieniem powiedzieć: „Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy”.

Zaparkowała przez wjazdem do Kaltenhusen, na skraju soczyście zielonej, bezkresnej łąki. Kiedy była w Wismarze, trochę tu popadało, dlatego nad wyspą powoli podnosiły się mgły. Obuta w zwykłe pantofle, przedzierała się przez mokrą trawę. Widać było tylko zarysy odległych zabudowań, aleję i lasek. I białe, zimne słońce na niebie. Nic więcej. Wbrew temu, co wskazywał kalendarz, pogoda sugerowała raczej początek marca niż kwiecień.

Posępną ciszę rozdarła nagle syrena mgłowa niosąca się mrocznym, ponurym tonem od strony morza. Tylko wprawne miejscowe ucho byłoby w stanie określić, skąd pochodziła: z potężnego kontenerowca, wycieczkowego parowca, szwedzkiego promu czy kutra jednego z tutejszych rybaków. Sabina, chociaż

niechętnie się do tego przed sobą przyznała, mimo tylu lat spędzonych z dala od wyspy – zarówno fizycznie, jak i duchowo – natychmiast poznała, że to rybacki kuter. W dzieciństwie często przyglądała się z brzegu, jak jej ojciec tnie wody zatoki, zmierzając w stronę otwartego morza. Często mu machała – jemu i innym rybakom ze spółdzielni, ojcom Mike’a oraz Harry’ego i Margrethe. Twardzi mężczyźni zawsze nazywali ją Sabinką, a nawet uznali za swoją maskotkę. Twierdzili, że w te dni, kiedy im macha na pożegnanie, zawsze wracają z wyjątkowo obfitym połowem. „Sabinkowe szczęście” i „Sabinkowa pogoda” – te określenia przez wiele lat funkcjonowały w języku miejscowych rybaków. Do czasu, gdy jej ojciec uznał, że jest za duża, by być rybackim talizmanem, i jej miejsce zajęła Lea. Od tej pory noga Sabiny już nigdy nie powstała na brzegu zatoki.

Syrena odezwała się znowu i po chwili odpowiedziała jej inna, bliźniaczo podobna.

Niestety, na Poel nie było już drobnych rybaków. Przez ostatnie sto lat zostali zdziesiątkowani. Dwie wielkie wojny i dwie dyktatury, upadłe monarchie, socjalizm i wolny rynek stopniowo ich wytepiły. Każde na swój sposób. Dziś rybacy byli niczym muzealny eksponat. Można ich było zobaczyć w wyświetlanych przez telewizję filmach dokumentalnych. Kilku, w tym stary Petersen, zginęło na morzu. Była to jednak piękna i heroiczna śmierć w porównaniu z tym, co spotkało pozostałych, gdy banki odmówiły im kredytów niezbędnych na modernizację kutrów.

Podmuch zimnego wiatru uderzył w Sabinę. Zapięła kurtkę i wróciła myślami do właściwych powodów swego przyjazdu na wyspę. Od czego zacząć? Jeszcze nigdy nie pracowała nad tak starą sprawą. W wydziale przestępczości zorganizowanej każda sprawa, której nie udało się wyjaśnić w ciągu kilku tygodni, była umarzana. Tam liczyło się to, co nastąpi w najbliższym czasie, myślało się o tym, żeby przejrzeć i udaremnić następny ruch handlarzy narkotyków, przemytników broni, fałszerzy i gangów złodziei samochodowych. Odkąd trafiła do obyczajówki, nie miała za bardzo do czynienia z bezpośrednimi śledztwami. Zajmowała się raczej logistyką i wsparciem dla kolegów działających w terenie.

Jeśli przyjąć hipotezę zabójstwa, wówczas nasuwało się pięć prostych pytań: kto, gdzie, kiedy, jak i dlaczego zabił Juliana? Na pytanie „kiedy” już znała odpowiedź: rodzice Juliana zgłosili jego zaginięcie pierwszego września 1990 roku, a ostatni raz widzieli go po południu trzydziestego pierwszego sierpnia. A zatem wieczorem lub nocą trzydziestego pierwszego sierpnia stało się coś strasznego. Gdzie i co? Po tylu latach trudno to będzie ustalić. Dlatego te dwa pytania powędrowały na koniec listy. Bardziej obiecująco wyglądała kwestia motywu, ponieważ za motywami kryją się historie, a historie się nie zacierają. Ludzie, mimo upływu lat, wciąż je opowiadają. Motywy i ukryte za nimi historie były jak reflektory rzucające światło na poszczególne osoby dramatu. I właśnie od tego Sabina postanowiła zacząć.

Oczywiście czysto teoretycznie można było założyć, że trzydziestego pierwszego sierpnia 1990 roku Julian został zamordowany przez zupełnie obcego człowieka. Tylko jak wtedy wytłumaczyć zniknięcie dowodu osobistego i plecaka z ubraniami? Może Julian umówił się z kimś i właśnie tam i wtedy został zamordowany? Na razie taki scenariusz wydawał się pozbawiony sensu. A może Julian wcale nie znał swego zabójcy?

Sabina przypomniała sobie zdanie wypowiedziane przed laty w policyjnej kantine przez jednego z kolegów z wydziału zabójstw: „Kiedy szukasz mordercy, zacznij od przyjaciół ofiary”. Ciekawa, zaskakująca i godna uwagi myśl.

W zasadzie Sabina nie interesowała się przyjaciółmi swej siostry, ale ponieważ często bywali w ich domu, chcąc nie chcąc wyrobiła sobie zdanie na temat każdego z członków tej paczki.

Wydobyła z zakamarków pamięci obrazy przyjaciół Lei. Mike był najstarszy w grupie, choć pewnie rządziłby paczką, nawet gdyby był najmłodszy. Kiedy miał osiem lat, ojciec pierwszy raz zabrał go na połów i Mike od tej pory z dumą opowiadał, że już pracuje. Liczył się tylko on i jego zdanie. Dopóki pozostali go szanowali, miał gdzieś, co o nim myśla.

Jeśli chodzi o Harry'ego, to Sabina była w tamtym czasie przekonana, że pójdzie w ślady ojca i zostanie rybakiem. Z natury był

raczej introwertyczny, milczący i nie rzucał się w oczy, lecz wszystko zmieniała jego przyjaźń z Mikiem. Mike tchnął w Harry'ego siłę, sprawił, że ten jakby urósł. W obecności Mike'a Harry był bardziej rozmowny, pewniejszy siebie, a czasem nawet trochę wyniosły. Jednak Sabina знаła go również z jego rodzinnego domu, gdzie we wszystkim ustępował swojej o rok młodszej siostrze.

Szorstkość Margrethe od początku imponowała Sabinie. Dziewczyna nie zabiegała o względy chłopców. Tak naprawdę spośród wszystkich członków paczki Sabina lubiła tylko Margrethe. Jacqueline była w jej oczach zbyt lalkowata, przypominała jej wymuszaną stewardesę albo Steffi, wschodnioniemiecką Barbie. Z kolei Lea to zupełnie oddzielna historia, nie przypominała ani Margrethe, ani Jacqueline. Z chłopców Sabina najbardziej lubiła Juliana i Pierre'a, przy czym jeśli chodzi o Pierre'a, to sama nie umiałaby wyjaśnić, dlaczego właściwie darzyła go sympatią. Był przecież dokładnym przeciwieństwem Margrethe: miękki i uległy jak wiejski głupek, starał się wszystkim przypodobać, we wszystkim się podporządkowywał i chwiały pod lada podmuchem wiatru. Sabina nigdy nie widziała, żeby zdobył się choćby na słowo sprzeciwu. A mimo to, chociaż nie potrafiłaby w żaden sposób uzasadnić swoich podejrzeń, nie mogła się pozbyć wrażenia, że tak naprawdę niezły z niego gagatek.

Sabina nie słyszała, żeby ktokolwiek z tej szóstki wszedł w konflikt z Julianem, który z natury unikał kłótni i szukał zgody. Jednak w przeciwieństwie do Pierre'a Julian miał w sobie coś... właściwie trudno to ubrać w słowa... jakąś wewnętrzną niezłomność i szczerłość. Miał swoje zasady. Któregoś ranka Lea z dumą opowiedziała przy śniadaniu historię o tym, jak to Mike zażądał, by Julian napisał hymn ich paczki, lecz kiedy Julian przyniósł gotową piosenkę, wydała się ona Mike'owi zbyt miękka i poetycka. Mimo to Julian stanowczo odmówił skomponowania innego hymnu. A zatem konflikt z Julianem był możliwy – o ile ktoś zażądał czegoś sprzecznego z jego przekonaniami.

Celem Sabiny była mała przystań, w której cumowały łodzie wiosłowe i w której – być może – w noc zaginięcia Juliana ktoś załadował na jedną z łódek zwłoki. Jak tu trafiły i dokąd stąd

popłynęły?

Morze było już niedaleko, najpierw jednak Sabina musiała przeciąć bukowy zagajnik. Zupełnie go nie pamiętała, choć z Kaltenhusen trudno byłoby go nie dostrzec. Wyrastał spomiędzy łąk, pól i nieodległego pasa trzciny porastających wybrzeże. Kiedy weszła pomiędzy drzewa, temperatura spadła o kilka stopni, a uparcie zalegająca między pniami mgła znacznie ograniczyła widoczność. Leciutki powiew wiatru niczym fala przyboju uderzył w szumiące listowie, lecz po chwili zapadła głęboka cisza. I w tym momencie z mgły wyłonił się mur.

Już wiedziała, gdzie jest. Kiedyś ruiny klasztoru były otoczone jedynie młodymi, sięgającymi ramion drzewkami, które z czasem wystrzeliły w niebo, kompletnie przesłaniając starą budowlę. W ciągu dwudziestu pięciu lat, które Sabina spędziła w Kaltenhusen, była tu może dziesięć, dwanaście razy – tylko po to, by wspinać się po murach i balansować na ich krawędzi niczym na linie. Najbardziej zapadły jej w pamięć pokrzywy i otarcia, którymi zwykle kończyły się ekwilibrystyczne popisy. Fakt, że Lea i jej przyjaciele spędzali tu całe dni na zabawie, odstręczał Sabinę od częstszych wizyt w tym miejscu.

Rzuciła okiem na ruiny. Pokrzywy znikły bez śladu, a ich miejsce zajął dywan równiutko przystrzyżonej trawy i koniczyny, poprządkany tu i ówdzie stokrotkami, a nawet wypielegnowanymi krzewami róż i floksami. Znalazł się też rododendron. Całość wyglądała tak, jakby otoczeniem klasztoru zajmował się profesjonalny ogrodnik.

– Czte-ery dzi-iedzińce, kiedyś to były ko-omnaty – usłyszała, po czym zza muru wyłonił się mężczyzna. – Na-ajwyższy mur ma pi-ięć metrów dwa-adzieścia pięć ce-entymetrów. Zachowało się dzi-iewięć łu-ukowatych okien plus dwa cze-ęściowo zni-iszczone. Tutaj jest re-efektarz, czyli ja-adalnia, a tam kapitularz, sa-ala zgro-omadzeń. Bu-udowę zaczęli na początku sze-esnastego wieku cy-ystersi, ale nigdy jej ni-ie dokończyli. Re-eformacja...

Nieznajomy, który nieproszony postanowił oprowadzić Sabinę, był chudym, niechlujnie ubranym mężczyzną z długimi, potarganymi włosami. Sprawiał wrażenie, jakby mieszkał w tych ruinach. Stał przed

Sabiną z głową schowaną między ramiona i przestępując z nogi na nogę, nerwowo zaciągał się papierosem. Żałosny widok. W jego spojrzeniu, nerwowo kłującym zalegającą mgłę, kryły się niepokój, rozgorączkowanie i pasja. To właśnie te oczy, jedyny przeblysłk życia w zniszczonym ciele, czyniły go naprawdę interesującym.

– Sa-abina Ma-ahler, prawda? – spytał.

Sabina stanęła jak wryta.

– Tak, skąd...

– Ra-ano przy-yпадkiem widziałem cię prze-ed domem Ma-ahlerów. Od razu cię po-oznałem. Sprze-edaaś dom?

– Niestety nie.

– A co z dzi-iałką, na której sto-oimy? Ją też chcesz sprze-edać? A może za-apomniałaś, że należy do two-ojej ro-odziny?

Rzeczywiście, Sabinie kompletnie wyleciało to z głowy. Dla niej to był jedynie kawałek bezwartościowej łąki z kilkoma drzewami i omszałymi murami.

– Harry? – spytała w końcu.

Szybko przebiegła w myśli wszystkie możliwości: Mike i Pierre odpadali ze względu na posturę i kolor włosów. Co ciekawe, czterdziestoletni mężczyzna najbardziej przypominał Juliana, który również był tyczkowaty i miał jasne, długie włosy. Harry’ego pamiętała inaczej, kiedyś był dużo bardziej postawny. Najwyraźniej potwornie schudł. Zdradziły go poobgryzane paznokcie i łapczywość, z jaką zaciągał się papierosem. No i jąkanie. Sabina przypomniała sobie, że już wtedy się jąkał, chociaż nie aż tak bardzo jak teraz.

Harry postanowił kontynuować swoją opowieść, stopniowo zbaczając na płaszczyznę rozważań filozoficznych.

– Kla-asztor od ni-iepamiętnych czasów był ru-uiną. Opuszczony przez bu-udowniczych, o-od początku był wy-ydany na pa-astwę przy-yrody. Nigdy ni-ie pełnił fu-unkcji re-eligijnej. Chy-yba że w głę-ębszym se-ensie, bo pie-ęcset lat później stał się naszym mi-iejscem zgro-omadzeń.

Spojrzenie Harry’ego błędziło po murach, łące i kwiatach.

– Nikt tu ni-igdy ni-ie mieszkał. Ale wte-edy o tym nie wie-wie-edzieliśmy. Pa-amiećtam, jak wyobrażaliśmy sobie błó-ąkające się du-

uchy zmarłych mni-ichów. Na początku trochę się ba-aliśmy. Na-awet Ma-Ma-argrethe. Kiedy tu przychodziliśmy, trzymaliśmy się razem, jak sta-ado o-owiec. Ni-iby wiedzieliśmy, że du-uchów nie ma, ale mgła, ci-iemność i szum wi-iatru... Sa-ama rozumiesz. Ze strachu chodziliśmy z Mikiem ra-azem się odlać...

Harry uśmiechnął się i na kilka chwil przeniósł do tamtego dawnego świata. Sabina nie miała pojęcia, co się z nim działo przez wszystkie te lata, ale czuła, że Harry rozpaczliwie wczepia się w te mury, bo dzieciństwo, które tu spędził, było dla niego być może jedynym szczęśliwym okresem w życiu.

Nagle obrócił się i podniósł palec wskazujący.

– Sły-yszysz?

Sabina usłyszała głucho pukanie, niezbyt daleko, ale i niezbyt blisko. Powtarzało się co kilka sekund. Pięć, sześć razy, jakby ktoś ścinał drzewo.

– To on – szepnął Harry.

– Kto?

Pochylony wymknął się z ruin. Jego widok przypomniał Sabinie dawne policyjne akcje. Pobieгла za Harrym w kierunku, skąd dochodziło stukanie.

Mgła była jak gęsta pajęczyna targana przez morski wiatr. Widoczność sięgała niespełna dziesięciu kroków, toteż Sabina kierowała się krzykiem mew, lotem kosa nad łąką, odciskami butów w miękkim, mlaskającym przy każdym kroku podłożu.

Najpierw z mgły wyłonił się drewniany pał, a zaraz potem mężczyzna walący w kołek ogromnym młotem. Sabina natychmiast rozpoznała dawnego sąsiada. Rupert Balthus prawie wcale się przez te lata nie zmienił. Już wtedy był pomarszczonym, siwym starcem o imponującej posturze.

Harry skoczył naprzód i chwycił za pał, próbując go wyrwać z ziemi, lecz starzec był szybszy i pchnął napastnika z taką siłą, że ten padł jak długi na trawę. Harry przez chwilę leżał oszołomiony, po czym zerwał się i przyjął pozycję do ataku, podczas gdy starzec ścisnął oburącz osadzony na długim trzonku młot.

Pośród mgieł długowłosi mężczyźni wyglądali jak walczący

wikingowie. W trakcie krótkiego starcia żaden z nich nie wyrzekł słowa, a i teraz obaj groźnie milczeli. Po co strzępić język, skoro obaj wiedzą, co za chwilę nastąpi?

– W porządku, panowie, dość tego – powiedziała Sabina zdecydowanym niskim głosem, stając między zwaśnionymi stronami.

– Zejdź mi z drogi – warknął Rupert Balthus. – To nie twoja sprawa.

Sabina była innego zdania.

– Niech pan odłoży młot. Nazywam się Sabina Mahler i chciałabym wiedzieć, co się tu dzieje.

Mężczyzna opuścił broń.

– To ty... – powiedział, a Sabina wyobraziła sobie film, który musiał się właśnie wyświetlić w jego głowie. Główną bohaterką była wstrętna dziewczucha pokazująca mu środkowy palec, bo skarcił ją, gdy go minęła bez słowa, prowokacyjnie nucąc pod nosem piosenkę Neny.

I ta dziewczucha chciała go dzisiaj uspokajać?!

– Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, panie Balthus. Możemy chyba spokojnie porozmawiać?

– Tu nie ma o czym gadać. To moja ziemia. – Na potwierdzenie swych słów starzec wskazał palik, do którego przytwierdzono tabliczkę z napisem: „Własność Ruperta Balthusa! Wstęp wzbroniony!”.

Sabina powoli zaczynała rozumieć, co się tu dzieje.

– Nie jesteśmy na Dzikim Zachodzie. Nie wystarczy postawić płot, by wziąć w posiadanie kawałek ziemi. Na czym pan opiera swoje...?

– Przestań pieprzyć, z łaski swojej – przerwał jej Balthus. – Udowodnij, że ta ziemia należy do ciebie, albo zjeżdżaj.

Sabina nieoczekiwanie stanęła wobec konieczności obrony ziemi, która znaczyła dla niej tyle samo, co stare ogrodowe krasnale, które jej rodzice kiedyś porzucali na rabatach dokoła domu. Gdyby stary Balthus nie był tak gburowaty i gdyby Sabina kilka minut temu nie spojrzała w roziskrzony oczy Harry’ego, gdy mówił o ruinach – kto wie? Może wzruszyłaby ramionami i bez słowa oddała ten skrawek ziemi.

– O-on chce zbu-urzyć pa-pałac! – wyjąkał Harry. – Musimy mu prze-eszkodzić.

„My?” – pomyślała Sabina. „Szybko poszło”.

– Niedługo zrównam z ziemią te żalosne ruiny – warknął Balthus.

– To przez nie straciłem swoje jedyne dziecko. Ten idiota i jego kumple zepsuli moją Jacqueline. Nawkładali jej głupstw do głowy, podburzyli przeciwko mnie. Zabrali mi ją! Palili jakieś świństwa, chlali, pieprzyli się i roili o wspaniałej przyszłości. Tak, roili! Bo co im z tego przyszło? Szkoda słów, wystarczy popatrzeć na tego nieudacznika. A reszta? Jego siostra jest głupią, tłustą krową, doktorek lowelasem, a mój zięć zapijaczonym burżujem. Nie wiem, co się stało z twoją siostrą, ale jestem pewien, że jest wciąż tak samo wyuzdana jak wtedy. Nie ma co, wspaniałe towarzystwo. Z rozkoszą zrównam z ziemią te cholerne ruiny.

– Chwileczkę, o czym pan mówi? – przerwała mu w końcu Sabina.

Jej pytanie dotyczyło i kłótni Jacqueline z ojcem, i pijaństwa Mike’a, i rzekomego wyuzdania Lei. Na gorąco nie potrafiła określić, który aspekt jest dla niej najbardziej interesujący.

Zanim jednak stary zdążył odpowiedzieć, Harry wyłonił się z mgły i jednym ruchem zerwał przytwierdzoną do palika tabliczkę. Sabina na chwilę zapomniała o obecności Harry’ego. Podobnie jak Balthus, który przez ułamek sekundy nie rozumiał chyba, co się stało, a gdy to do niego dotarło, Harry zdążył już się wycofać w bezpieczne miejsce.

– Ty cholerny sukinsynu! – wrzasnął Balthus i rzucił młotem niczym bojowym toporem. Sabina zareagowała o ułamek sekundy za późno i młot drasnął jej skroń. Padła jak długa.

Ból nie był jej obcy. Miała na koncie niezliczone stłuczenia, złamaną rękę, poważne skaleczenia oraz wybity bark, toteż znała wszystkie rodzaje bólu: rwący, kłujący, palący... Wciąż lekko zamroczone, wiedziała już, co to za rana. Namacała dłonią lewą skroń: potężny guz i rozcięcie.

W takiej sytuacji dziewięćdziesiąt procent ludzi wpadłoby w furię albo zasklepiło się w swoim bólu. Tymczasem Sabina wybuchnęła śmiechem. Przynajmniej w duchu. Czuła się jak bohaterka prowincjonalnej burleski. Jakby cofnęła się w czasie albo trafiła na plan serialu o życiu bawarskiej wsi. Berlin, Rostok, Drezno i Hamburg były na innej planecie. Wiedziała, że kiedy opowie tę historię kolegom

i przyjaciółkom w Berlinie, nikt nie uwierzy.

Stary Balthus bez cienia współczucia spojrział na nią i rzucił:

– Uważaj trochę!

Tego już było za wiele. Sabina opadła na zimną, moką trawę i wybuchnęła donośnym śmiechem.

Po chwili Balthus, mrucząc coś pod nosem, zniknął, a Harry podszedł do rannej, ściskając w rękach zdobycz. Zaczekał, aż Sabina przestanie się śmiać, po czym zbadał jej głowę i wyjąkał:

– Ki-iepsko wyglądasz.

– Nie jest tak źle – odpowiedziała niskim głosem.

– Masz głos jak Bru-uce W-willis. A może na-aprawdę jesteś Bru-uce'em W-willisem... tylko po o-operacji?

– Widzisz? Jak chcesz, potrafisz być naprawdę dowcipny! Więc dlaczego wciąż jesteś taki ponury?

Na twarzy Harry'ego malował się wyraz zadowolenia. Sabina domyśliła się, skąd ta nagła odmiana: właśnie wygrał bitwę, zdobył trofeum i zyskał sojuszniczkę, która w dodatku pomyślnie przeszła chrzest bojowy.

– Po-odobało mi się, ja-ak się śmi-iałaś.

– Pewnie stwierdziłeś, że jestem taką samą wariatką jak ty – odparła Sabina szorstkim tonem, którego miejsce zajął zaraz szeroki uśmiech.

Harry podał jej rękę i pomógł wstać.

– Cho-odź, ku-uternogo. Za-awiozę cię d-do lekarza. Po-o drodze o-opowiem ci trochę o-o sobie.

Wrzesień 2013 roku

Jacqueline dwa razy w tygodniu przemierzała na kolanach całą kuchnię, usuwając spod szafek zgromadzony brud: ledwie widoczny kleks sosu pomidorowego, rozlaną kropelkę różowego wina, plamy po wyschłej wodzie na szybie piekarnika, zabłakane kawałeczki sałaty w odpływie zlewozmywaka. Za kwadrans Margrethe miała przyjść sprzątać i Jacqueline chciała, żeby do tej pory wszystko było na błysk. Na posprzątanie wszystkich pomieszczeń potrzebowała kilku godzin, a jeśli zdarzyło się kiedyś, że się nie wyrobiła, na przykład z powodu choroby, okropnie się gryzła, co też sobie Margrethe pomyśli o niej jako o gospodyni.

Szczególną uwagę poświęcała zawsze kuchni i dwóm łazienkom. Wytrwale i z wyraźną wprawą polerowała wszystkie powierzchnie, tak że biały lakier i chromowana armatura dosłownie lśniły, a w powietrzu unosił się lekki zapach lawendowego płynu do czyszczenia. Na zakończenie raz jeszcze robiła obchód po całym mieszkaniu, celowo pozostawiając drobne niedoskonałości: odbicie dna butelki w lodówce, czyste naczynia w zmywarce czy kilka okruchów ziemi obok doniczki na parapecie w sypialni. Nie chciała, żeby Margrethe czuła się zbędna, ale też nie chciała przeciążyć jej pracę. To bowiem, co Margrethe określała mianem „czyszczenia na błysk”, w istocie dalekie było od doskonałości. Przeciwnie – czyściła wszystko powierzchownie, ledwie przecierając tu i ówdzie szmatką. A Jacqueline lubiła czystość i żeby mogła czuć się w domu komfortowo, wszystko musiało naprawdę lśnić.

Był to swoisty spacer po grani – pomiędzy dobrym samopoczuciem dawnej przyjaciółki a wymaganiami względem samej siebie i swego domu. Jacqueline zależało na tym, by obie strony były zadowolone.

Jacqueline nie bardzo wiedziała, o czym miałyby rozmawiać

z Margrethe, a przecież ludzie, którzy tak długo się znają, powinni z sobą rozmawiać. Jednak, pomijając nawet różnice pozycji społecznej, w ich relacji było zbyt wiele tematów tabu – chociażby Harry czy choroba Edith. No i wszystko, co się wiązało z pieniędzmi, a co się z nimi wiąże, widać dopiero wtedy, kiedy ma się finansowe problemy: wakacje, kino, jedzenie, kosmetyki, podróże, komputery, meble, restauracje, sprzęty domowe... Rozmowa z Margrethe była dla Jacqueline niczym wędrówka przez pole minowe.

To nieustanne balansowanie na krawędzi wywoływało tak wielki stres, że zwykle przed przyjściem Margrethe Jacqueline wyjeżdżała do Wismaru. Zapisła się na kilka kursów na uniwersytecie ludowym, wybierając je nie tylko pod kątem zainteresowań, ale również terminów. Kiedy Margrethe przychodziła sprzątać, Jacqueline miała do wyboru malowanie na jedwabiu, hiszpański, trening autohipnozy, pilates i psychologię. Z garncarstwa zrezygnowała, bo po każdych zajęciach musiała spędzić godzinę przy umywalce, by usunąć spod paznokci pozostałości gliny. Jeśli chodzi o historię sztuki, to była na tyle zaawansowana, że mogła bez trudu analizować obrazy Watteau czy Modiglianego. Kiedy nadchodziły ferie, naprzykrzała się sprzedawczyniom w butikach, przymierzając po dwadzieścia par butów, by ostatecznie wybrać jedną, wypijała niespiesznie lemoniadę i wracała do Kaltenhusen, za każdym razem targana obawą, czy aby nie zastanie jeszcze Margrethe.

Tego dnia musiała zostać w domu, co było jej absolutnie nie w smak. Sprawca tego odstępstwa od jej zwyczajów ostatecznie wyprowadził Jacqueline z równowagi, kiedy dokładnie w tej samej chwili, gdy skończyła sprzątanie, wszedł do kuchni z całą garścią chipsów.

- Jeremi, nakruszyłeś.
- No to co? Zaraz przyjdzie sprzątaczką.
- Po pierwsze ta sprzątaczką, jak ją nazwałeś, to dawna przyjaciółka twojego ojca i moja, a po drugie ona i tak ma ciężkie życie. Miej więc dla niej trochę szacunku i empatii, proszę.
- Empa... co?
- Po trzecie, nie grasuj po kuchni jak jakiś chipsowy potwór.

– Grasuj?! – Jeremi parsknął śmiechem, wyrzucając z ust chmurę wilgotnych okruchów. – Rety, powinnaś siebie posłuchać.

– A ty powinieneś popatrzeć w lustro. Skrzyżowanie włóczęgi, jak twoja matka, i mądrali, jak... – Jacqueline w ostatniej chwili zdołała się pohamować.

Jeremi uśmiechnął się krzywo.

– Nie musiałaś za niego wychodzić. To by nam oszczędziło wielu przykrości, na przykład tych obrzydliwych mebli. Ten dom wygląda jak rupieciarnia, a śmierdzi jak myjnia samochodowa.

Jacqueline poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Ten gówniarz doprowadzał ją do prawdziwej furii. Z każdym dniem było coraz gorzej. W tym momencie wystarczyło, że na nią spojrzął, a w niej wzbierała prawdziwa nienawiść. Mimo to przemogła się raz jeszcze i resztką sił zdobyła się na pojednawczy ton. Wyjęła z szafki talerz i powiedziała:

– Co prawda nie zasłużyłeś, ale zrobiłam coś, co lubisz.

– Super! Przypalone gofry!

Jacqueline zamknęła oczy.

– Tylko troszeczkę. Można zdrapać ten przypalony kawałek, widzisz?

– Nie można przypalić troszeczkę. Tak jak nie można być troszeczkę zbędnym. Albo się jest zbędnym, albo nie. Ty jesteś.

– Wstrętny gówniarz – wyrzuciła z siebie Jacqueline.

– Dziękuję. – Jeremi sięgnął po gofra, zdrapał spaleniznę i dmuchnął w dłoń, tak że czarne drobinki rozsypały się po całym blacie.

– Dość tego! – wrzasnęła Jacqueline. – Mam tego dosyć. Masz to sprzątnąć. Natychmiast!

Jacqueline zwilżyła zmywak i położyła go obok okruchów.

– Zapomnij – odparł Jeremi. – Niech to zrobi sprzątaczką.

– Weź ten zmywak!

Jeremi wziął szmatkę do ręki i cisnął ją macosze w twarz.

Jacqueline krzyknęła. Płyn do czyszczenia palił ją w oczy, tak że musiała natychmiast je przemyć. Kiedy skończyła i wytarła twarz, Jeremi już dawno zdążył ulotnić się z kuchni. Przez trzy sekundy stała

jak skamieniała, po czym wykrzyknęła imię chłopca głosem, który przypominał wybuch granatu, i wściekle wybiegła z kuchni. Znalazła Jeremiego w salonie, gdzie z szyderczym uśmiechem na twarzy stał obok średniej wielkości kartonu. Pudełko lekko się poruszyło.

– Co jest w środku? – spytała Jacqueline, lecz on tylko zachichotał.

Jej spojrzenie padło na otwarte drzwi tarasu.

– Gdzie jest Chanel? Co z nią zrobiłeś?

Jeremi wzruszył ramionami.

Nagle, jakby ktoś przekręcił przełącznik, gniew uszedł z Jacqueline. Zupełnie zapomniała o bezczelnym zachowaniu Jeremiego w kuchni i o tym, że miała go ukarać. Cała jej uwaga skupiła się na kartonie, z którego dobywał się odgłos drapania. Dopiero kiedy zbliżyła się do pudełka, spostrzegła, że wypływa z niego cienka czerwona strużka.

– Odsuń się – powiedziała i Jeremi posłusznie się cofnął.

Przerażona wyciągnęła dłonie w kierunku kartonu.

– Co... coś ty jej zrobił? – spytała drżącym głosem. Kiedy dotknęła pudełka, poczuła lekkie uderzenia, które rozdarły jej serce. – O mój Boże, kochanie, co ten potwór ci zrobił?

Jacqueline dotknęła pudełka mokrym od łez policzkiem i objęła je ramionami. Spodziewała się najgorszego. W końcu otworzyła prowizoryczną klatkę i zajrzała do środka. I wtedy z kartonu wyskoczyło coś białego. Jacqueline straciła równowagę i upadła, a jej krzyk złączył się z innym wrzaskiem. Salon wypełnił się łopotem skrzydeł.

Jeremi śmiał się jak opętany.

– Mewa! Ha, ha! I keczup. Ha, ha, ha. Nic nie zrobiłem twojemu kundlowi. Ha, ha, ha. Ha, ha, ha.

Mewa! Jacqueline, wciąż krzycząc, próbowała wstać, ale poślizgnęła się na marmurowej posadzce i upadła na wznak, boleśnie uderzając się w łokieć. Mewa przeleciała tuż nad nią.

Czuła ją. Czuła ruch powietrza. Wstrzymała oddech. Bała się otworzyć oczy.

Przeszła na czworaka kilka metrów, uderzyła głową w drzwi, chwyciła się ich, podciągnęła i w końcu stanęła na nogi. Dopiero kiedy

zatrzasnęła za sobą drzwi, nabrała powietrza i otworzyła oczy.

Śmiech Jeremiego towarzyszył jej aż do korytarza.

Nienawidziła mew! Niczego nie bała się tak, jak tych złośliwych drapieżników, które rzucają się stadem na bezbronne zwierzęta i rozdziobują pisklęta innych ptaków. Ci rozwrzeszczani padlinożercy regularnie nawiedzali ją w sennych koszmarach.

Przez kilka sekund myślała, że zdołała już otrząsnąć się z szoku.

I wtedy mewa uderzyła w drzwi. Jacqueline odskoczyła, pobiegła do kuchni i zatrzasnęła za sobą kolejne drzwi. W okrągłym lustrze na ścianie zobaczyła pobladłą twarz oblepioną kosmykami mokrych od potu włosów.

– Uspokój się – szepnęła do siebie. Musiała się zmierzyć nie tylko z mewą i przerażeniem, lecz również z tym cholernym gówniarzem, z okrucieństwem i nienawiścią w jego oczach...

Drżącymi rękoma wyjęła z szafki puszkę z zieloną herbatą zuong tseng, otworzyła ją i zajrzała do środka. Kiedy próbowała napełnić zaparzac, łyżeczka zadrżała niczym sejsmograf i połowa suszonych listków rozsypała się na blat.

Jacqueline rozpaczliwie próbowała zebrać myśli, ale czuła się tak, jakby porwała ją potężna fala, a ona na próżno próbowała sięgnąć stopami dna. I oto nagle, pośrodku tego chaosu, znalazła oparcie.

– Pierre – mruknęła. – Muszę się z nim zobaczyć.

Niespełna dziesięć minut później opuściła dom tylnym wyjściem.

Drugi raz w ciągu dwóch dni Pierre'a odwiedził ktoś z dawnej paczki. I po raz drugi gość był dosłownie kłębkim nerwów. Z Harrym i jego morderczymi fantazjami miał do czynienia dość często, ale Jacqueline odwiedzała go wyjątkowo rzadko. Woląла lekarzy, którzy przyjmują prywatnie, lekarzy, których gabinety przypominają raczej apartamenty w szykownym hotelu, z parkietem, miękkimi dywanami, fornirowymi okładzinami i fontannami. Nazwiska tych lekarzy wypowiadała z takim nabożeństwem, jak ksiądz imiona świętych. Z byle katarzem biegła na wizytę, za którą płaciła kilkaset euro, podczas gdy spray do nosa i paczka chusteczek byłyby równie skuteczne.

Kiedy w domu Pierre'a rozległ się szaleńczy dzwonek i po chwili do środka wpadła roztrzęsiona Jacqueline, gospodarz pomyślał zrazu, że przyczyną niespodziewanej wizyty jest alergia na orzeszki ziemne. Jednak objawy szoku anafilaktycznego byłyby dużo bardziej gwałtowne. Wystarczyła drobina, żeby Jacqueline nie mogła ustać na nogach, a tymczasem sama przebyła sto pięćdziesiąt metrów dzielące jej rezydencję od domu Pierre'a.

– Co się stało?

– To wstrętne chłopaczysko... – wyrzuciła z siebie Jacqueline. – Doprowadzi mnie do szaleństwa. Naprawdę.

– Rozumiem. – Pierre odetchnął z ulgą. Na szczęście okazało się, że to nic poważnego.

System nerwowy Jacqueline od jej powrotu ze Stanów był wyjątkowo wrażliwy. Najmniejszy drobiazg był w stanie wyprowadzić ją z równowagi: od brudnej natki pietruszki po ptasie guano na szybie auta. Kiedy słyszała w wiadomościach o wzroście bezrobocia, zaczynała drzeć na myśl o włamywaczach, którzy chcieliby okraść jej dom, a kiedy w wodociągu w Bielefeld pojawiła się legionella, przez godzinę puszczała gorącą wodę ze wszystkich kranów. Zamknięta w klatce swych lęków nie potrafiła się cieszyć życiem. Na widok pięknej tęczy ogarniał ją strach, że może zmoknąć.

– Rozumiem? Tylko to masz do powiedzenia? – Gniew Jacqueline skupił się na lekarzu. – Jestem systematycznie terroryzowana, a ty mówisz: „rozumiam”?

– Chłopak ma trzynaście lat i nie lubi macochy. To całkiem normalne, że chce cię wyprowadzić z równowagi. Zastanów się lepiej, jak reagować na jego prowokacje.

– Czy ja wyglądam na kogoś – z każdym kolejnym słowem Jacqueline mówiła coraz głośniej – kto przyszedł się poradzić w kwestii wychowania dzieci?

Pierre uznał, że jeszcze chwila i Jacqueline wybuchnie płaczem. Jego zdaniem była kompletnie niezrównoważona. Z tą swoją miłością do psa, rozlicznymi kursami, od aerobiku po pielęgnację roślin ozdobnych, oraz najrozmaitszymi lękami przywodziła na myśl bogatą, rozwiedzioną, samotną kobietę.

– W porządku, wejdź. – Wprowadził ją do salonu. – Co prawda jeszcze wcześniej, ale naleję ci brandy.

– Gdybym chciała się napić, skorzystałabym z barku Mike’a, ma tam więcej procentów niż ty pacjentów.

Pierre znał upodobanie Mike’a do alkoholu, toteż w duchu przyznał Jacqueline rację.

– W takim razie dam ci coś na uspokojenie.

Jacqueline chwyciła się oburącz za włosy.

– Potrzebuję czegoś mocniejszego – powiedziała błagalnie.

Pierre spojrzał w jej dzikie oczy, które do osoby pokroju Jacqueline pasowały jak nos boksera do arystokraty.

– Może filiżankę kakao? – spytał prowokacyjnie.

– Nie udawaj głupszego, niż jesteś. Wiem, że masz w domu mały zapas opiatów.

– Tak, dla Edith. Na wszelki wypadek.

– No więc to jest taki wypadek! – wrzasnęła.

– Lea jest na górze. Przebiera się. Mamy jechać na cmentarz.

Pierre wiedział, że wzmianka na temat Lei natychmiast uspokoi wzburzoną pacjentkę. Nie do wiary, ile niektórzy potrafią z siebie wykrzesać, by chronić swój wizerunek. Jacqueline pracowała nad swoją fasadą dłużej i ciężiej niż budowniczy piramidy Cheopsa i tylko przez wzgląd na tajemnicę lekarską pozwoliła sobie wobec Pierre’a na chwilę słabości. Nie od dziś przecież wiadomo, że wszelkie niedomagania i grzechy tego świata prędzej czy później trafiają do konfesjonau, gabinetu lekarskiego albo przed oblicze sędziego.

– Błagam cię, Pierre – szepnęła. Swymi lodowatymi dłońmi chwyciła go za ręce tak mocno, jakby do nich przymarzły. – Muszę coś wziąć. Muszę! Inaczej tego wszystkiego nie zniosę.

Mówiła tak jak w 2003 roku, kiedy wróciła z Hollywood. Spędziła tam prawie czternaście lat, miotając się między obsesjami na punkcie młodości, urody, figury. Musiała znosić niewyobrażalną presję sukcesu i nieustanne rozczarowania. Nie rozstawiała się z pigułkami na odchudzanie, piórkiem do wywoływania wymiotów i torebką białego proszku. Jednym słowem: przeszła całą drogę gasnącej gwiazdy. Kiedy wróciła, była wrakiem, ale Pierre po długich namowach przekonał ją

w końcu, by pozwoliła sobie pomóc i poszła na odwyk.

– Cztery miesiące temu obiecałaś mi, że ostatecznie z tym zrywasz – przypomniał jej. – A teraz chcesz się poddać? Tylko dlatego, że dokucza ci jakiś nastolatek?

Jacqueline rozpaczliwie potrząsnęła głową.

– Błagam cię, Pierre, przez wzgląd na dawne czasy.

– Przez wzgląd na dawne czasy, i nie tylko, nie dam ci morfiny.

– Chcesz, żebym sięgnęła po prochy? Wiesz, co się stanie, jak nie wezmę. Przypomnij sobie, co się wydarzyło cztery miesiące temu. Jeśli mi nie dasz morfiny i znów coś się stanie, to będzie twoja wina. A skoro mówimy o winie...

Cofnęła się kilka kroków i perfidny uśmiech na jej ustach pozwolił mu się domyślić, do czego zmierza.

– Kto mnie w ogóle w to wciągnął, co? Kto mnie wtedy, jeszcze przed zjednoczeniem, przekonywał, żebym spróbowała tego cudownego bielusieńkiego proszku? Ja pamiętam. Byliśmy w Pałacu. Był luty, mróz, ale kwitły już przebiśniegi. Powiedziałeś, że ten proszek uczyni świat ciepłym i kolorowym, a przebiśniegi zaczną dzwonić. Pomyślałam: skoro mówi to ten grzeczny, rozsądny Pierre, który nie skrzywdziłby muchy, to...

– W porządku – przerwał jej Pierre. – To był błąd. Właśnie dlatego, że wszyscy uważali mnie za grzecznego i rozsądnego, chciałem chociaż raz spróbować czegoś zakazanego.

– I wciągnąłeś w to mnie.

Jak wszyscy uzależnieni, Jacqueline potrafiła znakomicie grać na słabościach innych ludzi. Pozytywne emocje, takie jak współczucie, miłość i przyjaźń, wykorzystywała równie bezwzględnie jak wyrzuty sumienia i strach. Pierre musiał się bać Jacqueline.

– Jak chcesz – mruknął wreszcie.

W jednej chwili jej twarz rozpromienił triumfalny uśmiech. Jednak Pierre doskonale wiedział, że to uśmiech kobiety stojącej na skraju przepaści.



ziewiętnaście grobów otoczonych niskim murkiem, tak że wzrok n
D swobodnie błędzić po szerokim zielonym krajobrazie. Stojąc na małym cmentarzu w Kaltenhusen, czułam się dziwnie bezbronna. Tak jakby daleki, rozmyty horyzont, głęboka cisza i słony wiatr kryły w sobie jakieś niebezpieczeństwo.

W ciągu następnych tygodni miało przybyć pięć grobów i chociaż oczywiście nie mogłam o tym wiedzieć, na cmentarzu ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie, tak jakbym w głębi duszy skrywała zaszyfowaną informację, niejasną intuicję przestrzegającą mnie przed nadciągającą katastrofą.

W trakcie owej godziny, którą spędziłam przy grobie siostry, myślałam, że to poczucie wynika z innej, zupełnie oczywistej przyczyny. Kilka lat wcześniej Sabina za moją zgodą przystała na likwidację grobu rodziców, a teraz sama spoczęła na ich miejscu. Potrzebowałam kilku minut, by dostrzec i zrozumieć tę tragiczną symbolikę.

Zerknęłam przez ramię. Pierre cierpliwie czekał przy bramie cmentarza, zachowując pełen szacunku dystans, lecz kiedy spostrzegł, że się zachwiałam, chciał mi pospieszyć z pomocą. Dałam mu znak, że chcę jeszcze przez chwilę zostać sama.

Pierwszy raz w życiu czułam potrzebę wygadania się mojej siostrze, pojednania się z nią. Z pewnością nieprzypadkowo nastąpiło to teraz, kiedy spełnienie tego pragnienia nie było możliwe. Doprawdy powinnam była pomyśleć o tym wcześniej.

Odkąd pamiętam, byłam ulubienicą rodziców. Miałam słabość do poezji, co cieszyło moją matkę, i kochałam Poel, co napawało dumą ojca. Sabina i ja byłyśmy prawdziwymi córkami rybaka, które śmiało stawiają czoła słońcu i nieprzychylnym wiatrom – Sabina energicznie i z zaciekłością, a ja ze śmiechem. I wychodziłam na tym dużo lepiej. Ponieważ ubierałam się dziewczęco, uchodziłam nie tylko za ładniejszą z sióstr, ale też i tę, która ma lepszy gust.

Nie było to sprawiedliwe, ale sympatia i miłość rzadko idą w parze ze sprawiedliwością. Nie kocha się drugiego człowieka, bo tak jest fair. Czy to moja wina, że rodzice spełniali niemal wszystkie moje życzenia, a życzeń Sabiny nie spełniali prawie nigdy? Czy nie była poniekąd

sama sobie winna, skoro większości jej pragnień najzwyczajniej w świecie nie dało się spełnić? Mając dwanaście lat, jako jedyna dziewczyna na całej wyspie chciała się zapisać do drużyny piłkarskiej, ale gdy rodzice przyszli w tej sprawie do trenera, ten tylko popukał się w czoło. A kiedy skończyła szesnaście lat, nagle zapragnęła mieć skuter, na który w tamtych czasach trzeba było czekać bite cztery lata. Na czternaste urodziny zażyczyła sobie bilet na Igrzyska Olimpijskie w Moskwie, wraz z tygodniowym pobytem. Kompletne szaleństwo. Z drugiej strony muszę przyznać, że bardzo często bywałam wobec niej złośliwa, jak wtedy, gdy na owe czternaste urodziny podarowałam jej klipsy w kształcie kół olimpijskich.

Nie powinnam była jej prowokować. Powinnam była od czasu do czasu wysłuchać jej i postawić się na jej miejscu. A później, dużo później, nie powinnam była ignorować ręki, którą ku mnie wyciągnęła. Dopiero po śmierci stała się znowu obecna w moim życiu.

Dlaczego śmierć człowieka, do którego, odkąd pamiętam, miałam tak okropny stosunek, napełniła mnie melancholią? Czy to naprawdę tylko sentymentalizm? Bo tak nakazuje przyzwoitość? A może chciałam z nią porozmawiać tylko dlatego, że nie mogła mi się sprzeciwić? Może to zabrzmiało makabrycznie, ale psy i umarli to najlepsi słuchacze: nie oponują i bez słowa się podporządkowują. Bez trudu wygrywamy z nimi wszelkie polemiki. Kompletna bezbronność osoby, którą za życia zwalczałam lub której unikałam, napełniała mnie łagodnością i czyniła wyjątkowo łaskawą.

Nad jej grobem uświadomiłam sobie coś, co do tej pory wypierałam. Nie byłam już dzieckiem ani siostrą, nie byłam też żoną ani matką. Byłam sama, już nie miałam rodziny. Wraz z Sabina straciłam ostatnią bliską osobę. W Argentynie nikt na mnie nie czekał. Gdy o tym pomyślałam, powtórzyło się to, co dzień wcześniej, gdy wychodziłam z domu Margrethe. Nastąpił nagły przebłysk i zobaczyłam czarno-biały obraz, który po chwili znikł. Była noc, Sabina siedziała za kierownicą swojego wozu i spoglądała w moim kierunku. Na jej twarzy malowało się przerażenie i chociaż nie mogłam zobaczyć siebie, czułam tę samą grozę. Bałyśmy się.

Kiedy to było? Tuż przed wypadkiem? Co napawało nas takim

lękiem? A może ta scena nigdy się nie zdarzyła?

Czułam, że naprawdę przeżyłam tę chwilę, że obraz w mojej głowie stanowi odbicie prawdziwego zdarzenia, jest przeblyskiem wysłanym przez moją podświadomość, tak jak emocje i owo poczucie zagrożenia.

– Cześć, Leo – odezwał się ktoś za moimi plecami. Po chwili, której potrzebowałam, by otrząsnąć się z zamyślenia, rozpoznałam głos. Donośny, jasny, mocny, odrobinę za głośny – głos człowieka, który nie wie, co to fałszywa skromność, i nigdy się nie zastanawia, czy wybrał właściwy ton.

Odwróciłam się.

– Cześć, Mike.

Niegdyś krzepki młodzieniec o kanciastej twarzy marynarza i z fryzurą na jeża, dziś był zwalistym mężczyzną z tą samą kanciastą twarzą i włosami na jeża. Nie trzeba było wielkiego znawcy typów ludzkich, by stwierdzić, że jego drogi garnitur to tylko przebranie. Mike wciąż był synem rybaka i wcale tego nie ukrywał, stojąc przede mną na szeroko rozstawionych nogach.

Potem objął mnie, długo i jak na mężczyznę jego postury nadspodziewanie delikatnie. Oczywiście ucieszyłam się z tak serdecznego powitania, ale o dziwo czułam nade wszystko ogromny respekt. A nawet więcej, bo w chwili, gdy go ujrzałam, odżyła nagle gotowość do podporządkowania się, drżemiąca we mnie od tyłu lat.

Kiedyś Mike imponował mi przede wszystkim zdecydowaniem, dopiero potem siłą fizyczną. Zawsze wiedział, czego chce, i udawało mu się okazywać tę wolę całym sobą – postawą, gestem, spojrzeniem. Napawał się rolą niekwestionowanego szefa, a mimo to nigdy nie był szkolnym tyranem, dziecięcym dyktatorem czy kimś, kogo w Anglii nazywa się „bully”. W naszej paczce nie dochodziło do przepychanek, nawet wtedy, gdy chłopcy odkryli uroki płci przeciwnej. Również w szkole Mike wcale nie bił się częściej niż jego rówieśnicy. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek terroryzował słabszych, a nasze zabawy, choć bawiliśmy się na całego, nigdy nie odbywały się kosztem innych. Mike był nie tylko szefem naszej paczki, ale też głównym wodzirejem. Potrafił być niezłym kawalarzem.

Tak, to dawne czasy. Ale tak jak człowiek z wiekiem nigdy nie zapomina tego, co w dzieciństwie kochał lub czego nienawidził, tak też nie zapomina, z kim trzymał i komu się podporządkowywał.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Za co?

– Za powitanie.

Mike kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Daj spokój”.

– Pierre mówił mi, że nie pamiętasz swojej majowej wizyty.

– Mam wrażenie, jakby ktoś opuścił czarną kurtynę, a ja mam za krótkie ręce, żeby ją zerwać.

Mike się uśmiechnął.

– Cała Lea. Zawsze znajdziesz stosowny obraz. Można by wypełnić całą książkę metaforami, którymi nas zasypywałaś.

– Wyszedłby niezły zbiór cytatów – stwierdziłam autoironicznie. Mike miał rację. Przez całe życie myślałam obrazami i pewnie dlatego zajęłam się fotografią.

Mike kiwnął głową za siebie.

– Ten trzynastolatek obok Pierre’a to mój syn z pierwszego małżeństwa. Ma na imię Jeremi.

– Już się spotkaliśmy – odparłam.

Ponieważ Mike i Jacqueline pobrali się mniej więcej dziesięć lat temu, Jeremi musiał mieć jakieś trzy latka, kiedy jego rodzice się rozstali. Mike’a musiało bardzo ciągnąć do Jacqueline, skoro zostawił dla niej świeżo poślubioną żonę i syna.

– Gdzie jest Jacqueline? – spytałam.

– Została w łóżku. Znowu migrena. – Z doboru słów i tonu, jakim Mike je wypowiedział, wywnioskowałam, że takie zachowania działają mu mocno na nerwy.

Według obiegowej opinii, w sytuacji, gdy małżonkowie są tak różni charakterologicznie jak tych dwoje, istnieją tylko trzy powody, dla których mogą być razem: wielka miłość, wielkie pieniądze albo kapitalny seks. Moim zdaniem w tym przypadku w grę mógł wchodzić tylko jeden z tych trzech powodów.

– Jeremi i ja chcieliśmy potrenować na łące chwytty, ale wtedy przypadkiem zobaczyłem cię na cmentarzu. Jeremi gra w klubie

w Rostoku i ma potem trening. Specjalnie dla niego wziąłem wolne.

Spokój Mike'a i sympatia, jaką mi okazywał, w niczym nie ustępowały serdeczności Pierre'a. Cieszyłam się, że odnalazłam drugiego przyjaciela.

Poszliśmy na spacer, najpierw przez wieś, a potem wąską dróżką przez pola. Mike tłumaczył mi cierpliwie, co, gdzie i kiedy się tutaj zmieniło, co porabiali nasi starzy nauczyciele, kto wyjechał z sąsiedniej wsi, a kto umarł. Niewyraźne twarze majaczyły mi przed oczami, by po chwili rozpląnąć się w mroku. Kiedy rozmawialiśmy, Pierre i Jeremi rzucali do siebie jajowatą piłką. Chłopiec prawie zawsze ją chwycił, a jeśli nawet mu się nie udawało, to widać było, że bardzo się stara.

Kiedy weszliśmy na starą ścieżkę prowadzącą do Pałacu, zamilkliśmy na chwilę, bo pierwsze kroki na tej dróżce przywołały najbardziej osobiste wspomnienia dotyczące naszej trójki, Margrethe, Harry'ego, Jacqueline i Juliana. Wspominaliśmy dziecięcy szczebiot, mlaskanie rowerowych opon w rozmięklej ziemi, dzieloną na siedem części lemoniadę w upalne dni, strach przed osami, jednym słowem: świat naszej dziecięcej przyjaźni.

– Opowiedz mi o sobie – poprosił w końcu Mike i zapalił papierosa. – Pierre na pewno już wszystko ci o mnie powiedział.

Pierre, który wciąż szedł kilka metrów za nami, zajęty Jeremim, najwyraźniej przysłuchiwał się naszej rozmowie, bo krzyknął:

– Niestety to, co najciekawsze, podlega tajemnicy lekarskiej.

Parsknęliśmy śmiechem, a Mike rzucił Pierre'owi spojrzenie, które można by uznać za lekko karcące, choć nie do końca serio.

– Jak zostałeś przedsiębiorcą? – spytałam spontanicznie.

– Piorunem.

– Kiedy?

– W ciągu jednej nocy.

– Ależ ty jesteś rozmowny...

– No dobrze, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć...

W dziewięćdziesiątym drugim udało mi się co nieco zaoszczędzić, wziąłem kredyt i kupiłem podupadłą salę gimnastyczną w Kirchdorfie, a do tego kilka starych maszyn. Planowałem, że będę skupował

i przerabiał połowy meklemburskich rybaków. I tyle. Z początku było trochę problemów, ale potem interes się rozkręcił i tak to leci do dzisiaj. Jestem największym pracodawcą na wyspie.

Nagle przypomniałam sobie dziesiąty listopada 1989 roku, ów deszczowy dzień, kiedy zebraliśmy się w Pałacu i wykrzyczeliśmy w pochmurne niebo nasze życzenia.

Mike patrzył wtedy na każde z nas, po czym ostatni raz zaciągnął się dopalonym papierosem i wypuścił dym. Już kilka lat wcześniej za zgodą ojca zaczął palić – wtedy, gdy musiał jak dorosły pomagać na kutrze. To tam, na morzu, wyrobił sobie muskuły, nauczył się przeklinać i zahartował swoją żelazną wolę. Jego życzenia szły w zupełnie innym kierunku niż nasze.

„Chcę być panem samego siebie, zbudować coś, co będzie należeć tylko do mnie, własnymi rękami stworzyć coś, co będzie się rozwijać i rosnąć. Chcę być bogaty. Chcę mieć dom z własną plażą, czerwone, włoskie, sportowe auto, harleya-davidsona, jacht i najwcześniej za dziesięć lat czteropiętrowy tort weselny, od którego wszystkich zemdli. Najwcześniej za piętnaście lat chcę mieć dzieci, a najpóźniej na swoje trzydzieste urodziny tuzin winniczków w sosie czosnkowym”.

Słyszając ostatnie życzenie, wszyscy, włącznie z nim, uśmiechnęliśmy się, a potem wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

– Wygląda na to, że osiągnąłeś większość swoich celów – powiedziałam.

– Pamiętasz...?

– Oczywiście. Również tę część o winniczkach.

– Nadal uważam, że są ohydne. Mój jacht to na razie mała żaglówka, a czerwona bestia zamieniła się w granatowego mercedesa C-Klasse. Ale *crème de la crème*, i to dosłownie, był nasz weselny tort.

– A co z harleyem?

– Stoi w garażu. Na imię ma Gangster. Latem pruję nim po całym landzie.

Stara ścieżka ciągnąca się od wioski nagle się skończyła. Dosłownie rozplynęła się w błocie podmokłych łąk. Napełniłam płuca świeżym, pełnym minerałów bałtyckim powietrzem. Przez minutę czułam się tak szczęśliwa, jakby Mike wyliczył moje sukcesy. Było mi

naprawdę miło słyszeć, że przynajmniej jego życzenia się spełniły. W przeciwieństwie do marzeń Harry'ego i Margrethe.

Dotarliśmy do zagajnika, który własnoręcznie zasadziliśmy trzydzieści lat temu, żeby osłonić Pałac przed wzrokiem spacerowiczów.

Nadleciała piłka i Mike przystanął na chwilę, zaabsorbowany synem, podczas gdy ja zamaszyście pomaszerowałam dalej, zagłębiając się między drzewa.

Wkrótce przenikające przez gęste listowie promienie słońca odsłoniły pierwsze szczegóły. Spostrzegłam potężną ścianę, dziurę w murze i stertę kamieni. Wiatr igrał w omszałych szczelinach, odgrywając tragiczne adagio. Jakbym po latach ujrziała znajomą twarz i usłyszała głos przyjaciela. Ale nie wszystko wyglądało jak dawniej. W jednym miejscu młodej brzozie udało się wystrzelić skośnie pomiędzy cegieł i powędrować pionowo w górę. Zastanawiałam się, skąd czerpie życiowe soki i jakim cudem utrzymuje się pośród spękanych kamieni.

Kiedy tylko weszłam do Pałacu, natychmiast poczułam, że przez wszystkie lata nieobecności nosiłam to miejsce głęboko w sercu: tutejsze światło nadające murom specyficzną szarość, którą zawsze starałam się uzyskać na czarno-białych zdjęciach, grę światła i cienia, która stała się znakiem rozpoznawczym moich prac, i w końcu obraz samotnej budowli pośrodku równiny. Ta ruina stanowiła poniekąd moją artystyczną kolebkę, chociaż przez dwadzieścia lat nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Przemierzałam kolejne dziedzińce – dawne dormitorium oraz refektarz – i z uwagą wypatrywałam starych śladów: ogniska z nieomal prehistorycznych czasów, dębu, którego żołędzie służyły za amunicję podczas dziecięcych zabaw. Pachniało świeżo skoszoną trawą.

Na ostatnim, największym dziedzińcu opadły mnie szczególne wspomnienia. W marcu 1990 roku na moje osiemnaste urodziny Julian zorganizował tu piknik – tylko dla nas dwojga. Przyniósł tabliczkę taniej czekolady, butelkę piekielnie drogiego różowego wina i starusieńki magnetofon z kasetami Juliette Gréco. Tańczyliśmy przy *Parlez-moi d'amour*, a potem kochaliśmy się w trawie. Nie pierwszy,

ale ostatni raz.

W kilka chwil na nowo przeżyłam tamten dzień. Niemożliwe, że minęły dwadzieścia trzy lata! Czułam, jakby Julian był tuż obok, przy mnie – czułam jego młodą, jasną skórę, blond czuprynę łaskoczącą mnie w twarz, ciepło jego ciała... Tamtego popołudnia wzięłam polaroid i zrobiłam kilka nagich zdjęć: jemu, sobie, nam obojgu. Tyle pamiętałam. Gdzie się podziały te fotografie? Pewnie spaliłam je wraz z innymi w zlewozmywaku, gdy przechodziłam załamanie po śmierci rodziców.

– Leo!

Na dźwięk głosu, którego od wieków nie słyszałam, odwróciłam się przestraszona.

– Julian?

Byłam sama. Sprawdziłam wszystkie kąty. Nic. A jednak mogłabym przysiąc, że to był jego głos. Moje zmysły płatały mi najwyraźniej figla w miejscu, gdzie przeżyłam swą pierwszą miłość i które jak żadne inne odcisnęło się piętnem na mojej młodości. Przyłapałam się na tym, że szukam wzrokiem dowodów naszych miłosnych igraszek – choćby odcisków w trawie, co było przecież kompletnym absurdem. Zresztą pamiętałam ten dziedziniec zupełnie inaczej. Wtedy nie było tych rozłożystych jeżyn, które dziś porastały niemal ćwierć dziedzińca. Owoce były już w większości wysuszone na wiór.

– Weź się w garść – próbowałam przemówić sobie do rozsądku. Włożyłam do ust jedną z ostatnich zjadliwych jeżyn, po czym wróciłam do Pierre’a i Mike’a.

Przyjęłam spontaniczne zaproszenie Mike’a i pojechaliśmy jego wozem do Rostoku, gdzie Jeremi miał trening. Jak przystało na kibiców futbolu amerykańskiego, zjedliśmy po hot dogu. Oczywiście poplamiałam sobie bluzkę, klaskałam w niewłaściwych momentach, dopingowałam Jeremiego, kiedy gra była wstrzymana, niczego nie rozumiałam i zadawałam idiotyczne pytania. Jednym słowem: spędziłam bardzo przyjemne popołudnie.

W pewnym momencie Pierre zupełnie niepostrzeżenie położył

swoją dłoń na mojej, a ja kurczowo się w nią wczepiłam. Na tym jednak – i na całym spojrzeniu – poprzestaliśmy.

Kiedy zjawiała się Barbara, była żona Mike'a, by zabrać Jeremiego po treningu do domu, Mike nagle sobie przypomniał, że musi natychmiast wracać na Poel. Nie żeby ci dwoje byli zwaśnieni. Przeciwnie, utrzymywali wręcz przyjacielskie relacje. Moim zdaniem pierwsza żona dużo lepiej pasowała do Mike'a niż Jacqueline. Babs – bo tak się sama nazywała i tak też nadal zwracał się do niej Mike – była typem rustykalnym, tak jak on. Była postawna, nieskomplikowana i nie owijała w bawełnę. Miałam wrażenie, że Mike czuje się w jej obecności tak dobrze, że w końcu – paradoksalnie – nie może tego dłużej wytrzymać.

W drodze powrotnej początkowo był zatopiony w myślach, nieomal smutny, czego wcześniej u niego nie widywałam. Potem jednak z minuty na minutę stawał się coraz bardziej pogodny, zupełnie jakby opowiedział sobie w duchu dowcip i odegnał ponure myśli. W końcu znów był duszą towarzystwa.

– Spędzimy wieczór razem, prawda? – raczej stwierdził, niż spytał, kiedy dojeżdżaliśmy do Kaltenhusen.

Natychmiast się zgodziłam, tym samym nie pozostawiając Pierre'owi wyboru. Miałam ochotę spędzić kilka beztroskich godzin, a Mike był gwarantem dobrej zabawy. W dzieciństwie zawsze dbał o to, żebyśmy się nie nudzili. Był istną kopalnią pomysłów. Dwadzieścia lat później sprawiał wrażenie, że nic a nic się w tej materii nie zmienił. Gdy dotarliśmy do jego domu, natychmiast ruszył do baru. Drewniany kontuar w stylu staroangielskim miał charakter, czego nie mogłam powiedzieć o reszcie sprzętów, wybranych najwyraźniej przez Jacqueline. W swoim maleńkim, liczącym ledwie trzy metry długości królestwie Mike czuł się jak ryba w wodzie.

– Napijesz się burbona, Leo? A może jakiś koktajl? Babs zawsze mówiła, że jedyne, czym się różnię od pijaczyny, to umiejętność przygotowania idealnej tequila sunrise.

– I mimo to rozwiedliście się? Nie wierzę! Mówią, że idealna tequila sunrise jest fundamentem udanego małżeństwa.

Mike skrzywił się w wymuszonym uśmiechu, a ja ugryzłam się

w język. Chciałam być dowcipna, a sypnęłam sól w niezabliźnioną ranę.

Przygotowując drinki dla gości, Mike wypił pierwszego burbona i zaraz nalał sobie kolejną porcję. Ze spojrzenia Pierre'a wywnioskowałam, że to dopiero początek długiej serii, i zaczęłam mieć wątpliwości, czy postąpiłam rozsądnie, przystając na propozycję wspólnego spędzenia wieczoru. Z drugiej strony nie chciałam zostawić Mike'a samego. Chociaż nie widziałam Mike'a i Jacqueline razem, to po dzisiejszym popołudniu – i wcześniejszym spotkaniu z Jacqueline – byłam niemal stuprocentowo pewna, że nie są szczęśliwym małżeństwem. Najchętniej zapytałabym o to Mike'a wprost, lecz brakowało mi śmiałości. Mimo to chciałam poznać odpowiedź na kilka pytań.

– O co właściwie chodzi w twoim konflikcie z Harrym? – spytałam, gdy Mike podał mi kieliszek z koktajlem.

– Nie lepiej porozmawiać o czymś bardziej przyjemnym niż dwudziestoletni zatarg? Nawet kanasta jest ciekawsza od rozmowy o Harrym.

Stuknęliśmy się kieliszkami i zamoczyłam usta w swojej tequili sunrise. Musiałam przy tym wyglądać nie najlepiej, skoro Mike stwierdził:

– Rozumiem, co czujesz. Przyjeżdżasz do Kaltenhusen i wszystko wydaje ci się zupełnie obce i postawione na głowie. Poza tym i tak prędzej czy później się dowiesz. – Rzucił Pierre'owi przelotne spojrzenie. – Zanim usłyszysz inne wersje, opowiem ci swoją.

Mike nalał sobie trzecią szklaneczkę burbona. Bar chyba dawał mu duchowe oparcie niezbędne do znoszenia wszelkich trudów, bo trzymał się mocno szklanki i kontuaru. Wziął głęboki oddech i opowiedział wszystko od początku.

W lecie 1990 roku postanowili z Harrym sprzedawać polisy ubezpieczeniowe, na potęgę wykupowane w tamtym okresie przez obywateli dogorywającej NRD. Był to łatwy zarobek, dlatego postanowili, że będą się tym zajmować tak długo, aż zgromadzą kapitał niezbędny na założenie własnej firmy. Jednak Harry'emu nie szło aż tak dobrze i zawierał dużo mniej umów niż Mike. Pensja zasadnicza

była niska, gdyż większość zarobku stanowiły prowizje, więc Harry'emu ledwie wystarczało na życie. Bum ubezpieczeniowy na wschodzie trwał aż do połowy następnego roku, kiedy to poziom nasycenia rynku zrównał się z zachodnimi landami i zarobki spadły. Dla Mike'a to nie był problem, gdyż przez dwa lata sprzedał mnóstwo polis i zgromadził pokaźne oszczędności. W przeciwieństwie do Harry'ego, który nie zaoszczędził prawie nic.

– Nie mogłem na niego czekać – tłumaczył Mike. – A dokładniej: nie chciałem. Miałem pomysł, rozumiesz. Chciałem założyć własną firmę albo fabrykę, a w tamtym czasie warunki na to były wręcz idealne. Ponieważ Poel była zapóźniona strukturalnie, rząd wyasygnował pokaźne subwencje. Meklemburscy rybacy byli gotowi związać się długoterminowymi umowami z fabrykami na zachodzie. Gdybym zaczekał jeszcze rok, musiałbym zrezygnować. Dlatego zacząłem działać. Wierz mi, nie było mi łatwo. Zaproponowałem Harry'emu posadę, byłby drugą osobą w firmie. Ale wcześniej musiał odbyć służbę zastępczą w Turyngii. Ja zostałem zwolniony, bo prowadziłem firmę. Kiedy Harry wrócił, nie chciał u mnie pracować, i chociaż na wszelkie sposoby próbowałem go przekonać, efekt był wprost przeciwny. Był coraz bardziej uparty. Zaczął podburzać ludzi przeciwko mnie i mojej wytwórni. W dodatku bez przerwy ciągał mnie po sądach. Oczywiście broniłem się, zresztą z powodzeniem. Ten idiota sam sobie zniszczył życie.

Mike dopił resztę burbona i odstawił szklankę na blat tak energicznie, jakby stawiał kropkę na końcu ponurej historii.

Potem wyszedł, tłumacząc, że musi zajrzeć do Jacqueline, a ja pomyślałam: „Znowu ci się udało”.

Wprawdzie rozumiałam nieco lepiej tutejsze stosunki, ale moja ciekawość zamieniła przyjemny wieczór, na który miałam taką ochotę, w melancholijną posiadówkę.

– Nie martw się, zaraz dojdzie do siebie – powiedział Pierre, jakby czytając w moich myślach.

Jednak nie tylko to było problemem. Do tej pory zdążyłam się już spotkać ze wszystkimi przyjaciółmi – poza Julianem, rzecz jasna – i musiałam ze smutkiem skonstatować, że naszą dawną paczkę trawi

rak. Mike i Harry byli zaciekłymi wrogami, Margrethe nienawidziła Jacqueline, w małżeństwie Mike'a i Jacqueline najwyraźniej nie układało się najlepiej, Margrethe pogardzała bratem, a ja do tego wszystkiego miałam wrażenie, że również Mike i Pierre niespecjalnie za sobą przepadają. Prawie z sobą nie rozmawiali. Zwłaszcza Pierre zrobił się wyraźnie milkliwy w obecności Mike'a.

Co się tyczy Juliana, jego nieobecność i okoliczności zniknięcia wciąż nie dawały mi spokoju. Nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć, ale bez przerwy wracałam myślami do programów w rodzaju 997 czy *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie*, w których regularnie odnajdowano ciała zaginionych przed laty osób w ogródkach sąsiadów albo pod posadzkami piwnic. Raz po raz powtarzałam sobie, że Julian nie uciekłby tak po prostu pod osłoną nocy i mgły. Czułam, że to jemu przede wszystkim powinnam wiele wynagrodzić, a tymczasem wszystko wskazywało na to, że nigdy więcej go nie zobaczę. Ta świadomość wprawiała mnie w nieznośne podenerwowanie. Aby zapełnić pustkę wywołaną przez jego nieobecność, chwytalam się każdej nadziei.

– Mógłbyś się dla mnie dowiedzieć, w którym ośrodku mieszka stary pan Morgenroth? – zwróciłam się w końcu do Pierre'a.

Moja prośba chyba wcale go nie zdziwiła.

– Oczywiście.

– Dziękuję – westchnęłam. – A teraz powiedz mi, proszę, coś miłego, potrzebuję tego.

Pierre wyjął z mojej ręki koktajl, odstawił go na bok, pochylił się powoli w moją stronę i pocałował mnie delikatnie w usta.

Tak jak Pierre spodziewał się mojej prośby dotyczącej ojca Juliana, tak ja spodziewałam się tego pocałunku, choć nie w tym momencie. Prawdę mówiąc, czekałam na niego. Chociaż spotkaliśmy się zaledwie półtora dnia temu, a Pierre był starym kumplem, nie wahałam się ani chwili. Dla mnie mężczyzna, który wziął mnie w ramiona i pocałował, nie miał nic wspólnego z tamtym dawnym chłopcem – przede wszystkim z tego powodu, że wtedy czułam do niego coś zupełnie innego. Poza tym dwadzieścia trzy lata rozłąki zrodziły we mnie iluzję, że jesteśmy innymi ludźmi niż tamci chłopcy i dziewczęta z roku 1990.

Kiedy Pierre obsypał moją twarz i szyję tysiącem pocałunków, byłam gotowa zerwać z niego koszulę.

– Nie tutaj – szepnęłam ze śmiechem.

– Okej, w takim razie spływajmy.

– Nie możemy. Obiecaliśmy Mike’owi, że spędzimy z nim wieczór.

Jego odpowiedzią był drugi, jeszcze dłuższy pocałunek w usta. Nawet nie przeszło mi przez myśl, by to przerwać. Pierre był nie tylko przystojny, ale też dawał mi na wszelkie sposoby poczucie bezpieczeństwa: przekazywał mi informacje, trzymał mnie za rękę, zaoferował schronienie pod swoim dachem. Lecz żadna z tych rzeczy nie znaczyła dla mnie tyle, ile pewność, że wciąż jestem atrakcyjną kobietą. Wątpliwości targały mną nie tylko z powodu niezliczonych blizn pokrywających moje ciało, ale również z powodu wielkiej blizny przecinającej mój obraz samej siebie. Amnezja sprawiła, że stałam się sobie obca. Pamiętałam, że kiedyś byłam pewną siebie kobietą, która z powodzeniem uprawiała wymarzony zawód, mogła mieć na skinienie palca każdego mężczyznę i prowadziła fascynujące życie. Z tamtego „ja” niewiele zostało, chociaż zasadnicze fakty nie uległy zmianie. Wciąż zajmowałam się fotografią, byłam niezależna materialnie i wolna. To, co mnie spotkało, można porównać do zapisanej kartki, którą przecięto na pół i na powrót sklejonę. Treść pozostała ta sama, choć przecież kartka opowiadała teraz zupełnie inną historię.

Miłość Pierre’a trafiła w najczulszy punkt i uleczyła najbardziej bolesną z moich ran.

Nagle rozległa się muzyka, argentyńska piosenka. Mike stał przy drzwiach, przed wieżą stereo. Trudno powiedzieć, jak długo przypatrywał się mnie i Pierre’owi. Chociaż nie powiedział ani słowa, na pewno musiał coś widzieć.

– Jacqueline śpi jak dziecko – rzucił i natychmiast zmienił temat. – Leo, nauczysz mnie tanga? O ile cię znam, na pewno świetnie tańczysz, a ja jestem beznadziejnym, za to zapalonym tancerzem.

– A masz dla mnie parę nowych butów?

– Może zadowolisz się bonem podarunkowym do eleganckiego sklepu z obuwem?

– Żartujesz? Kobieta za coś takiego gotowa zabić!

Spojrzałam na Pierre'a, on zaś dał mi do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko temu, bym udzieliła Mike'owi lekcji.

Mike trzymał mnie mocno i bardzo blisko, choć nie frywolnie – aczkolwiek niewiele brakowało.

– Chciałbym cię spytać o coś jeszcze, Leo – zagadnął. – Miałabyś ochotę przygotować wystawę o Poel? Najpierw w naszym domu gminnym, a potem w Wismarze? Chętnie to załatwię, nie ma problemu.

Rzucona od niechcienia propozycja była dla mnie swoistym dopełnieniem procesu odzyskiwania poczucia własnej wartości. Pierre przywrócił mi pewność, że jestem atrakcyjną kobietą, a Mike tego samego wieczoru zaproponował mi zawodowy comeback. Może to brzmi dziwnie, ale propozycja przygotowania prowincjonalnej wystawy była dla mnie prawdziwą nobilitacją. Przecież wystawiałam już w Paryżu, Rio i Nowym Jorku. A jednak tamte wystawy były dziełem dawnej Lei – Lei Hernández, która w maju 2013 roku poniekąd zginęła w wypadku. Nie wyrobiłam sobie jeszcze marki jako Lea Mahler, dlatego potraktowałam propozycję Mike'a jak szansę, a zarazem wyzwanie, chociaż nie miałam jeszcze pojęcia, dokąd mnie to przedsięwzięcie zaprowadzi. Z drugiej strony miałam nadzieję, że praca oderwie mnie od ponurych myśli i bólu po stracie dziecka.

Z radości aż rzuciłam się Mike'owi na szyję.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję! – wykrzyknęłam mu prosto w ucho, ściskając go niemiłosiernie. Przypomniałam sobie, że patrzy na nas Pierre, i nieco poluzowałam uścisk. – Powiedz, to naprawdę takie proste? – spytałam. – Nie potrzeba zgody burmistrza, rady i tak dalej?

– Zostaw to mnie. Skoro mówię, że się da, to znaczy, że się da. To co, wernisaż za dwa, trzy tygodnie?

– Tak szybko? Muszę się przygotować. Potrzebuję co najmniej trzech tygodni.

Poel, moja rodzinna wyspa. Jak podejść do tego tematu? Jako pejzażystka? A może lepsze będą portrety? Oczywiście czarno-białe.

To, że nowy projekt tak bardzo mnie pochłonał, wiązało się również z przeżyciem sprzed prawie dwudziestu czterech lat, kiedy to

podczas wieczoru życzeń w Pałacu mówiliśmy o naszej przyszłości.

„Chcę dożyć swych dni razem z miłością mojego życia. Chcę wierności. I dzieci. Chcę też być fotografem, pokazywać świat tak, jak go widzę. Chcę pokazywać ludziom swoje wizje, niezależnie od nacisków, bez cenzury i bez wstydu. Chcę szokować, zachwycać, fascynować, zasmucać, intrygować. Chcę ucieleśniać wartości i idee, utrwać chwile, do końca swych dni. Chcę mieć wystawę na Poel”.

Ostatnie życzenie wywołało salwę śmiechu. Wielkie słowa o miłości, świecie i życiu, a potem wystawa na Poel. Tak, taka była ta siedemnastoletnia Lea: w marzeniach i słowach poetka, a w życiu zupełnie zwyczajna i twardo stąpająca po ziemi. I wciąż taka byłam. Nie przeżyłam wielkiej miłości ani nigdy nie zrealizowałam wielkich marzeń o sztuce.

Dopiero we wrześniu 2013 roku marzenia Lei Mahler znów doszły do głosu.

Nie byłam w stanie skupić się na tańcu, który szybko zamienił się w kompletne wygłupy. Winne były moja tequila sunrise i burbon Mike'a oraz nasze wspólne pragnienie spędzenia tego wieczoru z dala od trosk. Raz po raz któreś z nas mówiło albo robiło coś, co wywoływało gromki śmiech pozostałych. Po chwili wciągnęłam w zabawę również Pierre'a, poszerzając zaimprovizowany kurs o inne tańce. Zgromadzona przez Mike'a kolekcja płyt obejmowała siedemdziesiąt lat muzyki rozrywkowej – zarówno przykłady kiczu, jak i cudownie sentymentalne utwory.

W końcu, tańcząc sirtaki, potknęliśmy się i padliśmy na podłogę. Byliśmy wykończeni. Leżeliśmy, zrywając boki ze śmiechu, i dopiero po jakiejś minucie zdołaliśmy się opanować. Przez tę minutę znów byłam dzieckiem. Przez kilka chwil wydawało mi się, że nie ma rzeczy niemożliwych, że zwaśnieni mogą się pojednać, chorzy wyzdrowieć, a nieobecni wrócić. Że wczoraj nie ma znaczenia, a pojutrze jest bardzo daleko. I że świat został stworzony tylko dla mnie i tych, których kocham. Przez kilka cudownych chwil śmialiśmy się – nie we troje, ale w siedmioro. Kiedy śmiech umilkł i otworzyłam oczy, leżałam między Pierre'em a Mikiem. Zdumiona spostrzegłam, jak wymieniają nade mną długie spojrzenie.

Było już po północy, kiedy poczłapaliśmy z Pierre'em z powrotem do jego domu. Oczywiście uwiesiłam się na jego ramieniu. Nie mieliśmy jeszcze czasu porozmawiać o erotycznym incydencie, do którego doszło między nami. Przez kilka ostatnich godzin słuchaliśmy starych płyt Mike'a, zjedliśmy odgrzaną w piekarniku mrożoną pizzę i wymienialiśmy się anegdotami. Mike rozochocił się do tego stopnia, że nie chciał nas wypuścić z domu. Mnie zaś druga szklaneczka tequili sunrise oraz pink gin mocno szumiały w głowie, bo zwykle nie pijam zbyt wiele alkoholu, a po wypadku, ma się rozumieć, musiałam z niego całkiem zrezygnować. Pierre natomiast wszedł w rolę, którą znałam z czasów naszej młodości. Co prawda uczestniczył w zabawie, ale sam nie przejawiał większej inicjatywy, przynajmniej od chwili pocałunku.

– Podobało ci się? – spytał w drodze do domu.

– Nawet bardzo. Szkoda tylko, że nie dołączyła do nas Jacqueline. Byliśmy bardzo głośno, musiała nas słyszeć.

Pierre nie skomentował ostatniej uwagi.

– Nie wydaje mi się, żeby się z nami dobrze bawiła. Jacqueline bardzo się zmieniła.

Uśmiechnęłam się.

– Nie tylko ona.

Pierre wiedział oczywiście, do czego piję, ale na jego twarzy pojawił się tylko uśmiech skromnego, zawstydzonego casanovy. Uśmiech, którym od samego początku mnie uwiódł.

– Tak czy siak – kontynuowałam – spędziłam wieczór z dwójką ludzi, którzy najbardziej się cieszą z mojego przyjazdu. Harry kompletnie ześwirował, a Margrethe ma na głowie inne sprawy. Z początku myślałam, że Mike trochę spowaźniał, ale wieczorem okazało się, że jest jeszcze zabawniejszy niż kiedyś.

– Tak, po pięciu burbonach potrafi być duszą towarzystwa – odparł Pierre. Co ciekawe, choć słowa te można było odebrać jako złośliwy przytyk, w jego głosie nie było nuty sarkazmu.

– Owszem, sporo wypił – zgodziłam się. – Ale ma mocną głowę.

– Jak każdy, kto tyle pije.

Bronienie alkoholu przed zarzutami lekarza ogólnego byłoby

równie bezsensowne jak namawianie dermatologa na urlop na Wyspach Kanaryjskich albo ortopedy na buty Louboutina.

– Jakie masz plany na jutro? – spytał Pierre, zrećtnie zmieniając drażliwy temat.

– Ho, gdybym to ja wiedziała. W nocy na pewno nie zmrużę oka, muszę przecież pomyśleć, jak się zabrać do przygotowania wystawy. Ale najpierw muszę kupić nowy sprzęt.

Pierre ani słowem nie skomentował propozycji Mike'a. Wyraźnie wyczuwałam, że z sobą rywalizują. Tylko o co? Mike był żonaty i w ogóle mnie nie interesował.

– Poza tym – dodałam – chcę porozmawiać ze starym Balthusem o działce, na której stoi Pałac. W zależności od rezultatu albo wejść na strych i tam, w kurzu i w towarzystwie pajaków i robali, będę szukać jakiegoś zapleśniałego dokumentu, albo przejdę się po naszej pięknej zielonej wyspie w poszukiwaniu tematów na wystawę. Zgadnij, co bym wolała.

Pierre się uśmiechnął, a ja położyłam głowę na jego ramieniu.

– Z przyjemnością dotrzymałbym ci towarzystwa, ale przesunąłem wszystkie dzisiejsze wizyty na jutro, żeby spędzić dzień z tobą. Wierz mi, nie było łatwo. Powiedziałem, że jestem chory, i moja sekretarka oczekuje teraz ode mnie rewanżu. Jeśli odwołam jutrzejsze wizyty, złożę wymówienie.

Moje pełne wdzięczności spojrzenie pogłębiło naszą bliskość.

– Czy mój zapracowany wiejski lekarz ma w planie wizytę u Edith? – spytałam.

– Tak, mam do niej zajrzeć.

– W takim razie możemy się umówić u Petersenów. Mam wyrzuty sumienia, że dziś jej nie odwiedziłam.

Dlaczego zaczęłam mówić o Edith Petersen? To nie był temat na rozmowę pod rozgwieżdżonym niebem. Pewnie dlatego, że nadal nie dawała mi spokoju wygłoszona przez nią dramatyczna przestroga, a do tego zdążyłam się już poniekąd uzależnić od rad Pierre'a, który zawsze wiedział, co odpowiedzieć.

– Mimo to – kontynuowałam – wolałabym nie zostawać z nią sama. Jest jakaś dziwna.

– To nic nowego, zawsze taka była. – Pierre najpierw się uśmiechnął, ale szybko spostrzegł moją powagę i przystanął. – Stało się coś?

Zastanawiałam się gorączkowo, czy powinnam mu opowiedzieć o rozmowie z Edith. Wtedy byłam mocno wystraszona i postanowiłam milczeć, lecz z czasem doszłam do wniosku, że staruszce zwyczajnie pomieszało się w głowie. Poza tym Pierre stał mi się tak bliski jak żaden inny człowiek, przynajmniej od czasu wypadku. Cztery miesiące w szpitalu oraz amnezja i jej skutki zrodziły we mnie wielki głód bliskości. Czułam potrzebę zwierzenia się. Skrywanie tajemnic było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę. Dlatego niemal dosłownie powtórzyłam wszystko, co powiedziała mi Edith.

Pierre zamyślił się na chwilę, po czym rzekł:

– Pewnie miała na myśli starego Balthusa. On jest naprawdę napalony na ten kawałek ziemi, a sama wiesz, jak Edith go nienawidzi. Z drugiej strony, gdyby o to chodziło, nie musiałaby zostawać z tobą sam na sam.

– Właśnie. Edith naprawdę mnie wystraszyła. Zastanawiałam się nawet przez chwilę, czy jej nie posłuchać i nie wyjechać z wyspy. Co o tym sądzisz?

– Uwierz mi, niczego tak nie pragnę, jak widzieć cię żywą... i blisko mnie.

– Proszę mi wierzyć, doktorze, że w pełni podzielałam to pragnienie.
– Uśmiechnęłam się. Kamień spadł mi z serca. Zwierzyłam się Pierre'owi i od tej pory mogłam z nim otwarcie o wszystkim rozmawiać.

– Jeśli chcesz, mogę ją jutro wysondować – zaproponował, a ja kiwnęłam głową. – W zależności od tego, co się okaże, będziesz mogła zdecydować, czy chcesz ją jeszcze odwiedzić.

Dotarliśmy przed dom i Pierre wręczył mi klucz.

– Możesz go od razu wypróbować.

– Wszystkim gościom tak szybko dajesz klucze do domu?

– Przeciwnie, jesteś pierwsza.

Otworzyłam drzwi.

– Chciałabym wierzyć.

Weszliśmy do środka i stanęliśmy wobec pytania, na które zwykle muszą odpowiedzieć ludzie, którzy właśnie zamieszkali pod jednym dachem: czy mamy się udać do jednej sypialni, czy każde powinno pozełgować do własnego łóżka?

Gdyby Pierre znów mnie pocałował, wziął za rękę i pociągnął łagodnie za sobą, poszłabym bez wahania, chociaż byłam śmiertelnie zmęczona.

Lecz on tego nie zrobił.

– Pewnie jesteś skonana.

Kiwnęłam głową.

– Nie ma nic piękniejszego od wspomnień. Ale wspomnienia są też strasznie męczące – powiedziałam.

– To samo można powiedzieć o zakochaniu – szepnął mi w ucho. – Dobranoc, Leo.

– Dobranoc.

W środku nocy zbudził mnie dziwny hałas, jakby ktoś wołał moje imię.

– Pierre? – wymamrotałam w ciemności.

Pstryknęłam lampkę nocną, ale w pokoju nie było nikogo prócz mnie. Wyłączyłam światło i opadłam na poduszkę. W sypialni robiło się to jaśniej, to ciemniej, w zależności od chmur, które sunąc po niebie, przesłaniały tarczę księżyca. Po ścianie wędrowały cienie gałęzi próbujących mnie uderzyć lub pochwycić. Jak małe dziecko naciągnęłam kołdrę na głowę. Bez powodzenia próbowałam sobie przypomnieć, co mi się śniło. Kilka razy coś mi zaczynało majaczyć, ale ilekroć chciałam wyostrzyć rozmazany obraz, ten znikał. To samo dotyczyło głosu, który co prawda skądś znałam, ale nie potrafiłam go zidentyfikować. Brzmiał delikatnie, jakby miał się za chwilę załamać, i wyraźnie wyczuwałam w nim lęk. Nie potrafiłam nawet określić, czy był męski, czy żeński. A może to był mój głos? Może wzywałam pomocy? A może mi się zwyczajnie przyśnił?

Wzdrygnęłam się, kiedy podmuch wiatru uderzył w szybę. Okno przypominało duży bulaj: było okrągłe, podwójne i zamknięte na stałe. Kiedy padało przez nie światło księżyca, przypominało reflektor,

a kiedy nadciągała chmura, zamieniało się w czarną dziurę. Wpatrywałam się w nie przez dłuższą chwilę. Byłam naprawdę skonana i chciałam w końcu zasnąć, ale zarazem czułam nieokreślony lęk. W końcu odrzuciłam kołdrę i postawiłam jedną stopę na podłodze. W pierwszym momencie poczułam nieodpartą pokusę, by podejść do okna, ale właśnie ten zagadkowy przymus szybko dał mi do myślenia. Niezdecydowana zostałam w tej niewygodnej pozycji, aż w końcu dotarła do mnie absurdalność sytuacji i zbuntowałam się przeciw paraliżującym mnie lękom. W chwili, gdy wstałam z łóżka, okno znów się zaciemniło. Mimo to nie włączyłam lampki, pomna, że stojąc w nocy w jasno oświetlonym pomieszczeniu, nie można zobaczyć tego, co jest za oknem, za to z zewnątrz dokładnie widać pokój. Nagle poczułam się obserwowana i niespokojnie omiotłam spojrzeniem sypialnię.

Kiedy stanęłam w końcu przy oknie, spostrzegłam jedynie dalekie, słabo rozświetlone punkciki, prawdopodobnie światła pozycyjne płynącego w ciemności frachtowca. Podmuchy wiatru poruszały rosnącymi w ogrodzie krzewami, które dziko wywijają długimi ramionami.

I wtedy to zauważyłam – być może dlatego, że się nie poruszało.

Co takiego spostrzegłam? W sumie jedynie zarys, cień, jakich wiele w taką pochmurną noc. Mógł to być pieńek po ściętym drzewie albo wielka beczka na deszczówkę. Nie, na pieńek było za wysokie, a na beczkę zbyt wąskie.

Im dłużej wpatrywałam się w cień naprzeciwko mojego okna, tym bardziej jego zarys przypominał mi ludzkie ciało. Wiedziałam jednak, że człowiek ma tendencję do dostrzegania w niewyraźnych kształtach albo tego, co chce zobaczyć, albo tego, czego się obawia, toteż byłam niemal przekonana, że fantazja płata mi figla.

Już miałam odejść od okna i wrócić do łóżka, kiedy dwie wielkie chmury nagle się rozstały i światło księżyca na kilka sekund dotarło bezpośrednio do ziemi, rozjaśniając ogród. I odzierając z tajemnicy to, co jeszcze przed chwilą było niewyraźnym konturem.

W ogrodzie stał człowiek – dokładniej: mężczyzna – i spowity w mleczną poświatę patrzył wprost w moje okno. Był szczupły i miał

jasną cerę. Jego długie blond włosy falowały na wietrze. Nagle wyprostował rękę, jakby chciał mi pomachać lub o coś błagał.

– O Boże! – wykrzyknęłam i gorączkowo próbowałam otworzyć okno, lecz nie znalazłam klamki ani haczyka. Zrozpaczona zbliżyłam twarz do szyby, osłaniając dłońmi oczy.

– Julian! – krzyknęłam, lecz jego już nie było. Księżyc zniknął za chmurą i ziemię ponownie spowiła ciemność.

Nie tracąc ani chwili, wybiegłam z pokoju. Zbiegając schodami na parter, omal nie spadłam, lecz jakimś cudem szczęśliwie dotarłam do drzwi, przekręciłam klucz i rzuciłam się biegiem dokoła domu. Gałęzie bzu siekły mnie po twarzy, potknęłam się o ostry kamień, krzew tarniny wczepił się w mój podkoszulek, lecz nic nie mogło mnie powstrzymać.

Dotarłam wreszcie do ogrodu i po omacku ruszyłam przed siebie. W miejscu, gdzie stał Julian, nie znalazłam ani pieńka, ani beczki, ani niczego, co mogłoby wyjaśniać cień, który dostrzegłam w świetle księżyca. Był tylko trawnik, który pilnie domagał się strzyżenia.

Odwrociłam się, zrobiłam kilka kroków.

Tak jak błyskawicznie zbiegłam do ogrodu, tak też nagle zdjął mnie strach. Ileż to razy w dzieciństwie wymykałam się z domu, by obserwować gwiazdy! Nie bałam się ani ciemności, ani dźwięków wywoływanych przez wiatr. Również tu, w ogrodzie Pierre'a, lęk, który poczułam, nie wynikał z fizycznego zagrożenia. Nie wywołało go spowite w ciemności otoczenie. Ten lęk pochodził z mojego wnętrza. Bałam się czegoś, czego nie potrafiłam nazwać.

Czym prędzej opuściłam ciemny, targany wiatrem ogród i tą samą drogą wróciłam do domu. Byłam przy tym tak bardzo skupiona na wąskiej ścieżce, że zupełnie się nie spostrzegłam, kiedy wpadłam w ramiona Pierre'a i przerażona zatopiłam się w nich bez reszty.

Gdyby mnie nie podtrzymał, upadłabym na hibiskus.

– Ach, to ty – westchnęłam z ulgą.

Pierre miał na sobie jedynie bokserki. Jego tors był nagi i przyjemnie ciepły.

– Toaleta jest w domu – odrzekł z uśmiechem.

Jego poczucie humoru ukoilo mój lęk.

– Wiem, myślałam... wydawało mi się, że widziałam... nieważne...

– Nie, powiedz. Co widziałaś?

Tym razem nie odważyłam się powiedzieć prawdy. Nie chciałam wyjść na histeryczkę.

– Nic takiego, naprawdę. Odezwała się we mnie fotograficzna żyłka.

Na szczęście Pierre nie drążył dalej i wróciliśmy do domu. Chociaż byłam na dworze ledwie trzy czy cztery minuty, zdążyłam zmarznąć. Miałam lodowate stopy, a na wielkim palcu znalazłam rozcięcie. Musiałam się zranić o kamień. Pierre opatrzył mnie i otulił ciepłym kocem. I znowu, jak to już zdarzyło się kilka razy, kiedy spojrzał na mnie, miałam wrażenie, że przenika mnie dosłownie na wylot, jakbym nie miała przed nim żadnych tajemnic. To wrażenie z pewnością pogłębiłoby mój niepokój, gdyby nie to, że Pierre dawał mi odczuć, że mnie lubi i akceptuje, ze wszystkimi moimi zranieniami i dziwactwami.

Podszedł do murowanego kominka i podpalił przygotowaną piramidę drewna. Z przyjemnością patrzyłam na jego spokojne ruchy, a kiedy płomienie rozjaśniły mu opaloną twarz, poczułam, jak ogarnia mnie żar. Byłam we właściwym miejscu, wszystko ułożyło się idealnie. Nawet to, że przed chwilą byłam niepewna i wystraszona, obróciło się na dobre, bo dzięki temu mogłam się przekonać, ile czułości ma w sobie Pierre. W ciągu kilku minut sprawił istny cud, uwalniając mnie od lęków i trosk. Skupiłam się całkowicie na nim i przytulnej atmosferze salonu.

Pierre otworzył argentyńskie czerwone wino, napełnił dwa eleganckie kieliszki i usiadł obok mnie. Sączyliśmy wino i właśnie pomyślałam, że chciałabym, żeby mnie objął, gdy wyciągnął rękę i zaczął się bawić moimi włosami.

Parsknęłam śmiechem.

– Zmieniłeś się.

– Mam nadzieję – odrzekł. – Nie lubiłem dawnego Pierre'a. Nie miał za grosz pewności siebie i robił wszystko, żeby się przypodobać innym. Oczywiście bez powodzenia. Powiedz szczerze, ty też nie

miałaś o nim... to znaczy o mnie... najlepszego zdania.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie miałam zdania na jego temat, ale to by go chyba nie pocieszyło.

– Myliłam się. Wszyscy myliliśmy się co do ciebie. Jako jedyny z nas skończyłeś studia, kto by pomyślał? Jesteś inteligentny, czuły...

– Zaczekaj, na wszelki wypadek nagram te twoje hymny – powiedział i oboje parsknęliśmy śmiechem.

Mnie w młodości nie brakowało pewności siebie. Większość czasu byłam zajęta własną osobą, toteż nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że Pierre może cierpieć z powodu swej słabości i nieśmiałości. Sądząc po tym, co powiedział, musiałam mu wtedy dać odczuć swoją wyższość.

Ćwierć wieku później zamieniliśmy się rolami. Jemu wiodło się znakomicie, a ja czułam się potwornie niepewna i zagubiona. A jednak Pierre nie odegrał się za dawne krzywdy. Przeciwnie, dał mi odczuć, że jestem bardziej pociągająca niż kiedykolwiek.

Od dnia wypadku spotkałam dopiero dwoje ludzi, którym potrafiłam ślepo zaufać. Pierwszą była moja terapeutka, a drugą Pierre. Z Iną Bartholdy długo rozmawiałam o swoim nienarodzonym dziecku, które straciłam cztery miesiące temu, a teraz poczułam, że Pierre również powinien się o tym dowiedzieć. Może z jego punktu widzenia nie był to najwłaściwszy moment, ale czułam, że chcę mu o tym powiedzieć, właśnie teraz. Ogień w kominku wesoło trzaskał. Pod wpływem ciepła i wypitego wina – a może również zakłopotania – nasze policzki wyraźnie się zaróżowiły. Chociaż spotkaliśmy się z Pierre'em zaledwie trzydzieści sześć godzin wcześniej, czułam, że mogę mu powiedzieć o wszystkim, o wszystkich moich smutkach i radościach. Dlatego zaczęłam w tej bajkowej scenerii mówić o dziecku, które pokochałam – a raczej poczułam, że mogłabym kochać – dopiero kiedy je straciłam. Pierre słuchał mnie, był blisko, nie naciskał, mówił tylko spojrzeniem i gestem dłoni, której dotyk od czasu do czasu czułam na swojej skórze.

– Jedenaście lat temu poroniłam. Od tej pory pragnęłam znów zajść w ciążę. Oddałabym wszystko, łącznie z fotografowaniem, byle tylko być matką. Próbowалам wszystkiego, nawet modlitwy. Myślałam

o adopcji, ale Carlos się nie zgodził. Po rozwodzie... Może również dlatego szybko nawiązałam kilka krótkich romansów. Może miałam po cichu nadzieję, że znów zajdę w ciążę. A kiedy wreszcie otrzymałam ten dar, zaraz go utraciłam. Od tej pory... Nie potrafię się pozbyć poczucia, że to była kara. Nie wiem za co ani dlaczego, ale...

Czułam, jak wzbiera we mnie gwałtowny szloch. Z trudem się opanowałam.

– Nie sądzę – odrzekł Pierre – żeby ktokolwiek mógł złożyć w ofierze bezbronne, niewinne dziecko tylko po to, żeby kogoś ukarać.

Pogładził mnie po policzku, jakby chciał otrzeć łzy, które jednak nie popłynęły z mych oczu.

– Nadałaś mu imię? – spytał.

Smutno pokręciłam głową.

– Nie ma imienia, grobu, ojca... Miało sześć tygodni, nawet nie wiadomo, czy to był chłopiec, czy dziewczynka. A jeśli chodzi o ojca, to nie mam z nim kontaktu.

– Co powiesz na Andrea? Po włosku to imię chłopca, po niemiecku dziewczynki. Może napiszesz do swojego dziecka list i włożysz go do butelki albo zakopiesz w swoim ulubionym miejscu?

Uśmiechnęłam się.

– Masz cudowne pomysły. Może naprawdę tak zrobię? Napiszę wszystko, co mi leży na sercu, i zakopię list w Pałacu?

Pierre zamknął oczy.

– Tak – powiedział i wstał dorzucić szczapę do ognia.

Kiedy z powrotem usiadł, nachylił się ku mnie i na kilka sekund nasze usta zamarły tak blisko siebie, że czuliśmy swoje oddechy. Potem bez słowa mnie pocałował, a moje serce wyrwało się ku niemu.

Powoli opadliśmy na sofę. Przycisnęłam głowę do piersi Pierre'a, odrobinę za mocno, ale czułam się w tych objęciach tak bezpieczna, jakby w jego towarzystwie nie mogło mi się przytrafić nic złego. Ostatni raz czułam się tak w ramionach Juliana. Jaka ja byłam głupia, że to wszystko zmarnowałam. Ale teraz, po długiej odysei, wróciłam. Postanowiłam, że nie popełnię drugi raz tego samego błędu. Zamknęłam oczy.

Tej nocy tylko się przytulaliśmy. A mimo to dla mnie była to jedna

z najpiękniejszych nocy w życiu.

Cztery miesiące wcześniej

Sabina siedziała na krześle niczym faraon, podczas gdy Pierre, stojąc w prawym rogu, zszywał jej głowę. Raz po raz zerkła na niego kątem oka. Choć był już po czterdziestce, na jego twarzy gościł wciąż ten sam młodzieńczy uśmiech. Drobne dłonie, którymi zszywał ranę na skroni Sabiny, pachniały migdałowym kremem, a żółta koszulka polo podkreślała równomierną opaleniznę.

– Nie ruszaj się. – Nawet gdy Pierre wypowiadał polecenie, jego głos brzmiał spokojnie i delikatnie. Pacjenci z pewnością bardzo sobie cenili tę jego cechę.

- Powiedziałem, nie ruszaj się.
- Mogę przynajmniej oddychać?
- Nie przez najbliższe trzy minuty.

Siedzenie bez ruchu zawsze przychodziło jej z trudem. Nawet kiedy czytała książkę, co nie zdarzało się często, chodziła po pokoju w tę i z powrotem. Jednak mieszkanie Pierre'a dodatkowo pogłębiało jej niepokój. Wyposażenie, mające wedle zamysłu gospodarza wprowadzać harmonię, wywoływało przeciwny wprost skutek. Subtelnie połyskujące drewno, stonowany, ziemisty odcień ścian, reprodukcje przedstawiające ogrody i nadmorskie pejzaże Moneta i Turnera, pamiątki po pradziadkach i nowoczesna, półokrągła lawendowa sofa dopasowana kolorystycznie do zasłon. Sabina wiedziała, że ten styl na pewno spodobałby się jej siostrze: feng shui plus odrobina wyspiarskiego klimatu opakowana w antropozofię. A to wszystko, ma się rozumieć, w pokrytym trzciną, bladeżółtym domu z błękitnymi okiennicami, który idealnie nadawałby się na stronę tytułową broszury reklamującej agroturystykę. W Sabinie jednak wszystko to wywołało z początku mdłości, a zaraz potem nieprzeparte pragnienie rozwieszenia na ścianach posterów AC/DC.

Nawet urodziwa przyjaciółka Pierre'a doskonale wpisywała się

w to baśniowe otoczenie. Kilka minut temu otworzyła Sabinie i Harry'emu drzwi i widząc ranę na głowie nieznajomej, zawołała: „Pierre, kochanie, masz pacjentkę”. Od tego momentu nie odezwała się ani słowem, za to stała niczym posąg na tle *Morskich róż* i z rozpromienioną twarzą przyglądała się lekarskim zabiegom.

– Przepraszam, zapomniałam, jak ma pani na imię – odezwała się Sabina niskim, chropowatym głosem.

– Tatjana – odparła trzydziestolatka, wydając z siebie pisk leżący na przeciwległym krańcu skali.

– Tatjano, czy zechciałaby się pani usunąć w bok? Wpatruję się w panią od pięciu minut i powoli zaczyna mi się kręcić w głowie.

Tatjana, z wciąż przylepionym do twarzy uśmiechem, spełniła prośbę Sabiny.

W tym samym momencie – trudno powiedzieć, czy to przez przypadek, czy celowo – Pierre wyjątkowo boleśnie wbił igłę w skórę pacjentki.

– Auć!

– Przepraszam, to moja wina – powiedział Pierre bez cienia współczucia. – Jeszcze tylko dwa szwy i kończymy.

– Jeśli to miała być dobra wiadomość, to nie chcę słyszeć złej.

– Proszę się nie ruszać!

– Cholera, właśnie ją usłyszałam.

Ponieważ Tatjana powoli znów się zbliżyła, by podziwiać chirurgiczną maestrię Pierre'a, Sabinie nie pozostało nic innego, jak cierpliwie patrzeć na młodą kobietę. Albo zamknąć oczy. Jej spojrzenie mimowolnie zawisło na głębokim dekolcie ciemnowłosej piękności, która troszeczkę przypominała Leę, a w każdym razie obraz Lei, który Sabina nosiła pod powieką. Siostry nie widziały się od blisko ćwierć wieku ani nie wysyłały sobie przez ten czas aktualnych fotografii. Sabina nigdy też nie miała w rękach albumów Lei, które podobno można było dostać w niemieckich księgarniach. Pewnie dlatego, że nigdy nie zachodziła na stoiska z książkami.

Zastanowiła się, jak też Lea może dzisiaj wyglądać. Na pewno zachowała świetną figurę, a ze swoich kruczoczarnych włosów nie zrezygnowałaby za nic w świecie. Ileż było z nimi zachodu! Lea była

naprawdę bardzo ładną dziewczyną, dużo ładniejszą od Sabiny, która w ogóle nie zwracała uwagi na swój wygląd i przez pewien czas nosiła kowbojski kapelusz, wyjątkowe szkaradzieństwo, albo typowo męską rosyjską czapę z futra, a do tego spodnie rybackie i rozczłapane sportowe buty. Bez przerwy coś wymyślała, żeby narazić się na pośmiewisko. Prowokowała wręcz kpiny, które tylko ją hartowały.

Trudno wyrazić, jak bardzo nienawidziła siostry. Z początku wcale niełatwo było nienawidzić kogoś, kogo się kocha – albo powinno kochać – ale z czasem Sabina oswoiła się z tym uczuciem i przeniosła niechęć również na innych ludzi. W zasadzie na wszystkich, którzy byli jak Lea: ładni, ujmujący, lubiani. Ludzi, którzy dostawali od życia wszystko, czego dusza zapagnie.

Przypomniawszy jej się stary Balthus i określenie, którego użył w stosunku do Lei: „wyuzdana”.

Sabina parsknęła śmiechem, jakby usłyszała świetny dowcip.

– To może być środek znieczulający, czasem tak działa – zauważył Pierre.

– Nie sądzę. Po prostu przypomniałam sobie coś zabawnego. Starego Balthusa.

– Rzadko słyszy się słowa „Balthus” i „zabawny” w jednym zdaniu – skwitował Pierre i nakleił na ranę wielki plaster. – No, gotowe.

– Dziękuję. Zanim Balthus mnie rąbnął, zdążył powiedzieć coś o Pałacu i waszej paczce. Zdaje się, że nazwał swojego zięcia moczymordą, a ciebie babiarzem. Coś w ten deseń.

Wszystkie spojrzenia skierowały się mimowolnie na Tatjanę, co prawda tylko na chwilę, ale to wystarczyło, by wprowadzić ją w zakłopotanie.

– Pójdę na górę i spakuję swoje rzeczy – pisnęła. – Już późno, a muszę jeszcze dziś jechać do Rostoku.

Sabina uznała, że Tatjana jest bardzo miłą osobką, chociaż sprawiała wrażenie, że nawet obsługa tosterka byłaby dla niej zbyt wielkim wyzwaniem.

Kiedy znalazła się poza zasięgiem ich głosów, Pierre rzekł:

– Co prawda Balthus jest prawdziwym łajdakiem i do tego idiotą, lecz nie jest głupi. Jeśli coś mówi, to tak jest.

– To dotyczy także Mike’a?

Pierre spakował instrumenty użyte podczas zabiegu i rzucił krótkie spojrzenie w kierunku Harry’ego, który przez cały czas trzymał się w cieniu i nie odezwał się ani słowem.

– Ludzie w naszym wieku potrzebują szczypty autodestrukcji, inaczej życie byłoby nudne, nie sądzisz? Jedzenie, picie, zakupy, seks... Każdy wyniszcza się na swój sposób.

– Twoja szczerość jest jak ożywcza bryza. A skoro już jesteśmy przy starym Balthusie, mógłbyś mi powiedzieć, co poróżniło go z własną córką?

– Dlaczego pytasz?

– Nie wypowiadał się o Jacqueline zbyt pochlebnie. Trochę dziwne jak na ojca, który ma tylko jedno dziecko.

– Balthus nigdy nie wybaczył Jacqueline, że wyjechała do Ameryki, by spróbować szczęścia w Hollywood. Sądzę, że uznał to za osobisty atak. Opuszczając go, Jacqueline wbiła mu sztylet prosto w serce. Kiedy wróciła, ich relacje były w opłakanym stanie, a to, że wyszła za Mike’a, nie przyczyniło się do ich poprawy.

– Kiedy chodziliście do Pałacu, piliście alkohol? A może próbowaliście czegoś mocniejszego?

Pierre zrobił się wyraźnie nerwowy.

– O co ci właściwie chodzi? Co to za pytania?

– Prawdę mówiąc, to dopiero początek, mam setki, może nawet tysiące pytań. W moim przypadku ciekawość to choroba zawodowa. Wyobraź sobie, że pracuję w berlińskiej policji.

Na potwierdzenie swych słów podsunęła Pierre’owi pod nos legitymację służbową. W takich sytuacjach ludzie reagowali dwojako: jedni zaczęli opowiadać niestworzone historie – czy to o UFO, czy o sąsiedzkim terrorze, czy prostytutkach w mieszkaniu piętro wyżej – oczekując czegoś w rodzaju pomocy albo porady. Inni znów milkli, jakby nagle zaczęli robić w duchu rachunek sumienia, doszukując się rozmaitych występków: od sfalszowanych deklaracji podatkowych, przez urwanie bocznego lusterka w aucie, aż po przeszukiwanie babcinych szuflad tuż po jej śmierci. Pierre i Harry najwyraźniej należeli do drugiej kategorii. Chociaż Sabina nawet słowem nie

napomknęła, że jej pytania mają charakter służbowy, jej pozycja zawodowa poniekąd z definicji uprawniała ją do ich zadawania. A rozmawiając z policjantem czy policjantką, człowiek zastanowi się dwa razy, zanim uchyli się od odpowiedzi.

– Mój Boże, oczywiście – przyznał w końcu Pierre, ochłonąwszy nieco. – Paliliśmy trawkę, wszyscy. Ale twarde dragi... o niczym takim nie słyszałem. – Szukając potwierdzenia, Pierre przeniósł wzrok na Harry'ego, który błyskawicznie wyświadczył mu tę przysługę.

– My-yśle, że Ba-balthus miał na myśli życie Ja-acqueline w Hollywood.

– Nie sądzę – zaproponowała Sabina. Wprawne ucho policjantki bez trudu wychwyciło, że Harry zaczął się mocniej jąkać. – Dokładnie pamiętam, co powiedział. Mówił o ruinach. I narkotykach.

Pierre potrząsnął głową.

– Dla Balthusa nawet belgijskie praliny są jak narkotyki.

– Możliwe. Ale minutę temu sam powiedziałaś, że kiedy Balthus o czymś mówi, to coś w tym musi być.

W pierwszej chwili Pierre nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu, po kilku sekundach namysłu, rzekł:

– Czego właściwie chcesz? Mam ci przysiąc, że nie braliśmy narkotyków?

Przez chwilę stali naprzeciw siebie niczym dwaj rewolwerowcy w Dodge City, którzy postanowili w końcu rozstrzygnąć zatarg. Na szczęście Tatjana rozładowała napiętą atmosferę.

– Jestem gotowa – zapiała, wróciwszy na dół, i Pierre odprowadził ją do samochodu.

Jego gwałtowna reakcja dawała do myślenia, chociaż nie musiała wcale oznaczać przyznania się do winy. Może zwyczajnie nie lubił policji i poczuł się urażony, że Sabina tak późno się ujawniła. Harry również czuł się oszukany.

– Ni-ie powiedziałaś mi, że je-esteś z po-olicji.

– Myślisz, że pierwsze, co mówię, kiedy kogoś spotykam, to: „Cześć, nazywam się Sabina Mahler i zawodowo wsadzam ludzi za kratki”? A ty? Idziesz na przyjęcie i mówisz: „Jestem grabarzem z Poel”? – Sabina mrugnęła okiem. – Jeśli tak, to nic dziwnego, że

masz na koncie dwa schrzanione małżeństwa.

Sabina wyraźnie widziała, że Harry'emu podoba się sposób, w jaki z nim rozmawia. Dawno przyzwyczał się do lekko szorstkiego tonu i dopóki rozmowa toczyła się w luźnej atmosferze, dopóty czuł się bezpiecznie. Znakomicie to rozumiała, ponieważ czuła to samo. Jej sposób wypowiedzi wykształcił się w domu, w gronie najbliższych, jako wyraz buntu przeciw rodzicom i młodszej siostrze. Dlatego mogła się na tej płaszczyźnie porozumieć z Harrym. Mało kto odważyłby się nazwać ją kuternogą, a ona nie przy każdym skwitowałaby to uśmiechem.

Rozmawiając z Harrym, kręciła się po pokoju. Pierre kazał wyburzyć niektóre ściany dawnej rybackiej chaty, dzięki czemu powstało duże, oparte na masywnych drewnianych słupach pomieszczenie. Zatrzymała się przed ogromną biblioteczką w kształcie tęczy.

Ktoś, kto znałby Pierre'a tylko powierzchownie, mógłby pomyśleć, że ma raczej płytki umysł, jak filizanka do cappuccino. Wrażenie to wynikało zapewne z jego luźnego, a mimo to szykownego stroju, równomiernej opalenizny, gibkości, zdobiących ściany obrazów z makami. Jednak biblioteczka świadczyła o tym, że żywo zajmowały go takie tematy jak historia Meklemburgii, dzieje starożytnego Egiptu, biografie Churchilla i Michała Anioła, socjologia, globalne ubóstwo i jeszcze parę kwestii. W teczce z logo organizacji charytatywnej Sabina znalazła dokumenty potwierdzające coś w rodzaju „adopcji na odległość”. Pierre wspierał finansowo hinduską dziewczynkę i filipińskiego chłopca. Poza tym znalazła mnóstwo materiałów organizacji Lekarze bez Granic, dla której Pierre kilka lat wcześniej pracował przez rok w Etiopii, a potem kolejny w Salwadorze.

– U-uważasz, że to w po-orządku, tak węszyć w cu-udzych rzeczach? – zaprotestował Harry.

– Przecież to nie rewizja. Przeglądam tylko biblioteczkę. Zresztą pierwszy raz od trzydziestu lat, stąd moja ciekawość. Co my tu mamy...?

Otworzyła album ze zdjęciami. W środku były fotografie małego Pierre'a i jego otyłych rodziców, pracowników spółdzielni rolniczej,

którzy kiedyś dbali o to, by w ojczyźnie nie zabrakło ziarna siewnego, zdjęcia z wycieczek i wakacji, z Rudaw, znad jakiegoś jeziora, z plaży nad Morzem Czarnym. Tuż obok stał drugi, wyraźnie mniejszy i niepozorny album, który jednak krył w sobie ciekawe rzeczy. Była to zbieranina kilkudziesięciu fotografii, które powstały mniej więcej w ciągu sześciu lat i miały tylko jeden temat: na wszystkich widniała Lea.

Czternastolatka siedząca na taborecie, piętnastolatka w kostiumie kąpielowym na trampolinie, z elegancko uniesionymi ramionami, gotowa do skoku. Szesnastolatka trzymająca w dłoni lody w waflu uśmiecha się kokieteryjnie prosto w obiektyw. I tak dalej, i tak dalej. Seria obrazków kończyła się radosną imprezą z okazji osiemnastych urodzin Lei. Sabina nie potrafiła określić, kto zrobił te zdjęcia, ponieważ w kilku przypadkach Pierre stał obok obiektu swej adoracji. Niektóre fotografie były pocięte, tak żeby oddzielić Leę od kogoś, kto stał obok niej. Album był jednym wielkim hołdem dla ślicznej dziewczyny i jeszcze piękniejszej młodej kobiety.

Kartkując go, Sabina uświadomiła sobie, że wtedy, przed laty, pod pokładami jej zapięklej niechęci wobec Lei kryło się coś jeszcze: zazdrość. Nie ta dobra zazdrość, która pragnie jedynie, żeby rodzice kochali ją na równi z młodszą siostrą, nie dążenie do zdobywania przyjaciół, którzy tak licznie otaczali Leę, lecz zwykła zawiść spowodowana tym, że Lea była tak czarująca, a ona, Sabina, wprost przeciwnie.

„Wyuzdana” – orzekł stary Balthus i choć wyrok nie musiał wcale mieć wiele wspólnego z prawdą, to Sabina chętnie dała mu wiarę. Kiedy chodziło o jej młodszą siostrę, stawała się innym człowiekiem – takim, którego sama nie miała ochoty znać.

– Bylibyście cudowną parą – zakpiła, kiedy Pierre wrócił i zastał ją z albumem w rękach. – Nie do wiary, że śliczny Pierre był zakochany w małej Lei i nikt niczego nie zauważył.

– A jednak – powiedział Harry, kiedy dwie minuty później stanęli z Sabiną na ulicy. Pierre grzecznie dał jej do zrozumienia, że powinna już wyjść, a ona w sumie nawet go rozumiała. Ludzie często czują

niechęć i podejrzliwość wobec tych, którzy znają ich sekrety, nawet jeśli sami się z nich zwierzyli. – Ja wie-wiedziałem.

– O czym? – spytała Sabina.

– O tym, że Pierre był za-akochany w Lei. Nie jestem głu-upi. No, może cza-czasem. Ale to wi-idziałem, ro-ozumiesz? Zawsze pa-atrzył na nią inaczej niż n-na nas. Na-awet na Ja-acqueline. A ona była na-aprawdę ładna. Inni nic nie za-auważyli, ta-ak myślę. W ka-ażdym razie nikt nic ni-ie mówił.

– A Lea, też się nie domyślała?

– Na-a pewno nie. Pierre był ni-ieśmiały, a raczej tchó-órzliwy. Bo Mike też się bu-bu-ujał w Lei. I nie był aż taki nie-eśmiały. A-adorował ją, do-ość nieporadnie. Synowie ry-ybaków nie grzeszą wra-ażliwością. Pierre nigdy by się nie po-ostawił Meike’owi, na-awet dzi-isiaj. Nasz doktorak za-achowuje neu-neutralność. Ja-ak Szwajcaria.

– Mówisz, że coś łączyło Mike’a i Leę? Niby co?

– Ni-ee sędzę. Sa-ama powiedz: Mike i Le-ea?

Sabina zwiesiła głowę.

– Marilyn Monroe też wyszła za Arthura Millera.

– Kto to jest Mi-Miller? Zresztą ni-ieważne. Ja sobie tego nie wy-yobrażam. Lea była u-uduchowiona, ro-omantyczna, liryczna. Skrzy-żowanie hrabiny z sy-yreną.

Ironia, z jaką Harry to powiedział, sprawiła, że Sabina spojrzała na niego życzliwszym okiem.

Harry był prawdziwym cudakiem. Ledwie przekroczył czterdziestkę, a wyglądał jak zdziwaczały staruszek. Do tego był tak infantylny. Sabina lubiła jednak facetów, którym otoczenie w najlepszym razie przyklejało łatkę ekscentryków, a którzy nierzadko uchodzili za zwykłych idiotów.

Tak czy siak, można było odnieść wrażenie, że Harry jako jedyny z paczki nie kochał się w Lei, przez co bardzo zyskiwał w oczach Sabiny. Mike odszedł z kwitkiem, Pierre kochał się potajemnie, a tego, który miał więcej szczęścia, porzuciła przy pierwszej okazji. Niezły wyczyn: osiemnaście lat i już trzech wielkich admiratorów, z których każdego spotkał w gruncie rzeczy ten sam los: dwóch musiało się obejść smakiem, a trzeciego rzuciła.

Sabina w całym swoim życiu miała trzech wielbicieli, a w młodości żadnego, nie licząc płaszczącego się przed nią Mirosława. Większość chłopców odstraszał jej mało dziewczęcy sposób bycia, a innych onieśmiała. I to się w zasadzie nie zmieniło. To, że nikogo nie miała, tylko po części wynikało z jej szorstkości. Choć zabrzmiałoby to dziwnie, jako że pasowałoby raczej do Lei, Sabina tak naprawdę czekała na swojego wymarzonego księcia, tego jedyne, któremu w końcu uda się sprawić, że jej serce pokona od zawsze dominujący rozsądek. W sumie przeżyła ledwie dwa lata w mniej lub bardziej zażyłych związkach, do których sama nigdy nie była całkiem przekonana, a przez resztę życia starała się robić wrażenie, że status singielki zupełnie jej nie przeszkadza.

– We-ejdziesz ze-e mną? – spytał Harry. – Byłoby miło. Margrethe też się ucieszy. Ostatnio nie mamy go-ości. Mo-ożesz u nas prze-enocować, je-eśli chcesz.

Sabina bez namysłu przyjęła zaproszenie i spędziła u Petersenów przyjemniejszy wieczór, niż się spodziewała. Spotkanie z Margrethe przebiegło w miłej atmosferze, ponieważ zawsze miały wspólny język i rozumiały się w lot. Kilka puszek piwa, butelka chianti, soczewica z mięsem i mnóstwo dosadnych miejscowych anegdot wystarczyło, by wprawić całą trójkę w dobry humor. Niestety miła atmosfera prysła w chwili, gdy Sabina wyszła. Kiedy poszła do łazienki, a potem do auta, by zabrać kilka drobiazgów, rubaszny ton, który jeszcze przed chwilą panował przy stole, ustąpił miejsca agresji i swarom. Wracając do kuchni, Sabina podsłuchiwała, jak Margrethe ruga brata, że nie raczył zrobić zakupów, ten zaś bronił się rozpaczliwym błaganiem w rodzaju: „Daj mi święty spokój”. Kiedy jednak Sabina zjawiła się w kuchni, kłótnia ustała jak nożem uciął.

W końcu, gdy późnym wieczorem Harry, już trochę podchmielony, zaczął opowiadać o swoim zatargu z Mikiem, Margrethe pożegnała się i poszła do łóżka.

– Niespecjalnie dogadujesz się z siostrą, prawda? – spytała Sabina po chwili.

– Wszy-yscy ludzie po-opełniają błędy. – Harry nie wyjaśnił, czy dalej mówi o Mike’u, czy raczej odpowiada na pytanie Sabiny. – Za-

awodzimy, mylimy się. Ale na-a jednych pa-atrzy się wtedy z uśmiechem i o-odwraca oczy, a innych trza-aska po twarzy. Ta-akie jest życie. Do-ostawałem po-o mordzie częściej niż bo-okser w ringu.

Sabina zadała sobie pytanie, dlaczego ten sponiewierany przez życie ludzki wrak tak bardzo jej imponuje. Bo łączy ich parę drobiazgów? A może chodzi o tę jego dziwną odwagę? Bo trzeba być męznym, żeby iść własną drogą na przekór pogardzie, szyderstwom i politowaniu. Z uporem odpowiadać na każdy cios. Poświęcić się czemuś, w co się wierzy, chociaż inni uważają, że to szaleństwo. Ludziom odwaga kojarzy się zwykle w kierowcami wyścigowymi, żołnierzami czy przypadkowymi przechodniami, którzy spieszą innym na ratunek. Dziwak, który broni jakiejś łąki, który kurczowo trzyma się wspomnień z dzieciństwa i poświęca życie na walkę z przetwórną rybą, zwykle uchodzi za pomyłkę. A przecież podporządkowanie się celom, które nie wzbudzają entuzjazmu otoczenia, lecz w najlepszym wypadku obojętność, wymaga tej samej, a może nawet większej odwagi. A zarazem przynosi jeszcze większe zwątpienie i rozpacz.

– Ma-argrethe uważa mnie za i-idiotę – powiedział Harry. Zrobił się bardziej rozmowny, chociaż przed każdym kolejnym zdaniem musiał się wyraźnie przemóc, tak jakby stał na krawędzi przepaści i mimo zawrotów głowy chciał skoczyć. – A dla mo-ojej matki jestem na-ajwiększym ro-ozczarowaniem. Wiem to, cho-ociaż nigdy mi tego ni-ie po-owiedziała. Nigdy zre-esztą za wiele nie ro-ozmawialiśmy... Prze-ecieź nie mogę być i-inny, niż je-estem.

Zapalił papierosa i łapczywie zaciągnął się dymem. Ta nerwowa, wręcz paniczna inhalacja była jak głuche echo: „Nie mogę być inny, niż jestem”.

– Ja też nie – odrzekła Sabina. – Kiedy myślę o tych wszystkich latach z Leą... Boże, jak myśmy z sobą walczyły! Dla nastolatek sześć lat różnicy to cała wieczność. Ja byłam tą złą, starszą, a ją nazywali „Promyczkiem”. Nie przepuściłyśmy żadnej okazji. Z każdym kolejnym dniem nienawidziłyśmy się coraz bardziej.

– Na-adal jej nie-enawidzisz?

Sabina nie była przygotowana na to pytanie, a odpowiedź nie

chciała jej przejść przez usta.

– Niestety, długa rozłąka nie pozwoliła zapomnieć o niechęci. Przeciwnie, czuję, jakbym się w niej zapiekła. Podejrzewam, że Lea czuje to samo. Ale cóż, nic nie można poradzić. Zawsze byłam tą mniej kochaną i nic tego nie zmieni.

Sabina powiedziała tylko część prawdy. Druga była taka, że miała nadzieję, iż pewnego dnia rany się zasklepią i wszelkie swary ustaną. Rozważała już nawet, czy nie zrobić pierwszego kroku. Tyle że nie miała pojęcia, na czym ten krok miałby polegać. Gdyby zatelefonowała, zapewne zaczęłyby się jąkać, a pisanie listów było domeną Lei. Zbliżenie stałoby się możliwe pod warunkiem, że Sabina odsłoniłaby swoje uczucia, a to oznaczało, że musi odłożyć tarczę i miecz i wystawić się na cios. Nawet te abstrakcyjne, pozbawione konkretnych kształtów plany wystarczyły, żeby wszystko się w niej ścisnęło.

Harry zareagował z takim opóźnieniem, jakby słowa Sabiny musiały wsączyć się w niego niczym kroplówka. Sabina widziała, jak Harry bije się z myślami. Dym został w jego płucach dłużej niż zwykle.

– O-obiecasz mi, że ni-ie oddasz zie-emi? Ani nie sprze-edasz? Będziesz wa-alczyć? – spytał w końcu. – Po-omozesz mi u-uratować Pałac?

Nie była w stanie odmówić. Dla świata te ruiny nie miały żadnej wartości, lecz dla Harry’ego były cenniejsze niż cały świat.

– Obiecuje – odparła. – Partnerze.

Kiedy Margrethe wróciła, nie wtajemniczyli jej w swoją umowę. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z „tą kupą kamieni”, jak Margrethe nazywała Pałac, wywoływało jej rozdrażnienie. Sabina poniekąd ją rozumiała. Margrethe z pewnością była sfrustrowana tym, że jej brat większość wolnego czasu poświęca ruinom, podczas gdy ona nie ma chwili wytchnienia. Mimo to jej niechęć miała w sobie taki ładunek agresji i taką wrogość, jaką darzymy miejsca, które koniecznie chcemy zapomnieć.

Wrzesień 2013 roku

Pierre ponownie został wezwany do domu Petersenów, ponieważ Edith miała silne bóle. Tym razem jednak wizyta wyglądała inaczej niż zwykle. Już przez telefon Margrethe miała zmieniony głos, jakby nagle ochrypła, a kiedy Pierre otworzył niedomknięte drzwi i wszedł do środka, jego przypuszczenia się potwierdziły. Margrethe nie krzątała się, jak to miała w zwyczaju, tylko siedziała przy stole i nerwowo paliła. Co prawda paczka papierosów leżała zawsze na kredensie obok misy z owocami, ale zwykle wystarczała na miesiąc. Tego ranka jednak popielniczka była pełna, niebieskawy dym zasnuwał kuchnię, a jego kłęby regularnie dobywały się z ust i nosa Margrethe. Zazwyczaj, kiedy nie pracowała, wyglądała na znużoną, lecz tego dnia to wrażenie było jeszcze silniejsze niż zwykle.

– Mama już czeka na ciebie – powiedziała tylko i wzrokiem dała Pierre’owi do zrozumienia, że chce zostać sama.

Staruszka leżała w łóżku, nieruchoma niczym nagrobna figura, i tylko jej oczy uważnie śledziły ruchy Pierre’a. Nie odezwała się ani słowem, nie odpowiedziała nawet na powitanie. Pierre jak zwykle wyciągnął strzykawkę ze środkiem, który miał uśmierzyć ból chorej. Edith cierpiała na reumatyzm i osteoporozę, a przykucie do łóżka spowodowało ciężkie odleżyny. Edith mówiła krótko i zwięźle: „Boli mnie noga”, „Bola mnie plecy”, „Boli mnie to i to”...

Do tej pory od razu wskazywała dolegliwość, lecz tego dnia po wejściu Pierre’a milczała, nawet wtedy, gdy przygotował już zastrzyk.

– Po południu i tak miałem zajrzeć – powiedział. – Na szczęście byłem jeszcze w domu, gdy zadzwoniła Margrethe.

Edith wciąż milczała.

– No, to gdzie boli?

Zamiast odpowiedzieć, staruszka zaczęła płakać. Każda łza była jak rozpaczliwe wołanie o pomoc.

Pierre stał bezradny przy łóżku, nie wiedząc, co powiedzieć. Znał Edith przez całe swoje życie i miał doskonałe rozeznanie, jeśli chodzi o historię choroby, w której towarzyszył jej, odkąd został lekarzem. Jednak w takim stanie, kompletnie bezradnej, nigdy jej nie widział, dlatego w pierwszej chwili odebrało mu mowę.

Przysunął krzesło, usiadł przy łóżku i przez minutę, choć wydawało mu się, że trwało to dużo dłużej, siedział z przygotowaną strzykawką w dłoni, czując na sobie spojrzenie zaczerwienionych oczu staruszki. Kiedy w końcu przemówiła, poczuł niewypowiedzianą ulgę.

– Czy Margrethe rozmawiała z tobą, doktorze Pierre?

– Nie.

– Chciałam, żeby o coś cię poprosiła, ale ona się opiera. Mówi, że chce mojego dobra, a wszystko robi na opak.

– Jest pani niesprawiedliwa – odparł Pierre, czując, jak wzbiera w nim fala rozdrażnienia, która na szczęście szybko opadła. – Margrethe poświęca dla pani życie.

– I o to właśnie chodzi. Ja tego już nie chcę. Tyle ofiar... i po co?

Lekarz nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Powiedz, doktorze Pierre, spełnisz moje życzenie?

Domyślał się, co za chwilę usłyszy. I przeczucie go nie myliło.

– Chcę umrzeć.

W obliczu takiej prośby Pierre poczuł się tak, jak poczułaby się większość ludzi – był zszokowany, przygnębiony, smutny i wściekły. Tak, wściekły, bo ludzie zwykle się cieszą, kiedy mogą spełnić prośbę, która niewiele kosztuje, lecz żywią urazę wobec tych, którzy proszą o coś niemożliwego.

– Posłuchaj, doktorze Pierre, kiedyś marzyłam o dniu, w którym skończę osiemnaście lat. Nie mogłam się tego doczekać. A teraz leżę tu stara. Jak upiór. I wydaje mi się, że minęła zaledwie chwila. Od dawna się modlę, żeby Bóg zesłał mi śmierć, ale on mści się za to, że byłam takim niedowiarkiem. Jesteś moją ostatnią deską ratunku. Lekarze są ważniejsi niż sam Pan Bóg. Nie musisz się specjalnie wysilać, i tak ledwie żyję. Niewiele brakuje, jednego przekłętego ziarenka... Margrethe i Harald też chcą, żebym umarła, chociaż przede mną i przed sobą udają, że jest inaczej.

– Ale ja – wykrzyknął Pierre gniewnie. – Ja nie chcę, żeby pani umarła!

– Nawet jeśli, to bez znaczenia.

– Złożyłem przysięgę Hipokratesa – oburzył się lekarz.

– Tę przysięgę dawno powinno się zmienić – zaproponowała energicznie Edith. – Lekarze powinni spełniać życzenia pacjentów, a nie jakiegoś martwego Greka. W Biblii napisano, że ojciec ma prawo sprzedać córkę w niewolę, wiedziałeś o tym? Że wszyscy, którzy pracują siódmego dnia, winni być zgładzeni? Że wszyscy mężczyźni, którzy golą brody, mają zostać zabici? Krew lałaby się strumieniami, nie sądzisz? Dlatego usunięto te niedorzeczne przykazania. Bo nie pasują do naszych czasów. Widzisz, doktorze Pierre, to samo powinno się zrobić z tą przeklętą przysięgą.

– Dyskutowaliśmy o tym już kilka lat temu i wtedy powiedziałem pani to samo co dziś: jestem tu po to, aby ratować życie, nie po to, by mu położyć kres.

– Przecież nie możesz mnie uratować! – krzyknęła Edith. – Możesz tylko przedłużyć moją agonię. Mam prawo umrzeć! Taka jest moja opinia.

– A moja opinia jest taka, że jest pani daleka od śmierci. W przeciwnym razie nie miałaby pani już żadnych opinii. Tym samym dyskusję uważam za zakończoną. Bardzo mnie pani zdenerwowała, Edith.

– Musisz jakoś wytrzymać... Klient nasz pan, nieprawdaż?

Pierre zdawał sobie sprawę, że jego wzburzenie nie było do końca autentyczne. Kiedy kilka lat temu Edith poprosiła go, by pomógł jej umrzeć, wszystko przygotował i ukrył na dnie jednej z szuflad. Wiedział, że Edith cierpi, a rokowania były fatalne. Jeśli śmierć nie uwolni jej od udręki, najpóźniej za dwa lata będzie jednym wielkim kłębkim bólu. Myślał o tym, ilekroć mijał tamtą szufladę. Czasami otwierał ją i patrzył na strzykawkę ze śmiertelnościami specyfikami. Jednak za każdym razem odkładał szprycę na miejsce. Zastrzyki, które dawał pacjentce, nie uśmierzały bólu na zawsze, tylko na jakiś czas.

– No więc, co panią boli?

– Wszystko! – wrzasnęła. – Wbij tę przeklętą igłę, gdzie chcesz, ty

cholerny konowale.

Na znak protestu odwróciła się plecami, a on wstrzyknął jej środek przeciwbólowy w ramię, co przyjęła bez słowa skargi. Wyglądało na to, że tego dnia nie odezwie się już do niego ani słowem, ale było mu to zupełnie obojętne.

– Lea wspomniała mi, że chciała ją pani ostrzec – powiedział, lecz Edith nawet nie drgnęła. Owinięta w kołdrę leżała odwrócona do niego plecami. – Podobno mówiła pani o śmiertelnym niebezpieczeństwie – dodał lekarz.

Brak reakcji.

– Wystraszyła ją pani.

Wciąż nic.

Pierre zamknął kuferek.

– Niech pani tego więcej nie robi, Edith. To wielkie szczęście, że Lea wróciła, i nie chcę, żeby znów wyjechała. Jeszcze nie. Może niedługo wyjadę razem z nią. Jeszcze nie wiem, zobaczymy. Dopiero się spotkaliśmy. Słyszysz mnie pani, Edith?

Ponieważ najwyraźniej nie zamierzała mu odpowiadać, Pierre otworzył drzwi pokoju. I w tym momencie, z wciąż odwróconą twarzą, powiedziała na tyle głośno, żeby mógł ją usłyszeć:

– Biedna Lea.

W kuchni Pierre wpadł na ścianę papierosowego dymu.

– Palisz po trzy naraz czy co? – rzucił do Margrethe.

Otworzył okno, a potem drzwi frontowe, by przeciąg usunął kłęby. W końcu usiadł naprzeciwko Margrethe. Między nimi stała pełna popielniczka. Zwykle proponowała mu filiżankę herbaty, ale tego ranka nic nie było jak zwykle. Kuchnię wypełniało przygnębienie – ciężkie i gęste, wręcz namacalne. Jak niebieskawy, duszący dym. Życie to bezustanna krzątanina, potem starość, zniedołężnienie i w końcu śmierć, nic więcej. W domu Petersenów nie było śladu radości ani dawnej determinacji, która pozwalała mężnie stawiać czoła przeciwnościom losu. Tak, źle się tu działo. Gdyby te ściany mogły mówić, wówczas pomieszczenie, w którym siedzieli Pierre i Margrethe, opowiedziałyby o dawnej krzątaninie, wiosennych porządkach, pracach w ogrodzie, urodzinach dzieci, dożynkach, placku

z wiśniami. Lecz tego dnia ten dom i Margrethe mogli jedynie celebrować nieubłagany upływ czasu.

Pierre zawsze dostrzegał w jej rysach siłę i upór, teraz jednak można by pomyśleć, że odpłynęła z niej cała krew. Policzki miała białe jak mozzarella, usta niedomknięte. Tego dnia Margrethe przekroczyła próg starości.

Jej małe oczy szukały jego spojrzenia, lecz on starał się umknąć przed pytaniem, które obawiał się w nich wyczytać. Dlatego wstał, podszedł do kuchni i nastawił wodę na herbatę.

Na szczęście Margrethe nie odprowadziła go wzrokiem. Zgarbiona została przy stole, spowita papierosowym dymem i półmrokiem zalegającym w domu. Martwa natura ze smutną kobietą.

Być może pierwszy raz od dawna w pełni pojęła swe godne pożalowania położenie. Możliwe też, że tego ranka Edith roztoczyła przed jej oczami obraz innego życia – życia, w którym Margrethe byłaby wreszcie wolną kobietą, a które mogło się zacząć jeszcze tego wieczoru. Pomysł musiał pochodzić od Edith. Margrethe nigdy nie przeszłaby przez głowę myśl o eutanazji, nie mówiąc o tym, że miałyby o nią prosić. Wyrzuty sumienia byłyby nie do udźwignięcia. Teraz jednak, kiedy myśl ta została głośno wypowiedziana i nie można już było jej cofnąć, wkradła się w serce Margrethe i zapuściła korzenie.

Życiowy bilans czterdziestodwuletniej kobiety wyglądał wręcz katastrofalnie. Kurczowo ścisła w dłoni każde euro, aż zaczynało krzyczeć, a mimo to ledwie wiązała koniec z końcem. Prenumerowała czasopisma ze zdjęciami wspaniałych pałaców, a sama mieszkała w domu, którego stan był doskonałym odbiciem stanu zdrowia jej matki. A do tego w jej życiu nie było praktycznie miejsca na miłość.

Kilka lat temu zwierzyła się Pierre'owi, że poznała w Wismarze niejakiego Osmana, współwłaściciela lokalu z kebabami. Poprosiła Pierre'a o kilka rad, ponieważ była zupełnie zielona w sferze miłosnej. Przez kilka dni była nie do poznania. Wprost promieniała szczęściem. Lecz Osman nie miał wobec niej szczyrych zamiarów. Zaprosił ją na przekąskę do swojego lokalu, a potem zabrał do mieszkania kumpla. Cała sprawa – w tym wypadku to chyba najlepsze określenie – zajęła dziesięć minut. Margrethe nigdy więcej go nie widziała i o ile

Pierre'owi było wiadomo, była to jej ostatnia randka.

Czasem zastanawiał się, jak Margrethe radzi sobie ze świadomością, że – z wyjątkiem jej brata – wszystkim znajomym z dawnej paczki dobrze się wiedzie. A w każdym razie nie muszą się martwić o pieniądze. Kiedy zalewał wrzątkiem herbatę, Margrethe odwróciła się w jego stronę.

– Zrobisz to?

Pierre rozlał kilka kropel, odstawił czajnik z powrotem na kuchnię i sięgnął po ścierkę.

– Zostaw to – rzuciła Margrethe. – Muszę wiedzieć: zrobisz to?

– Nie sędzę, żeby takie sprawy wypadało omawiać przy herbacie.

Margrethe gwałtownie wstała, sięgnęła po filiżankę i wylała zawartość do zlewu.

– W takim razie porozmawiamy bez herbaty. A jeśli nie pasuje ci kuchnia, możemy wyjść do ogrodu. Pytam po raz ostatni: zrobisz to, o co cię poprosiła?

Pierre zastanawiał się, co znaczą iskry w oczach Margrethe. Czy jeśli zaprzeczy, rzuci mu się do gardła? A może przeciwnie? Zależy, czego się bardziej obawiała – wyrzutów sumienia czy przyszłości, w której nigdy nic się nie zmieni.

– Margrethe... – westchnął Pierre.

Przez chwilę miotała się po kuchni, nerwowo omiatając ją wzrokiem. W końcu zatrzymała się ze spojrzeniem wbitym w podłogę.

– Czyli nie...

W jej słowach kryło się bezbrzeżne rozczarowanie. Jakby zdiagnozowano u niej nieoperacyjny nowotwór mózgu. Jakby odrzucono jej prośbę o ułaskawienie.

– Nie?

– Nie – potwierdził lekarz.

Kiedy całym ciałem pochyliła się nad kuchennym blatem, Pierre'owi przebiegło przez myśl, że Margrethe sięgnie po jeden z noży i robi sobie lub jemu coś złego.

– Uważam – dodał szybko – że lepiej będzie umieścić twoją matkę w hospicjum...

– Oboje wiemy, że się nie zgodzi. Chce umrzeć w domu, w swoim

łóżku. A ja nie wywiozę matki wbrew jej woli. Nie dam rady. – Nagle podniosła na niego oczy i znów zaatakowała: – Dlaczego, Pierre? Powiedz tylko dlaczego!

Pierre uniósł bezradnie dłonie.

– Złożyłem przysięgę...

– Daj spokój! – wrzasnęła Margrethe. – Kogo chcesz oszukać? Mnie czy samego siebie? Znam prawdziwy powód i powiem szczerze, że nie spodziewałam się po tobie takiej perfidii.



Kiedy obudziłam się trzeciego dnia pobytu na Poel, obok mnie na poduszce leżała róża: biało-żółta z liliowym lamowaniem płatków. Pachniała perfumowanym mydłem. Wraz z soczyście zielonymi listkami stanowiła zestaw kolorystyczny dokładnie odpowiadający godłu wyspy. Przypadek? A może Pierre chciał mnie w ten wyrafinowany sposób poprosić, żebym została na Poel?

Dawno nie zaczynałam dnia w tak dobrym humorze. Szybko uwinęłam się z poranną toaletą, dzięki czemu więcej czasu mogłam poświęcić na wybór odpowiedniego stroju. Moja garderoba pochodziła jeszcze z czasu pierwszego pobytu na wyspie, a zatem sprzed wypadku. W kręgach, w których obracałam się w Buenos Aires i europejskich stolicach, wśród marszandów, ich klientów, artystów fotografików i muzealników, ubierano się dość elegancko. Dlatego – nie licząc dwóch wygodnych kostiumów przeznaczonych na normandzkie safari – zapakowałam do swojej walizy rzeczy, które dziś zupełnie mi się nie podobały. I znowu poczułam, że kobieta, którą kiedyś byłam, jest mi zupełnie obca. Nie miałam jednak zamiaru zanurzać się w tych ponurych rozważaniach.

W końcu pożyczyłam sobie jedną z koszul Pierre'a. Była o wiele za duża, ale zawiązałam ciasno jej rogi i wskoczyłam w te same dzinsy, które nosiłam poprzedniego dnia. Potem pozwoliłam sobie na szczegółowy – tym razem samotny – obchód pomieszczeń na piętrze i na parterze.

Wkrótce potwierdziło się to, co zwróciło moją uwagę zaraz po tym,

jak tylko weszłam do domu: mieliśmy z Pierre'em bardzo podobny gust. Nie licząc kilku drobiazgów, całe wyposażenie, kolory ścian, a nawet ascetyczne zdobienia równie dobrze mogłyby zostać dobrane przeze mnie. Zresztą kluczowe było tu słowo „dobre”. Miałam wrażenie, że nic nie znalazło się na swoim miejscu przypadkiem. Albo dlatego, że tak jest wygodnie. Poszczególne przedmioty doskonale do siebie pasowały, uzupełniały się i zazębiały – w dużo bardziej naturalny sposób niż u Jacqueline i Mike'a, gdzie wyglądały jak na wystawie.

Zgodnie z hasłem „Powiedz mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś”, kilka chwil zabawiłam przy łukowatej biblioteczce. Wychodziło na to, że Pierre jest osobą o rozległych zainteresowaniach, lecz trudno mi było wskazać jakiś szczególnie zajmujący go temat. Nie potrafiłabym wymienić ani jego ulubionych pisarzy, ani wyjątkowo pasjonującego go zagadnienia. Bezwstydnie sięgnęłam po album ze zdjęciami, ale okazał się niezwykle nudny. Miałam nadzieję, że znajdę w nim jakieś fotografie naszej paczki, ale musiałam się zadowolić wakacyjnymi zdjęciami rodziny Feldtów. Choć z drugiej strony miło było sobie przypomnieć, jak ładnym chłopcem był Pierre, ładniejszym nawet od Juliana, choć wtedy, o dziwo, zupełnie tego nie zauważałam.

Nie znalazłam więcej albumów, więc ruszyłam dalej. Obchód zakończyłam w kuchni, gdzie natknęłam się na kubek z napisem „Tatjana”. Prawdopodobnie Pierre zapomniał go usunąć z szafki. Uśmiechnęłam się. Nigdy nie przeszkadzało mi, że mężczyzna miał przede mną inne kobiety. Po tym, jak Carlos mnie zdradził, sama miałam wielu kochanków, a potem, po rozwodzie, nie potrafiłam już zrezygnować z tego przyzwyczajenia. Jednak Pierre nie był tylko ostatnim ogniwem tego łańcucha. Znaczył dla mnie dużo więcej, sprawił, że po raz pierwszy od dawna znów poczułam motyle w brzuchu. To, że poprzedniej nocy nie skorzystał z okazji, by mnie zaliczyć, dawało mi nadzieję, że i on czuje podobnie.

Właśnie robiłam sobie małe śniadanie, kiedy zadzwonił telefon. Oczywiście nie odebrałam. Uznałam, że jeszcze na to za wcześnie. Potem jednak odezwał się głos Jacqueline.

– Pierre, jesteś tam? Proszę, odbierz, to ważne. Cholera, twoja

komórka też nie odpowiada. Chodzi o moją alergię... ja... nie mogę... mówić... to...

Prędko chwyciłam słuchawkę.

– Jacqueline, tu Lea.

Lecz Jacqueline nie odpowiedziała.

Zobaczyłam, że przed domem zatrzymuje się samochód. Wybiegłam z kuchni i wpadłam na Pierre'a, który właśnie wrócił od Petersenów.

– Biegnij do niej – rzucił, kiedy powiedziałam mu, co się stało. – Wezmę potrzebne rzeczy i zaraz do ciebie dołączę.

Otworzył bagażnik, podczas gdy ja ruszyłam ile sił w stronę domu Mike'a i Jacqueline. Zaczęłam szaleńczo dzwonić, ale niestety spełniły się moje najgorsze przeczucia: Jacqueline nie otwierała. Pomyślałam o drzwiach na tarasie. Kiedy biegłam na tyły domu, znów dopadło mnie nagłe wspomnienie: ten sam czarno-biały obraz, rozmyty, niejasny. Zobaczyłam Sabinę. Stała dokładnie w tym miejscu co ja i patrzyła na mnie smutnym, niemal błagalnym wzrokiem. A więc byłam już kiedyś w tym ogrodzie, na tej ścieżce – razem z Sabiną.

Zawahałam się, ale zaraz pobiegłam dalej. Na szczęście drzwi tarasowe stały otworem. Jacqueline leżała na podłodze salonu, obok niej telefon. Była oszołomiona, ale przytomna.

Co robić? Odezwałam się, ale Jacqueline prawie już nie reagowała. Nie miałam pojęcia, jak się udziela pierwszej pomocy, i bałam się, że zrobię coś nie tak. Na szczęście puls, choć bardzo słaby, wciąż był wyczuwalny.

Pobiegłam do frontowych drzwi, by je otworzyć, i zobaczyłam pędzącego w moją stronę Pierre'a. W jednej ręce miał torbę lekarską, w drugiej butlę z kroplówką. Wpadł do domu i dał Jacqueline zastrzyk z adrenaliną, by złagodzić gwałtowną reakcję alergiczną.

– Poszukaj czegoś, co moglibyśmy jej wsunąć pod nogi – poprosił.

Przyniosłam skórzaną pufę. Pierre podłączył kroplówkę i wcisnął mi butlę do ręki. W końcu poczułam, że mogę się na coś przydać. Potem Pierre dał Jacqueline drugi zastrzyk, tym razem z kombinacją środków antyalergicznymi, i spojrzął na mnie, by mi dodać otuchy. Wiedziałam, że będzie dobrze.

Po kilku minutach Jacqueline ocknęła się, a po kwadransie całkiem odzyskała przytomność. Ułożyliśmy ją wygodnie na sofie. Kryzys został zażegnany.

Pierre poprosił, żebym została z Jacqueline, a on tymczasem zawiadomi innego lekarza, który zajmie się dalszym leczeniem.

– Nie mogę zostać, bo mam ważne spotkanie – wyjaśnił.

Oczywiście zgodziłam się. Jak poważny był to atak, dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy odprowadziłam Pierre’a do drzwi.

– Mało brakowało – powiedział. – Naprawdę. Na szczęście wyszła z tego. Teraz już nic jej nie grozi. Powiedz jej, proszę, żeby pod żadnym pozorem nie dotykała niczego, co dziś jadła lub piła. Najlepiej niech wszystko wyrzuci do śmieci.

Dał mi jeszcze dwie czy trzy rady i zostawił kilka numerów telefonów, aby mnie uspokoić.

– Dobry z nas zespół – powiedział na odchodne, a ja poczułam się trochę jak pani doktorowa.

Mnij więcej pół godziny później Jacqueline wyglądała i zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Nic nie wskazywało na to, że dosłownie przed chwilą omal nie umarła. Milczaliśmy przez jakiś czas, aż w końcu zupełnie niespodziewanie wybuchła:

– To na pewno ten mały potwór!

– Jaki potwór? O czym ty mówisz?

– O Jeremim!

– Nie... rozumiem... Co niby zrobił?

– To jego wina. Ten atak to jego sprawka.

– Błagam cię! – jęknęłam po kilku sekundach, gdy w końcu dotarł do mnie sens oskarżenia. – Przecież to śmieszne.

– Tak sądzisz? – odparła urażona. – Jak więc wyjaśnisz to, że jeszcze nic dziś nie jadłam, tylko wypiałam filiżankę herbaty? I zaraz poczułam pierwsze symptomy. Ten gówniarz dosypał do herbaty orzeszków, wystarczy odrobina. Niby jak inaczej mogły się znaleźć w puszcze?

– Skąd mogę wiedzieć? Może doszło do zanieczyszczenia

w trakcie produkcji? Poza tym przecież Jeremiego nie było w domu.

– Wczoraj nie piłam herbaty. Nie czuję się dobrze – wyjaśniła speszona.

Przypomniałam sobie, że Jacqueline pół dnia i cały wieczór spędziła w łóżku. To zaś oznaczało, że Jeremi faktycznie mógł zrobić to, o co go oskarżyła macocha. Mimo to przypisałam podejrzliwość Jacqueline jej aktualnemu stanowi. Mój Boże, przecież to trzynastolatek!

Aby zakończyć tę groteskową dyskusję, spytałam:

– A właściwie... Dlaczego nie masz w domu zestawu ratunkowego? Nie jestem specjalistką w tych sprawach, ale słyszałam, że niektórzy na wszelki wypadek nie rozstają się z taką strzykawką. Przecież ten atak nie był czymś nadzwyczajnym. O ile mi wiadomo, ostatnio miałaś go cztery miesiące temu.

Jacqueline przez kilka sekund patrzyła na mnie, jakbym właśnie wygłosiła wykład z matematyki wyższej, po czym rzekła:

– Tak, pewnie masz rację. To lekkomyślne z mojej strony.

Miałam niejasne poczucie, że Jacqueline błądzi myślami gdzie indziej.

– No dobrze – westchnęłam. – Zajrzę do puszeki.

Niechętnie zabrałam się do realizacji swej obietnicy i z niemałym zdumieniem stwierdziłam, że podejrzenia Jacqueline okazały się uzasadnione. Między listkami herbaty istotnie znalazłam drobiny orzeszków. Dostrzegłam je tylko dlatego, że ich szukałam. Puszka była w połowie pusta, a to oznaczało, że do zanieczyszczenia nie mogło dojść w zakładzie produkcyjnym, gdyż w przeciwnym wypadku Jacqueline już wcześniej miałaby atak.

Było jasne, że ktoś, kto miał dostęp do domu, celowo dosypał do herbaty okruszyny orzechów. W grę wchodził zatem Mike, Jeremi oraz Margrethe.

– Jestem ci winna przeprosiny – powiedziałam, gdy Jacqueline weszła do kuchni. – Najwyraźniej masz wroga, który jest gotów na wszystko. Nie do wiary. Zadzwoń na policję.

– Nie! – wydyszała Jacqueline. – Nie rób tego.

– Jacqueline, proszę cię. Ktokolwiek to zrobił, musi...

– Nie! – powtórzyła Jacqueline. – Wszystko dokładnie przemyślałam.

Błyskawicznie wyrwała mi puszkę, wysypała zawartość do zlewu i odkręciła kran.

– Nikomu ani słowa! – rozkazała. – Sami to załatwimy, we własnym gronie.

Chociaż z początku buntowałam się przeciw myśli, że dziecko mogłoby dokonać tak potwornej zbrodni, ostatecznie uznałam, że to najbardziej wiarygodne wytłumaczenie. Przemawiał za tym jeden szalenie ważki argument: każde inne wyjaśnienie oznaczałoby, że ktoś w moim najbliższym otoczeniu żywi mordercze zamiary. Taka myśl wydawała mi się czymś niepojętym. Jeremi miał motyw, nie znosił macochy, ale prawdopodobnie nie zamierzał jej z zimną krwią zamordować. Raczej nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji swego działania. Na pewno chciał jej zwyczajnie dać nauczkę. W tym kontekście próba wyjaśnienia wszystkiego w gronie rodziny wydawała się najlepszym rozwiązaniem. Co prawda nieśmiały głos w głębi duszy podpowiadał mi, że się łudzę, ale szybko go uciszyłam.

Zajęłam się innymi sprawami. Mając do wyboru problemy rodzinne Jacqueline, działkę z ruinami klasztoru i wystawę fotografii z Poel, potrzebowałam dokładnie pięciu sekund, by podjąć decyzję: muszę w ciągu dwudziestu dni od zera przygotować cały wernisaż. To było prawdziwe wyzwanie, które musiało pochłonąć mnóstwo czasu. Nie mogłam sobie pozwolić na stratę choćby jednej godziny.



Zawsze uważałam, że na całej półkuli północnej, a szczególnie na Poel, nie ma lepszego miesiąca na fotografowanie pejzaży niż wrzesień. Niektóre dni są wtedy jeszcze przesycone letnim ciepłem, łąki i drzewa pyszną się zielenią, a polodowcowe jeziora i stawy iskrzą się w słońcu jak płynne srebro. Zboża są już zebrane, co czyni okolicę jeszcze bardziej płaską niż zwykle. Wrzesień to swoiste interludium, czas wielkiego bezruchu, ostatnie piękne dni lata. A zaraz potem postrzępione chmury przeglądają się w kałużach na drodze, morze zaś

nabiera ołowianego ciężaru. Stąd zdarza się, że mieszkańcy Poel w ciągu jednego dnia doświadczają całorocznej aury – od szarego, mglistego poranka spowitego w złowrogą zimową ciszę, poprzez południe pod śródziemnomorskim błękitem nieba, aż po nastrojający sentymentalnie zachód bursztynowego słońca.

Przez siedemnaście dni, w trakcie których przemierzałam wyspę – najczęściej sama, a czasem z Pierre'em w jego kabriolecie – wrzesień prezentował to pogodne oblicze. Tylko chłodne porywy wiatru przypominały, że od północy nieubłagane nadciąga jesień.

W Internecie obejrzałam mnóstwo ciekawych zdjęć wykonanych przez wielbicieli Poel. Wyspa prezentowała się pięknie: port w wieczornej purpurze, latarnia morska, piaszczyste plaże i porośnięte trzcina brzegi. Mimowolnie zastanawiałam się, jakież to fotografie mogłyby pokazać miejscowym i turystom coś nowego, a zarazem uchwycić charakter wyspy. Chciałam dokonać czegoś więcej niż tylko powtórzyć to, co zostało już po tysiącokrotnie sfotografowane. Z drugiej strony nie miałoby sensu wystawianie zdjęć, które nie pokazywałyby prawdziwego oblicza wyspy. Przede wszystkim postanowiłam, że zrobię wyłącznie czarno-białe fotografie. W końcu nie chodziło o upiększenie broszury turystycznej czy kalendarza. Miałam nadzieję, że brak kolorów całkowicie skupi uwagę widza na najistotniejszych cechach Poel: otwartej przestrzeni, ciszy, klarownej skromności, na prostych liniach horyzontu, dróg i alej.

Towarzysząc mi, Pierre nie pospieszał mnie ani nie wtrącał się do mojej pracy. Pozwalał mi całkowicie skupić się na zadaniu. Często przez całą godzinę kręciłam się po okolicy, podczas gdy on siedział w samochodzie, czytając książkę albo pisząc na laptopie listy do swoich podopiecznych w Indiach i na Filipinach. Czułam się zupełnie komfortowo, a jego obecność – wbrew moim początkowym obawom – zupełnie nie przeszkadzała mi w pracy. Przeciwnie, kiedy wracałam z udanymi ujęciami, cieszyłam się, że mogę dzielić z nim radość. Z Carlosem nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Czułam, że z każdą kolejną godziną spędzoną wspólnie z Pierre'em coraz bardziej się w nim zakochuję.

Chociaż w skupieniu oddawałam się pracy, raz po raz zdarzały

nam się chwile bliskości, na przykład wtedy, gdy jedliśmy obiad w cudownej restauracji z widokiem na morze albo przez pół godziny z podwiniętymi spodniami brodziliśmy wzdłuż brzegu. Nasze pierwsze pocałunki były jeszcze szalenie nieśmiałe, co zapewne należało złożyć na karb wspólnego dzieciństwa, lecz z czasem stały się coraz częstsze i coraz bardziej namiętne. I tylko ostatni krok wciąż odsuwaliśmy w czasie.

To były beztrioskie, wypełnione po brzegi wrażeniami tygodnie. Całymi dniami nie widywałam nikogo prócz Pierre'a. Co dwa, trzy dni dzwoniłam do Mike'a, by go poinformować o postępie prac, ale nie odwiedzałam go w domu. Tylko kilka razy z daleka widziałam Margrethe, lecz do niej nie podchodziłam.

W takich chwilach uświadamiałam sobie, że staram się zachować dystans wobec dawnych przyjaciół, ale nie umiałam sobie wyjaśnić, dlaczego to robię. Może dlatego, że całą moją uwagę pochłaniał Pierre? Nie rozmawialiśmy o dawnych czasach, o naszej paczce. Raz tylko wspomniałam kogoś z Kaltenhusen – wtedy, gdy spytałam Pierre'a, czy Edith nie powtórzyła aby przestrogi, której udzieliła mi podczas naszego spotkania. Kiedy zaś Pierre odparł, że Edith kompletnie już nie kontaktuje, uznałam sprawę za zamkniętą.

Jednak któregoś piątkowego wieczoru zdarzyło się coś, co w jednej chwili zmąciło pielęgnowany przeze mnie od tygodni błogostan.

Do tej pory zdążyłam zrobić czterysta profesjonalnych, doskonałych kompozycyjnie fotografii, z których – biorąc pod uwagę mój perfekcjonizm – miałam wykorzystać najwyżej dwadzieścia procent. Dlatego nadal przemierzałam kabrioletem Pierre'a zamknięte pod błękitną kopułą równiny Poel.

Tuż przed zachodem słońca zajechaliśmy na stację benzynową. Ku mojemu zaskoczeniu wciąż prowadziła ją Frida Scheunenwirth, swego czasu przyjaciółka moich rodziców, Morgenrothów i Edith Petersen. Przed wejściem do staromodnego sklepiku Pierre wspomniał, że Frida jest jedyną oprócz pastora osobą, która regularnie odwiedza Edith. Kiedy mnie przedstawił, Frida natychmiast podsunęła mi słoik z cukierkami, dokładnie tak samo jak przed trzydziestu laty. Byłam

naprawdę wzruszona. Choć była niewiele młodsza od Edith, w przeciwieństwie do swej przyjaciółki wciąż miała mnóstwo energii. Na szczęście, bo czwórka jej dzieci rozproszyła się po całych Niemczech.

– Będą mnie musieli stąd wynieść nogami do przodu. Sama nie odejdę, na pewno – powiedziała, a we mnie to dziesięćminutowe intermezzo przywołało wspomnienia starych dobrych czasów. Kiedy wróciłam do auta i usiadłam na fotelu obok kierowcy, Pierre podsunął mi pod nos torebkę ze słodyczami.

– To dla ciebie. Powiedziałaś ostatnio, że nie pamiętasz, czy lubisz lukrecję. Zaraz się dowiesz.

Pierre nie zapominał niczego, o czym mu opowiadałam, a tego rodzaju drobne przejawy pamięci sprawiały, że coraz bardziej za nim szalałam. Blask zachodzącego słońca rozświetlał mu twarz, a ja nagle pomyślałam: „Tak, Leo, to twoja przyszłość”.

– No, spróbuj – ponaglił mnie łagodnie.

Wyjęłam z kolorowej torebki różowo-czarną kostkę, włożyłam ją do ust i natychmiast wyplułam. Cukierek wysokim łukiem wyleciał za drzwi samochodu i wylądował u stóp jakiegoś klienta, który spojrzał na mnie kompletnie zbaraniały.

Było mi potwornie wstyd, lecz Pierre wybuchnął gromkim śmiechem – tak zaraźliwym, że zaraz się przyłączyłam. W szampańskich humorach podjechaliśmy do wyjazdu ze stacji. I wtedy stało się. Kiedy Pierre czekał na lukę w sznurze aut, by włączyć się do ruchu, jeden z samochodów skręcił na stację i przejechał tuż obok mnie, wciąż zanoszącej się śmiechem. Na fotelu obok kierowcy siedział Julian! Spojrzałam wprost w jego błękitne oczy.

Pierre chciał właśnie dodać gazu, kiedy krzyknęłam:

– Stój! Zatrzymaj się!

– Co się stało? Zapomniałaś czegoś?

Bez słowa wyskoczyłam z samochodu i pobiegłam za autem, które właśnie zatrzymało się przy dystrybutorze paliwa. Zza kierownicy wysiadła młoda kobieta, szyba z drugiej strony była opuszczona. Byłam tak wzburzona, że zatrzymałam się tuż obok wozu i zajrzałam

do środka.

Mężczyzna na fotelu był co prawda blondynem i miał niebieskie oczy, lecz wcale nie przypominał Juliana. Poza tym był stanowczo zbyt młody. Przeprosiłam serdecznie, lecz mimo to oboje popatrzyli na mnie jak na wariatkę. Zresztą tak właśnie się czułam.

Pierre o nic nie spytał. Zrozumiałam, że się domyślił.

– Pomyłka? Każdemu się zdarza – powiedział.

Jednak dobry nastrój prysł i tego dnia już nie wrócił.

Nazajutrz spotkałam się z Jacqueline na śniadaniu, na jej tarasie. Bardzo ubolewała, że do tej pory miałam dla niej tak mało czasu.

– Moja jedyna przyjaciółka jest od czerwca na wyspie Sylt, a bez niej życie tutaj jest tak monotonne – wyznała. – Mike bez przerwy pracuje. Zwykle od ósmej rano do ósmej wieczorem jestem sama, a na uniwersytecie ludowym nie ma aż tylu kursów, żeby wypełnić cały mój czas. Wczoraj z nudów upiekłam tort.

Pomyślałam, że nie zajęło jej to chyba całego dnia, ale kiedy minutę później wytoczyła na taras kuchenny wózek, zrozumiałam swój błąd. Trzypiętrowy tort był godny książęcego wesela.

– Pewnie myślisz sobie, że musiała mnie ogarnąć czarna rozpacz – powiedziała z szelmowskim uśmiechem. Potem usiadła i dodała: – Czasami czuję się tak okropnie, Leo. Czasem potrzebuję... mocnych tabletek. Bez nich nie dają rady.

Jeśli chodzi o temat uzależnień, nie przychodziło mi do głowy nic poza komunałami, które wypowiada się w takich sytuacjach: „To ślepa uliczka”, „Musisz sobie poradzić”, „Może warto pójść na terapię”...

Jacqueline chyba wyczuła moją bezradność.

– Na szczęście teraz mam ciebie. Porozmawiajmy o czymś weselszym.

Ponieważ Jacqueline wyznała mi właśnie swój sekret, byłam gotowa odwdziaczyć jej się tym samym. W końcu najbardziej jesteśmy otwarci wobec ludzi, którzy powierzyli nam swoje tajemnice.

– Widziałam Juliana, w ogrodzie Pierre’a. Wiał mocny wiatr i obudziłam się, bo miałam wrażenie, że słyszę jego głos. Kiedy podeszłam do okna, on tam stał.

Jacqueline patrzyła na mnie wielkimi oczami.

– Co to znaczy „stał”?

– Nie wiem, może go tam wcale nie było, ale przez sekundę widziałam go tak jak ciebie. Wiem, że to mało prawdopodobne, ale... Myślisz, że to możliwe, że Julian wrócił?

– Przez sekundę? W wietrzną noc? Dość teatralna scena, nie sądzisz? Jak w wyspiarskiej wersji *Upiora w operze*.

Skinęłam głową. Prawdopodobieństwo tego, że Julian po dwudziestu trzech latach wrócił, i to potajemnie, oscylowało wokół zera.

– Muszę się chyba skontaktować ze swoją terapeutką – powiedziałam.

– Dobry pomysł. Miałś poważny wypadek i nic dziwnego, że trochę ci się poprzestawiało w głowie. Kiedy nocą jestem sama w domu, też zawsze słyszę skrzypienie i stuki. Myślę, że w twojej głowie dzieje się coś podobnego. Dlatego słyszysz skrzypienie i dziwne głosy.

Uśmiechnęłam się. Jacqueline znalazła chyba idealny eufemizm czasownika „oszalałaś”.

Pozostawało jednak pytanie, dlaczego to właśnie Julian stuka w mej głowie.

W dodatku te przebłyski. W odróżnieniu od sytuacji, kiedy naprawdę fizycznie widziałam Juliana, te czarno-białe statyczne obrazy ukazywały się li tylko w mojej wyobraźni. Wiedziałam, że to przebłyski pamięci, a nie realne, terażniejsze zdarzenie, podczas gdy głos i twarz Juliana nakładały się na rzeczywistość. Moje zmysły były absolutnie przekonane, że naprawdę go widzę i słyszę.

Przypomniałam sobie obraz, który stanął mi przed oczami podczas pierwszej wizyty w tym domu: zrozczonej, płaczącej Jacqueline.

– Powiedz mi, Jacqueline, czy kiedy byłam w maju na wyspie... Czy pamiętasz taką scenę, że nagle wybuchnęłaś płaczem, a ja zaczęłam cię pocieszać? Albo coś w tym stylu? Pierre wspominał, że miałś atak alergii. Może to ten moment pamiętam?

Jacqueline przez chwilę patrzyła na mnie jak na kogoś, kto nadepnął jej boleśnie na stopę, ale po chwili ten dziwny wyraz znikł

z jej twarzy.

Serdecznie chwyciła mnie za dłoń.

– Myślę, że powinnaś jak najszybciej porozmawiać ze swoją lekarką. Gdzieś czytałam, że właśnie tak zaczyna się paranoja.

– Po sygnale proszę zostawić wiadomość – usłyszałam głos Iny Bartholdy i po chwili nagrałam prośbę, by do mnie oddzwoniła. Przed opuszczeniem kliniki dostałam od przewidującej terapeutki numer jej komórki. „Na wszelki wypadek” – wyjaśniła. I właśnie ten „wypadek” miał miejsce. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Cztery miesiące wcześniej

Z zewnątrz dom starego Balthusa nie przedstawiał się imponująco: bezkształtny budynek z małymi oknami, stara brama, a obok brzydkie zabudowania gospodarcze. Kiedy jednak weszło się przez bramę, tak jak teraz Sabina, niepozorne mury zamieniały się w bogatą posiadłość. Podwórze było wyłożone bazaltowymi kamieniami, w wypełnionych ziemią donicach rosły irysy, narcyzy i margerytki, a dopiero co przybyłe z południa jaskółki energicznie budowały swe gniazda w każdej niszy i w każdym załomie. Do starego poidła dla koni bez przerwy lała się strużka wody. Rodzice starego Balthusa byli kiedyś rolnikami, a on kultywował rodzinne tradycje, choć od dawna już nie uprawiał ziemi. Na jednej ze ścian wykuty z brązu szylt z sierpem i młotem dobitnie świadczył o tym, że gospodarz był też niewolnikiem innej tradycji.

Mimo wyraźnej symboliki socjalistycznej w zagrodzie panowała spokojna, wręcz rajska atmosfera. Gdyby nie ten okropny zgrzyt krajzegi...

Powietrze w zabudowaniach gospodarczych było gęste od pyłu drzewnego, który zatykał nos i drażnił skórę. Nie bacząc na to, stary Balthus ciął deski na długie paliki, których najwyraźniej zamierzał użyć do budowy ogrodzenia wokół „swojej” działki. Budowy, którą Harry za wszelką cenę chciał udaremnić. Sabina wyobraziła sobie, że w najbliższym czasie ci dwaj będą jak para Syzyfów. Co jeden zbuduje za dnia, to drugi w nocy zniszczy – i żaden nie będzie w stanie zwieńczyć swego dzieła. Dziwaczna, ale chyba udana symbioza, w której obaj dawali sobie nawzajem poczucie sensu i życiowej misji.

Balthus i Edith byli jedynymi we wsi przedstawicielami starszego pokolenia. Rodzice Mike’a mieszkali w domu opieki na wyspie Uznam, a rodzice Pierre’a w wiejskim domku na Gran Canarii. O ile jednak Edith mogła liczyć na opiekę córki, o tyle o Ruperta Balthusa

nikt się nie troszczył. Nic dziwnego, skoro w porównaniu z nim jeże były niczym puchate misie. Balthus zawsze był upartym zrzędą, który wolałby połknąć żarzący się węgielek, niż powiedzieć komuś coś miłego.

Żeby stary się nie przestraszył i przypadkiem nie obciął sobie palców, Sabina zbliżyła się po cichu i czekała, aż krajzega umilknie.

– Panie Balthus? Dzwoniłam, ale pan chyba nie słyszał.

Stary się odwrócił. Jego oczy przypominały gradowe chmury kłębiące się nad obwisłymi workami łzowymi.

– Bynajmniej, młoda damo. Ponieważ dzwoniłaś, domyśliłem się, że chcesz wejść, a ponieważ chciałaś wejść, domyślasz się chyba, dlaczego ci nie otworzyłem.

Sabina uśmiechnęła się, nic sobie nie robiąc ze zgryźliwości starego.

– Brama była uchylona.

– Kiedy zostawiasz otwarty samochód, to znaczy, że mam prawo usiąść za kierownicą i odjechać? Jesteś policjantką, powinnaś lepiej znać prawo.

A więc rozpytał o nią! Albo zobaczył w jej samochodzie służbową markę. Tak czy siak, jej obecność nie była mu obojętna.

– Dawno nikt mnie nie odwiedzał – dodał po chwili Balthus – i niech tak zostanie. A teraz zjeżdżaj, mam dużo pracy.

Sabina zaproponowała, że mu pomoże. Znała się trochę na stolarce, a nawet odbyła stosowne praktyki – w czasach, gdy kobiety równie często bywały cieślami jak mężczyźni sekretarzami. I to właśnie pociągało ją w tym fachu najbardziej. Koniec końców górę wzięła jednak perspektywa pracy w policji.

– Myślisz, że jestem głupi? – odpowiedział Balthus. – Dobrze wiem, po co tu przyjechałaś, więc daruj sobie te uprzejmości. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Ani z tobą, ani z nikim innym, rozumiano? Należysz do tamtego zasranego świata i nie masz tu czego szukać.

Harry opowiadał Sabinie, że Balthus od lat żyje w swojej zagrodzie niczym pustelnik. Żywność dowożą mu pod bramę, a on sam wychodzi tylko po to, żeby rozstawiać tabliczki i zasieki dokoła ruin. A i to od

niedawna. Jak przystało na paranoika, stworzył sobie swój własny świat, niedostępny dla obcych, przy czym zagroda była tylko widzialną częścią owej alternatywnej rzeczywistości istniejącej w jego umyśle. Samotność najwyraźniej mu nie doskwierała. Przeciwnie – doskonale wpisywała się w jego logikę: ponieważ nie musiał się konfrontować z innymi ludźmi, mógł też uniknąć konfrontacji z samym sobą. Tak jak niektórzy ludzie z całego serca wierzą w Boga, tak stary Balthus wierzył w świetlaną przyszłość socjalizmu. Aż pewnego dnia przyszli źli ludzie i strącili jego bożka z ołtarza.

Odkąd Sabina pracowała w obyczajówce, niemal każdego dnia stykała się z ludźmi obciążonymi ciężkim brzemieniem losu. Osobiste tragedie, kłamstwa, podłość, zawiedzione nadzieje i zniweczone marzenia były jej chlebem powszednim. Takie doświadczenie pozwala wykształcić szósty zmysł – znajomość ludzkiej natury. W przypadku Balthusa wstręt do świata z biegiem lat nie tylko zatrął jego serce, ale też odcisnął się na jego obliczu.

– Porozmawiajmy poważnie, panie Balthus. Panu nie chodzi o budowę domu wczasowego. Proszę nie mieć mi za złe, ale czy pan nie jest dobrze po osiemdziesiątce? Kto w pana wieku zabiera się do budowy?

Przypuszczenia Sabiny opierały się nie tylko na intuicji. Wciąż pamiętała wieloletni konflikt Ruperta Balthusa i Edith Petersen, szefa rolniczej spółdzielni produkcyjnej i krnąbrnej pracownicy. Edith Petersen, na co dzień wcielenie dobroci, w obecności tego mężczyzny zamieniała się w istną ksantypę, co wielokrotnie prowadziło do dzikich awantur na środku wiejskiej drogi. To dzięki uporowi Edith wiosną 1990 roku Balthus został zwolniony ze stanowiska w spółdzielni. Bardzo możliwe, że teraz stary chciał się zemścić na swym zapiekłym wrogu – nie wprost, lecz obierając za cel syna Edith. Bo to Harry'ego najbardziej dotknęłoby zniszczenie ruin klasztoru. A kiedy Harry cierpiał, cierpiała też Edith.

Szybko się okazało, że chociaż Sabina nie do końca trafiła, to jej przypuszczenia nie były całkiem od rzeczy, gdyż emocje istotnie odgrywały w tej sprawie ogromną rolę.

– Posłuchaj. Zrównam to miejsce z ziemią, choćby to miała być

ostatnia rzecz, jaką zrobię w tym życiu. W tych cholernych ruinach straciłem córkę, wszystko, co miałem. To tam zaraziła się tą chorobliwą ambicją, tam zaczęła brać narkotyki, tam się zamieniła we wstrętną dziwkę. Dla mnie umarła, dwadzieścia trzy lata temu, kiedy mnie zostawiła, żeby zamieszkać w tym cholernym Hollywood.

– O ile mi wiadomo, Jacqueline wróciła i mieszka tuż obok. Niewielu ojców miewa córkę za sąsiadkę.

– Mike zabrał mi ją dwa razy, najpierw w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, a potem, kiedy wróciła. Coś ci powiem, młoda damo. Ta Jacqueline jakaś tam obchodzi mnie tyle co indyjski program kosmiczny.

Przyjmując punkt widzenia Balthusa – skądinąd szalenie uproszczony – taki ogląd spraw wydawał się całkiem logiczny. Członkowie dawnej paczki byli uformowani przez wspólne dzieciństwo, kiedy to zachęcali się nawzajem do robienia rzeczy, na które normalnie nigdy by się nie odważyli. Nieważne, czy chodziło o wspinanie się na wysokie mury, czy o konfrontację z osobami spoza ich grupy – tak jak to robiła Lea wobec Sabiny. Głęboka więź czyniła ich wszystkich – również Jacqueline – silniejszymi, dodawała odwagi, pobudzała ciekawość, skłaniała do eksperymentowania. W tym sensie Balthus miał rację.

Jednak obiektywnie rzecz biorąc, stanowisko starego komunisty zakrawało na absurd. Jacqueline po prostu wybrała własną drogę. Spróbowała i jej się nie udało. Kiedy ktoś kierowany tęsknotą wyrusza na morze i po kilku latach jego łódź wywraca się podczas sztormu, wówczas ludzie pokroju Ruperta Balthusa mówią: „Lepiej by było, gdyby został na lądzie”. Ale czy dla człowieka tęskniącego za morzem ląd naprawdę jest miejscem, gdzie można wieść szczęśliwe życie? Czy i tu nie poszedłby na dno, tyle że powoli, w ciszy, za to pośród większej udręki?

Sabina nie miała pojęcia, że Jacqueline była uzależniona od narkotyków ani że stała się – jak się wyraził jej ojciec – „wstrętną dziwką”. Jacqueline wyjechała do Kalifornii kierowana wewnętrznym głosem, nie namowami przyjaciół. I ojciec powinien był to uszanować i wspierać ją, a nie złorzeczyć jej i jej nienawidzić.

– Mów sobie, co chcesz – perorował stary. – Ta ziemia należy do mnie i mogę z nią zrobić, co mi się podoba. – Balthus wrócił do maszyny, ale zaraz odwrócił głowę, jakby coś sobie przypomniął. – Poza tym sama jesteś sobie winna. Ty też się cieszyłaś ze zjednoczenia, prawda? No to masz. Kiedyś nie było sporów o własność. Z tej prostej przyczyny, że nie było prywatnej własności.

– Jak na kogoś, kto jest przeciwko prywatnej własności, wyjątkowo panu na niej zależy – odparła Sabina.

– W świecie bez własności i pieniądza mógłbym nic nie mieć. Pieniądze to nie powietrze. Gdyby ich nie było, nikt by ich nie potrzebował. Ale są, więc muszę się kierować logiką, którą narzuca mi świat.

Sabina miała ochotę poradzić staremu, by wyemigrował do Korei Północnej, ale uznała, że nie może podcinać gałęzi, na której siedzi. Przyszła tu w konkretnej sprawie i była zdana na pomoc Balthusa. Jeśli chodzi o ziemię, wszystko zostało już powiedziane. Stary nie spocznie, póki nie zrówna ruin klasztoru z ziemią, choćby miał nic na tym nie zyskać. W życiu miał dwie miłości: córkę i państwo. Jedno i drugie mu odebrano. Pierwsze zabrali mu przyjaciele Jacqueline, a drugie wichrzyciele pokroju Edith Petersen. I to na nich chciał się zemścić.

Jak na ironię, w zjednoczonych Niemczech Edith Petersen i jej dzieciom wiodło się dużo gorzej niż w państwie, przeciw któremu się buntowali, podczas gdy stary Balthus urządził się na tyle wygodnie, że był w stanie zbudować dom wczasowy. Odnalazł się w kapitalizmie jak recydywista w więziennej celi.

Sabina postanowiła zmienić temat.

– Nie przyszłam tylko z powodu ziemi.

– Nie? – zdziwił się Balthus, sięgając po deskę.

– Nie. Chciałam spytać o zniknięcie Juliana Morgenrotha.

Stary rzucił deskę na ziemię.

– Popatrz, popatrz, w końcu się obudzili... Tłumaczyłem temu głupekowatemu policjantowi, że coś tu śmierdzi, i nagle, po dwudziestu trzech latach, wracacie do tej sprawy? Nie uważasz, że wasz cudowny system jest cokolwiek ociężały?

Sabina bardzo wcześnie oswoiła się z sarkazmem. W przeciwnym

wypadku życie w domu Mahlerów byłoby nie do zniesienia. Cyniczne docinki Lei z początku sprawiały jej ból, ale z czasem skóra Sabiny stwardniała, co szalenie przydało jej się w późniejszej pracy. W przeciwieństwie do kolegów, którzy czasami z trudem znosili zło tego świata, Sabina nigdy nie traciła panowania nad sobą.

– Niestety akta zaginęły – skłamała. Chciała podarować staremu punkt, licząc, że w ten sposób skłoni go do mówienia.

– Oczywiście! – Głos Balthusa ociekał szyderstwem. – Gdzie się podziały procedury? Kiedyś było inaczej, ale dziś... Kto dziś pamięta o dyscyplinie? Zapamiętaj sobie: w państwie najważniejsze są akta.

Sabina wiedziała, że stary mówi to z pełnym przekonaniem.

– Wracając do Juliana Morgenrotha...

– Tamtego dnia widziałem, jak idzie w stronę ruin. Dwa razy: po południu i wieczorem. Byłem na spacerze z Gagarinem.

– Z Gagarinem?

– Z moim owczarkiem. Kwadrans po piętnastej chłopak z gitarą na plecach szedł polami w kierunku ruin. Gagarin podbiegł do niego i go obwąchał. Chłopak pogłaskał go i przez chwilę się z nim bawił. Przywołałem psa, a wkrótce potem usłyszałem w ruinach głośne krzyki, jakby ktoś się kłócił. Kilka minut później zobaczyłem, że chłopak wraca. Gagarin znowu do niego podbiegł, ale tamten błędził myślami gdzie indziej. Często tak miewał. Wiadomo, artysta. Ale tego dnia wyglądał... jak siedem nieszczęść...

Sabina kiwnęła głową, zachęcając starego, by mówił dalej.

– Około dwudziestej, właśnie stałem przy oknie w salonie, chłopak znów wyszedł z domu, ze spuszczoną głową przeszedł pod moim oknem i poczłapał w kierunku ruin. Był zrozpaczony, tak samo jak ja, choć pewnie z innego powodu. Tego dnia już nie wrócił, na pewno nie przed nocą. Dam sobie uciąć rękę.

Była to wyjątkowo precyzyjna relacja, zwłaszcza że od opisywanych przez Balthusa wydarzeń minęło prawie ćwierć wieku.

Stary najwyraźniej zauważył zdziwienie i sceptycyzm malujące się na twarzy Sabiny, gdyż dodał:

– Pamiętam to wszystko tak dokładnie, bo tego dnia podpisano traktat, który przypieczętował upadek naszej ojczyzny. Był ostatni

dzień sierpnia, tego dnia nigdy nie zapomnę.

Sabina wyobraziła sobie, jak tego popołudnia świat Ruperta Balthusa obraca się w ruinę, jak stary komunista stoi przy oknie, z gniewem i melancholią patrząc na kraj, który w jednej chwili przestał być jego ojczyzną. Jak przeklina Kohla, Gorbaczowa i większość swoich współobywateli. Jak w oczach więdnie. Godzinami siedział przy oknie, patrząc ponuro na spowitą w mroku ziemię, na wioskę, w której odtąd ton mieli nadawać młodzi ludzie z wielkimi aspiracjami i planami na przyszłość. I nagle zobaczył, jak jeden z tych, których marzenia pogrzebały jego marzenie, przybity mija jego okno. Nic dziwnego, że ta scena tak głęboko utkwiała mu w pamięci. Sabina też doskonale pamiętała, co robiła tamtego wieczoru, gdy w wiadomościach podano informację o podpisaniu traktatu. Słuchała w swoim pokoju muzyki. Pogłośniła gramofon i słuchając po kolei wszystkich płyt Niny Hagen, utwierdzała się w postanowieniu, że wyjedzie na zachód i zostanie policjantką.

– Widział pan kogoś jeszcze?

– Z okna w salonie widać tylko dom Morgenrothów. Kiedy się ściemniło, zamknąłem okiennice. Potem słyszałem głosy. Pani Morgenroth z kimś rozmawiała, zdaje się, że z małą Petersenówną.

– Margrethe?

– Chyba tak, ale nie jestem pewien. Drzwi kilka razy otworzyły się i zamknęły. Strasznie skrzypiały, co mnie zawsze doprowadzało do szału, ale tego wieczoru już nic mi nie przeszkadzało. Otworzyłem butelkę wódki. Dlatego następnego dnia ci głupi wiejscy gliniarze nie uwierzyli mi, kiedy im powiedziałem o kłótni w ruinach i o tym, że młody Morgenroth wyglądał dziwnie. Wyczuli, że piłem, więc uznali, że bredzę. Poza tym... – Balthus zawahał się, zacisnął usta i zamilkł.

Sabina wiedziała jednak, co chciał powiedzieć. Trzydziestego pierwszego sierpnia ludzie tacy jak stary Balthus odeszli do lamusa, a konformiści pokroju Mirosława Ammanna zawsze wiedzą, skąd wieje wiatr. W 1990 roku łatwo było publicznie wyśmiać starego Balthusa i nikt sobie nie żałował. Ammann i jego dwaj koledzy byli jednymi z pierwszych.

– Czy tamtego dnia coś jeszcze zwróciło pana uwagę?

Przez kilka sekund stary patrzył na Sabinę w milczeniu, a kiedy się odezwał, w jego głosie nie było cienia owej charakterystycznej dla niego odstręczającej nuty. Najwyraźniej z biegiem lat przywykł do tego, że ludzie go nie słuchają, a jeśli już, to niechętnie i wbrew sobie. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś go o coś dopytywał. Pewnie już nie pamiętał, kiedy ostatnio z kimś tak zwyczajnie rozmawiał.

– Tylko to, że w południe Mike szalał po Kaltenhusen swoim nowiutkim motorowerem, kręcąc rundki z kumplami.

– Z Julianem również?

Stary kiwnął głową.

– Tak. I z moją Jacqueline. Nie było tylko Lei, twojej siostry. Od miesiący się nie pokazywała.

Sabina niechętnie wracała myślą do tych kilku miesięcy swojego życia. Nie dlatego, że jej rodzice umarli, ale z powodu uczuć, które wtedy ją ogarnęły, a których do dziś się wstydziła. Albowiem w głęboki żal po utracie dwojga najbliższych jej ludzi wkradła się wstrętna, złośliwa satysfakcja, że ta tragedia dużo bardziej dotknęła Leę. Oczywiście obie straciły rodziców, lecz Lea straciła również ludzi będących jej oparciem, ludzi, którzy ją podziwiali. Pierwszy raz w życiu Lea naprawdę cierpiała, a jej łzy płynęły prosto ze złamanego serca. Łzy, które Sabina zawsze musiała wypłakiwać w poduszkę, ilekroć czuła się skrzywdzona, i na które w końcu przestała sobie pozwalać.

Tak oto tragiczna śmierć rodziców stała się zarazem spóźnionym triumfem Sabiny. Lea była słaba, zagubiona, podatna na zranienia, podczas gdy ona, Sabina, chwyciła ster w swoje ręce i zajęła się wszystkim, co trzeba. Z początku nie dostrzegała, że w jej energicznej postawie kryje się nuta dumy z tego, że tak dobrze sobie radzi. Dopiero po kilku miesiącach przyznała przed sobą, że przez cały ten okres napawała się nowym układem sił.

– I wczoraj, i dzisiaj wspominał pan coś o narkotykach. Kogo miał pan na myśli? Jacqueline czy kogoś jeszcze?

– Co do Jacqueline, to jestem pewien. Przyłapałem ją i porządnie złołem skórę. Ale to nic nie dało. Niedługo potem uciekła.

– Domyśla się pan, skąd brali narkotyki?

– A jak myślisz, skąd Mike miał pieniądze na motorower? – Balthus aż się zapluł. – Wycisnąłem to z Jacqueline, ale potem uciekła i niczego nie mogłem mu udowodnić.

– Myślałam, że Mike dorobił się na ubezpieczeniach.

– To było później. Mój zięciunio zaczynał karierę jako zwyczajny diler. Domyślałam się, że ta istota, która mieni się moją córką, po powrocie z Ameryki postanowiła go szantażować. Nie miała pieniędzy ani zawodu, a do pracy nigdy się nie paliła. Najpierw chciała mnie wydoić, ale nie ze mną takie numery. Nie pasowały jej moje warunki, więc znalazła sobie innego frajera.

Sabina wyobraziła sobie owe „warunki”. Powrót z pełnego przepychu Hollywood do socjalistycznej enklawy na końcu świata. Jednym słowem: totalne upokorzenie. Równie dobrze Jacqueline mogłaby wstąpić do jakiejś sekty. Sabina oceniała ją łagodniej, niż można by się spodziewać po byłej policjantce ścigającej dilerów. Uważała, że młodość ma prawo do podejmowania ryzyka, do naiwności, a nawet głupoty. Młodym ludziom łatwo wybaczała, za to nie miała litości dla starych. Tak jak dla młodych besserwisserów i apostołów moralności. Zdawała też sobie sprawę, że w tamtych czasach młodzi ludzie chcieli spróbować wszystkiego, co niesie świat. Upadek muru przyniósł z sobą tysiące możliwości i szans, nowych doznań. Od szybkich samochodów po ryzykowne interesy i możliwość wyjazdu. Nierzadko takie przedsięwzięcia kończyły się smutno, czasem tragicznie. Jacqueline popróbowowała narkotyków i po wyjeździe do Hollywood z pewnością się od nich nie uwolniła. Tam ćpanie należy wręcz do dobrego tonu.

W stosunku do Mike’a Sabina była dalece mniej łaskawa. Jeśli oskarżenia starego Balthusa były prawdziwe, to Mike był zwykłym dilerem. Człowiekiem, który wciągał innych w piekło uzależnienia.

Ponieważ Balthus okazał się szalenie pomocny, Sabina pożegnała się z nim wyjątkowo serdecznie.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedziała i już miała się odwrócić i odejść, gdy stary postąpił krok w jej kierunku i rzekł:

– Może nie wypada mi tego mówić, ale zawsze bardziej lubiłem ciebie niż twoją siostrę. Lea miała w sobie coś... fałszywego. A ja nie

cierpię fałszu. Ty byłaś co prawda bardziej bezczelna, ale przynajmniej szczerza i autentyczna. A ja cenię to w ludziach.

Sabina ze zdziwieniem stwierdziła, że słowa starego dogmatyka, który sam przyznał, że bił swoją córkę, do głębi ją poruszyły. Do tej pory wszyscy ludzie znający Leę i Sabinę zawsze bardziej lubili młodszą z sióstr.

Sabina zastanawiała się, jak zareagować na słowa Balthusa, gdy on dodał:

- Przepraszam, że wczoraj cię uderzyłem.
- Nie zrobił pan tego celowo.
- Mimo wszystko przepraszam.
- W porządku, przeprosiny przyjęte.

Stary podał jej szorstką, spracowaną dłoń i przez chwilę wydawało się, że mogą dojść do porozumienia, również w kwestii spornej działki. Może motywy kierujące starym Balthusem były dużo prostsze, niż wszyscy myśleli? Może chciał w ten sposób po raz ostatni wkroczyć na scenę? Może chciał zgasić uśmiech na ustach tych, którzy od przeszło dwudziestu lat z niego szydzili?

Wrzesień 2013 roku

Dzień przed otwarciem wystawy odezwała się Ina Bartholdy. Wreszcie. Jechałam samochodem do Kirchdorfu, gdzie w Domu Gminnym miałam rozwiesić fotografie. Przed Kaltenhusen zatrzymałam się na skraju drogi, wysiadłam i z grubsza zrelacjonowałam terapeutce ostatnie zdarzenia. Wyspa była jeszcze spowita we mgle, ale słońce tu i ówdzie przezierало już przez mleczny welon. Zapowiadał się piękny dzień.

– Wiedziałam, że coś takiego może się zdarzyć – zakończyłam swój wywód. – Mówiła pani, że to, co przeżyłam w maju na Poel, nie wyparowało z mojej pamięci, tylko się ukryło i w każdej chwili może wypłynąć na wierzch. Jeśli chodzi o te przebłyski, które nagle stają mi przed oczami, to nie do końca wiem, jak je rozumieć. Płacząca Jacqueline? Co to ma znaczyć? Ale w porządku, zostawmy to. Z kolei Julian... Kiedy go usłyszałam i zobaczyłam, to było tak realne...

– Dobrze, przyjrzyjmy się temu dokładniej – powiedziała Ina i już sam dźwięk jej głosu niósł mi ukojenie.

Towarzyszyła mi od miesiący. Słuchała mnie, rzeczowo, a zarazem z empatią tłumaczyła, co mi się przytrafiło i co mnie czeka. Stała się dla mnie jak siostra, lecz zrozumiałam to dopiero teraz, kiedy po tylu dniach znów usłyszałam jej głos. Najchętniej wsiadłabym do samochodu i pojechała do niej do Schwerinu.

– Jeśli chodzi o Juliana, to możliwe są dwa wyjaśnienia – zaczęła. – Po pierwsze: tamte miejsca i sytuacje są ściśle związane z pani byłym przyjacielem. Często spotykała się pani z nim w ruinach klasztoru, w którym kilka dni temu usłyszała pani jego głos.

– To prawda. Ale o ile pamiętam, nigdy nie widziałam Juliana ani w ogrodzie Pierre'a, ani na stacji benzynowej.

– Musi pani zrozumieć, Leo, że jeśli chodzi o te ruchome obrazy, to są one raczej oderwane od rzeczywistych zdarzeń. W tym wypadku

pani podświadomość nie wysłała dokładnej fotokopii dawnych przeżyć. Można powiedzieć, że jest pani jak bohater kafkowskiej powieści.

Uśmiechnęłam się. Zawsze podobały mi się plastyczne porównania Iny.

– Kafka na Poel, tego tylko brakowało – powiedziałam. – Wolałabym Fontanego. U niego wszystko jest przewidywalne.

– Niestety, pani mózg już wybrał lekturę, Leo. Może śniła pani w nocy o Julianie i wyczulone zmysły zareagowały w ten sposób, że zobaczyła go pani w ogrodzie? A co do sceny na stacji benzynowej... Wspomniała pani, że sprzedawczyni była przyjaciółką pani rodziców. Czy pamięta pani jakieś zdarzenie, które wyjątkowo ściśle łączy pani rodziców z Julianem?

Musiałam się zastanowić. Mój wzrok powędrował przez zamglone pustkowia ku majaczącemu w dali cmentarzowi, na którym miało miejsce owo zdarzenie.

– Ostatni raz widziałam Juliana na pogrzebie moich rodziców. Byłam dla niego bardzo niemiła.

– Domyślałam się, że sprzedawczyni ze stacji również była na pogrzebie.

– Oczywiście.

– Mamy zatem związek! Może żałuje pani tamtego zachowania, ale nie ma możliwości za nie przeprosić? Pani wciąż jeszcze rozchwiany umysł kompensuje ten dysonans, projektując obraz Juliana.

– Świetnie! – westchnęłam. Zabrzmiało to tak, jakbym była rozczarowana działaniem własnego umysłu, co zresztą nie było dalekie od prawdy. Zawsze starałam się nad sobą panować i nie lubiłam okazywać słabości. Jeśli byłam chora i musiałam zostać w domu, nigdy nie wkładałam starego, acz wygodnego dresu, tylko zwykłe, codzienne ubranie. Zmuszałam się też do pracy. Jednym słowem: nawet jeśli moje ciało potrzebowało wytchnienia, zawsze mogłam liczyć na swój niezawodny umysł.

Ale dziś już nie byłam tą dawną Leą. I nie chodziło tylko o umysłową chwiejność. Nie tylko mój głos, ale cała moja istota jakby zmiękła. Czulałam się słaba i dezorientowana, potrzebowałam oparcia. Byłam dużo łagodniejsza niż kiedyś. Może to dziwne mówić tak

o sobie, ale tę nową Leę lubiłam bardziej niż dawną. Musiałam tylko do niej przywyknąć.

– Czy mogę coś zrobić, żeby ten proces powstrzymać albo przyspieszyć? – spytałam.

– Powrót do Argentyny albo dłuższa podróż mogłyby go zatrzymać. Z dala od rodzinnych stron nic nie będzie pani przypominać młodości, dawnych miejsc i przyjaciół. Nieco inaczej ma się sprawa z „przebłyskami”, o których pani wspomniała. Nie wydaje mi się, żeby to były abstrakcyjne obrazy. Stanowią one raczej odbicie tego, co pani przeżyła w maju. Zazwyczaj utracone wspomnienia powracają w formie sekwencji, jakby krótkich filmików. Jednak pani jest fotografem, więc pamięć wyraża się w formie statycznych ujęć. Możliwe, że jeszcze przez jakiś czas będzie pani widzieć takie statyczne obrazy. To jednak nie gwarantuje, że w pełni odzyska pani wspomnienia, Leo. Ten proces jest nie do przewidzenia. Wspomnienia mogą wrócić jutro, a może nie wrócą nigdy. Albo będzie je pani odzyskiwać po kawałeczku, latami.

Słowa terapeutki nie tyle odpowiedziały na moje pytania, ile zrodziły nowe. Które wspomnienia są istotne, a które pozbawione znaczenia? Czy mam do czynienia z puzzlami pamięci, czy raczej z wytworami umysłu i wyobraźni?

Nie mogłam ufać nawet sobie. To wstrząsające odkrycie było trudne do pojęcia, a jeszcze trudniejsze do zaakceptowania.

Ale... czy mogę ufać innym? Kilka dni temu zadałam sobie to pytanie, a potem gwałtownie je od siebie odsunęłam. Teraz jednak stanęło przede mną z pełną mocą. Tajemnicze ostrzeżenie Edith i niechęć Harry’ego albo były nic nieznaczącymi drobiazgami, albo fragmentami większej całości. A jeśli faktycznie istniała jakaś „większa całość”, to nawet przysługi w rodzaju tej, którą wyświadczył mi Mike, organizując mój wernisaż, ukazywały się w zupełnie nowym świetle. Czyżby próbował mnie zatrzymać na Poel? A jeśli tak, to w jakim celu? Czułam, że czeka mnie jeszcze więcej zagadek i pytań.

– Wracając do Juliana – odezwała się Ina Bartholdy. – Jak powiedziałam na początku rozmowy, istnieją dwa możliwe wyjaśnienia tego, że wydaje się pani, że go widziała. Jedno już

omówiliśmy. Drugie jest takie, że Julian odegrał ważną rolę w trakcie pani majowej wizyty na Poel.

– Ważną rolę? Nie rozumiem.

– No cóż, Julian mógł być centralnym tematem pani majowych spotkań i rozmów. Może dowiedziała się pani czegoś ważnego. A może był wręcz powodem, dla którego wybrała się pani w rodzinne strony.

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Nie, to niemożliwe – odparłam w końcu, wciąż zatopiona w myślach. – Przyjechałam na Poel, żeby razem z siostrą wyjaśnić sprawę działki.

– Naprawdę? Jest pani pewna czy może ktoś to pani powiedział?

Elias Canetti napisał kiedyś: „Wszystko, co zapomniane, woła we śnie o pomoc”. Niestety w naturze zapomnienia leży to, że nigdy nie wiadomo, co się zapomniało, dlatego nieświadomość woła o pomoc niejako w obcym języku. Człowiek wie co prawda, że coś się nie zgadza, ale nie potrafi tego wyrazić słowami. Już kilka razy byłam bliska tego, by wsiąść do pierwszego lepszego samolotu i wrócić do Argentyny. Odwołanie wystawy na Poel nie byłoby niczym wielkim, skoro zdarzyło mi się już odwołać wernisaż w Londynie!

Były trzy powody – a raczej trzy osoby – dla których zostałam.

Najpierw Pierre. Przekroczyłam punkt, w którym mogłam go tak po prostu opuścić. Byliśmy zakochani i postanowiłam, że tym razem nie zniszczę wszystkiego tak jak wtedy, gdy zerwałam z Julianem.

Potem Sabina. Chciałam się dowiedzieć... Musiałam mieć stuprocentową pewność, dlaczego zginęła i co wydarzyło się przedtem. Dopóki żyła, kłóciłyśmy się, walczyłyśmy, ignorowałyśmy się, a przez pewien czas nawet nienawidziłyśmy jedna drugą. Jakie miała marzenia, plany na przyszłość? Nie miałam pojęcia. Na czym właściwie zasadzała się nasza wzajemna wrogość? Odpowiedź na to pytanie była przerażająca. Tak naprawdę nigdy nie chodziło o uszczypliwość i zwykłą złośliwość. Prawdziwy powód zniknął bez śladu, został tylko mój głupi upór, by rodzice to mnie bardziej kochali. Ta sama duma, która kiedyś nie pozwoliła mi pogodzić się z Julianem, zdusiła też

w zarodku myśl o pojednaniu z Sabiną. Ponieważ za życia nigdy nie byłam dla niej prawdziwą siostrą, chciałam być nią przynajmniej po jej śmierci. Jeśli mogłam dla niej jeszcze coś zrobić, to kontynuować jej dzieło, zacząć tam, gdzie ona skończyła, cokolwiek to było. Czy naprawdę szukałyśmy jedynie aktu własności ziemi? A może czegoś zupełnie innego?

W końcu Julian. On był najbardziej abstrakcyjnym, najmniej uchwytnym powodem, który skłonił mnie do zostania na wyspie. Czułam, że przez te halucynacje chce mi coś powiedzieć. Czasami miałam ochotę uciec przed nimi, ale wtedy coś mnie do nich z powrotem ciągnęło.

To były dziwne dni. Przygotowania do wystawy całkowicie zaprzętały moją uwagę, lecz mimo to Pierre, Sabina i Julian nie odstępowali mnie nawet na krok. Bez przerwy mi towarzyszyli.

Dzień, który miał się zakończyć katastrofą, zaczął się, jak to zwykle bywa, od cudownego poranka. Przygotowałam wyjątkowo wystawne śniadanie i kiedy Pierre zszedł do kuchni, nalałam mu kawy, jakbym to robiła tysiące razy.

Przywitał mnie promiennym uśmiechem, jakbyśmy spędzili noc na szalonym seksie. A przecież poprzedniego wieczoru omal się nie pokłóciliśmy, ponieważ chciałam go spędzić z Mikiem i Jacqueline. Z okazji zbliżającego się wernisażu Mike zaprosił mnie – i tylko mnie – na kolację, co mój przyjaciel skwitował kwaśną miną. Oczywiście mimo to przyjąłam zaproszenie.

Po wczorajszym nieporozumieniu nie został nawet ślad. Kiedy usiedliśmy naprzeciw siebie przy stole, Pierre podał mi kopertę.

– Co to takiego?

– Koperta.

– No co ty powiesz? – odparłam z uśmiechem. – A w środku?

– Sama zobacz.

Zasłużyłam sobie! Zadawałam idiotyczne pytania, ale tego popołudnia miałam otworzyć wystawę i trochę się tym denerwowałam. A teraz jeszcze ta niespodzianka! Otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej kilkustronicowy wydruk opisujący kolejne etapy sześciotygodniowej

podróży: Mauritius, Reunion, Seszele, Madagaskar, Sri Lanka. Dla dwóch osób.

Pierre położył rękę na mojej dłoni.

– Zanim odpowiesz, chcę ci coś powiedzieć. Coś, co od kilku dni chodzi mi po głowie. Przez ostatnie trzy tygodnie mocno się powściągałem... jeśli chodzi o nas. Może się zastanawiasz dlaczego. Wiesz, Leo, ja nie umiem tak po prostu przespać się z kobietą, do której czuję to, co do ciebie.

– Pierre...

– Nie, zaczekaj. Najpierw chcę ci powiedzieć, co takiego odróżnia cię od wszystkich innych kobiet na świecie. Otóż jesteś połączeniem bliskości i obcości, dawnej dziewczyny i nieznanym kobiecie, która zjawiała się Bóg wie skąd. Kiedyś, dwadzieścia pięć lat temu, każdego wieczoru przed zaśnięciem i każdego ranka przed wstaniem z łóżka szeptałem twe imię, myśląc: „Pewnego dnia... pewnego dnia...”. A potem wyjechałaś i z czasem stałaś się kimś nierzeczywistym, kimś na kształt bóstwa, które co prawda nie jest całkiem obecne, ale też nigdy całkiem nie znikło. W chwili, gdy cię znów zobaczyłem, wszystko wróciło. Kocham cię, Leo.

– O mój Boże – jęknęłam, poniekąd celowo wprawiając Pierre’a w przerażenie. – Myślałam, że nigdy nie przestaniesz mówić. Używasz trzystu słów, by wypowiedzieć to, co inni potrafią zawrzeć w trzech. Czy ty nie jesteś nowym wcieleniem Marcela Prousta?

Pierre przełknął nerwowo ślinę.

– To znaczy... znaczy...

Nabazgrałam coś na wydruku, włożyłam go z powrotem do koperty i pchnęłam ją w stronę Pierre’a.

Otworzył ją i długo wpatrywał się we mnie w milczeniu. Na ostatniej stronie postawiłam maleńki haczyk.

– Tak się wyznaje miłość – powiedziałam z uśmiechem, po czym nachyliłam się nad stołem i pocałowałam go w usta.

Siedzieliśmy przy stole niczym nowożeńcy, z uśmiechem rzucając sobie kokieteryjne spojrzenia. Byłam tak podekscytowana, że dopiero później, kiedy wróciłam do swojego pokoju, dotarło do mnie coś, co zrazu znikło w słowotoku Pierre’a: kochał mnie od dwudziestu pięciu

lat!

Dziewięćdziesiąt dziewięć mgnień rodzinnych stron – tytuł wystawy pysznił się w promieniach słońca nad głównym wejściem Domu Gminnego, a po bokach flagi uroczyście łopotały w rześkim bałtyckim wietrze. Podczas trwających kwadrans przemówień fetowano mnie między innymi jako „słynną, wracającą do korzeni córkę Poel”. Moja przemowa była dalece skromniejsza i krótsza. Ponieważ nigdy nie lubiłam objaśniać fotografii – czy to moich, czy cudzych – ograniczyłam się do podziękowania tym, którzy przyczynili się do zorganizowania wystawy, w tym, ma się rozumieć, Mike’owi. Słusznie się domyślałam, że całe to zamieszanie wokół wernisazu było jego dziełem – nie tylko napis nad wejściem i flagi, lecz również catering i darmowe drinki, od szampana po lemoniadę. Od Jacqueline dowiedziałam się, że również dzięki niemu zjawili się Harry i Margrethe, gdyż Mike zatrudnił na ten dzień pielęgniarkę, która miała się zaopiekować Edith.

W końcu otwarto podwójne drzwi Domu Gminnego. W środku, w trzech obszernych pomieszczeniach, rozwieszono na ścianach i stelażach dziewięćdziesiąt dziewięć fotografii, które teraz ukazały się oczom gości. Wzięłam Pierre’a pod ramię i u jego boku obesłam całą wystawę. Jego opinia była dla mnie szalenie ważna. Miałam nadzieję, że spodoba mu się mój styl, że podzieli mój sposób patrzenia na świat. Nie było to łatwe, bo fotografie można było interpretować na rozmaite sposoby: intelektualnie lub estetycznie, dostrzec w nich prowokacyjną oryginalność albo przejść obok nich obojętnie.

Margrethe wybrała tę ostatnią opcję. Nie trafiała do niej ani czarno-biała estetyka, ani wybrane motywy („Gdzie są zachody słońca?”), ani ujęcia, ani brak dominującego tematu.

– Wyspa, którą sfotografowałaś, to nie jest moja wyspa – brzmiał jej bezlitosny wyrok. Od początku była w podłym nastroju i prawdopodobnie wcale nie chciała przyjść, ale jakimś cudem Mike ją przekonał. Przez godzinę trzymała się kurczowo szklanki z sokiem, ukryta w jakimś zacisznym kącie z dala od ludzi.

Harry zachowywał się bardzo podobnie. Nie odezwał się do mnie

ani słowem i kompletnie zignorował fotografie, przez cały czas zajęty tym, by schodzić z drogi Mike'owi.

– Jak w przedszkolu – skomentował to zachowanie Pierre, a ja przyznałam mu rację. Raz po raz dotykał mojej dłoni i obejmował mnie w talii. Te gesty z jednej strony były adresowane do mnie, zapewniając o jego miłości, z drugiej zaś miały informować wszem wobec, że jesteśmy parą. Głównym adresatem był chyba Mike, któremu Pierre najwyraźniej chciał dać do zrozumienia, że jeśli ten wpadnie kiedyś na pomysł, by znowu gdzieś mnie zaprosić, powinien uwzględnić również mojego partnera. Cóż, w tym też było trochę przedszkola.

– Coś wspaniałego, Leo – rzucił z zachwytem Mike, przechodząc obok nas. – Cudowne. Naprawdę.

Kiedy oddalił się nieco, Pierre szepnął mi do ucha:

– Mogłabyś rozwiesić zdjęcia papieru toaletowego, a byłby nie mniej zachwycony.

Niestety miał rację, gdyż Mike krążył głównie wokół bufetu, regularnie wymieniając kieliszki z szampanem. Z rzadka tylko zapuszczał się w świat moich fotografii.

– Nie ma tabliczek z cenami – poskarżył się, wróciwszy po chwili.
– Można je w ogóle kupić?

– Ty możesz kupić wszystko – rzucił zgryźliwie Pierre.

– A ty co, jesteś jej rzecznikiem prasowym? Czy mogę przez chwilę porozmawiać z artystką z dala od naszego wiejskiego doktora?
– odparował Mike.

Aby zapobiec kłótni, odpowiedziałam na pytanie Mike'a.

– W przyszłym tygodniu, w Wismarze, rozwiesimy tabliczki z cenami.

Ta odpowiedź najwyraźniej usatysfakcjonowała Mike'a, który znów pozegłował w stronę bufetu. Był na lekkim rauszu, więc domyśliłam się, że zaczął świętować już w domu. Jacqueline zostawiła męża samemu sobie, wmieszała się między gości i po kolei wdawała się z nimi w pogawędkę, zupełnie jakby zebrali się tu z jej powodu.

Oczywiście trochę osób podchodziło również do mnie, choć jak na tak liczne zgromadzenie nie było ich zbyt dużo. Z doświadczenia

wiedziałam, że wielu ludzi nie ma śmiałości zagadnąć artysty, jakby ten należał do innej kasty i nie można było z nim normalnie porozmawiać. Gdyby nie Pierre, z pewnością jeszcze mniej osób zdobyłoby się na rozmowę ze mną. W końcu byłam tu obca. W przeciwieństwie do miejscowego lekarza, którego znali wszyscy i którego obecność u mego boku stopniowo ośmielała kolejnych gości do nawiązania kontaktu ze mną. Cierpliwie odpowiadałam na ich pytania, aż w końcu poczułam się lekko znużona.

Kiedy pomieszczenia zaczęły pustoszeć, Pierre wyciągnął mnie na taras. Ptaki szybowały nad nami na cudownie błękitnym niebie, powietrze było ciepłe i słone, zachodni wiatr rozwiewał mi włosy. Pierre niespodziewanie mnie pocałował.

– Nie wytrzymałbym nawet sekundy dłużej – szepnął. – Chciałbym krzyczeć na cały świat, że cię kocham.

– Już to robisz. Tristan nie ścisnął Izoldy tak mocno, jak ty mnie – zażartowałam.

– Przepraszam, po prostu... Mike działa mi na nerwy.

– Tego też nie sposób nie zauważyć. Co miałeś na myśli, mówiąc, że może wszystko kupić? Wiem, że chciałeś coś przez to powiedzieć.

Pierre kiwnął głową.

– Podczas przemówień dowiedziałem się od jednego z gości, że władze zabroniły budowy i wszelkich zmian na terenie ruin. W ten sposób działka stała się dla Balthusa bezużyteczna. Jeśli pójdzie do sądu, proces będzie się ciągnął latami.

Moje serce aż podskoczyło z radości. Co za cudowny dzień! Dobre wieści nie miały końca!

– Ależ to cudownie! – wykrzyknęłam. – Przecież tego właśnie chcieliśmy!

– Oczywiście – przyznał niechętnie Pierre. – Cieszę się, naprawdę. Ale przecież to jasne jak słońce, że Mike maczał w tym palce. A raczej portfel. Zwyczajnie kupił tę decyzję.

– Jeśli nawet, to przecież zrobił to w szczytnym celu.

– Owszem, tym razem. Mike bierze, co chce. Wszyscy tu tańczą tak, jak on zagra... Na przykład twój wernisaż. Cieszę się, że odniosłaś sukces, Leo. Naprawdę, z ręką na sercu. Ale Mike chce wyjść na

twojego wielkiego dobroczyńcę, a to mi się nie podoba. Wiesz, że rozmawiał w Schwerinie na temat zorganizowania ci wystawy w stolicy landu?

Nie wiedziałam.

– I stąd te wszystkie sceny zazdrości? Tylko dlatego, że wczoraj przyjąłem jego zaproszenie? – westchnęłam. – Wierz mi, nic nie straciłeś. Najbardziej ekscytujący moment wieczoru nastąpił, gdy próbowałam nauczyć Mike’a i Jacqueline ćwiczeń qigong. Poznałam je w klinice. Trzeba się odprężyć i skupić na tym organie naszego ciała, który chcemy otoczyć szczególną troską.

– Mike na pewno myślał o swojej wątrobie. W każdym razie powinien.

– Hej, nie bądź tak sarkastyczny. Poza tym to chyba podlega tajemnicy lekarskiej?

– Teoretycznie podlega jej nawet to, że Mike ma dwie ręce i dwie nogi, choć przecież nawet ślepy to widzi.

Pierre przeszedł się po tarasie, błędząc wzrokiem po Kirchdorfie i pobliskim morzu, w którym odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Od wschodu nadciągała noc.

– Chciałbym się stąd wyrwać – powiedział w końcu.

– Tak wcześniej?

– Miałem na myśli wyspę. Chcę stąd wyjechać, zamieszkać gdzie indziej. – Wrócił do mnie i odgarnął mi z czoła kosmyk włosów. – Może w Buenos Aires?

– Chcesz ze mną jechać do Argentyny? – spytałam zdumiona.

– Do Buenos Aires, Barcelony, Bangkoku, Berlina, dokąd tylko zechcesz.

– Ale ty...

Chciałam powiedzieć, że przecież prawie mnie nie zna. W ostatniej chwili zorientowałam się, że to nieprawda. Z tego, co mi opowiadał, wynikało, że zna mnie doskonale, od urodzenia. Za to ja znałam go zaledwie od dwóch tygodni.

– A twój gabinet?

– Lekarze mogą pracować wszędzie, tak jak fotograficy.

Nie przychodził mi do głowy żaden sensowny kontrargument.

Kochałam Pierre'a. Do tej pory z sobą nie spaliśmy i jeszcze rok wcześniej byłoby dla mnie nie do pomyślenia, żeby z kimś, kogo nie znam na wylot, rozmawiać choćby o zamieszkaniu razem. Zastanawiałam się, czy ta zmiana wynikała z upływu czasu, zmian po wypadku, czy raczej z tego, że chodziło o Pierre'a.

Pocałowaliśmy się. Długo i namiętnie. Chciałam w ten sposób dać mu do zrozumienia, że zgadzam się na jego plan wspólnego wyjazdu.

– Nie powiedziałaś, co sądzisz o moich zdjęciach – rzekłam, w napięciu czekając na jego opinię. Spodziewałam się po nim wyważonej, dogłębnej i przenikliwej recenzji.

Pierre milczał przez chwilę, a gdy otworzył usta, nagle z pomieszczeń Domu Gminnego dobiegły wzburzone głosy. Zanim zdążyliśmy wejść do środka, zza drzwi wyłoniła się głowa Jacqueline.

– Chodźcie, szybko! – krzyknęła zdenerwowana. – Mój ojciec właśnie rozjeżdża spychaczem Pałac.

Cztery miesiące wcześniej

Spacery po plaży nie były ulubionym zajęciem Sabiny. Wolała zwiedzanie nieznanymi miast, piesze wędrówki i narty w górach. Kiedy już musiała jechać z przyjaciółmi na krótki wypad nad wodę, proponowała jeziora: Lago Maggiore albo Pojezierze Meklemburskie. Bezkres morza wzbudzał w niej zwykle osobliwy niepokój i każdemu psychoanalitykowi wystarczyłoby pięć minut, by stwierdzić, że jego źródłem jest traumatyczne dzieciństwo na Poel. Dla nich wszystko ma swoje źródła w dzieciństwie.

Jednak tego dnia przełamała się i wyruszyła na brzeg morza. Zresztą kosztowało ją to mniej wysiłku, niż się spodziewała. Od chwili, gdy przyjechała na Poel, minęło ledwie trzydzieści godzin, lecz przez cały ten czas musiała się mierzyć z przeszłością. Dlatego uznała, że już pora zamknąć ten dawny rozdział jej życia. Nie żeby do tej pory wypierała tamten okres z pamięci, bynajmniej. Raczej akceptowała go jako konieczny etap. Tamte lata ją zahartowały. Kto wie, gdzie byłaby dzisiaj, gdyby od najmłodszych lat nie ścierała się z innymi i nie izolowała od nich? Poza tym miała również przyjemne wspomnienia, na przykład z zawodów pływackich, które wygrała jako dwunastolatka i po których rodzice jeden jedyny raz spojrzeli na nią z dumą. I w ogóle z czasów, gdy Lea była jeszcze mała. Nie, nie wszystko było złe w jej dzieciństwie. Zresztą kto powiedział, że ludzie, którzy mieli szczęśliwe dzieciństwo, automatycznie będą szczęśliwi przez całe życie?

Sabina zawsze sądziła, że mieszkańcy Poel, a zwłaszcza Kaltenhusen, niespecjalnie ją lubią, dlatego już wtedy postanowiła, że znienawidzi rodzinne strony. Teraz jednak okazało się, że znalazła wspólny język z Harrym i Margrethe, a stary Balthus zawsze darzył ją może nie sympatią, ale szczerym szacunkiem. No i przypomniała sobie piosenkę, którą specjalnie dla niej napisał Julian.

Zdjęła buty. Ziemia pod jej nagimi stopami i zimny, wilgotny piasek między palcami sprawiły, że poczuła niewypowiedzianą łączność z naturą. Czy są inne miejsca na tej planecie, gdzie chodzi się boso po dziewiczej ziemi? Plaża z jednej strony była otwarta dla wszystkich, ale też stanowiła jakby miejsce poza czasem. W ciepłym piasku topniały wszelkie konwencje. Człowiek był prawie zupełnie nagi, maniery stawały się zupełnie nieważne. Leżał pośród prehistorycznych skał, w górze kołowały mewy, a on przez kilka godzin pławił się w poczuciu, że jest praczłowiekiem, z dala od trosk niesionych przez cywilizację, od pracy, zobowiązań, przymusu zarabiania na życie. Czuł się wolny. Co prawda telefony komórkowe, laptopy i odtwarzacze mp3 nieco pozbawiły współczesne plaże tej błogiej atmosfery, ale na Poel nie było jeszcze najgorzej. Zwłaszcza w zimne, mgliste majowe popołudnie linia oddzielająca ziemię od wody chłoneła moc obu żywiołów i oddawała ją tym, którzy na niej balansowali.

Takich śmiazków nie było wielu. Pogoda była zbyt odstręczająca, a mała plaża w pobliżu Kaltenhusen – trudno dostępna. Tak naprawdę drogę na nią znali jedynie miejscowi. Sabina była praktycznie sama – nie licząc starszej pary z dwoma psami, biegaczki i bawiącej się spokojnie grupki młodzieży. Młodzi ludzie byli w tym samym wieku co Lea i jej przyjaciele w czasie, kiedy ich drogi zaczęły się powoli rozchodzić, a Mike zajął się handlem narkotykami.

Czy Lea o tym wiedziała? Sabina była ostatnią osobą, która chciałaby bronić Lei, ale trudno było jej sobie wyobrazić, żeby jej siostra mogła eksperymentować z narkotykami. Dla Lei wystarczającym środkiem odurzającym były książki i piosenki, czułe spojrzenia i fotografia, którą właśnie zaczęła odkrywać. No i, ma się rozumieć, ona sama, jej uroda, image miejscowej księżniczki. Młodsza siostra Sabiny była wystarczająco pewna siebie, dlatego sztuczne uniesienia wywołane jakimiś substancjami nie były jej do niczego potrzebne.

To samo Sabina mogłaby powiedzieć o Julianie. Był zbyt wielkim idealistą, żeby się wdawać w jakieś kryminalne afery czy wpaść w uzależnienie. Za to Mike był wręcz idealnym kandydatem do

robienia ciemnych interesów: lubił się przechwalać bogactwem, być niczym bóg, któremu będą składać ofiary wszyscy, którzy go potrzebują. To był jego styl. Czyżby Jacqueline przed dziesięciu laty faktycznie go zaszantażowała, grożąc, że ujawni jego mroczną przeszłość? Z prawnego punktu widzenia ewentualne przestępstwo już się przedawniło, lecz z pewnością położyłoby się cieniem na reputacji Mike'a, gdyby Jacqueline zaczęła dokoła rozpowiadać, co robił w młodości. Ale żeby z tego powodu opuszczać kobietę, którą się kocha? I małe dziecko? Sabina uznała, że taka decyzja byłaby nieproporcjonalna do niebezpieczeństwa, a tym samym mało prawdopodobna.

A co, jeśli Jacqueline знаła jeszcze jedną tajemnicę? O wiele większego kalibru?

Sabina niemal minęła ruiny klasztoru. Plażę oddzielały od wyspy porośnięte trawą wydmy, sosny i buki, toteż ruiny były prawie niewidoczne i idąc w ich stronę, widziała jedynie szczyt najwyższej ściany. W dni takie jak ten, kiedy wiatr szumiał w gałęziach drzew, a powietrze było wilgotne od mgieł i oparów, można było odnieść wrażenie, jakby stare ruiny chciały się skryć przed ludźmi w cieniu żywiołów. Za to widać było całe stada brzegówek, które uwiły sobie gniazda w niezliczonych zakamarkach splekanych murów. Od strony wyspy były doskonale ukryte, lecz kiedy się szło od plaży, dało się zobaczyć całe tuziny ptaków tańczących na wydmach. Prawdziwe ucieleśnienie radości i pełni życia.

Aż dziw, że kiedyś tego w ogóle nie dostrzegą. Poel była dla niej pustkowiem, senną prowincją z banalną przyrodą, zaludnioną przez ograniczonych, nudnych mieszkańców. Nawet rówieśnicy byli w jej oczach dzikusami. Potrzebowała czterdziestu siedmiu lat, pomysłowego pielęgniarza i zagadki, która być może wcale nie miała związku z przestępstwem, żeby mogła zobaczyć wyspę w korzystnym świetle. I tak jak oczy muszą przywyknąć do mroku, tak Sabina musiała się oswoić z zielenią i pozornie bezkresną przestrzenią, by zbliżyć się do Poel.

Otoczona śpiewem ptaków i szumem wiatru, usłyszała nagle ludzki głos, zrazu cichy, ledwie słyszalny, lecz z każdym krokiem, który

przybliżał ją do ruin, coraz głośniejszy i bardziej wyraźny. Ten głos był dla niej niczym syreni śpiew wabiący żeglarzy. Nie potrzebowała wiele czasu, by się domyślić, czyj to głos.

Rzut oka przez spiczaste okno do środka zrujnowanego klasztoru potwierdził jej podejrzenia. Harry stał pośrodku jednego z dziedzińców i krzyczał coś w kierunku ściany, oddalonej od niego o jakieś pięć metrów. Sabina widziała go tylko z profilu.

– Do-o diabła, Mike, ta ro-obota ni-ie była dla mnie. Nie mo-ogłem dłużej wy-ytrzymać.

– ...

– Do-obra, przyznaję. By-yłem zazdrosny. Ale nienawidziłem two-oich spo-osobów. Chcia-ałem być jak ty i za-arazem tego ni-ie chciałem. Po latach wciąż próbowałem cię na-aśladować, chociaż nasze drogi da-awno już się ro-rozeszły. My-yślisz, że dla-aczego na-abrałem tyle kre-edytów?

– ...

– O ni-ie, nie. To już przeszłość. Po-okonałem cię, zni-iszczyłem. Tylko cza-asami jeszcze... Ale to-o się ni-ie liczy. Dla mnie ni-ie żyjesz. I do-obra o tym wiesz. Dla-atego mnie u-upokarzasz na ka-ażdym kro-kroku.

– ...

– To-o był kiedyś nasz Pa-ałac, ce-entrum naszej przy-yjaźni. Ale dziś nie masz pra-awa tu wcho-odzić! Sa-am sobie je o-odebrałeś. Wy-ynoś się! Słyszysz? Wy-ynoś się stąd!

– ...

Harry miał łzy w oczach. Wpatrywał się w mur, na którego tle stał upiór, którego tylko on widział i z którym tylko on toczył zapiekły spór. Zdjął buty i rzucił nimi w zjawę.

Obcasy uderzyły w mur i zapadła cisza.

Harry padł na kolana i zaszlochał gorzko jak zrozpaczone dziecko.

Sabina przez chwilę myślała, żeby się cichaczem wycofać. Wchodzenie z butami pod osłoną nocy w ludzkie szaleństwo wydawało jej się czymś odstręczającym. Jak zareaguje Harry? Zawstydzi się czy wpadnie w gniew?

Wtedy jednak przypomniała sobie, ileż to razy w dzieciństwie

marzyła o tym, by przyszedł do niej ktoś, komu mogłaby powiedzieć o tym wszystkim, czego nie rozumieli ani jej rodzice, ani klasowi koledzy. Na przykład dlaczego zamiast ładnych dziewczęcych sukienek nosi tak okropne ubrania i kapelusz z obwisłym rondem, dlaczego tak nienawidzi Poel, potraw przyrządzanych przez matkę, rybackiego kutra ojca, muzyki słuchanej przez Leę i jej książek. Lecz taki słuchacz nigdy się nie zjawił. Wszyscy uważali Sabinę za „trudny przypadek”, dziwaczkę, a niektórzy nawet za pomyłkę.

Tak samo patrzyli dziś na Harry’ego. Harry nie był już dzieckiem, ale jego myśli kręciły się wyłącznie wokół dzieciństwa. I dlatego nikt nie chciał go słuchać.

Sabina chrząknęła, lecz Harry jej nie usłyszał. Dlatego w końcu się odezwała:

– Harry?

Podniósł głowę i przez kilka sekund patrzyli na siebie bez słowa. W końcu wstał i podszedł do niej. Stali naprzeciw siebie po dwóch stronach okna. Sabina gwałtownie przebiegła w myślach wszelkie możliwe odpowiedzi na ewentualne wyrzuty: „Dlaczego mnie podsłuchujesz? Czego tu szukasz? Dlaczego mnie szpiegujesz?”. Lecz on zaczął opowiadać. Tak po prostu.

– Mike na-amówił mnie na sprze-edawanie u-ubezpieczeń i lokat. Do-o tej pory słyszę, jak mó-ówi: „Wy-ystarczy elegancki ga-arnitur, szko-olenie zapewnia firma, dla której będziemy pra-acować. Pła-acą wysokie pro-owizje. Nie-eźle, co? Żeby sprze-edawać auta, musisz się uczyć la-atami, a do i-inwestycji ka-apitałowych wystarczy kurs. U-ubezpieczenia i lo-okaty sprzedają się jak świeże bu-ułeczki. Idziesz przez wieś, sta-ajesz przed drzwiami, dzwo-onisz, wpu-uszczają cię do-o środka i po-odpisujesz u-umowę”. Po-owiedziałem mu, że jestem ry-ybakiem, jak mój ojciec, je-ego ojciec i nasi dzia-adkowie, ale Mike ma-achnął ręką.

Harry westchnął i oparł łokcie na gzymsie.

– „Na-a rybach się ni-ie dorobisz” – powiedział. „Ty i Ma-argrethe nie macie na-awet pieniędzy, żeby kupić ma-atce na u-urodziny za-amrażarkę, o której marzy. Co z tego, że w skle-epach jest wszystko, kiedy nie masz pi-ieniędzy? I po to upadł ten pi-ieprzony mur? Nie. On

u-upadł, że-ebyśmy mogli spełniać ma-arzenia. Przy-yłącz się do mnie, Ha-arry”. Do-o tej pory wszy-ystko robiliśmy razem, dzi-ieliliśmy troski, nadzieje, ma-arzenia... Po-o upadku muru na-ajważniejsze były ma-arzenia. Na-agle wszystko sta-ało się mo-ożliwe. Na wy-yciążnięcie ręki. Pie-eniądze, bo-ogactwo. Zgo-odziłem się i od tej pory razem sprze-edawaliśmy naiwniakom i-iluzję bogactwa. Do połowy dzie-ewięćdziesiątego pie-erwszego roku mi-ejscowi łykali wszy-ystko, jak leci: fundusze i-inwestycyjne, u-ubezpieczenia na życie, u-udziały w kasach spó-ółdzielczych, lo-okaty. Nie mieli po-ojęcia, że pi-ieniądze, które kie-edys dostaną, w du-użej części sami wpła-acili. Ni-ie umieli liczyć, często inwestowali po-onad stan. My-yśleli, że trafili na ży-yłę złota i wystarczy wziąć misę i je wy-ypluć z wody. Sia-adałem z nimi w ku-uchni przy stole i czu-ułem, jak mi się ściska żo-ołodek. W ko-ońcu zacząłem im tłu-umaczyć, że się mogą prze-eliczyć. Ale wtedy de-enerwowali się, zrzucali mi, że chcę ich znie-echęcić. „To-o prawda” – odpowiadałem. „Le-epiej się z tym prze-eśpijcie”. A oni na-azajutrz podpisywali u-umowę w innej firmie, z lu-udźmi, którzy mó-ówili im to, co chcieli u-usłyszeć. Po roku byłem wy-ykończony i zarabiałem grosze.

– Szczerość zawsze mniej popłaca niż kłamstwo.

Harry kiwnął nerwowo głową.

– Mów so-obie, co chcesz. Mike zbił ma-ajątek, a mnie spławił. Pi-ierwszy raz poszedł tam, gdzie nie mo-ogłem mu to-owarzyć. Czł-oowiek su-ukcesu... Chociaż... Chyba wcale ni-ie chciałem iść tam, tylko nie mi-iałem o-odwagi mu tego po-owiedzieć. Był moim najlepszym ku-umplem, właściwie je-edynym. Chcia-ąłem do-otrzymać mu kroku, dlatego ku-upowałem rzeczy, na które ni-ie było mnie stać. I tak sa-am stałem się jednym z tych, któ-órych niedawno na-aciągałem. Do-opiero kiedy wy-yjechałem na służbę za-astępczą i odciąłem się od Mike’a, za-aczęły mi się o-otwierać oczy.

Harry umilkł, jakby wypowiedział imię bliskiej osoby, która tragicznie zmarła. Jego przyjaźń z Mikiem, najważniejsza rzecz w jego życiu, faktycznie wtedy umarła i została na zawsze pogrzebana.

– I wtedy poprzysiągłeś sobie, że nigdy nie będziesz taki jak Mike? Że stawisz mu czoła? – dokończyła Sabina. – Ale właśnie dlatego

nigdy się od niego nie uwolniłeś.

Harry przez chwilę rozważał jej słowa, po czym rzekł:

– Większość ludzi uważa, że można się uzależnić tylko od czegoś, co sprawia przyjemność. Ale można się też uzależnić od wrogości, walki, kłótni... – Harry znów się zamyślił. – Jeśli mam być szczery, to tylko to mi zostało.

– A dzieci? Margrethe wspominała, że byłeś dwa razy żonaty i masz dwójkę dzieci.

– Mój jedenastoletni syn uważa mnie za żulę, a piętnastoletnia córka opowiada w szkole, że ją adoptowałem. Tak się mnie wstydzi. Nie chcę być dla nich cięzarem, więc się nie narzucam. Może i mają rację. Może naprawdę jestem jak żul. Jak myślisz?

– Nie uważam, że jesteś żulem.

– A wariatem?

– Dlatego, że cię tu ciągnie?

– I dlatego że rozmawiam z dułuchami. Wszyscy myślą, że zawirowałem. Pierre, Margrethe, wszyscy...

– Widzisz duchy? I co z tego? Są gorsze rzeczy. W niektórych kulturach padaliby przed tobą na kolana. Wszystko zależy od perspektywy.

– Móówisz poważnie?

– Kiedyś przez godzinę rozmawiałam z moimi zmarłymi rodzicami. Robiłam im wyrzuty, oskarżałam. A przecież wcale nie wierzę w życie pozagrobowe. I co, kto tu jest większym wariatem? Zresztą kto powiedział, że twoje halucynacje stanowią problem? Może są raczej wentylem bezpieczeństwa, formą autoterapii?

Harry uśmiechnął się i z chłopcym zakłopotaniem wbił wzrok w ziemię.

– Mimo to – dodała Sabina – powinieneś coś zrobić ze swoim życiem, nie możesz się koncentrować wyłącznie na tym, co było, musisz się zająć innymi sprawami. Pielęgnowanie wrogości i przywiązanie do martwych przedmiotów prowadzą w końcu do rozpacz i samotności.

Rada Sabiny przypadła chyba Harry'emu do gustu, bo kiwnął

energicznie głową i pochyliwszy się ku niej nad późnogotyckim gzymsem, rzekł:

– Je-esteś wspa-aniała. – Chwyił Sabinę za rękę i uśmiechnął się w taki sposób, że dosłownie się przeraziła. Miała nadzieję, że się w niej nie zakochał. Czuła do niego ogromną sympatię, jak do wszystkich samotnych i słabych, i była skłonna pójść z nim od czasu do czasu na piwo, ale nic więcej!

Na szczęście jej obawy szybko się rozwiały.

– Świe-etna z ciebie ku-umpela, kuternogo. Da-awno mi się z nikiem tak ni-ie gadało. Chy-yba od czasów Mike’a. By-yłoby super, gdy-ybyśmy zostali ku-umplami. Po-oza tym by-yłby to niezły początek tej zmiany, o której mó-ówiłaś.

– Zgo-oda, jo-ąkało – odrzekła Sabina, kumpelsko klepiąc Harry’ego po plecach.

Sabina nie była jednak naiwna. W 1990 roku, kiedy Mike zaczął jakoby handlować narkotykami, Harry wciąż był jego najlepszym kumplem. Musiał wiedzieć o dilerce, a może nawet sam był w nią zamieszany. W takim wypadku nie było sensu bawić się w kotka i myszkę, tylko należało podejrzanego skonfrontować z faktami.

– Byłam u starego Balthusa – zaczęła dyplomatycznie. – Jest jeszcze nadzieja, że zrezygnuje ze swoich planów. Przy okazji zaczęliśmy wspominać dawne czasy i dowiedziałam się paru ciekawych rzeczy. Stary wspomniał na przykład, że Mike handlował kiedyś narkotykami. Pomyślałam, że ty chyba musiałbyś o tym coś wiedzieć, co?

Zgodnie z planem udało jej się tym pytaniem kompletnie zaskoczyć Harry’ego.

– Co? A-ale... to-o jest...

– Minęły wieki, jasne, sprawa się przedawniła. Nie bój się, nie mówię tego, żeby cię straszyć. Jestem policjantką, ale i mnie się zdarza rozmawiać przez komórkę za kierownicą, korzystać z radiowozu w prywatnych sprawach czy przemycać na lotnisku angielski dżin.

Sabina zastosowała się do reguły numer pięć z podręcznika przesłuchującego: porównując handel narkotykami do drobnych wykroczeń, pomniejszała ciężar przestępstwa i ułatwiała

przesłuchiwanemu przyznanie się do winy.

– Mnie możesz o wszystkim powiedzieć. Jesteśmy kumplami, pamiętasz? Myślę, że Mike cię namówił, tak jak do sprzedaży polis...

– Wi-iesz co? To-o prawda. A-ale już o-o tym zapomniałem.

Bingo! Postawiła wszystko na jedną kartę i trafiła. Innych nie dałoby się tak łatwo podejść. Miała szczęście. Harry, który od lat marzył o przyjaźni, znalazł w niej pokrewną duszę, a do tego kompletnie nie był przygotowany na jej pytanie. Poza tym od przestępstwa faktycznie upłynęło wiele lat. Sabina wiedziała z doświadczenia, że z biegiem czasu sprawca coraz mniej identyfikuje się ze swoimi czynami. Świadomość sprawstwa zanika nieraz do tego stopnia, że niektórzy zabójcy po czterdziestu latach opowiadają o zbrodni swym wnukom w taki sposób, jakby opowiadali im o jakichś niezwykłych przygodach.

– Sam też brałeś?

– Nie – odparł Harry stanowczo.

– Ja raz zapaliłam skręta, ale stwierdziłam, że to nie dla mnie, i więcej nie próbowałam. Zaopatrywaliście ludzi w wiosce, tak?

Harry przestępował z nogi na nogę, jakby mu było zimno.

– No-o tak... w o-okolicy. Ni-ie pamiętam.

– A kumpli z paczki? – drążyła bezlitośnie. Mimo całej sympatii do Harry’ego, nie traciła z oczu celu, który sobie postawiła. Chciała za wszelką cenę wyjaśnić tajemnicze zaginięcie Juliana.

Wzrok Harry’ego nerwowo wędrował po ruinach. Najwyraźniej nie podobał mu się temat rozmowy.

– Ty-ylko Pierre’a i Jacqueline. – Harry zerknął na zegarek. – Muszę już iść. Ma-am zaraz pogrzeb.

– Jasne. Powodzenia. Właściwie... czego się życzy grabarzowi? Połamania łopaty?

Dowcip był kiepski, ale udało jej się wywołać uśmiech na twarzy Harry’ego, który pożegnał się z nią i niepewnie gestykułując, zaczął się rakiem wycofywać z dziedzińca.

– Harry! Jeszcze jedno! – zawołała, gdy już niemal zniknął za rogiem. – Nie zaopatrywaliście przypadkiem Juliana?

– Ju-uliana? – Harry zamarł i spojrzał na mur, jakby spodziewał się

znaleźć na nim odpowiedź.

– Zniknął w zagadkowych okolicznościach, nie sądzisz? Nie mogę przestać o tym myśleć. Czy to możliwe, że był na haju i wypłynął w morze? Albo wypadł z łodzi? Takie rzeczy się zdarzają, zwłaszcza kiedy ktoś bierze coś pierwszy raz...

– Julian niczego ni-ie brał – zapewnił Harry. – W te-jej kwestii byliśmy do siebie po-odobni.

– To znaczy? Był zbyt rozsądny?

– Zby-yt pro-ostoduszny – odparł Harry po dłuższej chwili. – Na-aprawdę, muszę już iść.

– Rozumiem, zwłoki stygną – rzuciła z uśmiechem, a kiedy Harry zniknął, dodała: – Ja też mam coś jeszcze do załatwienia.

Sprawa wydawała się niemal zbyt prosta, zbyt podręcznikowa: pod koniec sierpnia 1990 roku Julian trafia na trop dilerki prowadzonej przez Mike'a i Harry'ego. Jest wściekły i rozczarowany, dochodzi do kłótni, grozi przyjacielom i wkrótce zostaje zamordowany, z premedytacją albo w afekcie. Balthus widzi Juliana, kiedy ten idzie w stronę klasztoru, czyli miejscem zbrodni są albo ruiny, albo ich bezpośrednie sąsiedztwo. Mike i Harry ciągną zwłoki do leżącej kilkaset metrów dalej przystani, umieszczają je w łodzi, obciążają ją kamieniami albo innym ciężarem i wyrzucają w morze, gdzie na zawsze znika.

Koniec historii.

Zabójstwo wprost z podstawowego kursu kryminalistyki. Oczywiście, to wszystko mogło się tak właśnie potoczyć. „Trudno uwierzyć – pomyślała Sabina – ale czasem w życiu pozory nie mylą i wszystko okazuje się niewiarygodnie proste”.

Lecz nawet przy takim scenariuszu wciąż kilka pytań pozostawało bez odpowiedzi. Jak Mike i Harry zdobyli dowód osobisty Juliana i jego ubrania? Czy zatopienie zwłok w morzu nie było zbyt ryzykowne? Przecież po kilku dniach gazy wynoszą ciało topielca na powierzchnię. Po co wypchnęli na morze łódkę? Jak, kiedy i czy w ogóle Jacqueline dowiedziała się o zabójstwie?

Jednak to wszystko wcale nie musiało być takie proste i wypadki

mogły się potoczyć zupełnie inaczej.

Może w ogóle nie doszło do przestępstwa? W takiej sprawie jak ta, kiedy właściwie trudno mówić o „sprawie”, wszystko zależy od perspektywy, z jakiej interpretuje się szczątkowe informacje. Tego też uczą na kursie wstępnym w szkole policyjnej. Kiedy człowiek nie wie, że ma w ręku jeden z puzzli, wówczas jest on jedynie kawałkiem zadrukowanej tektury. I na odwrót: kiedy zakłada się, że jakaś informacja wiąże się z przestępstwem, wówczas automatycznie staje się ona poszlaką, nawet jeśli w rzeczywistości jest tylko bezwartościowym kawałkiem zadrukowanej tekturki.

„A może zwyczajnie się ośmieszam, tworząc jakiś absurdalny konstrukt myślowy?” – analizowała Sabina. „Młody chłopak postanawia zniknąć, mąż i ojciec rozbija swoją rodzinę dla innej kobiety, dwóch dwudziestolatków wkracza na drogę przestępstwa – to wszystko zdarzało się od zarania dziejów. Jeden plus jeden plus jeden zawsze daje trzy, nigdy sto”.

Z drugiej strony wiedziała, że człowiek zawsze ryzykuje. Zawsze może się ośmieszyć, nieważne, co robi lub czego nie robi. A skoro już postanowiła wejść na jakąś drogę, byłoby głupotą zejść z niej po kilku krokach i iść dalej po omacku. Trzeba się trzymać raz obranego szlaku – albo w ogóle zrezygnować.

Kiedy zatem Sabina znów spojrzała policyjnym okiem na fakty, zwłaszcza na miejsce, w którym się znajdowała, stwierdziła ze zdumieniem, że Pałac, jak nazywali ruiny Lea i jej przyjaciele, przypomina raczej cmentarz. Patrzyła na posadzone przez Harry’ego kwiaty, oczyszczone z graffiti mury, wyrwane chwasty i zastanawiała się, czy aby na pewno Harry pielęgnuje jedynie grobowiec starej przyjaźni. A może raczej prawdziwy grób?

Weszła do środka i obejrzała wszystkie dziedzińce, szukając czegoś, co nie pasowałoby do tego miejsca. Mogło to być cokolwiek: jakieś siedzisko, zamazany napis, symbol, wyjątkowo bujna roślinność. Rozglądała się uważnie dokoła, opukiwała mury, wspinała się na nie, by spojrzeć na Pałac z góry, i schodziła z powrotem, by na kolanach przedzierać się przez zarośla. I przez cały czas nie mogła się wyzbyć myśli, że to, co robi, jest śmieszne i absurdalne. Owszem, znalazła całe

mnóstwo napisów, w większości ledwie czytelnych i zasłoniętych bluszczem. „Ulubione okno Harry’ego”, „Miejsce Przyjaźni”, „Miejsce Mike’a”. Za krzewem jeżyn znalazła wyryte w kamieniach imiona wszystkich członków paczki.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Być może zawdzięczała to ćwiczonej latami intuicji, a może wyczuła jakiś ruch, spostrzegła cień, usłyszała oddech, gdy wiatr ucichł na chwilę?

Ktoś stał za jej plecami, ledwie kilka metrów od niej, pod łukowatym przejściem łączącym dwa dziedzińce Pałacu. Zanim zdążyła się odwrócić, poczuła na plecach zimny dreszcz. Już wiedziała, kogo zobaczy.

– Cześć, Leo – powiedziała, wzięwszy się w końcu w garść.

Wrzesień 2013 roku

Jechaliśmy w trzy samochody z Kirchdorfu do Kaltenhusen. Harry i Margrethe pojechali przodem. Było już ciemno i nie mogłam nadążyć za Harrym. Pierre, siedzący obok mnie, nie odezwał się ani słowem. Mnie również kłębiło się w głowie tysiąc myśli, których nie potrafiłam ubrać w słowa. Czy stary Balthus kompletnie zburzył ruiny? Co poczuję na widok zniszczonego Pałacu? Czy dojdzie do rękoczynów?

Jacqueline, która siedziała za kierownicą trzeciego wozu, nie była najlepszym kierowcą i coraz bardziej zostawała w tyle, lecz wkrótce, prawdopodobnie ponaglona przez zniecierpliwionego Mike'a, dogoniła nas na prostym odcinku drogi. Światła były coraz bliżej.

I nagle stało się coś dziwnego. Z początku było to tylko mgliste przeczucie, a potem zrobiło mi się gorąco i w jednej chwili poczułam takie wzburzenie, że musiałam zjechać na skraj drogi. Jacqueline i Mike śmignęli obok nas.

– Co się stało? – zaniepokoił się Pierre.

Nagle przed oczami stanęła mi jedna z tych czarno-białych, ponurych scen. Tyle że tym razem niewiele mogłam dostrzec. Widziałam lusterko wsteczne, tylną szybę i dziesięć, dwadzieścia metrów za sobą dwa reflektory – niczym lśniące w ciemności ślepie. Ogarnęło mnie przerażenie. Znajome przerażenie, którego już kiedyś doświadczyłam.

Obraz znikł równie nagle, jak się pojawił.

Wewnętrzne wzburzenie musiało się odmalować na mojej twarzy, ponieważ Pierre, niewiele myśląc, zaproponował:

– Chodź, przejdziemy się kawałeczek.

– Nie, już w porządku.

– Co się stało?

Potrząsnęłam głową, wrzuciłam bieg i ruszyłam w drogę. Kilometr

dalej zjechałam z szosy w pełną dróżkę prowadzącą w stronę zagajnika, w którym znajdował się Pałac. Zatrzymałam się obok dwóch zaparkowanych na polu samochodów.

Kiedy wysiedliśmy, ujrzeliśmy świetlną kulę utworzoną z wielu latarek trzymanyh przez niewyraźne postaci, które właśnie zanurzyły się między drzewa. Pierre również wyjął latarkę z bagażnika, a ja włączyłam odpowiednią funkcję w swojej komórce. W ten sposób jako tako oświetliliśmy sobie drogę.

Ponieważ wybierając się na wystawę, włożyłam buty na wysokim obcasie, nie mogliśmy iść zbyt szybko. Pierre podtrzymywał mnie, raz po raz rzucając zatroskane spojrzenie. Martwił się o mnie i niepokoił sytuacją, która skłoniła nas do tej nocnej eskapady.

Kiedy dotarliśmy w końcu w pobliże Pałacu, w rozproszonej świetłami latarek ciemności ukazał się naszym oczom dziwny potwór, wydający z siebie przerażające porykiwania. Silnik spychacza zanosił się rykiem, cichł i znowu ożywał. Sto metrów przed nami nasi przyjaciele po kolei znikali wewnątrz Pałacu, który przynajmniej na pierwszy rzut oka wydawał się wciąż nienaruszony. Wkrótce usłyszeliśmy podniesione głosy Harry'ego, Mike'a i starego Balthusa, lecz z daleka trudno było zrozumieć, co mówią, ponieważ próbowali się nawzajem zakrzyczeć. Docierały do mnie jedynie pojedyncze słowa i strzępy zdań: „wariat”, „moczymorda”, „z drogi”, „rozwalę ci łeb”.

Wyzwiska i groźby wciąż fruwały w powietrzu, gdy dotarliśmy z Pierre'em do pozostałych.

Kilka mniejszych murków już zostało zburzonych, w kilku następnych ziały pokaźne dziury, a część kwiatów nie przeżyła ataku potężnego spychacza. W świetle jego reflektorów spostrzegłam, że główne mury na szczęście wciąż stoją na swoim miejscu.

Mike i Harry stali ramię w ramię naprzeciw starego Balthusa. Każdy z nich na własny sposób walczył w ostatnich miesiącach o uratowanie Pałacu: Harry rozpaczliwie wrywając stawiane przez starego tabliczki i ogrodzenie, a Mike dyplomatycznie, w kularach. Teraz ich wysiłki osiągnęły apogeum i pierwszy raz od dwudziestu lat stanęli w jednym szeregu. Margrethe i Jacqueline trzymały się w cieniu, podobnie jak Pierre i ja. Dwaj zatrudnieni przez Balthusa

budowlańcy, którzy najwyraźniej znali miejscowego lekarza, ze stoickim spokojem przyglądali się kłótni – starszy oparty o kierownicę spychacza, młodszy zaś o trzonek kilofa. Dla nich to było zwykłe zlecenie, nic więcej.

– W ten sposób niczego nie załatwimy – mruknął Pierre dokładnie w chwili, gdy doszłam do podobnego wniosku. Pierre postanowił zwrócić się bezpośrednio do robotników.

– Dobry wieczór, panowie.

– Bry wieczór, panie doktorze.

– To twój spychacz, Weller? Wracaj do domu. Pan Balthus nie ma prawa burzyć ruin klasztoru.

– Nie da rady, panie doktorze – odparł Weller i wysiadł z kabiny. – Jak się wzięło pieniądze, trza robić swoje. A pan Balthus dobrze zapłacił.

Słyszając słowa „pieniądze” i „zapłacił”, Mike odruchowo sięgnął po portfel.

– Ja wam zapłacę podwójnie.

Mężczyźni wymienili niepewne spojrzenia.

– Ale... umówiliśmy się z panem Balthusem...

– Tak jest – zawtórował im stary. – A ja przebijam ofertę mojego pożał się Boże zięcia.

Mike nie dał za wygraną.

– Jeżeli zburzycie klasztor, już nigdy nie dostaniecie zlecenia w promieniu stu kilometrów. Przysięgam! Zjeżdżajcie stąd, a ja wam załatwię parę okazałych zleceń.

Weller z początku był zdezorientowany niespodziewaną aukcją, lecz zaraz bez dłuższego namysłu przeszedł na drugą stronę, a jego młody towarzysz skwapliwie wykonał to, co mu polecił bardziej doświadczony kolega. Kiedy jednak kryzys wydawał się zażegnany, stary Balthus wskoczył do kabiny spychacza i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, ruszył potężną maszyną w kierunku ściany. Oczywiście Weller chciał odzyskać swą własność, lecz stary kopniakiem strącił go na ziemię.

Wszyscy się cofnęli. Ojciec Jacqueline był może krzepkim i uzdolnionym manualnie staruszkiem, ale o obsłudze spychacza nie

miął zielonego pojęcia. Psiocząc i gderając, próbował zapanować nad wielką maszyną, lecz ta z jeszcze większym rykiem opierała się jego wysiłkom. Pojazd poruszał się bez ładu i składu. Machina wjechała w mur, który natychmiast runął, po czym obróciła się wokół własnej osi, uszkodzając przy okazji potężną łychę spiczaste okno. Na nic się zdały wrzaski Wellera, Harry’ego i Mike’a. Balthus próbował unieść łyżkę, lecz ta opadła. W tym samym momencie koparka skoczyła naprzód, łyżka zaryła w ziemię, zaplątała się w krzak jeżyn i wyrwała go w górę.

Reflektory koparki oświetliły fragment muru, na którym wyryto jedno pod drugim siedem imion zamkniętych w kręgu symbolizującym wspólnotę losu.

Mike
Harry
Margrethe
Lea
Jacqueline
Julian
Pierre

Od razu domyśliłam się, że to stare dzieło Harry’ego, który bez przerwy kręcił się po Pałacu i niczym człowiek prehistoryczny zostawiał na murach rozmaite napisy.

Przez dwie, trzy sekundy wpatrywałam się w nasze imiona, po czym oderwałam od nich wzrok. Co prawda Wellerowi właśnie udało się z pomocą Mike’a i Harry’ego wyciągnąć starego Balthusa z kabiny, lecz nie to odwróciło moją uwagę od inskrypcji na murze.

Zrobiłam kilka kroków naprzód, by się upewnić, że to nie przywidzenie.

Oprócz mnie spostrzegła to tylko jedna osoba – młody robotnik.

U jego stóp leżały resztki ludzkiego szkieletu. Z przeoranej ziemi wystawały ramię, obojczyk i pół czaszki. I strzępy niebieskiej nylonowej kurtki, które niezbitnie świadczyły o tym, że szkielet nie mógł pochodzić sprzed kilku stuleci.

Julian miał dokładnie taką samą kurtkę.

Harry osunął się na kolana, Mike odwrócił głowę, Jacqueline zamknęła oczy, Pierre przesunął dłońmi po twarzy, a Margrethe zastygła w bezruchu i na wpół wzburzona, na wpół zafascynowana wpatrywała się w szkielet. Podeszłam do upiornego wykopaliska.

– O cholera – wyrwało się młodemu robotnikowi.

Czas, kiedy byliśmy z Julianem parą, był najszczęśliwszym okresem mojego życia. To był nasz czas. Czas piosenek, które śpiewał, gdy opierałam głowę na jego ramieniu, czas książek, które czytałam mu na głos, gdy on kładł głowę na moich kolanach, czas nagich, splecionych ciał, czas miłości, z którą patrzył mi w oczy, wspólne godziny na plaży, kąpiele w morzu.

Francuska pisarka Françoise Sagan stwierdziła kiedyś: „Rzadko wiemy, czym jest szczęście, najczęściej wiemy, czym było”. Jakże gorzka to prawda.

Zgromadziliśmy się w kuchni Margrethe. Minęła już północ, słaba żarówka nad stołem rzucała mdłe światło na nasze głowy i dłonie. Nikt nic nie mówił, a ja nieustannie powtarzałam w myślach imię jedyne go nieobecnego. Tak jakby nie był zamkniętym rozdziałem mojego życia, lecz czymś, co dopiero mnie czeka, moim celem, moją tęsknotą.

Najdziwniejsze, że wciąż nie mogłam uwierzyć, że Julian nie żyje. A przecież nie mogło być wątpliwości. Sama podarowałam mu tę niebieską nylonową kurtkę – na gwiazdkę 1989 roku. To był mój pierwszy zakup z katalogu wysyłkowego. Niebieski idealnie pasował do jego oczu. Julian nosił ją praktycznie codziennie, najwyraźniej również w dniu swojej śmierci.

Chciałam płakać, ale nie potrafiłam. Nigdy nie umiałam. Nawet kiedy straciłam dziecko, nie uroniłam ani jednej łzy. Nie płakałam po tym, jak przyłapałam Carlosa z inną kobietą, ani kiedy go zostawiłam. Płacz byłby dla mnie równoznaczny z przyznaniem się, że jestem nieszczęśliwa, a tego za nic nie chciałam okazać. A raczej: kobieta, którą kiedyś byłam, za nic nie chciała tego okazać. Bo teraz nie bałam się już okazywać rozpacz. A mimo to nie do końca uwolniłam się od dawnej Lei. Wciąż kulturowałam niektóre jej przyzwyczajenia, a te,

jak wiadomo, są najtrudniejszymi przeciwnikami. Z biegiem lat zapomniałam, jak się płacze. Dlatego łzy nie płynęły z mych oczu, choć rozpacz ścisnęła mi gardło.

Obskurna kuchnia i cały ten dom potęgowały nasz smutek. Dom, który od lat przepełniała zgryzota. Dom, który choroba starej kobiety zamieniła w grób jej córki. Dom przeniknięty odorem maści, zużytych bandaży, wymiocin i moczu. Nikt nie był temu winien, a najmniej ta biedna stara kobieta, ale to nie miało znaczenia. Miałam ochotę wstać, wrócić do swojego pokoju i zasnąć, ale policja poprosiła, byśmy odpowiedzieli na kilka pytań.

Spojrzałam kolejno na twarze dawnych przyjaciół. Pierre w zamyśleniu skrobał popękany kant stołu, Jacqueline bawiła się nerwowo klipsami, Mike z założonymi rękami wpatrywał się w sufit, a Harry uparcie skubał swą dolną wargę, co nadawało mu wygląd osoby upośledzonej umysłowo. Najbardziej rozpacz okazywała Margrethe. Siedziała zgarbiona z łokciami na stole, wbijając w oczodoły zaciśnięte w pięści dłonie. Kiedy jednak po chwili je opuściła, jej spojrzenie było klarowne, a wokół oczu nie miała czerwonych obwódek.

Wstała i postawiła na stole zwykłe szklanki, a do tego trzy butelki chianti. Mike natychmiast zagarnął dla siebie jedną z nich.

– Pierre? – spytała Margrethe.

– Nie, dziękuję. Piję tylko, kiedy jestem w dobrym nastroju.

– Niektórzy mogliby uschnąć z pragnienia – odparła Margrethe i nie pytając nikogo więcej, napełniła szklanki.

Nie odważyłam się poprosić o herbatę, może dlatego, że wydawało mi się to takie banalne. Upominać się o herbatę, kiedy policja parę metrów stąd wydobywa z ziemi zwłoki Juliana? Odruchowo sięgnęłam po szklankę i zamoczyłam usta w winie. Każdy kolejny łyček pomagał mi zdusić szloch po stracie człowieka, którego kiedyś kochałam.

– Może to i dobrze – rzuciła w końcu Margrethe, przerywając nieznośną ciszę.

– Dobrze? – obruszył się Mike. Jego głos brzmiał posepnie, jakby dopasowując się do późnej pory. – Co dobrze?!

– Stary Morgenroth w końcu pozna prawdę. Poza tym... takie straszne wydarzenie sprawia, że niektóre sprawy tracą na znaczeniu. Myślę, że ty i Harry powinniście się w końcu pogodzić.

Harry popatrzył na siostrę ponuro, za to Mike zgodził się z Margrethe.

– Masz rację. Dość się już nawojowaliśmy, prawda, Harry? Pora zawrzeć pokój, choćby przez wzgląd na Juliana i naszą paczkę.

Zanim Harry zdążył cokolwiek powiedzieć, Jacqueline wypaliła:

– Muszę coś wziąć na uspokojenie. – Jej spojrzenie przypominało wzrok wygłodzonego szczeniaka. – Natychmiast! – dodała, wpatrując się w Pierre’a.

– Ostatnio za często ci się to zdarza.

– Daj spokój, nie bądź taki zasadniczy – wtrącił się Mike, który najwyraźniej od dawna wiedział o uzależnieniu swej żony.

– W porządku, chodź ze mną. – Pierre dał za wygraną i niechętnie przystał na prośbę Jacqueline. Wstając, rzucił mi przeproszające spojrzenie. Wobec wzbierających we mnie mdłości, żalu po stracie Juliana i oburzenia sposobem, w jaki traktowano przy tym stole jego śmierć, stan Jacqueline był mi prawie że obojętny. Poza tym dręczyło mnie niejasne poczucie, że coś tu nie gra. Nie potrafiłam powiedzieć co, ale wyraźnie to czułam.

Margrethe ciężko dźwignęła się z miejsca.

– Zajrzę do mamy – powiedziała i wyszła z kuchni.

Zostaliśmy we trójkę: Mike, Harry i ja.

Przez chwilę milczeliśmy, a gdy cisza stała się nie do zniesienia, Mike spojrział na mnie i rzekł:

– Tobie musi być wyjątkowo ciężko, Leo.

Ledwie wypowiedział te słowa, poczułam, jak gorąca fala wzbiera w mej piersi i uderza ku górze. Zasłaniając dłońmi usta, pobiegłam do łazienki i wyrzuciłam do klozetu strumień gryzącej cieczy. Przez kilka minut klęczałam z głową nad sedesem.

Gdy już było po wszystkim, kiedy opróżniłam żołądek do ostatniej kropelki, uświadomiłam sobie, że przed chwilą siedziałam przy jednym stole z mordercą.

Myśl ta wykluwała się etapami. Jeśli Julian został zamordowany

trzydziestego pierwszego sierpnia 1990 roku i jego ciało zostało pogrzebane w Pałacu... A właściwie dlaczego zostało pogrzebane? Zapewne po to, żeby wszyscy uznali, że uciekł... Komu mogło na tym zależeć? Najprawdopodobniej... któremuś z jego przyjaciół...

Wstałam, umyłam twarz i spojrzałam w lustro.

Czy kiedykolwiek byliśmy przyjaciółmi? Przed laty, przed rozstaniem, przed zranieniami, przed zmianami, przed ciosem zadany przez los? Byliśmy dziećmi, a w dzieciństwie przyjaźnie nie są zbyt trwałe. Wystarczy zmiana klasy czy przeprowadzka do sąsiedniej wioski – i koniec. Kiedy przestaliśmy być dziećmi, czyli od listopada 1989 roku, byliśmy oszołomieni możliwościami, które przyszłość kładła przed nami na srebrnym talerzu. Na rauszu wszyscy są przyjaciółmi – właściciel banku i szeregowy kasjer, biznesmen i sprzątaczką, zabójca i jego przyszła ofiara. Przez ćwierć wieku pielęgnowałam pamięć o naszej przyjaźni, która z biegiem lat stała się moim prywatnym mitem. A każdy mit, jak wiadomo, to kłamstwo, którego lubimy słuchać i które chętnie powtarzamy innym. To, co nas łączyło, nie miało nic wspólnego z przyjaźnią.

Komu więc mogę zaufać?

Ktoś zapukał do drzwi łazienki.

– Leo? Wszystko w porządku? – Rozpoznałam głos Pierre’a.

Otworzyłam.

– Teraz już tak, zaszкодziło mi wino.

Kiedy wróciliśmy do kuchni, moją uwagę przykuły dwie rzeczy: leżący przed Harrym podarty na strzępy czek oraz stojący w półmroku otyły mężczyzna z czerwoną twarzą.

– Nazywam się Miroslav Ammann – przedstawił się przybysz. – Jestem nadkomisarzem policji.

Nadkomisarz Ammann poinformował nas, że odnalezione zwłoki to najprawdopodobniej rzeczywiście zaginiony Julian Morgenroth. W kieszeni kurtki znaleziono zardzewiały breloczek do kluczy z jego nazwiskiem.

– Musimy poczekać na wyniki badań, ale wygląda na to, że ofiara zginęła wskutek uderzenia tęnym narzędziem. Czoło zostało dosłownie

zmiażdżone.

– O mój Boże – jęknęłam. Z jakiegoś powodu ta informacja jeszcze bardziej mnie przygnębiła. Myśl o tym, że Julian w chwili śmierci patrzył zabójcy w oczy... Straszne! W dodatku zabójcą był ktoś, kogo jeszcze kilka godzin temu uważałam za przyjaciela. Lub przyjaciółkę.

– Rozumieją państwo – kontynuował Ammann – że chciałbym im zadać kilka pytań. Panie Nickel, słyszałem, że pańska żona musiała się położyć do łóżka. Takie przeżycie z pewnością mocno ją dotknęło. Proszę do niej dołączyć, z rozmową możemy poczekać do poniedziałku.

Mike wahał się, czy przyjąć ofertę nadkomisarza. W pewnym sensie wciąż uważał się za szefa paczki i czuł się za nas odpowiedzialny. Tak przynajmniej zinterpretowałam jego wahanie. Ammann wyjaśnił, że on i jego koledzy będą nas przesłuchiwać pojedynczo, więc Mike musiałby czekać. A tego nadkomisarz najwyraźniej chciał mu oszczędzić. Nagle przypomniałam sobie Mirosława Ammanna z czasów młodości. Był wtedy strasznym lizusem i trzaskał obcasami przed każdym, kto zajmował choćby najniższe stanowisko w partii albo organach państwa. Parę razy zażartowałam w domu na jego temat i Sabina wkrótce go spławiła. Jej reakcja była dla mnie powodem do dumy. To było jedno z wielu drobnych zwycięstw, które odniosłam nad starszą siostrą. Teraz jednak zrozumiałam, że Sabina wcale nie odprawiła go pod wpływem moich docinków.

Na pożegnanie Ammann mocno uściśnął dłoń Mike'a.

– Mam nadzieję, że wkrótce małżonka poczuje się lepiej. Proszę jej przekazać wyrazy uszanowania.

Dziś nikt już nie trzaska obcasami, ale i tak miałam wrażenie, że od drzwi dobiegł mnie ten charakterystyczny dźwięk.

Chociaż byłam upiornie blada, Ammann uznał chyba, że lepiej zniosę przesłuchanie niż Mike, i postanowił zacząć właśnie ode mnie. Miałam wrażenie, że znakomicie wyczuwa – i odwzajemnia – moją niechęć. Pewnie właśnie dlatego postanowił przesłuchać mnie osobiście, oddając Pierre'a, Margrethe i Harry'ego w ręce swoich podwładnych. W trakcie rozmowy zgodnie przyjęliśmy ton lodowatej

grzeczności.

Większość pytań, na które przyszło mi odpowiadać w salonie Petersenów, uważałam za idiotyczne. Ammann próbował na przykład doszukiwać się związku między zniknięciem Juliana a tym, że kilka tygodni później wyjechałam do Argentyny. I to wszystko za pomocą jakichś wyjątkowo skomplikowanych konstrukcji gramatyczno-logicznych. Miałam ochotę zwrócić nadkomisarzowi uwagę na fakt, że Jacqueline i Margrethe wyjechały z Poel wcześniej ode mnie, ale się powstrzymałam i wyjaśniłam spokojnie, że gdybym zabiła Juliana w afekcie, nie zwlekałabym z wyjazdem kilka miesięcy. Na pytanie, co robiłam wieczorem trzydziestego pierwszego sierpnia 1990 roku, odpowiedziałam pytaniem, co on robił wieczorem dwudziestego drugiego kwietnia 1991 roku albo szóstego października 1992.

Abstrahując od przepaści czasowej, która uniemożliwiała udzielenie sensownej odpowiedzi na to pytanie, trzeba pamiętać o tym, że dla mnie tamte letnie tygodnie zwały się w jeden monotony ciąg dni i nocy. Nie byłam w stanie odpowiedzieć na pytanie dotyczące jednego konkretnego wieczoru. Z wszechogarniającej pustki wyłaniały się tylko dwa wydarzenia: pogrzeb moich rodziców i spotkanie z Carlosem. Nawet pierwszy seks z nim pamiętałam jak przez mgłę – choć w przypadku Juliana moje wspomnienia były tak żywe, jakby upłynęło zaledwie kilka dni.

Nie byłam w stanie pomóc Ammannowi i chociaż jego celem było wyjaśnienie – i poniekąd pomszczenie – śmierci Juliana, nie życzyłam mu powodzenia. Dzięki niemu poczułam pewną wspólnotę z Sabiną – tyle że zasadzała się ona wyłącznie na solidarnej niechęci do tego typu.

– Pani siostra kilka miesięcy temu odwiedziła mnie w moim gabinecie. Wiedziała pani o tym? Wspominaliśmy trochę dawne czasy. W końcu kiedyś byliśmy parą. Przy okazji rozmawiałem z nią o zniknięciu Juliana Morgenrotha. Ot, takie zawodowe pogaduszki. Ta sprawa od początku nie dawała mi spokoju. Sabina знаła Juliana, więc podejrzewam, że mogła prowadzić śledztwo na własną rękę. I przy okazji trochę przeholowała. Cóż, tego nie można wykluczyć... Gdyby mnie wtajemniczyła... Ale ona zawsze była... trudna. Tak czy siak, po tym, co dziś znaleźliśmy, jeszcze raz przyjrzymy się wypadkowi,

w którym Sabina zginęła, a pani, pani Hernández, została ciężko ranna.

Co prawda nie do końca dawałam wiarę jego słowom, ale ta informacja mocno mnie zafrapowała. Do tej pory wychodziłam z założenia, że miałam pomóc Sabinie w sprawie ziemi i to był powód mojej pierwszej wizyty na Poel. Tak przynajmniej twierdził Pierre, a Margrethe wspominała, że Sabina szukała nowego pośrednika. Oczywiście mogliśmy z Sabiną w ten sposób maskować prawdziwe powody naszego przyjazdu na wyspę. Tylko po co, skoro nie prowadziłyśmy żadnego dochodzenia?

„Pamięta to pani czy ktoś to pani powiedział?” – przypomniałam sobie słowa mojej terapeutki.

Ina Bartholdy zadała mi to pytanie, kiedy wspomniałam, że przyjechałyśmy na Poel szukać aktu własności ziemi. Prawda była taka, że cokolwiek by mi powiedziano o tamtym majowym dniu, byłam zmuszona wierzyć na słowo – albo we wszystko wątpić.

– Podtrzymuje pani swoje twierdzenie, że niczego nie pamięta? – Głos Ammanna wyrwał mnie z zamyślenia. Kolejna nacechowana agresją konstrukcja.

– Słowo „twierdzenie” sugeruje, że jedynie symuluję zaniki pamięci – odparłam.

– A więc niczego pani nie pamięta? Ani wizyty na wyspie, ani wypadku, ani tego, co robiła pani wieczorem w dniu, w którym zniknął Julian Morgenroth? Skoro tak pani twierdzi...

– Niczego nie twierdzę. To fakty!

– Tak, tak, oczywiście. Mam tylko nadzieję, pani Hernández, że nie powtórzy pani błędu siostry. Tym razem może pani nie mieć aż tyle szczęścia. Proszę wziąć sobie do serca moje słowa.

Cztery miesiące wcześniej

Dla Sabiny niespodziewane spotkanie z Leą miało w sobie coś nierzeczywistego. Lea wyglądała jak dawniej. Oczywiście dwadzieścia trzy lata nie mogły minąć bez śladu, ale jej styl zupełnie się nie zmienił, a w twarzy wciąż można było dostrzec tamtą osiemnastoletnią dziewczynę, którą widziała po raz ostatni. Wokół ust Lei wciąż igrał ten sam ironiczny grymas – oznaka ciętego języka – którego Sabina tak serdecznie nienawidziła i który czasami napawał ją strachem. Proste czarne włosy opadały swobodnie na elegancki zakiet Lei. Jak na wycieczkę po nadbałtyckich łąkach ubrana była stanowczo zbyt szykownie.

W pierwszej chwili Sabina miała ochotę powiedzieć coś uszczypliwego. Trochę po to, by się upewnić, że to nie zjawa, tylko prawdziwa Lea, a trochę po to, by się odegrać za tysiące docinków, które musiała znosić w dzieciństwie.

– Co ty tu robisz? – odezwała się w końcu.

– Cóż za wylewne powitanie. Widać, że strasznie się cieszysz z naszego spotkania.

– O ile pamiętam, ostatnie słowa, jakie do mnie wypowiedziałaś, brzmiały: „Daj mi po prostu święty spokój”.

– A twoje: „Jak sobie życzysz” – odparła Lea z uśmiechem i zanim Sabina się zorientowała, wylądowała w ramionach młodszej siostry. Najwyraźniej tak przewidywał protokół przewidziany dla tego spotkania. W pierwszej chwili Sabina jedynie nieśmiało odwzajemniła uścisk.

– Nie bój się, nie jestem ze szkła – powiedziała Lea, widząc zażenowanie siostry.

– Doprawdy? Od kiedy? – Sabina nie potrafiła się przemóc. Ileż to razy wracała myślami do kłótni z Leą! Ileż razy powtarzała w duchu słowne utarczki! Nie umiała w jednej chwili o wszystkim zapomnieć

i nagle okazać jej serdeczności, choćby udawanej. – To spotkanie to nie przypadek, prawda?

– Nie, ktoś do mnie zadzwonił – odpowiedziała Lea.

– Ktoś z twoich przyjaciół, tak?

– Nie.

– W porządku, nie chcesz, to nie mów. Przyjechałaś się ze mną zobaczyć czy zamierzasz walczyć o naszą działkę?

– Tak – odrzekła Lea z uśmiechem, po czym mrugnęła figlarnie. Sabina przewróciła oczami. – No dobrze już, dobrze. Co prawda obiecałam, że nikomu nie powiem, ale... Zadzwonił do mnie pewien pielęgniarz z domu opieki, Torben jakiś tam. Zadał sobie mnóstwo trudu, żeby zdobyć mój numer. Zadzwonił nawet do Argentyny, do mojego byłego.

Sabina przerwała siostrze ze złością.

– Przyjechałaś na prośbę Torbena Schleichera? – Prosiła go, żeby się nie mieszał w tę sprawę, a on... – Kiedy to było?

– Dziś rano. Pan Morgenroth nalegał na niego, żeby mnie znalazł. Torben opowiedział mi przez telefon jakąś zagmatwaną historię, coś o Julianie i jakimś śledztwie, i że tu jesteś... Ten telefon był dla mnie jak znak z góry. Byłam właśnie w Normandii. Zaraz ruszyłam do Paryża, a stamtąd do Berlina. Pomyślałam, że w porównaniu z daleką Argentyną to rzut beretem, więc przyleciałam, wynajęłam samochód i jestem. Nie uważasz, że już najwyższy czas, byśmy się w końcu spotkały?

Lea rzuciła Sabinie długie, niezwykle rzewne spojrzenie. Chyba naprawdę chciała się pogodzić. Wielu ludzi dopiero pod koniec życia albo w obliczu poważnej operacji zaczyna żałować, że nie wyciągnęło do najbliższych ręki na pojednanie.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś śmiertelnie chora? – spytała Sabina.

– Pytasz z czystej ciekawości czy raczej z nadzieją?

– Powiem szczerze: na twój widok pomyślałam, że wolałabym stanąć oko w oko z tygrysem.

Lea parsknęła śmiechem.

– Nie zmieniałaś się nic a nic.

„A ty owszem” – pomyślała Sabina. Co sprawiło, że nagle naszły ją inne wspomnienia niż zwykle? Wspólne rejsy na kutrze ojca, wspólne gotowanie z mamą, zabawy z kotem. Zanim Lea skończyła osiem lat, Sabina pomagała jej w lekcjach. Dziwne, że nagle sobie to przypomniała. Nie myślała o tym od wieków.

Nie były to dla Sabiny przyjemne wspomnienia. Od mniej więcej trzydziestu lat miała wyrobioną opinię na temat Lei, a jak wiadomo, ludzie najbardziej nie lubią rewidować swoich opinii. I przychodzi im to z najwyższym trudem.

O tym jednak nie mogło być mowy. Przynajmniej na razie. Jedna jaskółka wiosny nie czyni, a w wyciągniętej dłoni nierzadko kryje się cierni. Dlatego Sabina wciąż była sceptyczna.

– Słuchaj, co ty tu właściwie robisz? Uprawiasz rzodkiewki? – spytała Lea.

Sabina skrzywiła się.

– Szukam trufli.

– Że też na to nie wpadłam! Ale poważnie. Nawet jak na ciebie zachowujesz się dość dziwnie.

– A co ja takiego robię?

Lea westchnęła.

– Nie ułatwiasz mi, wiesz?

– A kto ci powiedział, że chcę ci cokolwiek ułatwić?

– W porządku, dam ci spokój – powiedziała Lea ze smutkiem. – Mimo wszystko miło cię było widzieć. Do zobaczenia za dwadzieścia lat – rzuciła i obróciwszy się na pięcie, ruszyła w kierunku wyjścia.

Nagle Sabina poczuła złość. Nie na Leę, na samą siebie. Kto wie, być może taką samą złość poczułaby, gdyby była miłsza dla siostry? A może dała się złapać na haczyk – jak dziecko, które nie chce iść, więc rodzice udają, że je zostawiają? Tak czy siak, dalszy upór byłby przejawem jeszcze większego zdziecinnienia.

– Zaczekaj! – krzyknęła. – Idę z tobą.

Powoli ruszyły obok siebie w stronę Kaltenhusen. Pola i łąki znowu spowija mgła, dodatkowo podkreślając zagadkowy i nostalgiczny charakter ich spotkania.

– Zatrzymałam się u Mike’a – powiedziała Lea. – Jacqueline

oprowadziła mnie po domu niczym po zamku, nie mogłam się od niej uwolnić. Harry powiedział, że prawdopodobnie znajdę cię w ruinach. Swoją drogą, wygląda dziwnie, nie sądzisz? W każdym razie dowiedziałam się od niego, że nasz Pałac jest zagrożony i że razem z Harrym postanowiłaś go bronić. Prawdę mówiąc, jestem pod wielkim wrażeniem i oczywiście chętnie wam pomogę. Może wspólnymi siłami uda nam się udaremnić zamiary starego Balthusa, a przy okazji trochę się do siebie zbliżymy. No powiedz coś!

– Jak, skoro bez przerwy gadasz?

– Przepraszam, skrzywienie zawodowe. Kiedy pracuję, całymi dniami milczę, więc potem muszę sobie odbić. Powiedz, kiedy będziesz miała dość.

Lea była zupełnie inna, niż Sabina sobie wyobrażała. Jeśli chodzi o wygląd, to w pełni odpowiadała obrazowi, który starsza siostra pamiętała sprzed lat, lecz usposobienie mocno odbiegało od jej wyobrażeń. Była przekonana, że Lea musi być strasznie arogancka. W końcu kiedyś przejawiała takie skłonności, a zawodowe sukcesy i uroda powinny były je wzmocnić. Jednakże Lea okazała się wylewną, sympatyczną, wręcz samokrytyczną osobą, a kiedy wzięła Sabinę pod rękę, czas jakby nagle się cofnął. Ostatni raz Lea zrobiła coś takiego trzydzieści pięć lat temu, kiedy Sabina regularnie zabierała ją nad zatokę. Tam z brzegu machały ojcu na pożegnanie, patrząc, jak łódź powoli sunie ku otwartemu morzu.

„Gdyby mama i tata nas zobaczyli, byłiby przeszczęśliwi” – pomyślała Sabina. Już sama ta myśl sprawiła, że w duchu wybaczyła rodzicom, przynajmniej odrobinę. Droga do pełnego pojednania była jednak długa i kamienista.

Kiedy Lea spytała o śledztwo w sprawie zniknięcia Juliana, Sabina wyraźnie się zawahała. Nie, nie podejrzewała, że Lea może mieć coś wspólnego z jego zaginięciem, zwłaszcza że w tamtym czasie jej siostra miała większe troski niż rozstanie z Julianem. Wciąż była w szoku po śmierci rodziców, a do tego właśnie poznała Carlosa. W dniu swego zniknięcia Julian już dawno był Lei zupełnie obojętny. Sabina nie wtajemniczyła siostry w wyniki śledztwa tylko dlatego, że nie była pewna, czy ta potrafi trzymać język za zębami. Lea była

najwyraźniej spragniona wieści i prędkiej czy później – raczej prędkiej – musiała się spotkać z przyjaciółmi, których Sabina uznawała za głównych podejrzanych. Zakładając, rzecz jasna, że w ogóle doszło do przestępstwa. To był powód, dla którego nie wtajemniczyła Lei w rezultaty dochodzenia. Nie chciała wyjść na paranoicznie podejrzliwą policjantkę, która z powodu odniesionych ran i przymusowego przeniesienia za biurko cierpi na kompleks niższości i dlatego wszędzie węszy przestępstwo. Miała gdzieś, co sobie o niej myśli Mirosław Ammann, lecz opinia Lei nie była jej obojętna. Nigdy nie była.

A przecież mogła się mylić. Do tej pory śledztwo, które prowadziła – skądinąd całkowicie profesjonalnie – miało w sobie coś z młodzieńczych podchodów, gdyż nie czuła presji wyniku. Kiedy jednak zjawiała się Lea, wszystko się zmieniło. W jednej chwili na Sabinę padł cień przeszłości i poczuła na swych barkach brzemie wieloletniej rywalizacji z młodszą siostrą.

– Najlepiej zrób to, o co cię prosił Torben Schleicher – odpowiedziała wymijająco na pytanie Lei. – Jedź porozmawiać z panem Morgenrothem.

– To wszystko jest szalenie tajemnicze.

– Tak, też mi się tak wydaje.

Lea spojrzała z westchnieniem na zegarek.

– Dochodzi piąta. Dziś już za późno na odwiedziny, pojedę jutro. No więc, co teraz? Pójdziemy na strych, znajdziemy umowę kupna, zamkniemy usta staremu Balthusowi i przy okazji pogadamy o przeszłości, co ty na to?

– Wiesz, że to nie będzie takie łatwe? Po tym, co znajdziemy na górze, nie będzie nam do śmiechu.

– Przecież nie skoczmy sobie do gardeł. A jeśli nawet, to nie masz się czego obawiać. Z takimi łapami masz nade mną przewagę.

Lea mrugnęła figlarnie okiem, na znak, że żartuje. Przez resztę drogi Sabina opowiedziała o tym, jak została postrzelona, a Lea zrewanżowała się opowieścią o Carlosie i swoim poronieniu.

– Byłam w piątym miesiącu... I wtedy dostałam zlecenie, rajskie wyspy, plaże, jaskinie i wulkany południowego Pacyfiku. Zgodziłam

się bez wahania i obleciałam cały ocean, wzdłuż i wszerz. Carlos od początku był temu przeciwny. W ciąży nie należy tyle latać, a ja znałam ryzyko. I w końcu się stało, na Samoa. A potem diagnoza, że nigdy nie będę mieć dzieci. To był początek końca naszego małżeństwa. Jednym słowem: dałam ciała, i to na całej linii. – Lea westchnęła i spojrzała na siostrę. – Nie pierwszy raz w moim życiu.

W Sabinie niespodziewanie zakiełkowała myśl, że pojednanie z Leą jest jednak możliwe – i że może je połączyć wspólne doświadczenie smutku, tragedii, słabości i błędów.

Wrzesień 2013 roku

W nocy po znalezieniu ciała Juliana nie zmrużyłam oka. Jedno pytanie wciąż nie dawało mi spokoju: komu mogę zaufać? Pierre'owi, który najwyraźniej chciał mnie wywieźć z wyspy i dlatego zaproponował, że wyjedzie ze mną do Argentyny? Mike'owi, który zorganizował objazd mojej wystawy po całym landzie, żeby mnie tu zatrzymać? Margrethe, której relacja z majowego pobytu Sabiny na wyspie mijala się z prawdą? W taki czy inny sposób wszyscy wzbudzali we mnie mniej lub bardziej uzasadnioną nieufność. W każdym słowie czaiły się półprawdy i kłamstwa. To odkrycie najbardziej smuciło mnie w odniesieniu do Pierre'a. Nagle wszystko stało się pod znakiem zapytania, również jego uczucia i czynione mi awanse.

Prawdopodobnie znalazłam się w tym samym punkcie co cztery miesiące wcześniej. A właściwie: znalazłam się w tym punkcie, w którym cztery miesiące wcześniej była Sabina. Najwyraźniej ściągnęła mnie na Poel w związku ze swoim dochodzeniem w sprawie zniknięcia – bądź zamordowania, jak się właśnie okazało – Juliana. Czy to śledztwo miało jakiś związek z wypadkiem? Jeśli brać poważnie przestrożę wypowiedzianą przez Edith Petersen, to tak.

Edith była jedyną osobą w Kaltenhusen, o której mogłam z całym przekonaniem powiedzieć, że nie chce mnie skrzywdzić ani wyprowadzić w pole. Nie wchodząc w szczegóły, zaraz po moim powrocie poradziła mi, bym natychmiast wyjechała z wyspy. Przy okazji wspomniała coś o drugiej szansie.

O wpół do szóstej rano uznałam, że koniecznie muszę jeszcze raz porozmawiać z nią w cztery oczy. Było stanowczo za wcześnie na odwiedzinę, ale nie mogłam dłużej wytrzymać w łóżku, dlatego wskoczyłam w ubranie i na palcach, żeby nie zbudzić Pierre'a, wymknęłam się z domu. Zaczynało się przejaśniać.

Dom Petersenów stał kilka kroków dalej, na lewo. Z prawej strony zamglone łąki, szumiące w dali morze i krzyki mew zachęcały mnie do przechadzki, jednak górę wzięło inne wezwanie. Bo z łóżka nie wypędziły mnie ani chęć uzyskania odpowiedzi na moje pytania, ani nadzieja na to, że zieleń tutejszej przyrody przywróci mi jasność myśli.

Obie tęsknoty były silne, lecz tego ranka musiały uznać wyższość innego uczucia: melancholii. Czułam pokusę zanurzenia się w niej, unurzania się we wspomnieniach i smutku. Dla mnie Julian nie umarł dwadzieścia lat temu, lecz poprzedniej nocy. A starsza siostra, której przez całe życie nienawidziłam, stała się bohaterką.

Od kilku tygodni, odkąd przyjechałam na Poel, świadomie unikałam tego miejsca. To dlatego wciąż wymyślałam nowe wymówki, jak choćby przygotowania do wernisazu. Teraz jednak potężna siła ciągnęła mnie tam, gdzie miałam nadzieję odnaleźć Sabinę i Juliana. Tam, gdzie spoczywały wszystkie skarby rodziny Mahlerów – na strychu mojego rodzinnego domu. Weszłam na piętro, sięgnęłam po tyczkę z hakiem, otworzyłam klapę w suficie i ściągnęłam rozkładaną drabinę.

Na strychu panował półmrok, a powietrze, mimo wczesnej pory, było ciepłe i lepkie. Otworzyłam okno dachowe, by wpuścić nieco tlenu i światła, lecz na niewiele się to zdało. Każdy krok wzbudzał tumany kurzu, który utrudniał oddychanie, lecz uznałam, że dopóki jest dość powietrza, dopóty nic mi nie grozi, i wkrótce zapomniałam o uciążliwościach.

Nieporządkom na strychu odpowiadał nieporządek w kartonach. Kapelusze mojego ojca leżały obok sprzętów kuchennych z kombinatu Schwarzenberg, poduszki z sofy i ścierki obok szklanek, a garnki między ubraniami mamy. Sabina musiała wszystko spakować sama, bo ja wyjechałam już z Carlosem do Argentyny. Widząc chaos panujący w tym miejscu, wyobraziłam sobie, jak moja siostra z niechęcią bierze do ręki przedmioty przypominające jej rodziców. Domyśliłam się, że i jej spieszno było opuścić Kaltenhusen. Szybko się jednak okazało, że rzeczy z mojego pokoju, które tuż przed wyjazdem do Argentyny spakowałam i wyniosłam na strychu, również leżą w pudłach bez ładu i składu. Co jakiś czas wpadały mi w ręce fotografie. Najczęściej

przedstawiały mnie, potem moich rodziców, potem mojego kota Tygrysa. Sabina była na ostatnim miejscu, daleko w tyle.

Mimo to jedno z jej zdjęć przykuło moją uwagę. Zrobiłam je na plaży, na Węgrzech albo w Bułgarii. Przez kilka minut wpatrywałam się w Sabinę leżącą na brzuchu na leżaku pod niebieskim parasolem. Jedną rękę miała wyprostowaną, drugą zaś zacisnęła w pięść i chociaż miała jakieś trzynaście lat, to sprawiała imponujące wrażenie. Przypominała galion na dziobie okrętu.

Nagle przypomniałam sobie chwilę, która – co właśnie sobie uświadomiłam – zapoczątkowała między nami dziesięcioletnią wojnę i trzydziestoletnią wrogość. Miałam wtedy osiem lat i raptem przestało mi się podobać, że moja siostra jest taka silna, iż wyzywa na pojedynki chłopców, i w przeciwieństwie do rodziców oraz wszystkich innych znanych mi osób nie rozpieszcza małej ślicznej Lei. Tego dnia Sabina jako jedyna zdobyła leżankę, podczas gdy my ułożyliśmy się na ręcznikach, na piasku. Ja jednak postanowiłam odbić jej zdobycz. Marudziłam, płakałam, robiłam sceny... W końcu rodzice kazali Sabinie, by mi oddała leżak, a ja umościłam się na nim jak żona cezara.

Drobny incydent, lecz jego skutki były odczuwalne przez lata. Od tej pory nasze drogi się rozeszły i zaczęła się wojna. Każda z nas wybrała własny oręż. Sabina postawiła na bezczelność, ja zaś na sarkazm. Choć tak naprawdę podziwiałam jej siłę fizyczną i duchową niezłomność oraz zazdrościłam respektu, który potrafiła sobie wywalczyć, nawet u mnie. Mimo to robiłam wszystko, by ten respekt podkopać – najczęściej poprzez obrzucanie jej złośliwościami. Był to wyraz zazdrości, która z jednej strony płynęła z podziwu, a z drugiej chciała ten podziw zdusić.

Nawet przez ocean i po upływie dwóch dekad wciąż pielęgnowałam w sobie tę niedorzeczną, wynikającą ze zwykłego kaprysu potrzebę rywalizacji.

Kolejna fotografia uzmysłowiła mi, że pod szorstką skorupą Sabina skrywała dobre serce. Trzymała na kolanach mojego kota. Przypomniałam sobie, ileż to razy bezmyślnie budziłam go i zrzucałam ze swoich kolan, tak po prostu, bo mi się znudziło. Sabina nigdy nie umiała go odpędzić, choćby czuła, że zaraz pęknie jej pęcherz.

Tego rodzaju wspomnienia i spóźnione odkrycia sprawiały ból, tym większy, że mój niewczesny żal na nic się już nikomu nie mógł przydać.

W chwili, kiedy chciałam odłożyć zdjęcia na miejsce, spostrzegłam na zakurzonej podłodze odcisk buta. Nie mógł należeć do mnie, bo bieżnik wskazywał na masywny trzewik w rozmiarze co najmniej czterdzieści cztery. Powiodłam po nim palcem. Cienka smuga, którą pozostawiłam, świadczyła o tym, że odcisk nie mógł mieć więcej niż cztery miesiące.

Cztery miesiące wcześniej

Sabina była zirytowana śladami, które zostawiła na podłodze strychu. Nosiła ten rozmiar, odkąd skończyła dwadzieścia lat, ale rzadko zdarzało jej się z taką niechęcią patrzeć na swoje stopy. To pewnie przez obecność Lei. Mimo upływu tylu lat, mimo tylu sukcesów zawodowych, mimo pewności siebie, mimo tylu przepracowanych porażek i pancerza, którym okryła swoje kompleksy, wystarczyło, że za jej plecami stanęła Lea, i Sabina, widząc odcisk swej przerośniętej stopy, natychmiast się zawstydziała.

– Ty weźmiesz ten rząd, a ja ten – zadysponowała, by ukryć niepewność.

– Tak jest – zaszalutowała Lea i otworzyła pierwszy karton. – Bingo! Mam segregatory i dokumenty. Wspaniale... – westchnęła ciężko, ale bezzwłocznie zabrała się do poszukiwań blisko osiemdziesięcioletniego aktu sprzedaży ziemi.

Przez chwilę milczały. Kiedy Sabinie wpadły w ręce zdjęcia, chciała je natychmiast odłożyć na bok, lecz Lea spostrzegła to, zerwała się z miejsca i szybko do niej dopadła.

– Pokaż, co na nich jest?

– Daj spokój, mamy szukać dokumentów, nie zdjęć!

– Przecież możemy połączyć przyjemne z pożytecznym...

– Przyjemne, jasne. Na zdjęciach jesteś tylko ty.

Lea wzięła się pod boki.

– Co to niby ma znaczyć? – powiedziała ze śmiechem. – To nie moja wina, że nie lubiłaś się fotografować. Mówiłaś, że nie jesteś fotogeniczna, że masz za duży nos, kości policzkowe ze stali i ręce King Konga.

Sabina uśmiechnęła się gorzko.

– Skarbie, to nie ja tak mówiłam, tylko ty.

– Och, naprawdę?

– Naprawdę.

– Och...

– Daj spokój, to nie jest aż taka tragedia, żebyś musiała tak wdychać. Minęło tyle lat... Britney Spears jeszcze nie umiała mówić, a co dopiero śpiewać, a Lady Di wciąż była żoną Karola. Innymi słowy: wszystko działo się gdzieś w okolicach średniowiecza.

– Mimo wszystko przepraszam.

– W porządku. Szukaj dalej.

Lea posłusznie wróciła do swoich kartonów, lecz była wyraźnie przygaszona.

– Byłam okropna, prawda? – spytała po kilku minutach.

Sabina nie odpowiedziała od razu. W końcu westchnęła:

– Co mam powiedzieć? Tak, byłaś okropna. Ale ja też mogłam przerwać zaklęty krąg wrogości i wyciągnąć do ciebie rękę. Nie zrobiłam tego, więc dajmy spokój.

Znowu zapadła cisza. Przeglądając kolejne kartony, Sabina szukała słów, które pozwoliłyby przerzucić most nad przepaścią wieloletniej niechęci. Niestety, była kiepskim budowniczym mostów. Przynajmniej tych, które miałyby ją połączyć z Leą. Nic jej nie przychodziło do głowy.

Za to odezwała się Lea:

– Byłam o ciebie zazdrosna.

Sabinie na chwilę odjęło mowę, a potem parsknęła śmiechem.

– O mnie? Zazdrosna? Nie żartuj!

– Nie żartuję. Wiem, że to brzmi dziwnie, bo rodzice zawsze spełniali wszystkie moje życzenia i... Ale przypomnij sobie. Pamiętasz, jak chodziłam na lekcje pianina? Mama zawsze się upierała, że masz mnie odprowadzać. A przecież byłam dość duża, żeby po szkole bez opieki przejść te niecałe dwieście metrów. Tata też nigdy mnie nie wzięł na kuter bez ciebie. Mówił, że nie ma czasu mnie pilnować. Mogę ci podać tysiąc takich przykładów. Nawet zamki z piasku musiałam budować pod twoim oknem.

Sabina wzruszyła ramionami.

– To chyba normalne. Byłam od ciebie starsza.

– To nie dlatego. Mama i tata wiedzieli, że drzemy z sobą koty, a i

tak byli pewni, że w razie czego mogę na ciebie liczyć. Wiedzieli, że cokolwiek się stanie, nie stracisz zimnej krwi. Ja byłam dla nich śliczna, urocza, ale też bezbronna i słaba. Kiedy mama i tata zginęli, zaraz padłam w ramiona pierwszego lepszego faceta. Carlos... On... Zaraz po ślubie zaczął mnie bić. Do tej pory nikomu o tym nie mówiłam. Miał... miał fantazje seksualne, których nie podzielałam. Więc mnie zmuszał. Wtedy zawsze myślałam... miałam nadzieję, że przyjedziesz i mnie uwolnisz.

Sabina słuchała spowiedzi Lei z otwartymi ustami. Zwłaszcza ostatnie zdanie wstrząsnęło nią tak bardzo, że nie wiedziała, co odpowiedzieć, jak zareagować. Czy powinna podziękować Lei za szczerość? W rewanżu opowiedzieć, jak bardzo jej zazdrościła? Wypytać o Carlosa? Była tak bardzo zbита z tropu, że zaczęła jeszcze intensywniej szperać w kartonie i nim znalazła odpowiedź na swoje pytanie, w ręce wpadł jej poszukiwany dokument.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła. Rzeczywiście znalazła pochodzący z lat trzydziestych akt kupna ziemi. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz czułam się tak wspaniale.

Wstała i objęła Leę – pierwszy raz od niepamiętnych czasów i zarazem ostatni raz w życiu.

Wrzesień 2013 roku

Po dwóch godzinach spędzonych na strychu byłam kompletnie wyczerpana. Z pewnością złożyły się na to i nieprzespana noc, i parne powietrze, ale nade wszystko wspomnienia. Nic tak nie męczy jak spóźnione opamiętanie i dręczące pytania, a tych tego ranka miałam aż nadto. Na domiar złego natrafiłam na zdjęcia, na których byłam z Julianem – w pewnym sensie moje pierwsze artystyczne wprawki. Były to w większości wystudiowane ujęcia naszych nagich młodych ciał, zbliżenia gładkiej i jasnej skóry. Pod spodem znalazłam listy miłosne Juliana, świadectwo jego romantycznej natury. Oparta o worek z ubraniami przebiegałam wzrokiem kolejne linijki, niektóre pomijając z grymasem na twarzy, inne zaś chłonąc jak spragniony wędrowiec wodę. Pławiłam się we wspomnieniach. Opowiadania, podniosłe hymny, teksty piosenek i wiersze mieszały się ze zwykłymi listami, przy których lata temu zasypiałam późną nocą, a które dziś przywodziły na usta bolesny uśmiech.

„Nie odszedłby” – pomyślałam. „Nie kazałby mi czekać cały rok. Nie był do tego zdolny”. Ale samo to, że w ogóle przyszło mu do głowy, by beze mnie wyruszyć w świat, wprawiło mnie w niewyobrażalny gniew. Dlatego niczym rozpieszczone dziecko wołałam rozbić ukochaną lalkę niż oddać ją w obce ręce, choćby tylko na chwilę. To moja duma zniszczyła nasz związek. Duma, odwieczny grzech głupców, jak napisał brytyjski poeta Alexander Pope.

Wtem usłyszałam czyjś oddech, a potem skrzypienie drabiny. Zamarłam, ale nikt się nie zjawił.

– Pierre? To ty?

A potem rozległ się dźwięk fletu. Od wieków nie słyszałam tej melodii, lecz mimo to natychmiast ją rozpoznałam. To był hymn naszej paczki skomponowany przez Juliana.

Kiedy wstałam, melodia umilkła, a gdy zesłam na dół, dom był

zupełnie pusty.

Musiłam poznać prawdę o moim majowym pobycie na wyspie, ale nie mogłam się w tej sprawie zwrócić do ludzi, którym przestałam ufać. Nawet jeśli krzywdziłam ich swoimi podejrzeniami. Odrzuciłam też możliwość zwrócenia się do policji, ponieważ niczego nie mogłam udowodnić. Miałam tylko mnóstwo złych przeczuc, przestrogę wypowiedzianą przez cierpiącą na demencję staruszkę i dziwne przebłyski wspomnień. Kluczem do rozwiązania zagadki była Edith Petersen. Byłam pewna, że staruszka zna prawdę. Nie miałam jednak zielonego pojęcia, co Edith wie, na jaki temat i kiedy się tego dowiedziała. A może przeceniałam jej wiedzę i Edith знаła tylko jeden maleńki fragment układanki?

Kiedy dotarłam do Petersenów, przed domem nie było samochodu Margrethe. Stał tylko stary ford Harry'ego. Miałam właśnie nacisnąć dzwonek, kiedy spostrzegłam, że drzwi są jedynie przytknięte, jak to było w zwyczaju w słoneczne, ciepłe dni w Kaltenhusen, gdzie wszyscy znali się od niepamiętnych czasów. Wyciągnęłam już rękę, żeby zapukać, lecz w ostatniej chwili zerknęłam do środka i przez otwarte drzwi na końcu ciemnego korytarzyka zobaczyłam kuchnię, a w niej Harry'ego. Stał bez ruchu i gapił się przed siebie.

Nagle poczułam, że będzie lepiej, jeśli przemknę niepostrzeżenie. Bo co, jeśli Harry się uprze i będzie chciał mnie odprowadzić do Edith? Że też wcześniej o tym nie pomyślałam! Teraz jednak nieoczekiwanie pojawiła się szansa na to, bym mogła porozmawiać z Edith w cztery oczy.

Prześlizgnęłam się na czubkach palców ku schodom. Wiedziałam, że stopnie strasznie trzeszczą, toteż minęły wieki, nim przyklejona do ściany wdrapałam się w końcu na piętro.

Edith oglądała telewizję, jakiś serial pełen czerwonych róż, miłosnych wyznań i typowych dla bogaczy problemów. Odniosłam wrażenie, że kiedy mnie spostrzegła, przez moment zastanawiała się, kim jestem, jakby musiała przejrzeć w głowie kartotekę. Po kilku sekundach znalazła imię pasujące do mojej twarzy.

– Och, Lea, jak miło – powiedziała, po czym ściszyła telewizor.

Tak jak kilka tygodni wcześniej, wyciągnęła do mnie kościstą dłoń, a ja pomyślałam, że jest jeszcze bardziej krucha i słabsza niż wtedy. Zresztą Edith w ogóle wyglądała na bardziej znużoną i osłabioną niż podczas mojej pierwszej wizyty. Jakby odpłynęła z niej cała krew.

– Przyszłaś z Pierre’em? – spytała.

– Nie, Pierre jest u siebie. Chyba.

– Potrzebuję go. – Miała raczej na myśli to, że potrzebuje zastrzyku albo wręcz całej baterii środków przeciwbólowych. Może to zabrzmiało teatralnie, ale śmierć dosłownie wyczierała już zza jej pleców. Do tego ten okropny odór, który od niej bił, wypełniając nie tylko pokój, ale i cały dom. Już poprzedniego wieczoru mój nos wypełnił się zapachem trupiego rozkładu. Oczywiście Edith nic na to nie mogła poradzić i na pewno nie oczekiwała współczucia, a chyba właśnie to odczuwał każdy, kto ją odwiedzał. Kiedyś wzbudzała szacunek, emanowała życzliwością, miłością, humorem, pracowitością, siłą, odwagą i uporem – lecz to wszystko znikło, odeszło w przeszłość. Dziś zostało czyste współczucie, nic więcej.

– Proszę zobaczyć, co znalazłam, przeglądając stare rupiecie.

Podaliśmy jej zdjęcie, które zrobiłam trzydzieści lat wcześniej w jej ogrodzie: między malwami, krzakami pomidorów i pędami fasoli roześmiana Edith stała z ramionami szeroko rozłożonymi nad grupką miejscowych dzieci – niczym orlica strzegąca swych młodych. Julian oparł nawet głowę na jej ramieniu w czułym geście wdzięczności.

Pozwoliłam jej spokojnie obejrzeć fotografię. Stałam przy oknie i wyjrzałam na ogród, a właściwie na coś, co kiedyś nim było. Nie dostrzegłam kwiatów ani warzyw, a trawnik porastały koniczyna i mech.

– Jest też Sabina – powiedziała w końcu staruszka.

Kiwnęłam głową. Na zdjęciu moja siostra stała za Edith, którą już wtedy przerosła, i widać było, że nie należy do naszej grupki, choć może bardzo by tego chciała. Na jej zwykle marsowej twarzy malował się blady, niemal niepewny uśmiech. Było to jedno z nielicznych zdjęć, na których Sabina towarzyszyła naszej paczce. Właśnie dlatego dałam je Edith. Dzięki temu mogłam zupełnie naturalnie zadać pytania, które wciąż nie dawały mi spokoju.

– Harald się nie uśmiecha – stwierdziła ze smutkiem Edith. – Tylko on. Znow coś mu się nie podoba. Może nie chciał się mną dzielić z innymi? Jak sądzisz?

– Nie wiem.

– Już jako chłopiec był wyjątkowo wrażliwy. Kiedy mu się zwróciło uwagę wprost, potrafił przez kilka dni chodzić zamknięty w sobie, a kiedy się owijało w bawełnę, też czuł się urażony. Odkąd poróżnili się z Mikiem, nie miał już nigdy przyjaciół. Ale z Sabina dobrze się dogadywał. Ach, biedna Sabina. Dlaczego znow muszę to wszystko przeżywać? Dlaczego to moje ciało jest takie uparte? Nie chcę już dłużej żyć. Niech mi ktoś w końcu przycisnie poduszkę do twarzy! Ale nie, wokół mnie są sami tchórze.

Spojrzała na mnie tak, jakby szukała w moich oczach odwagi, której nie znajdowała we własnych dzieciach. Czy to nie straszne? Ta stara kobieta miała już tylko jedno jedyne życzenie: umrzeć. Doskonale ją rozumiałam. Ale równie dobrze rozumiałam tych, których nazwała tchórzami.

– To nie był zwykły wypadek, prawda? – zmieniłam nagle temat. – Ktoś nas ścigał, dlatego jechałyśmy tak szybko. Błagam, Edith, niech mi pani powie wszystko, co wie.

Oczy staruszki niespokojnie zamigotały. Czekala chyba na dalsze pytania. Musiałam mówić wprost. Niektórych rzeczy nie da się przekazać między wierszami.

– Edith, kilka tygodni temu ostrzegala mnie pani przed niebezpieczeństwem. Kogo albo co miała pani na myśli? Kto mi zagraża?

Oddech staruszki przyspieszył, zaczęła lekko rzezić.

– Och, Leo, zamiast wciąż pytać, zrób, co ci radzę. Wyjedź z Kaltenhusen, jeszcze dziś, najlepiej zaraz.

– Wiem, że chce pani dobrze, ale musi mi pani powiedzieć, co się tu dzieje. Czy to ma jakiś związek z zabójstwem Juliana? Z grobem w ruinach klasztoru, który wczoraj odkopała policja? Czy Sabina dowiedziała się o nim? Wtedy, w maju?

Edith szeroko otworzyła oczy, drżące dłonie przycisnęła do ust.

– O czym ty mówisz? – jęknęła. – Julian... O mój Boże! Julian

został...

Zawahałam się. Czyżby Edith o niczym nie miała pojęcia?

– Tak, został zamordowany, to już niemal pewne – potwierdziłam ponuro. – Został zamordowany i zakopany. Dwadzieścia trzy lata temu.

– Dwadzieścia...

– Prawdopodobnie trzydziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku.

Edith znów zaczęła szperać w swojej kartotece.

– Trzydziestego pierwszego sierpnia – wymamrotała zatopiona w myślach.

– Zeszłej nocy przypadkiem znaleźliśmy jego grób. Dziwne, że Margrethe i Harald o niczym pani nie powiedzieli. Przykro mi, że dowiedziała się pani w taki sposób...

Wystraszone spojrzenie Edith nagle utkwilo gdzieś ponad moim ramieniem.

W tym samym momencie przed oczami znów stanął mi jeden z tych czarno-białych obrazów, które zdaniem mojej schwerińskiej terapeutki pochodziły z czasu mojej majowej wizyty na wyspie: Margrethe stoi na dole pochylona nad kuchennym stołem, trzymając w ręku jakiś kawałek materiału, jakby duży ręcznik, którym przykrywa coś, co leży na stole. Harry stoi obok niej, trupio blady i przerażony...

Obraz zniknął.

Odwróciłam się. W progu z kamienną twarzą stała Margrethe.

Cztery miesiące wcześniej

– Do-o diabła! Nie-e wierzę. To-o jakiś cud.

Harry trzymał w ręku umowę sprzedaży ziemi, na której stały ruiny klasztoru. Przeczytał każde słowo co najmniej trzy razy i powiódł czubkami palców po podpisach ojca starego Balthusa oraz dziadka Sabiny i Lei. Potem spojrział z radością na Sabinę, Margrethe i Leę, które zebrały się w kuchni Petersenów wokół odnalezionego dokumentu. W końcu jego wzrok spoczął na Sabinie.

– U-udało się! Je-esteśmy u-uratowani! Cu-udownie! Ni-ie wierzę, że to prawda!

– Świetnie – przerwała mu Margrethe niskim, dźwięcznym głosem.

– Ale teraz weź się w garść.

Lea we właściwy sobie sposób poparła ją, mówiąc:

– To nie Magna Charta, Harry, tylko umowa sprzedaży kawałka ziemi.

Sabina jako jedyna rozumiała Harry’ego. Pałac był dla niego symbolem, sanktuarium, w którym przechowywał najlepszą część swojego życia: wspomnienia. Oczywiście pozostali członkowie paczki również czuli sentyment do tych murów, jak większość dorosłych, którzy po latach z rozrzewnieniem wspominają plac zabaw, po którym kiedyś biegali, czy ogród dziadków, gdzie wspinali się na drzewa, by zrywać wiśnie. Większość jednak godzi się z tym, że nic nie trwa wiecznie, że świat się zmienia, że własność przechodzi z rąk do rąk, że plac zabaw musi ustąpić miejsca parkingowi albo ulicy... Większość, ale nie Harry. Po trzydziestu latach wciąż celebrował w tych ruinach swoją młodość, każdego dnia. Być może nawet tam umrze.

Harry chwycił dłoń Sabiny.

– Dzi-iękuje. Ba-ardzo dzi-iękuje. Świe-etna ro-obota.

– Nie ma za co. Pomogła mi Lea.

Harry i Lea kiwnęli do siebie głowami, ale ich spojrzenia spotkały

się tylko na chwilę. Byli sobie zupełnie obcy. Dzielili ich nie tylko dwadzieścia trzy lata rozłąki, lecz również to, co obecnie składało się na ich życie. Życie Harry'ego upływało na Poel, w ruinach klasztoru, na grzebaniu zmarłych, a jego siostry na znoju. Na życie Lei natomiast – o ile Sabina była w stanie to ocenić – składały się praca, podróże, artystyczne fotografowanie rozmaitych obiektów, kontakty z wyrefinowaną międzynarodową publicznością i – przynajmniej wiele na to wskazywało – romanse z atrakcyjnymi mężczyznami. Nic dziwnego, że na tle zapuszczonego domu Petersenów wyglądała jak świeża lilia w bukietcie suszonych kwiatów.

– Właściwie miałabym do ciebie prośbę – powiedziała Sabina, zwracając się do Harry'ego.

– Co-o tylko ze-echcesz – zapewnił Harry.

– Chciałabym, żebyśmy wspólnie spędzili wieczór, najlepiej dzisiaj.

– Świe-etny pomysł! – wykrzyknął Harry. – Ma-amy co świętować!

– Kiedy mówię „wspólnie”, mam na myśli wszystkich, to znaczy całą waszą paczkę i mnie.

– Cho-olera!

Ten komentarz dotyczył, ma się rozumieć, Mike'a.

– Cho-olera – powtórzył Harry i ukrył twarz w dłoniach.

Margrethe trąciła go w bok.

– Weź się w garść! Przecież możesz zachować tę swoją kupę kamieni. W zamian mógłbyś się chyba przełamać. Poza tym najwyższa pora, żebyście sobie podali ręce. Nie możecie bez końca...

– Do-obra, do-obra, ni-iech będzie – warknął Harry.

– Na pewno?

Harry dokładnie przestudiował dokument, obmacał papier i znowu rzucił Sabinie pełne wdzięczności spojrzenie.

– Na-a pewno. Zgoda – powiedział, wstając z miejsca. – A-ale najpierw chcę zo-obaczyć minę Ba-althusa, kiedy mu prze-ekażę dobrą no-owinę.

Sabina sięgnęła po akt sprzedaży, starannie go złożyła i schowała do kieszeni dresowej bluzy. We trzy patrzyły przez okno, jak Harry

niczym sztubak wybiega na drogę i znika w zapadających nad Kaltenhusen ciemnościach.

– Prawdę mówiąc, jestem zaskoczona twoją propozycją – powiedziała Lea, po czym dotknęła ramienia Sabiny. – Przyjemnie zaskoczona. Aż dziw, że sama na to nie wpadłam.

Sabina się uśmiechnęła. Spotkanie dawnych przyjaciół było kluczowym elementem jej planu. Wiedziała, że to nie będzie przyjemny wieczór.

Wrzesień 2013 roku

Margrethe wyciągnęła Leę z pokoju swej matki. Czowała do dawnej przyjaciółki nieodpartą niechęć, którą wyładowała, popychając ją gwałtownie ku schodom. Lea omal z nich nie spadła, lecz na szczęście w ostatniej chwili zdążyła się przytrzymać poręczy.

– Co ty robisz?! – krzyknęła przestraszona.

Margrethe nie odpowiedziała, tylko pchnęła nieproszonego gościa w dół schodów.

Prawdę mówiąc, już w dzieciństwie nie znosiła Lei i dlatego czasami podczas przejazdów rowerowych celowo spychała ją do rowu. Oczywiście, aby nie narażać się na gniew Mike'a, robiła to tak, żeby upozorować nieszczęśliwy wypadek. Bo Mike... Nie, nie tylko Mike... Wszyscy lubili Leę bardziej, niż na to zasługiwała, nawet matka Margrethe. Kto tyle razy pomagał Harry'emu i Pierre'owi wygrzebać się z tarapatów? Ona, Margrethe. Kto najwięcej się napracował przy sprzątaniu tych przeklętych ruin? Kto nie zważał na pokrzywy i ciernie? Margrethe. Kto załatwiał części do starego roweru Mike'a? I kto go naprawiał? Kto tyle razy ściągał tego głupiego kota z drzewa? Kto bez przerwy motywował Jacqueline na wuefie? Kto dawał Julianowi alibi, kiedy szedł się potajemnie bzykać z Leą? Margrethe, Margrethe i jeszcze raz Margrethe. To ona była obok Mike'a najbardziej aktywna, najodważniejsza, najpracowitsza, niezawodna.

Ale tak to już jest na tym świecie – najbardziej kochani są nie ci, którzy się starają, lecz ci, którzy czarują. Jeden ich uśmiech waży więcej niż tysiąc godzin mozolnej pracy, a jedno słowo więcej niż tysiąc czynów. Lea była delikatna, dlatego wzbudzała w chłopcach instynktowną chęć opieki. I chętnie korzystała z ich pomocy. Kiedy zanosila się śmiechem i potrzasała rozpuszczonymi włosami, nie było wątpliwości, kto jest najpiękniejszą dziewczyną na wyspie. A ponieważ jej matka pochodziła z dobrego mieszczańskiego domu,

Lea dużo czytała i potrafiła się pięknie wyrażać. Do tego miała niebywałą intuicję, która podpowiadała jej, w jaki sposób może wykorzystać innych ludzi do swoich celów. W oczach Margrethe przypominała owe łyżwiarki, od których dosłownie bije talent i piękno i które dostają dziesiątkę nawet wtedy, gdy pojechały na ósemkę, podczas gdy te, które dają z siebie wszystko, muszą się zadowolić siódemką.

Wtedy jednak tę niechęć łagodził fakt, iż dom i działka Petersenów stanowiły – obok ruin klasztoru – centrum życia i ulubione miejsce spotkań ich paczki, a matka Margrethe pełniła funkcję ich swoistej patronki i opiekunki. Dzięki temu Margrethe czuła się dowartościowana.

Dziś jednak wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Dziś Jacqueline popijała herbatkę ping-pong w cieniu japońskich klonów, Pierre w białym kitlu i jednorazowych rękawiczkach przesiadywał całe dni w swoim odmalowanym na biało gabinecie, na dzień dobry kasując sto euro, a Mike był panem całej wyspy. Tylko Margrethe nie miała nic oprócz kiepsko płatnej pracy, szurniętego brata i niedołącznej matki, którą w myślach już tysiąc razy pytała: „Kiedy ty wreszcie umrzesz?”.

Margrethe co prawda zdawała sobie sprawę z marności swego prowincjonalnego żywota, lecz w pełni dostrzegła ją dopiero w chwili, gdy Lea niczym anioł wyłoniła się z nicości – piękna, czarująca i elokwentna. W domu Margrethe, spowitym w szary całun codzienności, Lea jawiła się niczym fresk na ścianie mrocznego garażu.

Już z tego powodu miała ochotę zrzucić ją ze schodów i dokończyć to, czego nie dokonał wypadek. Tak, kierowała nią zawiść, Margrethe doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Jednak o ileż łatwiej cieszyć się z cudzego powodzenia, gdy samemu można się czymś wykazać. Lecz Margrethe już dawno nie miała w sobie siły, by się zdobyć na wielkoduszność.

Tego ranka do ogólnej niechęci, którą od lat żywiła do Lei, dołączył jeszcze jeden, szczególny resentyment.

– Co ty sobie wyobrażasz? Powiedziałaś mamie o śmierci Juliana?
– zaatakowała Leę, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi kuchni.

– Przepraszam, myślałam, że jej powiedzieliście. Dlaczego to przed nią ukrywacie?

– Nie przyszło ci do głowy, że może się strasznie zdenerwować?

– W końcu musi się dowiedzieć.

– Ach tak?! Niby dlaczego? I kto o tym decyduje? Ty? – Margrethe stuknęła się kilka razy palcem wskazującym w pierś. – To do mnie należy decyzja, moja pani. To ja decyduję w sprawach, które dotyczą mamy.

– Nie rozumiem twojego wzburzenia. Dlaczego Edith nie miałyby się dowiedzieć, co się stało z Julianem?

Margrethe nie odpowiedziała.

– Kto cię w ogóle wpuścił? – spytała.

– Harry siedział na krześle w jakimś transie. Nie chciałam mu przeszkadzać, więc...

– Nie było go, kiedy wróciłam. W pokoju też go nie ma. Gdzie, do diabła, podziewa się ten idiota?

– Mnie pytasz? Mówię ci, że kwadrans temu był w kuchni.

Margrethe czuła, że dosłownie kipi ze złości, lecz nie wiedziała, na kogo wylać ten gar trującego ukropu – na Harry’ego, Leę czy starego Balthusa, który wczorajszą akcją wywołał to całe zamieszanie. Koniec końców postanowiła pozmywać naczynia i zabrała się do tego, jakby chciała się wyżyć na Bogu ducha winnych talerzach.

Przez minutę skupiła się na tej czynności, a kiedy była już przekonana, że nieproszony gość opuścił jej dom, Lea stanęła u jej boku ze ścierką w rękę i zaczęła wycierać talerze i szklanki. Ten gest tylko wzmógł gniew Margrethe.

– Przepraszam – odezwała się Lea i chociaż Margrethe wciąż stała odwrócona plecami, nie zamilkła. – Pomyślałam, że może dziś wieczorem spotkalibyśmy się wszyscy razem, żeby wspominać dawne czasy.

– I co to da? – mruknęła Margrethe.

– Zróbmy to dla Juliana. Mamy tyle wspaniałych wspomnień. Pamiętasz dziesiąty listopada osiemdziesiątego dziewiątego roku? To Julian wymyślił, żebyśmy wykrzyczeli w niebo nasze życzenia.

– Poroniony pomysł – prychnęła.

– Nie wydaje mi się.

– A mnie owszem, zresztą on i tak już nas nie usłyszysz.

Czasami Margrethe nienawidziła samej siebie, zwłaszcza swojego sposobu wyrażania się, który przypominał bełkot żałosnego dzikusa. Ale taka jest przecież bieda – żałosna i nieokrzesana.

Mimo to Lea nie dawała za wygraną.

– Wtedy wszyscy wykrzyczeliśmy nasze życzenia – powiedziała. – Ty też. Pamiętam jak dziś. Odważnie wyszłaś na deszcz i...

– ...i zaczęłam gadać głupoty.

– Marzenia nigdy nie są głupie. I to jest w nich najpiękniejsze.

Margrethe przewróciła oczami i cisnęła gąbkę do zlewu. Tak może mówić tylko ktoś, komu marzenia się spełniły. A jej marzenia powoli obumarły, zaraz po szkole. Chciała wyjechać jako au pair do Paryża, a potem do Monako, Bolonii, Rzymu... Lecz kiedy tylko odebrała świadectwo, matka zachorowała na raka jelita, a ona, ma się rozumieć, towarzyszyła jej w tym strasznym okresie. A potem ruszyła lawina i wszelkie możliwe choroby rzuciły się na Edith niczym drapieżne ptaki. Wtedy też zaczęły się problemy z pieniędzmi, w związku z czym marzenia Margrethe powoli zaczęły odsuwać się w czasie, aż w końcu całkiem zniknęły jej z pola widzenia.

– Posłuchaj, Margrethe – odezwała się znowu Lea. – Chcę ci powiedzieć, że to, co robisz, jest wspaniałe. Większość córek na twoim miejscu już dawno oddałaby Edith do domu opieki. Mnie na pewno nie byłoby stać na taką wielkoduszność. Jestem zbyt wielką egoistką. Takie poświęcenie wymaga wyjątkowego hartu ducha i wytrzymałości fizycznej, zwłaszcza że nikt nawet nie powie zwykłego „dziękuję”. Naprawdę cię podziwiam i...

– Błagam cię – syknęła Margrethe, zawzięcie trąc szczotką po zaschłej chochli. – Skończ kadzić! Po dwudziestu trzech latach zjawiasz się tak po prostu, raczysz wszystkich tymi swoimi napuszonymi tekstami i zaraz znów wszystko zaczyna się kręcić wokół ciebie. Mike organizuje ci wystawę, Jacqueline zaprasza cię na herbatkę, Pierre wsadza ci język w gardło... i sama nie wiem, co jeszcze...

– Coś czuję, że ton naszej rozmowy gwałtownie się obniżył.

– To jest mój dom i to ja nadaję tu ton! Wiesz, ile razy Jacqueline zaprosiła mnie na herbatkę? Ani razu! Mnie nikt nie daje nic za darmo.

Margrethe czuła, że to, co mówi, jest wstrętne. Zupełnie jakby wrzuciła do garnka wszystkie krzywdy, niespełnione marzenia i fantomowy ból duszy, zagotowała je, wymieszała i w końcu wlała w siebie ten gorzki sos. Te same wspomnienia, które trzymały jej brata przy życiu, ją zżerały od środka.

– Ja też nie zawsze miałam lekko – powiedziała Lea jakby na swoje usprawiedliwienie, lecz w ten sposób tylko pogłębiła rozgoryczenie Margrethe, która parsknęła głośnym, ponurym śmiechem.

– Nie masz pojęcia, co mówisz.

– Obawiam się, że widzisz tylko to, co chcesz widzieć. Dostrzegasz tylko jasną stronę mojego życia. Naprawdę mi zazdrościsz tego, że poroniłam? Jedenaście lat temu i teraz, w maju?

– Tak – odparła Margrethe i w tych słowach rozbrzmiewała okrutna szczerłość.

Lea poznała smak miłości i – przynajmniej przez kilka miesięcy – macierzyństwa. Margrethe chętnie zamieniłaby swój głuchy fantomowy ból na rozdzierający serce ból po stracie ukochanego dziecka. Pokochała mężczyznę, jednego, wiele lat temu, i została wzgardzona. Kiedy dwadzieścia trzy lata temu Lea odrzuciła zaproszenie Juliana, Margrethe pierwszy i ostatni raz w życiu wyszła z cienia i zaproponowała, że zajmie jej miejsce. Lecz Julian tylko pokręcił głową. Owszem, byłiby osobliwą parą: szorstka dziewczyna i romantyczny muzyk. Ale czy nie mogli przynajmniej spróbować? On jednak tylko pokręcił głową.

– A wypadek? – drążyła Lea. – Jego też mi zazdrościsz?

Margrethe nie miała ochoty kontynuować tej rozmowy.

– Wiesz co, Leo? Dajmy z tym spokój. Naprawdę, to twoje światowe obycie, zastrane powiedzonka i cytaty z książek działają mi strasznie na nerwy. To – sięgnęła do kieszeni spodni – jest jedyna pomoc, jakiej potrzebuję, więc daruj sobie i nie chrzań.

Lea spostrzegła podpisany przez Mike'a czek na pięć tysięcy euro. Margrethe nie miała skrupułów, w przeciwieństwie do swego brata,

który poprzedniego wieczoru porwał swój czek na strzępy.

Margrethe pieczołowicie schowała karteczkę z powrotem do kieszeni.

– Niczego nie zrozumiałaś, Leo. Niczego! I gdybyście nie byli z Pierre'em parą, już dawno dałabym ci w twarz. Pierre to wciąż jakby przyjaciel, ale ty... Nigdy nie byłaś moją przyjaciółką... Co, jesteś w szoku? Może rumianku na uspokojenie? Mam też imbirowe ciasteczka... Wynoś się! No, zjeżdżaj!

– Margrethe...

– Żadna Margrethe. Wynoś się z mojej kuchni, pókim dobra. Nie chcę cię więcej widzieć.

Margrethe zdołała utrzymać nerwy na wodzy do chwili, gdy Lea wyszła z jej domu. Potem na kilka sekund zapadła absolutna cisza, niezakłócona nawet tykaniem zegara, który od kilku dni stał w miejscu. Zapach wody z płynem do zmywania wwiercał się w nos wraz ze znajomą, znienawidzoną stęchlizną starego domu.

– Ach, Julianie – szepnęła głosem pełnym żalu, który skrywała i przed światem, i przed samą sobą.

Julian. Dawny przyjaciel był bliżej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Tak jakby naprawdę wrócił.

A przecież był martwy. Martwy. Martwy!

Zamaszystym ruchem pchnęła naczynia, które z hukiem roztrzaskały się na podłodze.



Wdrodze do Wismaru, podobnie jak poprzedniego wieczoru, ogarnęły mnie mdłości. Zaczęły się w żołądku i powoli sunęły w górę, paląc niczym mocna wódka.

Zatrzymałam się i zwymiotowałam.

Kłótnia z Margrethe dała mi mocno popalić. Jeszcze nikt ze mną w ten sposób nie rozmawiał. Ta otwarta wrogość była dla mnie czymś niezrozumiałym i napawała mnie lękiem. A co najgorsze, Margrethe mogła mieć rację – nawet jeśli nie we wszystkim i nawet jeśli nie powinna była tego mówić w taki sposób. Na moje kolorowe życie

spadła szara codzienność. Do tej pory nie znałam tego uczucia, bo każde zlecenie, każdy projekt, każdy dzień był dla mnie inny. To był wielki dar od losu. Dar, który mógł wzbudzać zazdrość.

Margrethe myliła się, sądząc, że ludzie są szczęśliwi, kiedy tylko spełnią się ich życzenia. Tyle że nie zdawała sobie z tego sprawy, gdyż żadne z jej życzeń się nie spełniło. Od lat wpatrywała się w zatrzaśnięte drzwi, za którymi – jak sądziła – kryło się lepsze życie. Nie wiedziała, że to mit, bo lepsze życie zawsze jest po tej stronie drzwi.

Mimo wszystko do tej pory moje życie układało się dużo lepiej niż życie Margrethe. Widziałam kawał świata, spotkałam wielu ciekawych ludzi, o nic tak naprawdę nie musiałam walczyć. Właściwie wszystko samo wpadało mi w ręce – może dlatego, że wychodziłam ludziom i życiu naprzeciw, z uśmiechem i optymizmem. W takim życiu kryje się jednak niebezpieczeństwo, że człowiek w pewnym momencie obrośnie w piórka i zacznie patrzeć z góry na tych, którym się nie udało.

Czy byłam takim człowiekiem? Obawiałam się, że niestety tak. Z pewnością przyczyniły się do tego geny mojej matki, której ojciec był drezdeńskim rzeźbiarzem, pogodne usposobienie mojego ojca oraz pieniądze i kontakty Carlosa.

Zmienił mnie dopiero wypadek i wielomiesięczna golgota, która nastąpiła potem. Spojrzałam w niebo, na którym jaskółki zebrały się przed dalekim lotem na południe, tworząc ruchome hieroglify na lekko rozmytym, wczesnojesiennym błękitcie. Kiedy kilka miesięcy temu przyleciały na wyspę, Sabina jeszcze żyła. Podobnie jak, w pewnym sensie, Julian.

Agresja Margrethe dotknęła mnie tak bardzo, że miałam ochotę wyplakać się w czyjeś ramię. Oczywiście pierwszy przyszedł mi na myśl Pierre, któremu co prawda od ubiegłego wieczoru schodziłam z drogi, ale za którym nadal tęskniłam. Najpierw jednak musiałam załatwić w Wismarze dwie sprawy niedające mi spokoju.

Personel tamtejszego szpitala wciąż mnie doskonale pamiętał. To, że przeżyłam wypadek, uważano tu za mały cud, ale również

rezultat właściwej opieki. Z całego serca zgadzałam się z tą opinią, serdecznie ściskając dłonie wszystkich lekarek i lekarzy, pielęgniarzy i pielęgniarek. Kiedy jednak poprosiłam o wgląd w swoje akta, pracownicy zawahali się i postanowili skonsultować się w tej sprawie z dyrektorem do spraw medycznych. Ten osobiście wręczył mi dokumenty, lecz w spojrzeniu, jakim mnie przy tej okazji obdarzył, kryło się pytanie: „Naprawdę chce pani to wiedzieć?”.

Nie chciałam. Musiałam. Sama jeszcze nie wiedziałam, czego właściwie szukam. Czegoś, co wyjaśniłoby przyczyny wypadku albo przynajmniej przybliżyłoby mnie do prawdy. Wizyta u Edith niewiele mi dała. Matka Margrethe najwyraźniej coś wiedziała albo przynajmniej czegoś się domyślała, a z drugiej strony nie miała o niczym pojęcia. Świadczyła o tym jej reakcja na wieść o odnalezieniu ciała Juliana. Kilka tygodni temu, podczas mojej pierwszej wizyty, w obecności Margrethe celowo sprawiała wrażenie nie do końca świadomej, a potem przy pierwszej okazji próbowała mnie ostrzec. To, że również dzisiaj nie powiedziała nic konkretnego, mogło mieć dwojaką przyczynę. Po pierwsze mogła się czegoś bać – tylko czego? Osoba, która błaga, by ją udusić jej własną poduszką, nie może się obawiać o swoje życie. Bardziej prawdopodobne wydawało się zatem drugie wyjaśnienie: próbowała kogoś chronić.

Zdjęcia z miejsca wypadku były potworne i strasznie mną wstrząsnęły. Dopiero widząc je, zrozumiałam, że naprawdę przeżyłam cudem. Nie do wiary, że z tego krwawego strzępu mógł się odrodzić człowiek, przynajmniej fizycznie. Również lista odniesionych przeze mnie ran robiła piorunujące wrażenie. Wyjątkowo uważnie przeczytałam raport ratowników medycznych, którzy dwadzieścia minut po wypadku przybyli na miejsce z jednostką straży pożarnej. Zapisano w nim, że pierwszej pomocy udzieliła osoba, która wezwała pogotowie: doktor Pierre Feldt.

Do tej pory w ogóle nie zastanawiałam się nad tym, kto zauważył rozbity samochód i wezwał pomoc. Myślałam, że zrobił to ktoś, kto przypadkiem tamtędy przejeżdżał.

Pierre powiedział mi, że wiozł do szpitala Jacqueline, która doznała szoku anafilaktycznego, a Sabina i ja pojechałyśmy za nimi.

Spytałam dyrektora, czy Pierre miał tamtego dnia dyżur, lecz okazało się, że nie. Jeśli więc nie zadzwonił do niego nikt ze służb ratunkowych, a on sam jechał spory kawałek przed nami, to w jaki sposób dowiedział się o wypadku? I jak to się stało, że znalazł się na miejscu jako pierwszy?

– Czy zna pan Jacqueline Balthus? A raczej Jacqueline Nickel? – spytałam.

– Och, oczywiście. Była moją pacjentką – powiedział lekarz, a coś w jego twarzy zdradziło mi, że niezbyt miło wspomina tamto spotkanie.

– Wiem, że obowiązuje pana tajemnica lekarska, ale... Wiem, że Jacqueline ma alergię na orzeszki ziemne. Czy tej nocy, kiedy miałam wypadek, Jacqueline również trafiła do szpitala?

– Nie, musiałbym o tym wiedzieć – odrzekł z namysłem lekarz, po czym postukał w klawiaturę swojego laptopa i potwierdził: – Nie, z całą pewnością tamtej nocy nie trafiła do naszego szpitala.

Ostatniej nocy zakiełkowała we mnie nieufność wobec dawnych przyjaciół. Jej źródłem były przestroga Edith, zamach na życie Jacqueline oraz kilka półprawd i nieścistości. Jednak to, że Pierre mnie okłamał w sprawie wypadku, nie było tylko kolejnym drobiazgiem. To kłamstwo zabolowało mnie mocniej niż niespodziewana i jawna wrogość Margrethe. W jednej chwili zostałam sama, bez przyjaciół. Co gorsza, czułam, że grozi mi niebezpieczeństwo ze strony ludzi, z którymi jeszcze wczoraj jadłam i piłam, bawiłam się i tańczyłam, a nawet spałam pod jednym dachem. Mój świat, który od kilku tygodni ograniczał się do Kaltenhusen i garstki jego mieszkańców, zawalił się.

W gruncie rzeczy wiedziałam niewiele więcej niż przed wizytą w szpitalu. Nie dowiedziałam się niczego ani na temat wypadku, ani poprzedzających go godzin. Za to wiedziałam, że od tej pory jestem zdana wyłącznie na siebie. A to z kolei sprawiało, że nie mogłam odpuścić. Wiedziałam, że teraz już nie zadowolę się połowicznymi odpowiedziami.

Kilka tygodni wcześniej poprosiłam Pierre'a, żeby dowiedział się, gdzie mieszka ojciec Juliana. To, że wciąż nie udzielił mi informacji,

licząc zapewne, że zapomnę o swojej prośbie, doskonale wpisywało się w wydarzenia ostatnich godzin. Niewiele myśląc, zadzwoniłam do Fridy Scheunenwirth, kierowniczkę stacji benzynowej na Poel i długoletniej przyjaciółki Morgenrothów, i szybko zdobyłam potrzebny mi adres.

Okazało się, że Dom Opieki „Kotwiczowisko” leży zaledwie kilka przecznic od kliniki, toteż natychmiast ruszyłam pod wskazany adres. Kiedy weszłam do środka i zapytałam o Hansa Morgenrotha, recepcjonistka wyciągnęła do mnie dłoń na powitanie i rzekła ze smutkiem:

- Jest pani krewną pana Morgenrotha?
- Nie, raczej bliską znajomą.
- Mimo to proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Mniej więcej godzinę przed moim przyjazdem, zaraz po tym, jak policja poinformowała go o śmierci syna, Hans Morgenroth zasnął i już się nie obudził. Według relacji jego pielęgniarza, Torbena Schleichera, policjanci nie byli pewni, czy pan Morgenroth zrozumiał, co do niego mówią. Najwyraźniej zrozumiał. Jego śmierć zniweczyła jedną z i tak nielicznych możliwości dowiedzenia się czegoś na temat wydarzeń sprzed czterech miesięcy. I sprzed dwudziestu trzech lat. Z drugiej jednak strony poczułam ulgę, że Hans Morgenroth zmarł spokojnie i bezboleśnie, poznaawszy prawdę o smutnym losie swego syna. Życie, w którym już nic mu nie pozostało, byłoby dla niego tylko pasmem niepotrzebnego cierpienia.

Podczas rozmowy ze mną Torben Schleicher wyglądał na dziwnie rozkojarzonego. Zamieniliśmy zaledwie kilka zdań, lecz kiedy chciałam się już pożegnać, pielęgniarz niespodziewanie poprosił:

- Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać w jakimś spokojnym miejscu? Co pani powie na filiżankę kawy?
- Oczywiście, o co chodzi?
- O pani siostrę.

Usiedliśmy w położonej nad kanałem kawiarni, nieopodal „Kotwiczowiska”. O tej porze w lokalu było sporo gości. Ponieważ mój żołądek wciąż nie doszedł do siebie, zamówiłam herbatę ziołową, a Torben cappuccino. Pielęgniarz był tak przygnębiony, jakby stracił

kogoś bardzo bliskiego.

– Od dawna znał pan pana Morgenrotha? – spytałam.

– Cztery lata. Odkąd zacząłem tu pracę, byłem jego opiekunem. – Torben zamilkł na chwilę. – Opiekunem. To brzmi tak oficjalnie. Kochałem go bardziej niż własnych dziadków.

– Tak, to widać. Jak długo był w „Kotwiczowisku”?

– Prawie dziesięć lat.

– To ładny dom, jasny i czysty. Zadbany.

Uśmiechnęłam się lekko, by podnieść nieco Torbena na duchu, lecz on nie zareagował. Prawdę mówiąc, dopiero w tym momencie zastanowiłam się, o czym właściwie chce ze mną rozmawiać. W ciągu ostatniej doby, od momentu, gdy pojechałam z Pierre'em na wystawę, zbyt wiele się wydarzyło i wielkie znaki zapytania w mej duszy nie pozostawiały miejsca na mniejsze.

Milczeliśmy, czekając, aż kelner postawi przed nami filiżanki. Torben zaczął się bawić łyżeczką, a potem nagle wypalił:

– To moja wina.

– Wina? Nie rozumiem.

– To wszystko przeze mnie.

Czekałam na dalsze wyjaśnienia, a kiedy się nie doczekałam, spytałam:

– Wszystko? Nawet kiepskie wyniki w krajowym teście edukacyjnym? Brak wykwalifikowanych robotników i trzęsienie ziemi w Japonii?

– To, że stało się to, co się stało. Gdybym nie był tak głupi, pani siostra by żyła, a pani nie musiałaby tyle przecierpieć.

Gwałtownie odsunął od siebie filiżankę, tak że zawartość chlupnęła na spodek. Postanowiłam zachować dla siebie ironiczne komentarze i dałam Torbenowi czas, którego najwyraźniej potrzebował.

Pół minuty później zaczął od początku. Smutnym, łamiącym się głosem opowiedział mi o tym, jak podstępem zwabił Sabinę na Poel, o jej spotkaniu z Hansem Morgenrothem i śledztwie, które wszczęła w sprawie zniknięcia Juliana.

– Wiem, co pani za chwilę powie: że to nie powód, bym czuł się winny, i że pani siostra z własnej woli postanowiła zaangażować się

w tę sprawę.

– Właśnie. Jeśli dobrze zrozumiałam, uważa pan, że nasz wypadek miał bezpośredni związek z prowadzonym przez Sabinę śledztwem.

– Tak sędzę.

– Skąd taki wniosek? Czy po tym pierwszym spotkaniu widział się pan jeszcze raz z moją siostrą?

– Nie. I właśnie w tym problem! – wykrzyknął Torben, wyraźnie podenerwowany. – Powiedziała mi, że mam się trzymać z daleka, ale ja jej nie posłuchałem. Zadzwoiłem do pani.

– Do mnie?

Torben zadał sobie mnóstwo trudu, zapłacił co najmniej pięćdziesiąt euro za rozmowy telefoniczne i wreszcie z pomocą mówiącej po hiszpańsku znajomej zdobył numer do Carlosa.

– Pani były mąż w końcu dał mi pani komórkę. Rankiem...

– To był pan?! – wykrzyknęłam zdumiona.

Torben wlepił wzrok w piankę swojego cappuccino.

– Kiedy zadzwoniłem, była pani na dworze, słyszałem wiatr.

– Byłam w Normandii, w okolicach Étretat.

– Wyjaśniłem pani pokrótce, kim jestem i że dzwonię w imieniu Hansa Morgenrotha. Żeby przekazać, że chciałby się z panią spotkać w sprawie swego zaginionego syna. Powiedziałem też, że zaangażowałem w sprawę pani siostrę. Prawdę mówiąc, nie chodziło mi tylko o to, żeby spełnić życzenie pana Morgenrotha i doprowadzić do spotkania z panią. Miałem też na względzie pani siostrę. Dała mi do zrozumienia, że od dawna nie utrzymujecie kontaktów i...

– Co odpowiedziałam?

– W sumie niewiele. Podziękowała pani, a potem wspomniała coś o zleceniu, że nie ma pani czasu i niczego nie może obiecać. Po rozmowie byłem trochę rozczarowany. A potem, dwa dni później, przeczytałem w gazecie o wypadku, o śmierci pani siostry... i o pani. To na pewno nie był przypadek, że rozbiły się panie zaraz po pani przyjeździe. Ta sprawa śmierdzi na kilometr. Pani siostra musiała natrafić na jakiś ślad.

Torben rozwijał swoją teorię, zaczerpniętą najwyraźniej z tysiąca obejrzanych przez siebie filmów, w których takie pościgi zwykle

kończyły się katastrofą. A ja przypominałam sobie jeden z przebłysków. Ten, który ujrzałam kilka dni wcześniej: dwa reflektory za tylną szybą. Czy ktoś nas ścigał i w końcu zepchnął z drogi? Policja nie znalazła żadnych dowodów na udział osób trzecich.

Kiedy Torben kontynuował swój wywód, a ja wciąż szukałam odpowiedzi na to pytanie, nagle stanął mi przed oczami kolejny obraz: to samo miejsce, ja na siedzeniu obok kierowcy, Sabina za kierownicą. I znów dwa reflektory. Było to jednak inne ujęcie, bo tym razem widziałam maskę samochodu, którym jechałyśmy, a światła kierowały się prosto na nas.

– Och! – Wzdrygnęłam się.

Torben podniósł na mnie psie oczy.

– Przepraszam. Ja... nie pomyślałem... musi być pani bardzo ciężko... – Zaczął obgryzać zakrwawione paznokcie. – Kilka dni temu widziałem coś na pani temat w gazecie. Zapowiedź wystawy. Wtedy... Dopiero wtedy dowiedziałem się, że wróciła pani na Poel i... i... że cierpi pani na amnezję...

Dopiłam ziółka i pokręciłam głową.

– Nie musi pan za nic przepraszać. Za nic, rozumie pan? Czy to pan wjechał w drzewo? Nie. Znalaziono zwłoki Juliana Morgenrotha, więc jego ojciec miał rację, a pan tylko spełnił ostatnie życzenie umierającego.

Sięgnęłam po torebkę, położyłam na stoliku dziesięć euro i wstałam.

– W ostatnich latach był pan najbliższym przyjacielem pana Morgenrotha, jego jedyną radością – powiedziałam na pożegnanie. – Jest pan cichym bohaterem tej historii.

Torben wciąż siedział pochylony nad filiżanką, lecz na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, ledwie widoczny. A może tylko mi się zdawało...

– Skoro tak pani mówi... Ale jest coś jeszcze – powiedział pielęgniarz, kiedy odeszłam już kilka kroków od stolika. – Zawsze zastanawiałem się, jak to możliwe, że pana Morgenrotha stać było na mieszkanie w „Kotwiczowisku”. Prawdę mówiąc, sam się nad tym zastanawiał, bo miał bardzo niską emeryturę. Podejrzewaliśmy, że to

zasługa jego urzędowego opiekuna, jakiegoś szarego, życzliwego pracownika państwowego urzędu. Tak przynajmniej sugerował pan Morgenroth. Ale ja nie do końca dawałem mu wiarę. Niedawno ten facet był w „Kotwiczowisku” załatwiać sprawy związane ze zgonem pana Morgenrotha i kiedy na chwilę wyszedł, zajrzałem do akt. Okazało się, że ktoś bez wiedzy pana Morgenrotha przez dziesięć lat opłacał mu u nas miejsce.

Torben podał mi niewielką karteczkę.

– Proszę, tu zapisałem nazwisko.

Do tej pory wrzesień łagodnie obchodził się z wybrzeżem Bałtyku. Od mojego przyjazdu niemal wszystkie dni były słoneczne i ciepłe – nie licząc oczywiście mglistych poranków, które tak lubiłam. Jednak tego popołudnia, gdy wracałam z Wismaru na Poel, zerwał się chłodny wiatr. Kiedy dotarłam do Pałacu, niskie chmury sunęły nad płaską wyspą, a tu i ówdzie spadały zimne krople deszczu. Tak kończyło się lato, które wywróciło moje życie do góry nogami. Przeżyłam straszliwy ból i oddaliłam się od kobiety, którą byłam, nie znajdując w zamian nowej tożsamości. Straciłam siostrę, a zarazem ją odzyskałam, stanęłam oko w oko z przeszłością, zakochałam się...

Od trzech tygodni moje myśli krążyły również wokół Pierre’a, każdego dnia, każdej nocy przed zaśnięciem i każdego ranka po przebudzeniu. Wszędzie zabierałam go z sobą: na fotograficzne eskapady, do domu moich rodziców, na rozmaite spotkania. Wyobrażałam sobie, jak mogłoby wyglądać nasze wspólne życie – w jego domu na Poel, ze mną w roli pani doktorowej. Przejazdźki rowerowe na wiosnę, plażowanie latem, długie, wietrzne spacery jesienią, zimą gorący poncz z chrupiącymi laseczkami kandyzowanego cukru, seks przy trzaskającym kominku i inne romantyczne historie. Co ciekawe, wyobrażałam sobie nas tylko tutaj, na wyspie, nigdzie indziej. Aż do chwili, kiedy znaleźliśmy ciało Juliana. Wtedy zrozumiałam, że nie mogę żyć na Poel, w Kaltenhusen. Pierre jakby przeczuwał nadciągającą katastrofę, bo kilka godzin wcześniej zakomunikował mi, że jest gotów ze mną wyjechać, dokąd tylko zechcę. Powiedział, że nie wyobraża sobie naszego wspólnego życia na wyspie.

Wszystko potoczyło się tak, jak moim zdaniem powinny się toczyć historie miłosne: ani zbyt szybko, ani zbyt wolno, ani zbyt cukierkowo, ani zbyt trudno.

A teraz, w ciągu godziny moją miłość zatręło uczucie, na które nie ma miejsca w kochającym sercu: strach. Czy można bać się kogoś, kogo kochamy? I czy można kochać kogoś, kogo się boimy?

Tak, można.

Czekałam na Pierre'a przy wejściu do Pałacu, pod łukowatą bramą. Pół godziny wcześniej wysłałam mu esemesa. Wiedziałam, że przyjdzie.

– Dlaczego chciałaś się spotkać właśnie tutaj? – spytał, gdy dotarł na miejsce. Zamiast białego lekarskiego kitla miał na sobie dzinsy i cienki czarny sweter z głębokim wycięciem, w którym wyglądał po prostu rewelacyjnie. – Moglibyśmy pójść gdzieś na obiad, co ty na to? Mam jeszcze godzinę przerwy. Dla ciebie półtorej.

– Ze wszystkimi mogłabym się spotkać w miejscu publicznym – odparłam. – Z Mikiem, Margrethe, Harrym, Jacqueline... Ale z tobą musiałam zobaczyć się tutaj, rozumiesz? Ponieważ cię kocham.

– Ja też cię kocham, ale... O czym ty mówisz?

– Gdybym się z tobą spotkała przy świadkach, to by był koniec naszego związku. Bo to by oznaczało, że mój strach jest większy niż miłość do ciebie. Rozważyłam wszystkie za i przeciw – i oto jestem.

Większość ludzi uznałaby, że to głupota spotykać się z Pierre'em w ustronnym miejscu. Czy przez trzy tygodnie mydlił mi oczy? Był aż tak zręczny? Słyszy się czasem, że takie rzeczy się zdarzają – oszuści matrymonialni, którzy w ciągu trzech miesięcy potrafią oskubać trzy kobiety, każdą na trzydzieści tysięcy euro, niewierni mężowie, którzy obsypują żony na rocznicę ślubu kwiatami i biżuterią, a ledwie godzinę wcześniej zwlekli się z łóżka swej sekretarki. Jeśli myślałam się co do Pierre'a, mogłam stracić dużo więcej niż wspólną przyszłość. Mogłam stracić życie.

– Zabiłeś Juliana – powiedziałam.

Jakbym go zdzieliła obuchem w głowę. Przez kilka sekund nie odezwał się ani słowem. Unikał mojego wzroku, zgarbił się, złapał się za głowę, a kiedy podniósł oczy, lśniły w nich łzy.

– Leo – powiedział tylko, unosząc bezradnie dłoń.

– Dowiedziałam się, że płaciłeś za pobyt Hansa Morgenrotha w domu opieki. Tysiąc dziewięćset euro miesięcznie, przez dziesięć lat. Nie byliście rodziną, nie byliście nawet przyjaciółmi. W „Kotwiczowisku” nikt cię nie zna, a to oznacza, że ani razu nie odwiedziłeś pana Morgenrotha. Jeśli nie wyrzuty sumienia, to co skłoniło cię do tego, żeby wydać prawie dwieście trzydzieści tysięcy euro na kogoś, kto kiedyś był twoim sąsiadem?

Pierre wciąż milczał. Nie zaprzeczał, choć w tej chwili niczego bardziej nie pragnęłam.

– Już wtedy się we mnie kochałeś, prawda? To dlatego poszedłeś za Julianem do Pałacu? Pokłóciliście się? O co, o mnie? Ale dlaczego? Przecież się z nim rozstałam.

– Leo, ty... nie zrozumiesz.

Ruszył w moją stronę, lecz ja stałam w miejscu. Kiedy jednak wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć, przestraszyłam się i cofnęłam.

– Nie zabiłem Juliana – mówił z trudem, jakby każde słowo musiał sobie wyrwać z gardła.

Nie wiem dlaczego, ale mu uwierzyłam. A co jeszcze dziwniejsze, powiedziałam:

– Kłamiesz.

Gdybym uważała, że jest mordercą, rozsądniej byłoby udawać, że mu wierzę. Lecz całe to spotkanie było równie nierozsądne jak mój powrót na Poel, zlekceważenie rad terapeutki, miłość do dawnego kumpla...

– Jeśli mi nie wierzysz, to co tu robisz? – spytał poirytowany.

– A ty zawsze tak łatwo dajesz za wygraną? Przekonaj mnie, że niesłusznie cię oskarżyłam.

– Posłuchaj, Leo, to jest o wiele bardziej skomplikowane, niż ci się zdaje.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto nie jest w stanie pojąć skomplikowanych wywodów? Rozumiem, że wiesz coś na temat śmierci Juliana – powiedziałam.

Pierre kiwnął głową.

– Wiesz, kto go zabił?

Po chwili skinął ponownie.

– Brałeś w tym udział?

– Tak... nie... to znaczy... Mówiłem ci, że to skomplikowane.

– Jasne! Czyli jesteś w to zamieszany. Więc niewiele się różnisz od prawdziwego mordercy!

To ostatnie słowo wykrzyczałam mu prosto w twarz, po czym obróciłam się na pięcie i uciekłam w ciemny labirynt Pałacu. Nagle zatrzymałam się i odwróciłam. Pierre biegł za mną, dwa kroki z tyłu.

– Kto to zrobił?! – wykrzyknęłam. – Kogo kryjesz? Mike’a? Czy Harry’ego?

Nie odpowiedział. Nagle przebiegła mi przez głowę straszliwa myśl.

– O mój Boże! – jęknęłam, przyciskając dłoń do ust.

Połączyła nas chyba jakaś telepatyczna więź, bo chociaż nie powiedziałam ani słowa, Pierre domyślił się, że odkryłam prawdę, i potwierdził, że tym razem się nie mylę.

– Wszyscy – wymamrotałam, po czym głos odmówił mi posłuszeństwa. Chrząknęłam. – Wszyscy macie go na sumieniu!

Nie chciałam słyszeć niczego więcej. Zatkaną uszy. Kiedy Pierre dotknął mojego ramienia, strąciłam jego dłoń. Najpierw poczułam mdłości, a potem zrobiło mi się czarno przed oczami. Kucnęłam, ukryłam twarz w dłoniach i na chwilę zamarłam w bezruchu. Dopiero kiedy Pierre znów mnie dotknął, zerwałam się na równe nogi.

– Zostaw mnie! – krzyknęłam. – Zostaw mnie w spokoju, potworze! Jak mogliście? Co on wam zrobił, że go zabiliście i zakopaliście pod jakimś krzakiem?

Nie oczekiwałam odpowiedzi. Moje pytania były raczej rozpaczliwym oskarżeniem, próbą ulżenia sobie. Coraz bardziej pograżałam się w żalu i gniewie. Wpadłam w histerię. Nie dałam Pierre’owi szansy na odpowiedź.

W końcu postanowiłam uciec, dokądkolwiek. Najpierw jednak musiałam się dostać do samochodu. Aby nie przechodzić obok Pierre’a, ruszyłam przed siebie. Chciałam opuścić Pałac inną drogą, niż weszłam.

– Leo, zatrzymaj się! – usłyszałam za plecami krzyk Pierre’a. –

Leo, wysłuchaj mnie. Błagam cię, stój. Nie biegnij tam. Policja zagroziła przejście. Leo!

Faktycznie, przed wejściem na następny dziedziniec wisiała policyjna taśma. To tam znaleźliśmy ciało Juliana. Lecz taśma nie przeszkodziła mi biec dalej.

Przeszkodziło mi coś innego. Omal się nie potknęłam.

Przede mną leżały ludzkie zwłoki.

Cztery miesiące wcześniej

Zaproponowane przez Sabinę spotkanie przy grillu odbyło się u Mike'a i Jacqueline, na tarasie. Wszyscy zebrali się o „zielonej godzinie”, to jest o tej baśniowej porze, kiedy pastwiska i łąki na Poel skąpane są w niezziemskim świetle. Pobliskie morze było szaro-czarne, w dali zaś niczym duch sunęła spowita we mgle sylweta jakiegoś frachtowca. W powietrzu unosił się lekki zapach trawy.

Właściwie było zbyt chłodno, żeby siedzieć na dworze, ale wszyscy się odpowiednio ubrali, a wystawione przez Mike'a dwa promienniki gazowe dawały dość ciepła. Grill nie był, ma się rozumieć, zwyczajny, lecz został wbudowany w imponujący zewnętrzny kominek. Gospodarz nie odmówił sobie przyjemności i bez przerwy zachwalał to wspianiałe rozwiązanie architektoniczne.

Mike wyraźnie się cieszył, że stara paczka znów trzyma się razem i niemal w komplecie zebrała się na jego tarasie. Brakowało tylko Juliana. Mimo to właśnie on miał być bohaterem wieczoru, choć w tej chwili jeszcze nikt oprócz Sabiny nie zdawał sobie z tego sprawy.

Nieuważny obserwator mógłby pomyśleć, że ma do czynienia ze zwykłym spotkaniem przyjaciół, znajomych, sąsiadów. Na ruszcie wylądowały kawałki mięsa i szaszłyki warzywne, a Jacqueline gorliwie dbała o to, by każdy miał coś do picia, toteż żaden z kieliszków nawet przez chwilę nie pozostawał pusty. Rozmowy toczyły się zrazu wokół niespodziewanego przyjazdu Lei oraz ocalenia Pałacu przed zakusami złego Balthusa. Potem ktoś wygrzebał parę starych historyjek, które miały rozluźnić atmosferę. Bo ta faktycznie była napięta. Sabina szybko wyczuła, że uczestnicy spotkania niekoniecznie przyszli tu z własnej woli, lecz zostali do tego poniekąd zmuszeni.

Jacqueline, którą Sabina spotkała tego wieczoru po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat, sprawiała wrażenie mocno zdenerwowanej. Była spięta, unikała kontaktu wzrokowego, a jej śmiech brzmiał

nienaturalnie, zupełnie jakby ktoś pod stołem kopał ją w kostkę, przypominając, by nie była taka ponura. W dodatku śmiech przerywały długie chwile ciszy, gdy nieoczekiwanie milkła. Patrząc na to, jak grzebie w swoim talerzu, można by pomyśleć, że ma mdłości. Margrethe była bardziej konsekwentna. W ogóle się nie śmiała, tylko przez cały czas medytowała, mrużąc coś nad eleganckim półmiskiem Wedgwooda, na który wyłożono wędliny i sałatę. Co dwadzieścia minut dzwoniła do domu, by się upewnić, że z Edith wszystko w porządku. Mike, jako mistrz ceremonii, starał się, by wieczór przebiegał w pogodnej atmosferze, a rozmowa toczyła się bez przykrych przerw. Próbował nawet zagadnąć Harry'ego, ten jednak trzymał się uparcie Sabiny. W jego ślady poszedł poniekąd Pierre, który był całkowicie zaabsorbowany Leą. Sabina przez cały wieczór z uwagą obserwowała towarzystwo, czekając na właściwy moment, by odpalić bombę. Równocześnie oddawała się rozmyślaniom i pławiła w przyjemnych doznaniach: podziwiała piękno wieczoru, gdy ciemność powoli zapadała nad morzem i wyspą, oraz cudownie rozgwieżdżone niebo, które płynnie zlewało się z pasem światła na dalekim wybrzeżu.

Przez kilka chwil myślała o rodzicach i o tym, jak siadywali wieczorami w ogrodzie i patrzyli na gwiazdy. Ich szepty wpadały przez otwarte okno do pokoju Sabiny, która marzyła o tym, że kiedyś również będzie tak spędzać wieczory ze swoim mężem.

Spojrzała na Leę, lecz ona tego nie spostrzegła – albo nie chciała spostrzec. Sabina z radością wróciła myślą do ostatnich godzin, które spędziły razem i które pierwszy raz od dawna pozwoliły jej poczuć, że naprawdę ma siostrę. Tego wieczoru czuła się dość silna, by przezwyciężyć wszystkie bolesne wspomnienia. I naprawdę tego chciała.

Kiedy węgle w grillu zaczęły się powoli wypalać, a Margrethe szykować do wyjścia, Sabina uznała, że spotkanie powoli zbliża się ku końcowi i nadszedł właściwy moment, by wykonać następny krok.

– Jak wiecie, działka z ruinami od dziś znów należy do mnie... a raczej do Lei i do mnie. Dlatego możemy z nią zrobić, co tylko chcemy. Ja zamierzam ją dokładnie przekopać, i to już jutro rano –

obwieściła.

Przez kilka sekund nikt się nie odezwał.

– Przekopać? – spytała w końcu Lea. – Ale po co? Przecież tam jest tak pięknie.

– Och, nie zamierzam tam zakładać ogrodu. Muszę tylko coś znaleźć.

– Niby co? Myślisz, że piraci ukryli tam jakieś skarby?

– Nie, Leo. Nie uwierzysz, ale sądzę, że jest wśród nas ktoś, kto wie, czego szukam.

Sabina spojrzała po kolei w twarze zgromadzonych. Jacqueline była lekko zdenerwowana, Harry skubał nerwowo dolną wargę, a Mike, Pierre i Margrethe zmarszczyli jedynie czoła, jakby ktoś im opowiedział zagadkę.

– Wiecie, co jest najdziwniejsze? – spytała Sabina. – To, że dzisiejszego wieczoru ani razu nie padło imię Juliana. A przecież on poniekąd siedział z nami przy tym stole.

– Nie... nie rozumiem – wyjąkała Lea. – Julian, Pałac... O czym ty mówisz?

– Też bym się chętnie dowiedział! – zawołał ze złością Mike.

Postąpił krok w stronę Sabiny, lecz nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia. Co więcej – Sabina zdecydowanie wyszła Mike'owi naprzeciw. Przez chwilę stali twarzą w twarz niczym bokserzy przed rozpoczęciem walki.

A potem stało się coś, co odwróciło ich uwagę: Jacqueline upadła na ziemię. Jej ciało dygotało, oczy były nienaturalnie szeroko otwarte, a usta bezgłośnie formowały słowa.

Lea, która stała obok Jacqueline, dotknęła jej ramienia.

– Jacqueline! Co ci jest?

Usta Jacqueline w końcu zdołały wyrzucić strzępy słów:

– Julian... Nie... Mój Boże... Mewy...

Jej ciałem targały konwulsje, jakby ją rażono prądem. Zaczęła się gwałtownie rzucać, lecz Mike ją unieruchomił.

– Co z tobą!? Weź się w garść! Nie rób scen!

Jacqueline krzyczała, jakby ktoś wbijał jej w ciało igły, a potem wybuchnęła gorzkim płaczem.

Mike spojrział zniecierpliwiony na Pierre'a.

– Jesteś lekarzem, zrób coś!

Pierre kiwnął głową.

– Potrzebuje czegoś na uspokojenie.

– To, co bierze, na pewno jej nie pomoże – rzucił Mike. – A to przecież nie byle ziółka!

– Rozumiem – odparł Pierre. – Niestety ostatni zastrzyk dałem Edith, w domu nic nie mam. Zabiorę Jacqueline do gabinetu. Ktoś musi mi pomóc zapakować ją do samochodu.

Mike zlecił to zadanie Margrethe, a kiedy Jacqueline zniknęła, wsparta z obu stron na ramionach Pierre'a i siostry Harry'ego, zaatakował Sabinę:

– I co, jesteś zadowolona? Twoje bezpodstawne oskarżenia doprowadziły ją do załamania nerwowego.

– Przykro mi z powodu Jacqueline, ale... Przecież niczego takiego nie powiedziałam. Wspomniałam tylko o Julianie i o tym, że chcę przekopać ruiny. Reszty dokonała fantazja Jacqueline.

– Jediną osobą, która tu fantazjuje, jesteś ty.

– Nikogo o nic nie oskarżyłam, a na swojej działce mogę robić, co mi się żywnie podoba. Ach, byłabym zapomniała, spędzę tę noc w pobliżu ruin. Chcę mieć pewność, że nikt przede mną nie będzie tam kopał. Ostrzegam, mam przy sobie broń. A teraz dobranoc, śpijcie dobrze.

Po tych słowach Sabina zeszła do ogrodu i ruszyła ku bramie.

– Oszalałaś! – krzyknął Mike, lecz Sabina nie zareagowała.

Po kilku krokach odwróciła się i spojrzała pytająco na Leę:

– Idziesz?

Lea przez chwilę wahała się, co robić. Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Oświadczenie Sabiny, atak Jacqueline i wybuch Mike'a sprawiły, że poczuła na plecach ciarki.

Wciąż oszołomiona tym, co się stało, kiwnęła głową.

– Oczywiście.

Sabina odetchnęła z ulgą. Na szczęście nie straciła dopiero co odzyskanej siostry.

Wrzesień 2013 roku

Może zabrzmiał to dziwnie, a nawet bezdusznie, ale to prawda: kolejne zwłoki pod moimi stopami nie wywołały we mnie szoku. Ba – prawie w ogóle mnie nie wzruszyły. Poważny wypadek, miesiące bólu i psychicznej udręki, śmierć Sabiny, przestrogi Edith, wspomnienia, nienawiść Margrethe, odnalezienie zwłok Juliana i w końcu to, czego się niedawno dowiedziałam, a co właśnie się potwierdziło... no i zawiedziona miłość... Wszystko to tak potwornie zszargało mi nerwy i wydrążyło emocjonalnie, że nie było już miejsca dla mężczyzny, który leżał przede mną na ziemi. Było mi obojętne, czy żyje. Nie miałam dla niego krztyny współczucia, może dlatego, że to był Harry, jeden z morderców Juliana.

Pierre precyzyjnie się obok mnie i zbadał ciało. Przez kilka sekund wpatrywałam się w twarz Harry'ego. W końcu zauważyłam leżącą obok niego pustą strzykawkę.

Pierre spojrzał na mnie.

– Nie żyje.

– A więc to tak – rzekłam lodowatym tonem i nagle przypomniałam sobie okruchy orzeszków w herbacie Jacqueline. – Teraz pozabijacie się nawzajem? Co było w strzykawce? Trucizna?

– Nie mam pojęcia.

– Kłamiesz! – krzyknęłam, po czym odwróciłam się i pobiegłam przed siebie ile sił w nogach.

Zaparkowałam jakieś dwieście metrów od ruin. Pobiegłam na skróty. Wyskoczyłam przez łukowate okno, przecięłam zagajnik i przeskoczyłam rów rozdzielający dwie łąki. Wydawało mi się, że biegnę naprawdę szybko, ale kiedy dotarłam do samochodu, Pierre był tuż za mną.

Nerwowo przetrząsnęłam kieszenie spodni i kurtki w poszukiwaniu kluczyków. Na próżno. Dzięki temu Pierre miał czas mnie zagadnąć.

- Zaczekaj! Naprawdę nie wiem, co się stało Harry’emu.
- Nie chciałeś, żebym tam poszła, próbowałaś mnie zatrzymać!
- Tylko dlatego, że policja zamknęła teren.

Parsknęłam szyderczo.

– Jasne! A strzykawka? Bez przerwy takich używasz. Kto będzie następny, co? Może ja?

– Nie pleć bzdur – fuknął na mnie. – Gdybym chciał cię zabić, dawno bym to zrobił, nie sądzisz? Nie rozumiem, o czym w ogóle mówimy. Naprawdę uważasz, że mógłbym zabić człowieka?

– A Julian? A Harry?

W końcu znalazłam kluczyki w wewnętrznej kieszeni kurtki. Otworzyłam samochód i usiadłam za kierownicą.

– Dokąd chcesz jechać?

– Jak to dokąd?! Na policję! Znalazłam zwłoki i zdemaskowałam bandę zabójców.

Gwałtownie pociągnęłam drzwi i zamknęłam je od środka. To ostatnie nie było konieczne, gdyż Pierre nie próbował mnie powstrzymać. Pojechał za mną. Jego auto stało kilka metrów dalej. Wyjechał na szosę zaraz po mnie.

Przyspieszyłam. Za bardzo. Równie szybko przelatowały mi przez głowę podejrzenia. Zerkając w lusterko, zastanawiałam się, czy Pierre już kiedyś mnie nie ścigał. Tamtej feralnej majowej nocy, cztery miesiące temu. Nie potrafiłam jednak zebrać myśli. Zbyt wiele osób zginęło: Julian, potem Sabina, a teraz Harry. Kto jechał za samochodem Sabiny? I kto siedział za kierownicą drugiego auta, tego, które jechało wprost na nas? W ciągu ostatnich trzech tygodni Pierre stał się dla mnie tym, czym dla rozbitka jest deska. Czułam się kompletnie zagubiona, a jego miłość była pierwszym pewnikiem, na którym mogłam się oprzeć.

Znów przyspieszyłam. Prędkościomierz wskazywał sto dziesięć kilometrów na godzinę. Droga była wąska, ale w ogóle o tym nie myślałam. Zwykle nie jeżdżę tak szybko, agresywna jazda była raczej domeną Sabiny. Moja siostra miała nerwy ze stali. Musiała, w końcu pracowała w policji.

Z naprzeciwka wyłonił się traktor. W ostatniej chwili zdołałam go

wyminąć.

Pierre'a straciłam z oczu. Może mój strach był kompletnie nieuzasadniony? A miłość? Może też była złudzeniem?

Czyżbym aż tak się myliła w stosunku do niego? Musiał mieć potężne wyrzuty sumienia. Dwieście tysięcy euro to mnóstwo pieniędzy.

Nie, Pierre nie był złym człowiekiem. Dziwne, ale wciąż był mi szalenie bliski. Wciąż mu ufałam.

A przecież właśnie przed nim uciekałam.

W tym momencie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że oszalałam. Że nie wiem, co robię, ani tym bardziej dlaczego. Mój mózg pracował na pełnych obrotach, analizując sytuację, lecz nie był w stanie dojść do żadnej konkluzji.

Czerwone światło na obrzeżach Wismaru sprawiło, że samochód Pierre'a znów pojawił się za moimi plecami. Kiedy się obejrzałam, nasze spojrzenia się spotkały, a ja znów pomyślałam: „Kocham cię”. Do diabła, zakochałam się w człowieku wpętanym w zabójstwo!

Przed komisariatem równocześnie wysiedliśmy z samochodów i ramię w ramię stanęliśmy przed portierem. Mimo to kompletnie ignorowałam Pierre'a.

– Chciałabym rozmawiać z nadkomisarzem Ammannem – oświadczyłam.

Mundurowy skierował mnie do innego oficera, ponieważ była niedziela i Ammann miał wolne. Policjant otworzył nam drzwi i poprosił, byśmy usiedli. Najwyraźniej sądził, że przyjechaliśmy z Pierre'em razem i chcemy rozmawiać w tej samej sprawie. Nie wyprowadziłam go z błędu, choć w dalszym ciągu nie patrzyłam na Pierre'a.

Na korytarzu stało około dziesięciu krzeseł, z czego dwa zajmowała para młodych ludzi, których zaraz wezwano do gabinetu. Usiedliśmy.

Kiedy tylko zostaliśmy sami, Pierre odezwał się cichym, podenerwowanym głosem:

– W porządku, powiem ci, co się stało.

31 sierpnia 1990 roku

W ogrodzie Petersenów zakochane świeższe grały swoją serenadę. Nieruchome powietrze było ciężkie od zapachu lata – róż i malw, lawendy i słoneczników, pękających pomidorów. Margrethe, Harry, Mike, Jacqueline i Pierre siedzieli na ogrodowych krzesłkach pośrodku trawnika. Nachyleni ku sobie cicho coś mamrotali, szeptali i przeklinali.

– Narkotyki? – spytała Margrethe, wpatrując się w Harry’ego. – Ty i Mike? Zwariowałeś? Przepraszam, ostatnie pytanie mogłam sobie darować.

– A-ale po-omyśl. Ta-aka kasa – odparł Harry, wręczając siostrze dwanaście pięćdziesięciomarkowych banknotów. Margrethe z niedowierzaniem przeliczyła pieniądze.

– Skąd macie tyle forsy? – spytała Pierre’a i Jacqueline. Mówiła odrobinę za głośno, więc Mike przywołał ją do porządku:

– Ciszej! Jeśli twoja matka usłyszy...

– Mama siedzi przed telewizorem i ogląda kryminał. No więc? Skąd macie tyle pieniędzy?

Jacqueline wzruszyła ramionami.

– Rodzice przepisali na Pierre’a konto z forszą na studia, a on mi pożyczył. Boże, nie patrz tak na mnie, przecież to nic strasznego, prawda? – Spojrzała pytająco po twarzach przyjaciół.

Nikt jej nie odpowiedział.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam – odezwała się w końcu Margrethe. – Wy dwaj – spojrzała na Mike’a i Harry’ego – zaopatrujecie tych dwoje – wskazała Pierre’a i Jacqueline – w heroinę.

– Nie tylko – odparł Mike. – Mamy około stu klientów, na wyspie, w Wismarze i okolicach. Towar kupujemy co dwa tygodnie w Lubece i przewozimy moim motorowerem przez

granicę. W tej chwili nikt tam niczego nie kontroluje. Wolałbym jednak przejść do właściwego tematu. Julian chce iść na policję i musimy, do cholery, coś z tym zrobić.

– No cóż – Margrethe skrzyżowała muskularne ramiona na szerokiej piersi. – To nie jest mój problem.

– Ale będzie, kiedy twój brat trafi za kratki. Podobno chciałaś wyjechać do szkoły? Kiedy Harry przestanie przynosić kasę, wasza matka nie da rady opłacić twojego wyjazdu do Berlina.

– Idiota – syknęła Margrethe, rzucając bratu wściekłe spojrzenie.

– Ktoś z nas musi przemówić Julianowi do rozsądku – powiedziała Jacqueline. – Trzeba z nim porozmawiać, przekonać go. To nie powinno być takie trudne.

– Mnie na pewno nie posłucha – rzuciła Margrethe. – Właśnie się z nim pokłóciłam. – Oczywiście przemilczała powody kłótni. Nie musiała się obnosić ze swoim upokorzeniem. Dość, że wciąż pamiętała, jak z bladym uśmiechem pokręcił głową, kiedy mu zaproponowała, że wyjedzie z nim zamiast Lei.

– Lea ma na niego największy wpływ. Niech ona z nim porozmawia – zaproponował Pierre.

Mike pokręcił głową.

– Od śmierci rodziców zamknęła się w domu i nic jej już nie obchodzi. Siedzi tylko w swoim pokoju i płacze. Zresztą zerwała z Julianem. Nie, nie wydaje mi się, żeby mogła nam pomóc.

– A je-eśli Ju-ulian nas wy-yda, to co z tego? – odezwał się Harry. – Scho-owamy towar i się wszy-ystkiego wy-przemy.

– Głupek – warknęła Margrethe. – Najpierw zrobią Jacqueline i Pierre’owi test na obecność narkotyków, a potem poskładają wszystko do kupy i zanim się obejrzysz, trafisz za kratki. Ciebie i Mike’a zamkną, a Pierre może zapomnieć o medycynie. Jacqueline dostanie od ojca takie

lanie, że popamięta do końca życia. Tylko mój inteligentny braciszek nic nie rozumie i pyta: „Co z tego?”.

Przez chwilę jeszcze dyskutowali. Słońce zniżyło się nad horyzontem, wietrzyk znad morza przyniósł ochłodę, nadciągnęło kilka czerwonych chmur. Ktoś zaproponował, żeby wspólnie porozmawiać z Julianem, ale uznali, że to nic nie da. Julian był niepoprawnym idealistą i zawsze trzymał się zasad. To, czym zajmowali się Harry i Mike, było dla niego potworną zbrodnią, gorszą od zdrady przyjaciół. Pewnie nawet sądził, że wyświadcza przysługę Jacqueline i Pierre'owi. Że kiedy się wyda, że biorą narkotyki, będą mieli szansę wyrwać się z nałogu. Minuty upływały na jałowej dyskusji, aż w końcu Pierre kątem oka spostrzegł jakiś ruch. W otwartym oknie kuchni pojawiła się mała główka. Pierre, Mike, Harry, Margrethe i Jacqueline kolejno zwrócili się w stronę Edith, która wychylała się na zewnątrz, oparta łokciami o kuchenny parapet.

– Ja się tym zajmę – powiedziała.

I tak też zrobiła. Wkrótce zobaczyli, jak Julian wychodzi z domu i zmierza w kierunku Pałacu. Edith ruszyła za nim. Z początku chciała z nim porozmawiać, lecz przemierzając łąki, pośród zapadających ciemności, zmieniła zdanie. A jeśli go nie przekona? Jeśli Julian odwróci się i pójdzie na policję? Taka okazja się nie powtórzy! Jutro będzie za późno.

Kiedy dotarła do Pałacu, oderwała kawałek cegły. Zrobiła to dla swojego syna, tylko dla niego. Kochała Harry'ego i wiedziała, że bez niej nie da sobie w życiu rady. Biedak z niczym sobie nie radził, był kompletnym niezdarcą. Jeśli trafi do więzienia, nie podniesie się do końca życia.

Nie!

Wzięła zamach i ze wszystkich sił drzemiących w drobnym, kruchym ciele uderzyła Juliana w głowę. Cegła pękła, Julian osunął się na ziemię.

Na minutę zamarła. Przed jej oczami przetoczyły się setki obrazów: mały Julian na jej kolanach, Julian zajadający się plackiem z kruszonką, Julian wręczający jej bukiet polnych kwiatów, Julian śpiewający dla niej piosenkę...

Schyliła się, sprawdziła puls i odgarnęła jasne loki z chłopięcej twarzy Juliana.

– Edith? – wypowiedziałam to imię tak przeraźliwym tonem, jakbym krzyczała. W mojej głowie rozbrzmiewało niekończące się echo: Edith, Edith, Edith... Nagle odniosłam wrażenie, jakbym naprawdę usłyszała jej imię i naprawdę ją zobaczyła, taką jak kiedyś. Stała przy płocie, machała do mnie ręką, dawała mi słodczyce, wypytywała o rodziców, lekcję pianina, stopnie. Aromat pieczonego ciasta dobywał się z kuchennego okna i mieszał z zapachem morza. Słyszałam jej śmiech, trochę chropawy, ale wyjątkowo serdeczny, czułam uścisk jej spracowanej dłoni. Jej szare oczy patrzyły łagodnie na mnie, a potem na stojącego obok mnie chłopca, Juliana. Na pożegnanie zaśmiała się jeszcze po raz ostatni. Potem ten fałszywy śmiech umilkł, na zawsze.

Nikommu z nas nie przyszłoby nawet do głowy, że w tej kobiecie może się czaić zło, że tak niewiele potrzeba, żeby rzuciła się niczym osa i zabiła.

Wiedziałam, że już nic nigdy nie będzie takie jak kiedyś. Moje wspomnienia z dzieciństwa nierozdzielnie łączyły się z Edith. Edith, która piekła, gotowała, śmiała się, zawsze tryskała dobrym humorem. Do tych pięknych wspomnień w ostatnich tygodniach dołączyły inne uczucia: żal, bezradność, współczucie... A teraz zakradła się między nie mroczna nienawiść do kobiety, która tamtego pięknego letniego wieczoru z zimną krwią zdusiła młode życie.

Czy da się rozdzielić te obrazy? Nie, one już na zawsze zostaną z sobą splecione.

Pierre odczuwał chyba to samo, z tą różnicą, że on musiał żyć z tymi sprzecznymi uczuciami od ponad dwudziestu lat.

– Na studiach rzuciłem narkotyki, sam, tak po prostu. Ale to, co

zrobiła nam Edith, było równie niszczące jak heroina. Ostatnio poprosiła mnie, żebym skrócił jej męki. Dla Edith, którą pamiętam z dzieciństwa, zrobiłbym to bez wahania. Ale tamta kobieta umarła w sierpniu dziewięćdziesiątego roku. To, że nie chcę jej podarować spokojnej śmierci, to moja zemsta za to, co zrobiła.

Ukryłam twarz w dłoniach i zaszlochałam. Po moich policzkach spływały gorące łzy. Potem podniosłam głowę i powiedziałam:

– Chcę usłyszeć całą historię, do końca.

Pierre smutno skinął głową, nabrał powietrza i zaczął opowiadać.

Czekali niecierpliwie w kuchni Petersenów. Kiedy Edith wróciła, była już późna noc. Swoim zwyczajem nie owijała w bawełnę. Oczywiście nie od razu jej uwierzyli. Myśleli, że to ponury żart. Dopiero kiedy zaczęła im wydawać kolejne dyspozycje, zrozumieli, że naprawdę zamordowała Juliana. Była przekonana, że wszyscy staną za nią murem i zrobią to, co im każe. I nie myliła się – zrobili to, głównie dlatego, że wzięła ich z zaskoczenia. Zanim którekolwiek z nich zdołało zebrać myśli, Edith wydała już pierwsze polecenia. Margrethe i Harry oszołomieni wykonali rozkazy matki. W chwili, gdy dwoje z nich zaczęło działać, pozostali nie mogli się już wyłamać. Zresztą, co mogli zrobić? Donieść na Edith? Odebrać Harry’emu i Margrethe matkę? Zdradzić kobietę, która zawsze okazywała im tyle serca? Poza tym sami też mieli sporo do stracenia. Gdyby morderstwo wyszło na jaw, policja z pewnością odkryłaby też jego motyw. A handel narkotykami i zażywanie heroiny to nie przelewki. Żadne z nich nie byłoby w stanie zabić Juliana, lecz on już nie żył i nic na to nie mogli poradzić. Łatwiej było się przyłączyć aniżeli sprzeciwić. Tchórzostwo od zawsze było łatwiejsze niż odwaga.

Mike i Jacqueline poszli z Edith do Pałacu, żeby pogrzebać Juliana. Kiedy dotarli na miejsce, kilka mew zdążyło już obsiąść ciało i podziobać je tak, że tu i ówdzie widać było poszarpane kawałki mięsa. Widząc to, Jacqueline wpadła w histerię i musieli pogrzebać ciało we dwoje.

Tymczasem Margrethe zajrzała do rodziców Juliana, by w imieniu matki pożyczyć szklanek mąki czy cukru. Pani Morgenroth zdziwiła się, że przychodzi o tak późnej porze, ale zaraz zniknęła w kuchni.

Wtedy Harry i Pierre pobiegli do pokoju Juliana i szybko zapakowali do plecaka kilka ubrań oraz dokumenty. Podstęp się udał.

Po powrocie do domu Edith kazała Harry'emu, żeby wziął jedną z łódek, wypłynął w morze i zatopił obciążony kamieniami plecak Juliana. Oczywiście przy okazji temu niezdarze przytrafił się wypadek i w wodzie wylądował nie tylko plecak, ale i on sam. Silny prąd znosił łódkę tak gwałtownie, że Harry postanowił jej nie ścigać i popłynął do brzegu wpław. W końcu około północy Edith wymusiła na wszystkich przysięgę, że nigdy, ale to przenigdy nie wspomną o tym, co się wydarzyło tej nocy, nawet we własnym gronie. Przez ponad dwadzieścia lat wszyscy jak jeden mąż dotrzymali słowa.

Jednak każdy, kto się ściga z własną przeszłością, z góry skazany jest na porażkę.

Na korytarzu komisariatu pojawił się mundurowy.

– Pani Mahler? Zapraszam do środka.

Wstałam i spojrzałam na Pierre'a. Jego los spoczywał w moich rękach.

Zastanawiałam się, ile z tego, czego się dowiedziałam, mogę zdradzić policjantowi. Zwłoki Juliana zostały odnalezione, zabójczyni ukarana, a kiedy przymknęłam oko, byłam gotowa przyznać, że Pierre nie jest wprawdzie niewiniątkiem, ale w jakimś sensie wyszedł z całej tej sprawy z twarzą. A w każdym razie nie do końca ją stracił. Jak to wyglądało z prawnego punktu widzenia? Tego nie byłam w stanie ocenić. Pierre był zamieszany w zabójstwo, ale stało się to dopiero po fakcie. Mimo to musiał przez lata dźwigać brzemień tej potwornej zbrodni, tak jak pozostali.

Ale można też było spojrzeć na tę sprawę zupełnie inaczej.

Siedziałam zatem naprzeciw policjanta, któremu zgłosiłam znalezienie zwłok Harry'ego, i chociaż w głębi duszy czułam ogromny spokój, to w mojej głowie kłębiło się tysiąc myśli. W czasie, gdy mundurowy wydawał patrolowi polecenie sprawdzenia terenu ruin, musiałam podjąć decyzję, ile mogę mu powiedzieć. Pomiedzy „nic” a „wszystko” jest spore pole manewru. Nie mogłam oskarżyć Edith,

nie obciążając Pierre'a i pozostałych. A to znowu miałyby wielki wpływ również na moje życie.

Kochałam Pierre'a nie mniej niż poprzedniego dnia. Ta świadomość powinna mnie przerażać, ale było inaczej. Nasza wzajemna miłość była faktem. Czy nie dość jeszcze wycierpiał z powodu tego, w czym uczestniczył przed dwudziestu laty z górą? Wydał ponad dwieście tysięcy euro na dom opieki dla ojca Juliana, który mógł spędzić ostatnie dziesięć lat życia w naprawdę komfortowych warunkach. Pomyślałam, że to wydarzenie naznaczyło Pierre'a na całe życie, wzbudzając w nim wyjątkową potrzebę pomagania innym. Opieka nad dwójką dzieci z Trzeciego Świata, ofiarne zaangażowanie w działalność Lekarzy bez Granic, pogrzeb i spełnienie ostatniego życzenia naszego listonosza, pana Melchiora...

Nagle uświadomiłam sobie, że we wszystkim można dostrzec nić łączącą zabójstwo Juliana z dniem dzisiejszym. Bo czyż alkoholizm Mike'a nie był formą ucieczki? A nerwica Jacqueline, jej obsesja na punkcie czystości, uzależnienie od leków i niezliczone fobie? Czy nie są rezultatem tamtego potwornego przeżycia? Kiedy kompletnie splukana wróciła z Hollywood na wyspę, postanowiła zapewne zaszantażować Mike'a. W ten sposób co prawda znacznie poprawiła swoją sytuację materialną, lecz wobec potęgi podświadomości i wyrzutów sumienia była bezradna. Problemy zdrowotne Edith zaczęły się wkrótce po śmierci Juliana. Wrzody żołądka, rak, reumatyzm... Oto skutki zbrodni, o której wszyscy zgodnie milczeli, lecz która rozbrzmiewała echem wewnątrz każdego z nich niczym niekończący się krzyk. I jeszcze to chorobliwe przywiązanie Harry'ego do ruin, które były grobowcem Juliana. No i to, że pracował jako grabarz... Margrethe chyba najlepiej ze wszystkich poradziła sobie z ciężarem tej zbrodni. Tak przynajmniej to wyglądało na pierwszy rzut oka. Ale kto wie, może każdego dnia, kartkując swoje kolorowe czasopisma i oddając się marzeniom o dalekich krajach, w duchu podróżowała z Julianem dokoła świata, usychając na myśl o tym, że to marzenie nigdy się nie ziści?

Czy nie ponieśli wystarczającej kary? Czy naprawdę byłabym gotowa wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności za wyrwanie starej,

schorowanej i umierającej kobiety z własnego łóżka i przeniesienie jej do więziennego szpitala?

– Zaczniemy od pani personaliów – powiedział policjant.

Podalam mu swoje imię i nazwisko oraz nazwisko Harry’ego.

Wiele razy chciałam podnieść oczy i powiedzieć: „Jest jeszcze coś, o czym powinien pan wiedzieć”.

Ale nie dałam rady. Słowa zwyczajnie nie chciały mi przejść przez usta. A przecież wciąż nie wiedziałam, co się stało cztery miesiące wcześniej, jak doszło do wypadku. A może wcale nie chciałam się tego dowiedzieć? Może dość miałam potwornych odkryć? Może lepiej wyjechać z Poel – z Pierre’em albo bez niego – i odciąć się od przeszłości?

Byłam znużona i skołowana, dlatego wciąż odsuwałam od siebie decyzję.

Procedura na komisariacie zajęła prawie godzinę. Na koniec policjant powiedział mi, że śmierć Harry’ego to prawdopodobnie samobójstwo. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa umarł wskutek przedawkowania heroiny. Nic nie wskazywało na udział osób trzecich. Śledczy znaleźli również w jego kurtce list pożegnalny. Składał się z jednego tylko zdania: „Dłużej tego nie wytrzymam”. To były ostatnie słowa Harry’ego.

Policjant spytał mnie, czy wiem, co Harry miał na myśli. Nie odpowiedziałam, kierując się maksymą Woltera, który stwierdził, że wszystko, co mówimy, winno odpowiadać prawdzie, lecz nie wszystko, co jest prawdą, winno zostać wypowiedziane.

Pierre obojętnie przyjął to, że go nie zdradziłam. Ani jego, ani pozostałych. Wyglądał na osobę pogodzoną z losem. Z początku myślałam, że to dlatego, że i tak niewiele mu groziło: wprawdzie zabójstwo nie ulega przedawnieniu, lecz on sam nikogo nie zamordował, a jedynie utrudniał śledztwo. Jeśli zaś chodzi o zażywanie narkotyków, to upłynęło tyle lat, że nie musiał się obawiać wydalenia z zawodu. Oczywiście jego renoma mocno by ucierpiała, ale czy to takie straszne dla kogoś, kto i tak nosi się z myślą o wyjeździe z kraju? Jednak przez ostatnie tygodnie zdążyłam poznać Pierre’a i miałam

dziwne wrażenie, że powody jego stoickiego spokoju są zupełnie inne. Może czuł ulgę, że w końcu wszystko mi wyznał, bo nie był w stanie dłużej mnie okłamywać? To by było najlepsze wytłumaczenie.

Wróciliśmy – każde swoim autem – do Kaltenhusen. Wyszliśmy niemal równocześnie. W dali słychać było grzmoty, powietrze było wręcz lepkie od wilgoci. W domu Petersenów paliło się jeszcze światło. Właściwie wypadało pójść i złożyć Margrethe i Edith kondolencje. Nawet nie byłam pewna, czy poinformowano je o śmierci Harry’ego. Jeśli nie, to tym bardziej powinniśmy osobiście przekazać im tę smutną wiadomość.

Mimo to wzrokiem dałam Pierre’owi do zrozumienia, że wobec tak wyjątkowych okoliczności mam gdzieś konwenanse. Symbolika samobójczej śmierci Harry’ego była tyleż przygnębiająca, co jednoznaczna: umarł po zażyciu tego samego narkotyku, z powodu którego zginął Julian, i to w dniu, w którym po tylu latach odnaleziono ciało Juliana.

Na chwilę przystaliśmy przy furtce prowadzącej do ogrodu Pierre’a. Spojrzałam na gwiazdy, które pojedynczo wyzierały spod chmur.

– Co zamierzasz? – spytał Pierre.

– Jeszcze nie wiem.

Mówiłam prawdę. Wiedziałam, że na pewno nie zamieszkać na Poel, ale poza tym nie miałam pojęcia, jaką wybiorę drogę.

– Tamtej nocy, w maju – odezwał się Pierre, zamierzając najwyraźniej dołożyć ostatni kamyczek do mojej mozaiki – byliśmy wszyscy na kolacji u Mike’a i Jacqueline. Sabina i ty poprosiłyście, żebyśmy jeszcze raz się spotkali, wszyscy. Sabina dała nam do zrozumienia, że będziemy świętować odnalezienie aktu kupna działki.

– Więc ten akt naprawdę istnieje?

– Pokazała go nam, a potem zabrała. Przypuszczam, że... jej samochód spłonął...

To wspomnienie było zbyt straszne, bym mogła je do siebie dopuścić.

– I co dalej?

– W końcu Sabina powiedziała, że jej zdaniem Julian został

pogrzebany w ruinach i że następnego dnia zamierza dokładnie przekopać cały teren. Jacqueline wpadła w histerię. Potrzebowała mocnych tabletek, ale nie miałem ich w domu, więc natychmiast zabrałem ją do swojego gabinetu. Tam całkiem się załamała i dopiero po dwóch godzinach na tyle odzyskała równowagę, że mogłem ją odwieźć do domu. Między Weitendorfem a Brandenhusen zobaczyłem w rowie wasz samochód, doszczętnie rozbity... Natychmiast wysiadłem. Sądzę, że wypadek wydarzył się dosłownie chwilę wcześniej. To prawda, byłem pierwszy na miejscu wypadku, ale nie mam z nim nic wspólnego. Nie mam pojęcia, co zaszło tamtej nocy. Nikt mi nic nie powiedział. Przysięgam.

Jeśli naprawdę wierzyłam, że mnie kocha – a wierzyłam – to musiałam też uwierzyć, że nie zepchnął mnie przy stu kilometrach na godzinę na drzewo.

A co z Margrethe i Mikiem? Czy im też mogłam wierzyć?

– Przepraszam, Pierre, ale jestem zbyt zmęczona, żeby rozmawiać. Jutro, dobrze?

Odpowiedział, że zajrzy jeszcze do Petersenów. Czuł, że jest im to winien. Potem się pożegnaliśmy.

Weszłam do swojego pokoju i otworzyłam okno, a kilka sekund później usłyszałam krzyk i głośnie zawrozczenie. To była Edith. Właśnie dowiedziała się o śmierci swojego syna, dla którego zabiła człowieka i który, nie mogąc znieść tej myśli, popełnił samobójstwo.

Nie okłamałam Pierre'a, naprawdę byłam potwornie zmęczona. Mimo to sen nie nadchodził – może właśnie dlatego, że za wszelką cenę starałam się zasnąć. Rozmaite myśli bez końca kołatały się w mojej głowie. Wiedziałam, że nie przestaną – ani nazajutrz, ani następnej nocy, ani pojutrze. Miałam tyle spraw do przemyślenia! Co dalej ze mną i z Pierre'em? Czy powinnam się spotkać z Mikiem, Margrethe i Jacqueline? Czy postąpiłam słusznie, pozwalając Edith uniknąć kary? Co Hans Morgenroth powiedziałby na to, że oszczędziłam morderczynię jego syna – tylko dlatego, że jest stara i schorowana? Jak bym zareagowała, gdybym dowiedziała się o wszystkim pierwszego września 1990 roku?

Żadna z odpowiedzi, których sobie udzielałam, nie przetrwała dłużej niż godzinę. Potem wszystko zaczynało się od początku.

Może powinnam jednak powiedzieć o wszystkim policji? Następnego dnia nadkomisarz Ammann miał przesłuchać Mike'a. Wystarczyłoby, żeby jedna osoba z naszej paczki się wyłamała, a runąłby cały tak misternie wznoszony gmach kłamstw. Najgorzej odbiłoby się to na Jacqueline, która już i tak była kłębkim nerwów i trzymała się wyłącznie dzięki psychotropom. Z kolei Margrethe okazałaby się córką i współniczką morderczyni, a biorąc pod uwagę pozostałe ciężary, jakie dźwigała na barkach, mogłoby się okazać, że i dla niej to brzemię jest nie do udźwignięcia.

Musiałam to wszystko brać po uwagę.

Chociaż... Czy naprawdę musiałam?

Koniec końców musiałam tylko zapytać samą siebie, kto w tym przypadku skorzystałby na ujawnieniu prawdy. Zmarli? Czy zmarłym w ogóle zależy na prawdzie? Kto jeszcze? Bogini sprawiedliwości wykuta w kamieniu i ustawiona z zakrytymi oczami przed wejściem do sądu?

O czwartej dziewiętnaście postanowiłam wyjechać, minutę później zaczęłam pakować walizki, po kolejnych dwudziestu minutach opuściłam dom Pierre'a. Nie po to, by go porzucić, jak sobie wmawiałam, ale by nabrać dystansu do Kaltenhusen, jego dzieci i zmarłych. Tęskniłam za Argentyną, za Atlantykiem, moim mieszkaniem, brzmieniem hiszpańskich słów, jednym słowem – za tym wszystkim, co nie miało żadnego związku z moim dzieciństwem i ostatnimi czterema miesiącami.

Kiedy stanęłam przed drzwiami, z nieba lały się strugi deszczu. Gdy na niebie nie widać księżyca, noc na Poel są czarne jak śmierć. Żadna latarnia nie oświetlała mi drogi do samochodu, który zaparkowałam jakieś dwadzieścia metrów od domu. W domu Pierre'a nie paliło się światło, czyli go nie obudziłam. Albo okazał mi zrozumienie i pozwolił wyjechać. Tak czy siak, wiedział, że losy naszego związku nie leżą już w jego rękach i jeśli chce, żebyśmy byli razem, musi pozwolić mi odejść.

Z mozołem taszczyłam walizkę i torby przez strugi deszczu. Kiedy dotarłam do samochodu, byłam kompletnie przemoczona: ubranie, buty, włosy. Niedbale wrzuciłam swoje tobołki do bagażnika.

Otworzyłam drzwi i miałam właśnie usiąść za kierownicą, kiedy ktoś chwycił mnie za ramię. Na chwilę zamarło mi serce.

– A więc to tak – syknęła Margrethe. – Mój brat nie żyje, wszystko się wali, a ty się zmywasz.

Czy to możliwe, że czatowała jak pajak, czekając na chwilę, gdy będzie mogła się na mnie rzucić?

– Puść mnie, to boli. Ja tylko znalazłam ciało Harry’ego. Sam sobie odebrał życie.

– Odebrał sobie życie, tak? Co ty sobie wyobrażasz? Kto ci dał prawo zgrywać taką damę?

– Najwyraźniej nie potrafię cię zadowolić. Cokolwiek zrobię czy powiem, jest źle. Co za różnica, zostanę czy wyjadę? Tutaj nic mnie nie trzyma, a twoje zachowanie jest tego najlepszym dowodem. – Natychmiast pożałowałam wypowiedzianych w gniewie słów i dodałam: – Współczuję ci z powodu Harry’ego. Myślę, że nie musiał umierać. I obie wiemy, że to nie przeze mnie zginął.

Stanowczo zdjęłam jej dłoń z mojego ramienia i znów chciałam wsiąść, lecz Margrethe ponownie mnie powstrzymała.

Znów obróciła mnie tak, bym stanęła naprzeciw – tym razem uczyniła to z jeszcze większą siłą, niemal brutalnie.

– Nie pozwolę ci tak po prostu odjechać. Powiem ci coś, panno Mądralińska. Wiem od Pierre’a, że powiedział ci, co się stało. Ale to, co usłyszałaś, nie było pełną wersją.

Natychmiast ogarnęło mnie złe przeczucie. Wiedziałam, że nawet jeśli nie dam wiary słowom Margrethe, to i tak zdoła we mnie zasiać ziarno niepewności. To w najlepszym wypadku. W najgorszym na zawsze rozdzielili Pierre’a i mnie.

Krople deszczu spadały na nasze głowy, skapywały nam z rzęs, nosa, brody i dłoni.

– Powiedział ci, że razem z Harrym przeszukali pokój Juliana i zabrali kilka jego rzeczy... No więc nie, moja droga, było inaczej. To prawda, że poszłam do Morgenrothów pożyczyć chleba i jajek

i odwróciłam ich uwagę, ale Pierre nie chciał iść z Harrym do pokoju Juliana. Mówił, że w ten sposób byłby współwinny zabójstwa i tak dalej. Mój głupkowaty braciszek musiał więc pójść sam i oczywiście jak zwykle nawalił. W pokoju Juliana przestraszył się, że się nie wyrobi, i wrócił z pustymi rękami. Musieliśmy wymyślić coś innego. Nie mogłam znów iść do Morgenrothów, więc powiedziałam Pierre'owi, że teraz jego kolej. Że musi coś zrobić, cokolwiek, a najłatwiej było...

Margrethe urwała w pół słowa. Nigdy nie zapomnę jej złośliwego uśmiechu, w który włożyła całą swą niechęć i całą gromadzoną przez lata nienawiść.

– Najłatwiej było – dokończyła – wysłać go do ciebie.

Nie zrozumiałam, co Margrethe miała na myśli.

– Jak to, do mnie? Po co?

– Miał cię namówić, żebyś teraz ty odwróciła uwagę Morgenrothów. Od śmierci rodziców w ogóle się nie pokazywałaś, ani u nas, ani u Morgenrothów. Było oczywiste, że jeśli do nich pójdziesz i zaczniesz szlochać, zajmą się tobą i spróbują pocieszyć. A my załatwimy, co trzeba.

– O czym ty mówisz?! – krzyknęłam wzburzona. – Pierre do mnie nie przyszedł, a ja nie poszłam do Morgenrothów!

Margrethe parsknęła śmiechem.

– Och, mylisz się. Jeszcze cztery miesiące temu doskonale to pamiętałaś.

Potrzebowałam kilku głębokich wdechów, by zrozumieć, do czego pije Margrethe.

– Pierre poszedł do was do domu. Sabina słuchała głośno muzyki i pewnie dlatego nie usłyszałaś dzwonka. Poszedł więc do waszego ogrodu i zaczął rzucać kamykami w twoje okno, aż w końcu otworzyłaś. Ale ten tchórz nie powiedział, o co chodzi, tylko stwierdził, że musimy z tobą pilnie porozmawiać. Tak długo suszył ci głowę, że wreszcie ustąpiłaś. Dopiero u nas w kuchni powiedzieliśmy ci prawdę. Na początku, ma się rozumieć, byłaś kompletnie załamana, tak jak my po powrocie mamy. Ale kiedy Mike kazał ci pójść do Morgenrothów, zrobiłaś to. Byłaś też przy tym, jak pakowaliśmy

plecak, który Harry miał wrzucić do morza.

– Nie... – szepnęłam wstrząśnięta.

– Jesteś jedną z nas, wilczku. Tyle że po wypadku o wszystkim zapomniałaś.

– Nie – powtórzyłam zduszonym głosem. – Nie! To niemożliwe!

– Cztery miesiące temu zadzwoniłaś z Normandii do Pierre’a, bo tylko jego numer udało ci się zdobyć. Kiedy powiedział ci, że Sabina zaczęła węszyć wokół ruin, jeszcze tego samego dnia przyjechałaś na Poel.

Uwolniłam się z uścisku Margrethe i wsiadłam do samochodu. Tym razem nie próbowała mnie powstrzymać.

Położyła jedną rękę na dachu, drugą oparła na biodrze i powiedziała:

– Nie do wiary, Leo. Mamy z sobą tak niewiele wspólnego, właściwie nic nas nie łączy. Oprócz tego, że z tych samych powodów stałyśmy się współwinne śmierci Juliana. Po pierwsze z poczucia lojalności wobec grupy, a po drugie dlatego, że obie poczułyśmy się odrzucone, kiedy nie chciał nas zabrać w podróż dokoła świata.

Czułam, że nie zniosę ani słowa więcej. Zatrzasnęłam drzwi i odjechałam.

Prawdę mówiąc, nie do końca pamiętam, w jaki sposób udało mi się wyjechać z Poel. Jak przez mgłę przypominam sobie tę nocną podróż. Z powodu łez prawie nie widziałam drogi. Do tego ulewny deszcz, ciemna noc, chaos w mojej głowie... To cud, że nie wylądowałam w przydrożnym rowie.

Czy to, co mówiła Margrethe, mogło być prawdą? Czy naprawdę mogłam zapomnieć coś tak potwornego? Coś, co tak bardzo wpłynęło na moje życie?

Rozpaczliwie szukałam kontrargumentów.

Z początku uważałam, że nie byłabym zdolna przyłożyć ręki do zabójstwa i przez tyle lat żyć z tą potworną świadomością. Poza tym Margrethe nie pokazała mi żadnego dowodu potwierdzającego jej słowa. Była zazdrosna i zgorzkniała, więc miała wszelkie powody, by zatruć mi życie kłamstwami. Mogła wykorzystać moją amnezję

i powiedzieć mi wszystko, a ja nie byłam w stanie odeprzeć jej zarzutów. Tak, była do tego zdolna.

Z drugiej jednak strony przychodziły mi do głowy również argumenty potwierdzające wersję Margrethe – a przynajmniej zdolne odeprzeć jej twierdzenia, nawet jeśli można je było różnorako interpretować.

Po pierwsze były to moje halucynacje – te momenty, kiedy wydawało mi się, że widzę Juliana. Ina Bartholdy uznała, że te wizje były – jak się wyraziła – kompletnie „abstrakcyjne”, to znaczy oderwane od rzeczywistości. Czy zatem postać Juliana, którą „widziałam” w ogrodzie Pierre’a, była zniekształconym obrazem Pierre’a stojącego pod oknem mojego rodzinnego domu i próbującego mnie wciągnąć w zabójstwo Juliana? „Widziałam” Juliana również na stacji benzynowej prowadzonej przez Fridę Scheunenwirth, dawną przyjaciółkę moich rodziców, a zarazem przyjaciółkę Edith, zabójczyni Juliana. Kiedy tylko Edith dowiedziała się o mojej amnezji, poradziła mi, żebym wyjechała z Poel. Wspomniała coś o drugiej szansie. Czyżby miała na myśli to, że w przeciwieństwie do pozostałych będę mogła odtąd żyć bez brzemienia winy? A może chodziło jej o wypadek, z którego ledwie uszłam z życiem?

Właściwie wszystko można było dowolnie interpretować. Równie dobrze mogłam „zobaczyć” Juliana na stacji benzynowej z tego powodu, że po raz ostatni widziałam go tego samego dnia co Fridę Scheunenwirth, to jest na pogrzebie moich rodziców. Również pozostałe argumenty pozwalały na różne interpretacje.

Przypominałam sobie tysiące fotografii, które wykonałam w trakcie swojej kariery. W określonym świetle i z określonej perspektywy przedmioty mogły przybierać groźny kształt, a w innym ujęciu okazywały się zwykłymi skałami lub cieniem kolorowego żelka.

Ocknęłam się za kierownicą wozu na leśnym parkingu pod Schwerinem. Co prawda jechałam jak w transie i nie bardzo pamiętałam, w jaki sposób się tam znalazłam, ale nie zdziwiłam się, że wyruszyłam właśnie w kierunku stolicy landu. W Schwerinie pracowała Ina Bartholdy, a jeśli miałam u kogoś szukać odpowiedzi na dręczące mnie pytania, to tylko u niej.

– Nie wygląda pani najlepiej – powiedziała terapeutka, kiedy usiadłyśmy w pokoju, w którym trzy tygodnie wcześniej spotkałyśmy się na ostatniej sesji.

Nie poczułam się urażona tą uwagą, zwłaszcza że faktycznie wyglądałam jak bezdomna alkoholiczka. Moje ubranie nie dość, że wciąż było mokre po nocnej ulewie i okropnie wymięte, to jeszcze zalatywało stęchlizną. Na głowie miałam coś, co trudno byłoby nazwać fryzurą, a moje oczy wpatrywały się nieruchomo w kobietę, u której drugi raz w życiu szukałam ratunku.

– Muszę pani zadać kilka pytań – zaczęłam bez owijania w bawełnę. Ina nie tylko nie próbowała mnie uspokajać, ale wręcz zachęciła do mówienia.

– Śmiało, proszę pytać.

– Zakładając, że przed wypadkiem wiedziałam o czymś strasznym, o jakimś wydarzeniu, które mnie bezpośrednio dotyczy, w którym brałam udział, a które miało miejsce wiele lat temu... Czy mogłam po wypadku zupełnie o nim zapomnieć? Tak, że kompletnie, ale to kompletnie go nie pamiętam?

Ina nalała nam kawy i podsunęła mi filiżankę.

– Rozumiem, że nie zechce pani wyjaśnić, o jakie zdarzenie chodzi.

– Wolałabym nie.

Trucizna wsączona przez Margrethe zaczęła działać. Niełatwo byłoby mi zdradzić przyjaciół i ukochanego mężczyznę i oskarżyć ich o współudział w morderstwie, ale donieść na samą siebie i obnażyć się moralnie zupełnie przekraczało moje aktualne zdolności. Nie mówi się ludziom ot tak, prosto z mostu: „Hej, jestem zamieszana w zabójstwo”.

Ina Bartholdy pociągnęła łyżeczek kawy i odpowiedziała:

– Organizm człowieka, nie wyłączając mózgu, jest ukierunkowany na to, aby się bronić. Na przykład strach chroni nas przed różnymi zagrożeniami. Kiedy stoi pani nad rwącą rzeką i boi się wsiąść do łodzi, która ma panią przewieźć na przeciwległy brzeg, należy to uznać za zupełnie normalny i pożądany odruch. Jego celem jest ochrona pani życia. Kiedy zatem jakieś bolesne doświadczenie jest zbyt wielkim obciążeniem dla pani psychiki, do tego stopnia, że wywołuje tendencje

autodestrukcyjne, może się zdarzyć, że pani mózg po prostu wyprze je z pamięci. Na przykład wiele zgwałconych kobiet mimo najlepszych chęci nie potrafi sobie przypomnieć gwałciciela ani nawet samego gwałtu.

– Jakie uczucia mogą wywołać taką reakcję?

– Właściwie wszystkie, które są w stanie zamienić nasze życie w piekło. Wstyd, wstręt, przerażenie...

– A poczucie winy? – wtrąciłam.

Ina odstawiła filiżankę i spojrzała na mnie tym wzrokiem, który w wielu ludziach wzbudza poczucie, że terapeuta czyta w nich niczym w otwartej księdze.

Odpowiedź była krótka:

– Tak, jak najbardziej.

– Wspomniała pani o zgwałconych kobietach. A jak to wygląda w przypadku gwałcicieli? Czy oni też są w stanie wyprzeć wspomnienie swojego przestępstwa?

– Na tak sformułowane pytanie trudno byłoby mi odpowiedzieć twierdząco. Żeby umysł mógł wyprzeć jakieś ważne wspomnienie, musi, mówiąc w dużym uproszczeniu, istnieć jakiś czynnik, który uruchomi mechanizm obronny. W przypadku poczucia winy byłyby to dręczące przestępcę wyrzuty sumienia, a te u gwałcicieli nie zdarzają się często. Podam inny przykład: ktoś potrąca śmiertelnie dziecko, ucieka z miejsca wypadku i unika kary. Wspomnienie wypadku ma w sobie potencjał zdolny wpędzić sprawcę w potężny kryzys, dlatego uciekinier wypiera je z pamięci. A raczej jego mózg decyduje za niego, bo jest to proces nieświadomy. Muszę jednak zaznaczyć, że w takich przypadkach nie ma mowy o regułach czy automatyzmie. Ludzie różnią się między sobą i ich mózgi również. Dlatego amnezje zdarzają się bardzo rzadko. Dużo częściej dochodzi do deformacji wspomnień, na przykład wtedy, gdy je podkoloryzujemy.

Wstałam i zaczęłam krążyć po pokoju, nerwowo wyłamując palce. Kobieta, z którą rozmawiałam, widywała mnie w dużo gorszym stanie emocjonalnym, nie musiałam więc przed nią ukrywać niepokoju. Doświadczona terapeutka zauważyła oczywiście, że jej dotychczasowe odpowiedzi mnie nie satysfakcjonują.

– Czy pani pytania mają związek z halucynacjami lub przebłyskami, o których rozmawialiśmy niedawno telefonicznie?

– W tym sęk, że sama nie wiem. Chodzi o młodego mężczyznę, którego kiedyś znałam i którego ostatnio kilka razy widziałam, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo to niemożliwe.

– Dlaczego?

Ina obserwowała mnie przez kilka sekund, a kiedy zauważyła, że nie zamierzam odpowiedzieć, rzekła:

– Proszę zrozumieć, Leo: im mniej jasne są pani pytania, tym bardziej ogólne muszą być moje odpowiedzi.

Kiwnęłam głową, lecz nadal milczałam. Chociaż ufałam Inie, nie mogłam jej powiedzieć całej prawdy. Jeszcze nie.

– W porządku – westchnęła terapeutka. – Spróbuję odpowiedzieć.

Nalała sobie kawy i poprosiła, żebym usiadła.

– Pani przypadek, Leo, jest dość szczególny, ponieważ amnezja tylko po części jest bezpośrednim rezultatem wypadku. O innych skutkach wstrząsu emocjonalnego i odniesionych ran mówiłyśmy obszernie w trakcie leczenia i w pewnym stopniu już je pani przezwyciężyła. Jeśli jednak chodzi o amnezję wywołaną pośrednio, to... Po wypadku pani mózg tak jakby przełączył się na zasilanie awaryjne. Był całkowicie skupiony na podtrzymaniu funkcji życiowych. W takich sytuacjach inne, nie mniej energochłonne funkcje stają się zbędnym, a nawet szkodliwym balastem. Jeśli więc tuż przed wypadkiem przeżyła pani poważny stres, to po wypadku pani mózg poniekąd usunął jego przyczynę, by panią odciążyć. Jakiego rodzaju był to stres, czy miał coś wspólnego z poczuciem winy lub strachem, tego nie potrafię powiedzieć.

Słowa Iny Bartholdy przyniosły mi ulgę, a zarazem nałożyły na mnie nowy ciężar.

Margrethe mogła mówić prawdę. W takim wypadku rzeczywiście przez dwadzieścia trzy lata dźwigałam brzemię współodpowiedzialności za śmierć Juliana, po telefonie Torbena Schleichera zaalarmowałam Pierre'a, pojechałam na Poel i próbowałam odwieść Sabinę od zamiaru wyjaśnienia tajemniczego zaginięcia Juliana, co bez wątplenia wpędziło mnie w wielki stres.

Wciąż jednak bez odpowiedzi pozostawało pytanie, jak doszło do wypadku.

Ale Margrethe równie dobrze mogła mnie okłamać. To by zaś oznaczało, że naprawdę przyjechałam na Poel tylko po to, by skorzystać z okazji i pojednać się wreszcie z Sabiną, a o zabójstwie Juliana dowiedziałam się dopiero na grillu, co w oczywisty sposób wyprowadziło mnie z równowagi. Kiedy wyjechałyśmy z Sabiną zameldować policji o naszym odkryciu, ktoś ruszył za nami i sprowokował wypadek. Pozostawało pytanie: kto. Kto za nami jechał?

W gruncie rzeczy po rozmowie z Iną Bartholdy ani nie byłam mądrzejsza, ani nie odzyskałam wewnętrznego spokoju. Świadomość, że mogłam być zamieszana w zabójstwo człowieka, którego kiedyś kochałam – choćby mój udział ograniczał się tylko do tuszowania zbrodni – stanowiła brzemię nie do udźwignięcia. Tym, co mnie trzymało w pionie, była nadzieja, że to wszystko było jednym wielkim łgarstwem.

– Widzę, że chce pani poznać prawdę – powiedziała Ina. – Doskonale panią rozumiem. Jednak kilka tygodni temu odradzałam pani powrót na Poel i dziś podtrzymuję te słowa. Niech pani nie próbuje być mądrzejsza od swego mózgu. Niech pani na siebie spojrzy, Leo. Poszukiwanie prawdy bardziej pani zaszkodziło, niż pomogło.

Przez kilka tygodni czułam coś na kształt szczęścia. Wspólne dni z Pierre'em, przejażdżki po zielonej wyspie i poczucie nowego początku sprawiły, że odżyłam. W Argentynie na pewno bym tego nie doświadczyła. Ani małżeństwo, ani kochankowie nie byli w stanie zapełnić mojego serca. Złakniona miłości kobieta, która kryła się w zakamarkach mej duszy, nigdy nie została nasycona. Tak samo było ze zdjęciami. Robiłam ich tysiące, ale nigdy nie odnalazłam na nich swojej ojczyzny. Z tego punktu widzenia wypadek, mimo straszliwych konsekwencji, był dla mnie również szansą. Szansą, której niestety nie wykorzystałam.

Czułam się dziwnie zdezorientowana, a zarazem miałam wrażenie, że skądś znam to uczucie. Za nic nie chciałam znów stać się dawną

Leą, ale na samych zaprzeczeniach nie da się niczego zbudować. Brakowało mi pomysłu, co dalej z Leą Mahler 2.0.

Przez wiele dni jeździłam po całych Niemczech, ale nic z tego, co widziałam, nie wzbudzało we mnie radości. Wina nie leżała jednak po stronie wrażeń, lecz we mnie. Moje myśli niemal bez przerwy krążyły wokół Pierre'a, a ilekroć o nim myślałam, przypominałam sobie Juliana, Pałac, martwe ciała i kłamstwa. Nie mogłam wrócić do Pierre'a nie dlatego, że był zamieszany w śmierć Juliana. To byłam w stanie mu wybaczyć. Ze wszystkich uwikłanych w tę sprawę osób on jeden próbował odkupić swą winę. Edith tak bardzo wyparła morderstwo z pamięci, że przypomniła je sobie – a właściwie „dowiedziała się” o nim – dopiero po odnalezieniu zwłok Juliana. Margrethe w typowy dla siebie ordynarny sposób pogodziła się z tym, co się stało, i prawdopodobnie wciąż uważała, że postąpiła właściwie. Nie dostrzegłam też, żeby Mike i Harry stawili czoło poczuciu winy – bo trudno za odważne zmierzenie się z przeszłością uznać to, że jeden popadł w alkoholizm, a drugi w maniackalny masochizm. Jacqueline – wiele na to wskazywało – po powrocie z Ameryki posunęła się nawet do tego, by wykorzystać wiedzę o zbrodni do szantażowania Mike'a i zapewnienia sobie w ten sposób wygodnego życia. Tylko Pierre zmierzył się z wyrzutami sumienia. Nigdy sobie nie wybaczył, a swoje poczucie winy konstruktywnie przekuł w pomoc udzielaną Hansowi Morgenrothowi oraz chorym i słabym ludziom na całej ziemi.

Przyczyny, dla których go unikałam, leżały po mojej stronie. Bałam się, że jeśli do niego wrócę, będę musiała wciąż na nowo konfrontować się z własną winą. Gdyby mu się nie udało rozproszyć moich wątpliwości i przekonać mnie, że jestem niewinna, musiałabym uznać się za współniczkę Edith i z pewnością bym się znienawidziła. Tym samym Pierre był moją ostatnią nadzieją – i chciałam, żeby nią pozostał, bo najbardziej bałam się chwili, kiedy zrozumie, że nie ma już dla mnie nadziei.

A może chciałam się też ukarać? W końcu musiałam jakoś odpokutować to, do czego – być może – przyłożyłam rękę. Nawet jeśli nie miałam nic wspólnego z wydarzeniami z trzydziestego pierwszego sierpnia 1990 roku, to mój przyjazd na Poel najprawdopodobniej

przyczynił się do wypadku i śmierci Sabiny.

Kiedy dotarłam w końcu na frankfurckie lotnisko i wsiadłam do samolotu lecącego do Buenos Aires, postanowiłam solennie, że nigdy tutaj nie wrócę i postaram się o wszystkim zapomnieć – i w ten sposób powoli uwolnię się od poczucia winy. A to wszystko z jednego prostego powodu: chciałam żyć.

Październik 2013 roku

Pierre wszedł do taksówki w porcie lotniczym Buenos Aires i podał kierowcy adres:

– Avenida Callao sto osiemdziesiąt dwa.

Droga wiodła przez jedną z najelegantszych dzielnic trzymilionowej metropolii. Był październik i wiosna pokazywała swoje najpiękniejsze oblicze. Na pasie zieleni rozdzielającym jezdnie pyszniły się czerwone i żółte tulipany, a w kawiarnianych ogródkach klienci wystawiali ku słońcu swe twarze. Pierre'owi podobał się ożywiony ruch na ulicach oraz nostalgiczna aura otaczająca budynek, w którym mieszkała Lea. Wszedł do windy, z której z powodzeniem mogła korzystać Evita Perón, i pojechał na ósme piętro.

Pretensjonalna srebrna tabliczka, o której wspominała Lea, ustąpiła miejsca skromniejszej, wykonanej z drewna.

– Pierre!

Lea nie była pewna, czy ma mu się rzucić na szyję, czy raczej zachować powściągliwość. On wolałby to pierwsze, lecz ona wybrała drugie. Jednak nie po to przeleciał kilka tysięcy kilometrów i przemierzywszy Atlantyk, dotarł na drugi koniec świata, żeby po dziesięciu sekundach upaść na duchu. Prawdę mówiąc, spodziewał się, że Lea powita go z rezerwą. Gdyby jemu ktoś zwałił na głowę to, co Margrethe Lei, też czułby się nieswojo.

– Wejdz, proszę. – Wpuściła go do środka.

Wiedział, jak ciężko jest jej w tej chwili na sercu, bo sam czuł to samo. Ona obawiała się, co przyniesie to spotkanie, on zaś bał się, że Lea nie znajdzie w sobie dość miłości i odwagi, by dać im drugą szansę.

Wprowadziła go do jasnego, obszernego mieszkania. Wszystko tu emanowało wielkomiejszczańskim duchem, ale też przytulnością – od dywanów, przez meble, aż po pastelowe ściany i ogromne żyrandole.

Zamiast obrazów – jak to zwykle bywa w takich mieszkaniach – Lea oprawiła w ramy i porozwieszała na ścianach swoje ulubione czarno-białe fotografie.

– Usiądź, proszę. Napijesz się czegoś?

Pierre postanowił złamać wszystkie konwencjonalne ramy, w które Lea starała się wtłoczyć jego wizytę. Nie przyjechał na pogaduszki przy kawie. Miał jasno określony cel.

– Edith nie żyje – powiedział. – Mike też.

– Słucham?

Była zszokowana. Nie była typem człowieka, który życzyłby komuś śmierci, nawet jeśli ten ktoś dopuścił się strasznych rzeczy.

– Dwa tygodnie temu w środku nocy Mike wjechał w mur otaczający jego przetrwónię. Na liczniku miał ponad sto kilometrów na godzinę. Nie zapiął pasów, a we krwi stwierdzono dwa promile alkoholu. Zginął na miejscu.

Lea usiadła w jednym z foteli, położyła ramiona na oparciach z kutego żelaza i patrzyła bez wyrazu przed siebie. W końcu – zupełnie niespodziewanie – ukryła twarz w dłoniach.

Pierre otworzył okno. Odgłosy wielkiego miasta zagłuszyły przygnębiającą ciszę. Potem podszedł do kawowego stolika, na którym stało kilka szklanek i butelka wody. Zwilżył swoją chusteczkę, napełnił szklankę i wrócił do Lei.

– Dziękuję – powiedziała, po czym duszkiem wypła wodę i pozwoliła Pierre'owi, by zwilżył jej czoło oraz policzki.

– Lepiej? – spytał.

Westchnęła przeciągle, niepewnie kiwnęła głową i w końcu rzekła:

– Myślę, że Mike nie poradził sobie z tym, że odnaleziono zwłoki Juliana. Przez tyle lat wszyscy wypierali z pamięci to, co się stało, i nagle...

Pierre z początku miał podobne odczucia. Potem jednak doszedł do wniosku, że chodziło również o coś innego. Mike wciąż uważał się za szefa ich paczki, zwłaszcza że odniósł największy sukces, przynajmniej z ekonomicznego punktu widzenia, i cieszył się powszechnym szacunkiem. W pewnym sensie wszyscy tak czy inaczej byli od niego zależni – czy to bezpośrednio od pomocy finansowej, czy

pośrednio, od świetnie prosperującej przetwórci. Nawet Harry, który toczył z nim nieustanne boje, nie potrafił bez niego żyć. A potem odnaleziono zwłoki Juliana, Harry popełnił samobójstwo, Lea wyjechała, a Pierre obwieścił, że zamyka gabinet i opuszcza Poel. Została mu tylko niekochana żona szantażystka oraz pozbawiona życia Margrethe. Któregoś wieczoru wszystkie te klęski i niepowodzenia skupiły się w jednej butelce burbona.

– W liście pożegnalnym przyznał się, że chciał zamordować Jacqueline, dlatego dosypał jej do herbaty mielonych orzeszków. Wszystko, łącznie z domem, zapisał swojemu synowi i pierwszej żonie.

– A Edith? – spytała Lea.

– Umarła dwa dni później. Najpierw pochowaliśmy Harry’ego, potem przenieśliśmy na cmentarz szczątki Juliana, a na koniec pogrzebaliśmy Mike’a. Nie wytrzymała tego wszystkiego. Na cmentarzu jedno po drugim wyrastały świeże kopczyki ziemi. W sumie, z panem Morgenrothem, pięć pogrzebów w ciągu dziesięciu dni. À propos, mam dla ciebie list od Margrethe. Pozwoliła mi go przeczytać po pogrzebie Edith. Wtedy zrozumiałem, dlaczego wyjechałaś w środku nocy, bez pożegnania.

Podał Lei kartkę. List składał się z kilku zaledwie zdań.

Droga Leo,

okłamałam Cię. Nie miałaś nic wspólnego z zatuszowaniem zabójstwa Juliana. Przepęłniały mnie gniew i zazdrość, nie tylko o Twoje cudowne życie, ale również dlatego, że jako jedyna z nas nie musiałaś dźwigać tego potwornego ciężaru.

Przepraszam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Margrethe

– O Boże! – wykrzyknęła Lea, zrywając się z miejsca. – Czy to prawda? Powiedz mi: czy to prawda?

– Oczywiście. Okłamała cię, najdelikatniej mówiąc. Nie miałaś z tą sprawą nic wspólnego. Przecież ci mówiłem.

Lea uścisnęła go i ucałowała. A potem, po raz ostatni, dopadły ją

wątpliwości.

– Spójrz mi w oczy i przysięgnij na naszą miłość, że Margrethe napisała prawdę.

Pierre się uśmiechnął.

– Przysięgam.

Jej łzy szczęścia i jej rozpromieniona twarz były najpiękniejszą rzeczą, jaką widział w życiu. Serce podskoczyło mu z radości. Znów będą razem! W tym mieście, być może w tym mieszkaniu. Zawsze o tym marzył. Temu szczęściu – swojemu i jej – podporządkował wszystko, nawet prawdę.

Po śmierci Edith wezwano go do domu Petersenów, by zbadał ciało zmarłej. Sumiennie wykonał swoje obowiązki i przy okazji stwierdził, że Edith nie zmarła śmiercią naturalną. Została uduszona. Sprawca mógł być tylko jeden: Margrethe. Pierre był wściekły – po pierwsze dlatego, że od wyjazdu Lei był potwornie przybity i drażliwy, a po drugie dlatego, że Margrethe uwolniła Edith od brzemienia winy, które ta dwadzieścia trzy lata wcześniej złożyła również na barki swych dzieci i ich przyjaciół. Pierre zagroził Margrethe, że ujawni policji prawdziwą przyczynę śmierci, a wtedy ona zdradziła mu, co takiego powiedziała Lei w noc jej wyjazdu. I zaproponowała, że napisze ten list – o ile on potwierdzi, że Edith zmarła śmiercią naturalną.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że Margrethe już dawno zaplanowała i uśmiercenie Edith, i tę wymianę. Wszystko przygotowała tamtej nocy, gdy wyjawiała Lei prawdę.

Lecz dla Pierre'a to wszystko nie miało znaczenia. W końcu znów byli z Leą razem, leżała w jego ramionach, czuł dotyk jej skóry, jej oddech, jej miłość. Tylko to się liczyło. Jego przyszła żona nigdy się nie dowie, że ponosi część winy za śmierć Juliana. Ani tego, co naprawdę stało się tamtej majowej nocy.

Pięć miesięcy wcześniej

– Chcesz? – spytała Sabina, podsuwając Lei paczkę gumy do żucia, a kiedy ta potrząsnęła głową, wyciągnęła pistolet. – Nie bój się – parsknęła śmiechem. – To tylko straszak. Podczas urlopu nie mogę nosić broni służbowej. Blefowałam.

Lea siedziała blada obok niej i wpatrywała się w jasny korytarz wycinany w ciemności przez światła samochodu. Tu i ówdzie w polu widzenia pojawiał się królik albo nocny ptak, lecz poza tym na polach wokół Pałacu nie było żywego ducha. Opuściły szyby, by lepiej słyszeć ewentualne kroki lub inne hałasy.

– To wszystko jest takie dziwne – powiedziała Lea. – Siedzimy w środku nocy w samochodzie i czekamy, aż ktoś wykopie szkielet. I to Juliana. Twoja teoria nie ma żadnego oparcia w faktach.

– Oparcie ma, brakuje mi tylko dowodów, dlatego tu siedzimy. Jeśli ktoś się zjawi, złapiemy go na gorącym uczynku. A jeśli nie, to jutro zaczniemy kopać. Jeśli nic nie znajdziemy, uznam, że się myliłam.

Sabina zdawała sobie sprawę, co czują ludzie, którzy na co dzień wiodą zupełnie zwyczajne życie i nagle znajdują się w samym centrum kryminalnej intrygi. Wprawdzie większość z nas zna takie historie z książek lub telewizji, ale tam zawsze wiadomo, że to tylko fikcja. W prawdziwym życiu spotkanie oko w oko ze zbrodnią zdarza się wyjątkowo rzadko, lecz nawet wtedy ludzie uważają, że to, co ich spotkało, nie dzieje się naprawdę.

Na początku każda teoria jest czymś abstrakcyjnym. Próba rekonstrukcji monstrualnego gmachu na podstawie jednej cegielki musi wywołać uśmiech politowania. Tyle że Sabina przez lata pracy w policji przekonała się, że przestępstwo często kryje się tuż pod powierzchnią i wystarczy znaleźć pierwszy kamyk, by wkrótce odsłoniła się cała mozaika. Przy odrobinie wysiłku i pomysłu

policja już dwadzieścia trzy lata temu mogła wyjaśnić, czy Julian Morgenroth rzeczywiście wyruszył w świat, czy też został zamordowany. Gitara, naoczny świadek, który widział Juliana w pobliżu ruin i słyszał głośną kłótnię, a potem, późnym wieczorem widział go znowu, gdy bez plecaka wyszedł z domu. No i który wspominał coś o handlu narkotykami... Wystarczyłyby pewnie dwa, trzy przesłuchania i prawda wyszłaby na jaw. To naprawdę nie było takie trudne.

Widząc reakcję Jacqueline i Mike'a, Sabina ostatecznie utwierdziła się w przekonaniu, że tych dwoje ma coś wspólnego ze zniknięciem Juliana. Podejrzewała też, że i Harry jechał z nimi na tym samym wózku. Co do Margrethe i Pierre'a nie miała pewności.

– Nie podoba mi się to wszystko – odezwała się Lea. – Boję się. Niedobrze mi.

– Otwórz drzwi i zwymiotuj. Proste.

Lea spojrzała nerwowo na siostrę.

– Chcę stąd jechać.

– A ja chcę willę nad morzem. Niestety, nie zawsze dostajemy to, czego chcemy. Ale jeśli chcesz, możesz wrócić do wsi. Nie będę cię zatrzymywać.

Sabina zreflektowała się, że jeszcze chwila i zacznie mówić tym samym tonem, który kiedyś oddalił je od siebie, dlatego szybko dodała:

– Myślałam, że rozwiążemy tę sprawę razem. Byłoby super. Dla mnie to wiele znaczy, naprawdę. Obiecuję, że potem zrobimy coś, na czym tobie zależy.

Przez chwilę milczały. Cyfrowy zegar pokazywał upływające minuty: 22:57, 22:58, 22:59... W chwili, gdy zegar przeskoczył na dwudziestą trzecią, Lea przerwała milczenie, tak jakby potrzebowała impulsu, by przewyciężyć zalegającą ciszę.

– Jeśli cię teraz o coś poproszę, spełnisz moją prośbę? – spytała.

Jej głos brzmiał dziwnie nieswojo.

Sabina spojrzała na siostrę. Wewnątrz auta było już prawie ciemno, tylko refleksy dalekich świateł sprawiały, że widziała oczy Lei. Dostrzegła w nich mroczne iskry.

– Jeśli jeszcze raz poprosisz mnie, żebym przerwała akcję, to...

– Zrób to. Nie dla Mike’a, nie dla Harry’ego ani kogo tam jeszcze. Zrób to dla mnie!

Sabina nie rozumiała: „Nie dla Mike’a, nie dla Harry’ego?”.

– Jeśli naprawdę źle się czujesz, odwiozę cię do wsi, a potem wrócę i zaczekam sama. Nie ma sprawy.

– Nie to miałam na myśli. Pojedźmy do Wismaru, wynajmijmy pokój, potem zrobimy sobie kilkudniową wycieczkę po wybrzeżu. Ja stawiam.

Sabina westchnęła głęboko, a na jej twarzy pojawił się wyraz bezradności.

– Z przyjemnością, ale najpierw muszę dokończyć tę sprawę. To nie potrwa długo.

– Nie rozumiesz – rzuciła w końcu Lea zniecierpliwionym tonem. – Jeśli jutro zaczniesz przekopywać ruiny, to... czeka mnie to samo co pozostałych.

Prawa fizyki chyba przestały na chwilę obowiązywać, bo słowa Lei dotarły do Sabiny dopiero po kilku sekundach.

– Ty... ty... – zaczęła się jąkać.

Głos odmówił jej posłuszeństwa. A potem zawiódł ją również rozum, bo z początku nie była w stanie pojąć tego, co usłyszała, ani połączyć słów Lei z tym, czego dowiedziała się w ciągu dwóch ostatnich dni.

– Nie bezpośrednio... – zaczęła Lea, ale szybko urwała. – To długa historia. Jeśli koniecznie chcesz, to ci opowiem, ale teraz już jedźmy, dobrze?

Sabina zamarła ze wzrokiem wlepionym w siostrę i dłońmi zaciśniętymi na kierownicy. Po chwili, dosłownie ułamek sekundy później, zrozumiała w końcu, co Lea chce jej powiedzieć.

Włączyła silnik, wrzuciła bieg i wyjechała na polną drogę.

– Dziękuję – szepnęła Lea, błędnie interpretując jej zachowanie.

– Nie tak szybko – odparła Sabina. – Jedziemy na policję.

– Co?! Ale... nie możesz mi tego zrobić!

Auto podskakiwało na wybojach.

– Za dziesięć minut przekonasz się, że mogę.

Wyjechały na szosę. Od strony Kaltenhusen zbliżał się jakiś

pojazd. Mercedes Mike'a. Wóz przykleił się do nich i jechał tuż za ich tylnym zderzakiem.

– Więc to wszystko był zwykły teatr, tak? – Gniew dosłownie rozsadzał Sabinę. Była bezdennie rozgoryczona. – Ta twoja serdeczność, skrucha, historyjka o mężu, który cię bił, opowieść o tym, jak miałaś nadzieję, że cię uratuję... To wszystko teatr?

Lea zerknęła przez tylną szybę. Chociaż Sabina jechała naprawdę szybko, światła mercedesa były bardzo blisko.

– Nie – odrzekła Lea, lecz Sabina nie dała wiary jej zapewnieniom.

– Pielęgniarski pan Morgenroth zadzwonił do ciebie, opowiedział ci o moim śledztwie i w ten sposób niechcący cię ostrzegł. Wtedy zadzwoniłaś do jednego z dawnych przyjaciół i wypytałaś, co się dzieje...

– Mój Boże, tak, zadzwoniłam do Pierre'a – przyznała Lea rozdrażnionym tonem. – Powiedział, że zadajesz niewygodne pytania. Potem zadzwoniłam do Mike'a... Ale naprawdę cieszyłam się na nasze spotkanie. Naprawdę. A teraz zatrzymaj się, musimy spokojnie porozmawiać.

– Nie mamy o czym. Każde twoje słowo to kłamstwo. Nic się nie zmieniłaś, nic a nic... Cieszyłaś się na spotkanie, jasne! To Mike cię nasłał. „Podejdź ją, odwróć jej uwagę, w ostateczności wypłacz jej się w rękaw”. Tak powiedział? Nie wysilaj się, siostrzyczko. Możesz sobie płakać do woli, ale nadeszła pora. Na was wszystkich.

– Zatrzymaj się wreszcie! – krzyknęła Lea.

Z naprzeciwka zbliżał się samochód.

„To pewnie Pierre i Jacqueline” – pomyślała Sabina. Kto inny mógłby jechać o tej porze do Kaltenhusen? Przecież tam kończyła się droga. Pomyślała, że Mike zadzwonił do kumpla i go ostrzegł, a teraz spróbują wziąć ją w kleszcze i odciąć drogę.

Całkowicie skupiła się na prowadzeniu auta, tak aby w razie czego skontrolować ewentualne manewry zbliżających się przeciwników. Dlatego nie zauważyła, że Lea chwyciła za kluczyk i próbowała wyłączyć silnik. Kiedy to spostrzegła, odtrąciła dłoń siostry, ale ta ponowiła próbę i doszło do krótkiej szamotaniny.

– Oszalałaś?! – krzyknęła Sabina ile sił w płucach.

Sekundę później skręciła kierownicą.
W chwili zderzenia patrzyły sobie w oczy.

Podziękowania

Niemal na każdym etapie powstawania moich książek pomaga mi cała rzesza życzliwych osób. Tak też było w przypadku *Ruin na wybrzeżu*. Zanim jeszcze napisałem pierwsze słowa, moja wieloletnia agentka Petra Hermanns oraz przedstawiciel wydawnictwa zadbali o to, by mój pomysł przyoblekł się w ciało. W trakcie pisania otrzymałem mnóstwo cennych uwag od moich „obczytywaczy”: Christiana Igla, René Schwarzera, Toniego Richtera oraz mojego kolegi po piórze i przyjaciela Stefana Holtköttera. Na koniec Wiebke Rossa i Angela Troni z Limes Verlag odpowiednio oszlifowały mój tekst. Wszystkim Wam serdecznie dziękuję.